

Granica

1

Krótką i piękną karierą Zenona Ziembiewicza, zakończoną tak groteskowo i tragicznie, dała się teraz od strony tego niedorzecznego finału rozważać całkiem na nowo. Jego powszechnie znana sylwetka, trochę pochylona, przemykająca prawie co dnia długim, odkrytym autem przez ulice miasta, jego twarz o garbatym profilu i ascetycznie wydłużonej dolnej szczęce, dla jednych przyjemna i nawet rasowa, dla innych jezuicka i nienawistna, jego zachowanie się w różnych poszczególnych sytuacjach, jego niektóre zapamiętane słowa - to wszystko otrzymało teraz zupełnie inne kwalifikacje.

Katastrofa, która zwała się na dom Ziembiewiczów, wydawała się niczym nie przygotowana, jak spadająca na głowę z otwartego okna doniczka z pelargonią. Nie wyjaśniała sytuacji, raczej zaciemniała ją do reszty. Istotne przyczyny wypadku nie dały się łatwo wyrozumieć - zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że Ziembiewicz prowadził życie spokojne i dobrze zorganizowane, nie zdawał się poszukiwać żadnych przygód, a w lepszych kołach towarzyskich uchodził nawet za człowieka bardzo pod każdym względem przyzwoitego - mimo poglądów nowoczesnych i przynależności politycznej raczej nieprzyjemnej.

Umiera się w byle jakim miejscu życia. I dzieje człowieka zawarte między urodzeniem jego a śmiercią wyglądają niekiedy jak nonsens. Któż bowiem jest w możliwości o każdej chwili przemijającej pamiętać, by mogła ona być na wszelki wypadek jego gestem ostatnim? Śmierć nieraz chwyta człowieka in flagranti, zanim zdążył przedsięwziąć jakiegokolwiek środki ostrożności. Najbardziej logiczny plan życia, najściślej wyprowadzona formuła jego wartości rozpada się nagle, gdy ujawniona zostanie ostatnia niewiadoma

W wypadku Zenona Ziembiewicza było to może tylko zobiektywizowanie. Bo póki żył - od strony siebie, umieszczony pośrodku swego życia, zabezpieczony swą świadomością i nią jakoś usprawiedliwiony - wyglądał na pewno inaczej. Miał swoje zasady, racje i motywy postępowania w taki właśnie sposób, nie inny. Nawet stosunek do może przystojnej, ale ostatecznie całkiem pospolitej dziewczyny musiał mieć jakiś sens w jego rozumieniu. Teraz wszelkie przesłanki subiektywne, motywy, konieczności, wszelkie imponderabilia zapadły się wraz z nim. Był widziany już tylko od zewnątrz, od strony tej ulicy, która go sądziła z jego czynów, z jego publicznych słów, która znała tylko fakty. Nie było już czego temu przeciwstawić. Sprawa była taka, jak wyglądała: pospolity skandal, ujawnienie się romansu z wychowanką czy protegowaną własnej żony, rzecz niesmaczna, której nie umiał przyzwoicie ani dorzecznie, po męsku, załatwić.

O przebywającej teraz w więzieniu owej dziewczynie, niejkiej Justynie Bogutównie, mówiono, że podczas swej ostatniej bytności u Ziembiewicza, w jego biurze, zachowywała się jak historyczka, że jej krzyk słychać było w całym gmachu. Po aresztowaniu uspokoiła się natychmiast i przyznała do winy, nie chciała jednak wyjawic jej motywów. Mówiła tylko, jeszcze widocznie pod działaniem wstrząsu, że jest "przysłana od umarłych", i bez żadnych oznak protestu dała się odwieźć do więzienia.

Z pism miejscowych nie można się było wiele dowiedzieć, prawdopodobnie były inspirowane. W "Niwie" przedstawiono czyn Bogutówny jako niepoczytalny. Jednocześnie gdzie indziej była wiadomość, że Bogutówna obłąd symuluje i ma być przewieziona do szpitala na obserwację. Były nawet próby wykorzystania nieszczęścia dla celów partyjnych. Jedno brukowe pisemko nazywało Bogutównę, nie wiadomo dlaczego, Chariottą Corday d'Armont. Bogutówna była dzieckiem naturalnym pewnej wdowy, która służyła po okolicznych dworach jako kucharka i nikogo z rodziny w tych stronach, jak się zdaje, nie miała. Po śmierci tej kobiety dziewczyna znalazła się w mieście na służbie u pewnej bardzo ciężko chorej osoby. W owym czasie zainteresowała się nią pani Ziembiewiczowa. Dzięki jej protekcji Bogutówna dostała miejsce naprzód ekspedientki, a później kasjerki w sklepie bławatnym Torucińskiego przy ulicy Świętojańskiej, gdzie podobno byli z niej zupełnie zadowoleni. Po upływie paru miesięcy odeszła stamtąd na własne żądanie i przyjęła inne miejsce, w cukierni Chązowicza na rogu placu Narodowego i ulicy Emerytalnej. Ale tu nie podobało jej się od początku i posadę też wkrótce rzuciła.

Pani Tawnicka, długoletnia i siwowłosa kasjerka tej instytucji, pamiętała Bogutównę. Była to według niej dziewczyna inteligentna, grzeczna dla gości, nie kokietka, ale dosyć leniwa. U Torucińskich natomiast zostawiła po sobie opinię pracowitej.

Wracając do Ziembiewicza, to wbrew tendencyjnym zapewnieniom Bogutówny w czasie jej tyle pamiętnej rozmowy z ówczesną panną Biecką, nie był on wcale synem karbowego z Boleborzy, a tym mniej z pochodzenia prostym chłopem. Można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Ojciec jego bowiem, Walerian Ziembiewicz, chlubił się do końca życia swoim klejnotem szlacheckim, którego malowany wizerunek - łącznie z wizerunkiem herbu żony, Joanny z Niemierów - stał dziwnie oprawiony na oszklonej szafce w rogu boleborzańskiego salonu. Pan Walerian umiał dokładnie wytłumaczyć zarówno pro-klamy obu herbów, jak znaczenie gwiazdek, krzyżyków, rąk uciętych, hełmów i półksiężyców, które składały się na te godła. Mistyka rodu zawarta w tych symbolach była jednym z pierwszych doznań metafizycznych małego Zenona.

Boleborza należała do kompleksu majątków tutejszej rodziny ob-szarniczej Tczewskich. Był to niewielki, zapuszczony folwark, leżący na peryferiach tych włości, o ziemiach lekkich na przemian i bagnistych. Po stracie dwóch z kolei majątków, własnego i żony, Walerian Ziembiewicz dostał w Boleborzy miejsce rządcy na kilka lat przed wojną. Gospodarował tu uczciwie, ale równie nieumiejętnie i źle jak na ziemi własnej. Gospodarki nie lubił. Całymi godzinami, zamknięty w swym gabinecie, który nazywano kancelarią, robił sam naboje do dubeltówki albo na małym warsztacie naprawiał rozmaite przedmioty domowe, sklejał, przykręcał, ześrubowywał, nawet heblował. Był dumny, że nie ma rzeczy, której by nie umiał zreperować - począwszy od żółtego, długiego fortepianu w salonie, w którym raz po raz milkły jakieś klawisze, skończywszy na żoninym zegarku. Ponadto miał bardzo wrażliwe sumienie i z częstych grzechów lubieżności spowiadał się nie tylko znajomemu proboszczowi z Chązebnej, ale własnej wysokiej i chudej żonie, przed którą klękał, błagając ją we łzach o darowanie winy. Jako dowód przebaczenia otrzymywał do naprawy zacinający się zamek przy szufladzie kredensu albo łańcuszek od face a main. Tak pokrzepiony, posyłał zaraz po butelkę starki do piwnicy. Niestety, nawet niewielka ilość alkoholu wprawiała go w stan zaostrego erotyzmu - i wszystko zależało od tego, jaki kierunek dana chwila i koniunktura wyznaczyły tej sile elementarnej i życiodajnej. Były to często znowu manowce cudzołóstwa,

którego dalsze efekty sprowadzały nowe krótkie spięcia i sceny liryczne, ożywiające niezmiernie monotonna, zatechłą, jak tamtejszy staw z karpami, atmosferę Boleborzy. Tak źle zresztą rzeczy wyglądały tylko z zewnątrz oczywiście. Od wewnątrz, subiektywnie, znajdowały zupełnie inną ocenę. We własnym mniemaniu Walerian Ziembiewicz był człowiekiem przywiązany do ziemi i na tej ziemi - na swoim czy na cudzym, pracować chciał do ostatniego tchnienia. 'Towarzystkę tego swego losu prawdziwie kochał i głęboko szanował, dla swego jedyne go dziecka zaś nie poskapiłby własnej krwi. Póki mieli, było dobrze, dziś nie mają - drugie dobrze. Umieją poprzestać na małym i swoje po cichu robić. Ziembiewicz nie był do zbijania pieniędzy, to trudno, nie umiał jak inni kręcić się koło swoich interesów. Wspominał też już teraz, w Boleborzy, o "pańskiej kłamce", której nie myślał się trzymać, o "progach", których nie myślał wycierać. Pani Żancia ceniła wysoko tę męża niezależność charakteru i znajdowała w niej niewątpliwe oparcie wobec swoich zawodów życiowych, Pustka owych symbolów nie raziła jej wcale - chociaż te kłamki i progi w promieniu Boleborzy w ogóle nie istniały, tak były niedostępne. A jedyną osobą, z którą należało się liczyć, był pan plenipotent Czechliński, człowiek, którego nic tu nie obchodziło, obrabiał bowiem przy wojnie i polityce własne sprawy, jdalekie nie tylko od losów Boleborzy, ale i całego klucza. Z drugiej zaś strony zobaczenie kogoś z rodziny Tczewskich w kościele w Chązebnej albo rzadki udział w hrabiowskim polowaniu, gdy odbywało się przypadkiem na bagnach boleborzańskich, były dla Ziembiewicza tematem opowiadań i rozważań na całe tygodnie.

Powolne koleje wojny okręciły się wokół dworu w Boleborzy sposobem dekoracyjnym, za ledwie łudząco podobnym do rzeczywistości - jak okropna Raclawicka Panorama. Rekwirowane konie i krowy to nie był kłopot Ziembiewicza, wzięta do wojska część służby folwarcznej dała się jeszcze łatwiej zastąpić, chorujący we wsi na czerwonkę chłopci wymierali nieszkodliwie, skoro zaraza nie dotarła do dworu. Parokrotny przemarsz niewielkich wojskowych oddziałów boczną drogą za ogrodem, odgłosy strzałów spoza horyzontu, parę grobów w polu, które pojechało się oglądać do Gwareckiego Folwarku - to było wszystko. Pod wiszącą naftową lampą, w której rezerwuar Ziembiewicz na czas pewien wmontował palnik karbidowy, rozsiewający wysubtelnioną woń czosnku i grożący małymi eksplozjami, zasiadali naokoło białego obrusa naprzód oficerowie rosyjscy, później niemieccy, na końcu polscy. Ale sceneria tych uczt niewiele się zmieniała, nawet mundury były podobne. Szło zawsze o to, by ująć sobie gości sercem szczerym i niewymuszoną prostotą. Więc zarzynało się indyka, a z piwnicy "wytaczało" zacne trunki. Przy gorętszych okazjach, gdy rozwiązały się języki, Ziembiewicz mówił z zachwytem i zarazem ze skromnością: - A znów ja, o mój miły Boże, na przykład, jako tyli chłopczyzna wyrzynałem sobie scyzorykiem w drzewie takie rzeczy przeróżne. Na przykład takie tam ramki do fotografii, do obrazków. Albo na przykład takie robiłem serce, a w tym sercu robiłem takiego orła. Albo znów figurkę tyciunią Kościuszki na koniu. Nic tam teraz prawie z tego nie zostało, temu się dało na pamiątkę, tamtemu, przy przenosinach z majątków też niejedna rzecz zginęła. Ale się przecież o tej Polsce tak czy inaczej myślało, coś się tam marzyło, czegoś się pragnęło - po cichu, skrycie...

Jednakże urzeczywistnienie tych cichych marzeń nie dało Walerianowi Ziembiewiczowi oczekiwanego zadowolenia. Przeciwnie. Pewne rzeczy budziły w nim zniechęcenie wyraźne.

- Jak sobie teraz patrzę na to wszystko, widzę to i tamto - to mię to boli. Że sobie człowiek od tyłego chłopaka wyobrażał, jak toto będzie - a teraz jedne Żydy coś z tego naprawdę mają. Chciałoby się tak tych ludzi zatrzymać, chciałoby się zawołać: Na Boga, opamiętajcie się, stójcie, co robicie! Ale cóż... Ci, co mogą, to nie chcą albo i nie umieją. A ten, co by umiał... I, co tu mówić...

Cały ten fenomen Boleborzy dał się oglądać jeszcze od innej strony, mianowicie oczami Zenona jako przedmiot pierwszej poważnej dziecinnej tragedii.

i Zenon wracał z miasta do domu na święta, na wakacje, uczeń pilny i wzorowy, wiozący doskonale stopnie i świadectwa. Wracał za każdym razem inny - coraz bardziej obcy, odjęty tutejszemu życiu, napełniony wagą rzeczy widzianych już i doznanych, wstrząśnięty do głębi swym młodym ujrzeniem świata. Być młodym - och, to nie jest rzecz zabawna. (Młodość Zenona jest ciężka i gorzka, jest niezgodą na świat i niezgodą na siebie, jest od początku zmaganiem się z czułością i cierpieniem.; Zenon wracał i oczami coraz bardziej dorosłymi patrzył na rodziców. Od tego widzenia stygło mu serce i gorzki wstyd ścisnął gardło, jak lzy. Każdy nauczyciel, o którym mówiono tu z lekceważeniem jako o belfrze ("jak to też teraz uczą!") - był mędrcom wobec tych ludzi najbliższych, którzy mu kiedyś imponowali i których przecież jakoś kochał. Francuskie zdania matki, powtarzane od dzieciństwa przed służbą, zasługiwały na dwójkę w trzeciej klasie - a jej muzyka! Jej walce w ciemnym salonie, którym przysłuchiwał się dawniej z takim wzruszeniem, niepewne dźwięki nigdy nie strojonego, długiego, żółtego fortepianu ze złotą firmą "Zakrzewski" - Dolores, Wenecja jej śpiew: "Lors que tout est fini, quand se meurt vo-o-otre beau reve..." A to, co ojciec pamiętał z historii, co opowiadał o swoim herbie z XI wieku! Jego jedyna cytata łacińska, o której nie miał pojęcia, że jest z Terencjusza: "Homo sum..." - zawsze zakończona błędem! - Jego stosunek do chłopów! Wiedział o nich tylko to, że kradną, to było jedyne, co mógł o nich powiedzieć. Nie było mu wiadomo nic o historycznych i socjalnych przyczynach chłopskiej ciemnoty. Ale wyśmiewał, że dają im teraz bezpłatne szkoły - bo "jak zaczną się uczyć, to ciekawe, kto wtedy będzie pracował".

Ostatnich wakacji dopiero Zenon zrobił to niesłychane odkrycie - ojciec przecież nic nie robi! Wstaje o świtanie, chodzi od rana po łąkach, po polu, pilnuje robót - zawsze z dubeltówką, o każdej porze roku strzela, co się zdarzy - choćby wrony, choćby cudze koty i psy. Kopie wyżła, gdy jest zły, krzyczy dzikim, histerycznym głosem na ludzi. Narzeka na nowe czasy i krępuje się już coraz bardziej - ale młode dziewczuchy, ale małych chłopaków jednak bije. Gdy trzeba robić rachunki, woła do kancelarii matkę. Sam czyści strzelbę i patrzy pod światło świecy, jak wewnątrz luf przelewa się i wiruje blask, a ona wpisuje do książek pozycje i liczy. On jest tylko do pilnowania ludzi, żeby nie kradli pańskiego, jest tylko do pilnowania majątku tych nieznanych, tajemniczych, dalekich Tczewskich.

Zenon poznał już wtedy w mieście dom pani Kolichowskiej, ciężką, brzydką, trzypiętrową kamienicę z żelaznymi balkonami, przy ulicy Staszica (która dawniej nazywała się Zielona), i ogród za domem, miejsce wiosennej udręki. Drzewa owocowe były tam pomieszane z rabatami irysów, z bzami i jaśminami - nie jak w Boleborzy, gdzie sad był osobno. Kwitnące jabłonie rozgałęziały się tak nisko nad jasną, zębatą zielenią agrestów, że idąc błotnistą uliczką, z białą malowaną ławką na końcu, trzeba było uważać i raz po raz schylać głowę, a jeszcze z potraconych gałęzi sypały się na włosy i na ubranie białe, trochę różowawe płatki. <sup>J</sup>Obok szła mała, niechętna i zła mieszkanka tego domu i tego ogrodu, Elżbieta Biecka,

nazywana przez uczniów szkoły panną Elźbiecieką. Nie umiała sama zrobić najgłupszego zadania, a zachowywała się tak, jakby była mądrzejsza od niego. Była złośliwa i niegrzeczna. Ale kiedy chciał odejść, mówiła, żeby jeszcze został. A gdy odchodził naprawdę, mówiła, żeby przyszedł jutro. Elżbieta, Eizunia, Ela... Zenon poznał kuszące, niedobre szczęście, które jest w cierpieniu.^

2

Pani Cecylia Kolichowska z domu Biecka, wdowa po rejencie Aleksandrze, miała pięćdziesiąt lat i w życiu jej wszystko się już skończyło. Była zamężna dwukrotnie. Jej pierwszy mąż, Wąbrowski Konstanty, z którym przeżyła dziesięć ciężkich lat młodości, był socjalistą i na krótko przed wojną z przyczyn niejasnych popełnił samobójstwo. Pamiętała różne rzeczy z tego czasu, ale do powiedzenia o tym miała niewiele. Natomiast drugie jej małżeństwo, ze starszym o lat piętnaście, bogatym i do wariactwa w niej zakochanym rejentem dawało dużo tematów do daremnych rozpamiętywań i zgorzkniałych opowieści. W dziedzictwie po nim otrzymała tylko wiadomą kamienicę z ogrodem przy ulicy jeszcze wówczas Zielonej, nic prawie nie przynoszącą i pożerającą masę podatków, a w kasie ogniotrwałej, ozdabiającej przez całe życie gabinet rejenta, znalazła po jego śmierci zamiast pieniędzy i wartościowych papierów zupełnie co innego.

Za mąż za Konstantego wyszła z prawdziwej miłości, więc można powiedzieć, że była sama sobie winna. Wkrótce po ślubie zapuścił czarną brodę, zniknął i zjawiał się w niewłaściwych porach, upewniając ją, że nie ma się czym niepokoić, a rewizje i aresztowania uważał za dowód niewątpliwy, że to wszystko musi prędko się skończyć. Przez całe lata ją męczył, żeby przeczytała przynajmniej Mengera, co zrobiła wreszcie, ale przez czyste poświęcenie. Osiągnął także, że czas jakiś pamiętała, jaka jest różnica między Godwinem i Owenem. Zrobił z jej życia nie wiadomo co. Mimo to szanowała jego idee, drżała o jego los i do końca go kochała. Z tej epoki zachowała pani Cecylia sentyment dla melodii, na którą śpiewało się wówczas, że "nasz sztandar płynie ponad trony", a także dla głupiej piosenki operetkowej: "Lecą świetliki, ach leca, leca", zapamiętała ją bowiem z rzadkich szczęśliwych wieczorów, gdy mieli trochę pieniędzy i mogli pójść do restauracji z muzyką na kolację. To życie skończyło się nagle, gdy Konstanty Wąbrowski musiał emigrować z kraju, zostawiając żonę z ośmioletnim synem bez środków, a później] nawet bez wiadomości. O jego samobójstwie dowiedziała się z gazeta

No tak, ale w tym wszystkim sama zawiniła, sama tak chciała, kierując się uczuciem wbrew rozsądkowi. Tymczasem za drugim razem, gdy postąpiła z namysłem, trafiła jeszcze gorzej. Zakochany lirycznie, wykwinny starszy pan okazał się ponurym erotomanem, więził ją w domu, nie pozwalał bywać między ludźmi, nie pozwalał się ubierać, tańczyć, podróżować. Robił historyczne sceny zazdrości, jak kobieta, z groźbami samobójstwa, symulowanym połykaniem szkła i spazmami. Wieczorem często wychodził gdzieś na karty, ale wybierał tylko lokale i domy, gdzie był telefon, by stamtąd dzwonić do domu i sprawdzać, czy żona gdzie nie wyszła. Pani Cecylia przeżyła w tym koszmarze szereg lat, znajdując oparcie w dwóch rzeczach, które uważała za aksjomaty, że jest kochana wyłącznie i "śmiertelnie" oraz

że - na wszelki wypadek - ma zapewnioną spokojną starość. Tajemnicza kasa zgotowała jej w tym względzie rozczarowanie podwójne.

Obaj ci mężowie, Konstanty i Aleksander, urabiali kolejno jej moralną naturę. Toteż teraz każde zjawisko życia było dla niej dwojakie, złe i dobre, ujmowała je bowiem z dwóch jednocześnie stanowisk. Te sprzeczne sądy trwały w niej obok siebie, wspierając się nawzajem i uzupełniając dla stworzenia obrazu świata o podłożu wybitnie relatywistycznym. Pani Cecylia Kolichowska zestarzała się źle. Zmarszczki na jej bokach ust, które się robią od śmiechu, były tak mocno ściągnięte w dół, że wyglądały jak wielkie rozgoryczenie. W istocie pani Cecylia uważała się za sponiewieraną przez życie i dopiero teraz brała sobie odwet. Odkąd nie żył zły i niewierny rejent, ona objęła rządy domem. Prowadziła nadal życie odosobnione, rozpięte między pozycjami komornego i podatków, jak na krzyżu. Tej kamienicy - groźnemu symbolowi klęski i obowiązku - służyła sama ona, dozorca, dozorczyńni, ich dzieci, kucharka, młodsza i wreszcie mała Elżbieta.

Jej świat podzielony był na piętra, na front i od podwórza, na strych i sutereny. Pewne nazwiska powtarzały się co dnia: Chaśba, Wylamo-wie, Gołąbscy, Posztrascy, Gorońscy. Dźwięki tajemnicze, naładowane dynamiką gniewu i zgryzoty. Przyciśnięta koniecznością pani Kolichowska przeprowadziła zwycięską walkę z komisją sanitarną i połowę piwnic zamieniła na mieszkania, kładąc w nich podłogi, instalując żelazne piecyki i bieląc po prostu wapnem ceglane mury. Zamieszkały tam niesforny żywioł miejskiej nędzy stanowił źródło nieustannego udręczenia. Dwa małe lokale, składające się z pokoju i ciemnej kuchni, wbudowane w strych i przylegające z dwu stron domu do ścian szczytowych, też sprawiły pani Kolichowskiej duży zawód. Do jednego sprowadzili się owi niejacy Gołąbscy, podający się za urzędników. Tymczasem ona żadnej w ogóle posady nie miała, zarabiała szyciem do sklepów i choć wyglądała na dziewczynkę, w miesiąc po wprowadzeniu się urodziła swoje pierwsze dziecko. On zaś był kancelistą w małym prywatnym biurze przewozowym i od początku zaczął zalegać z komornym, płacić ratami i powoływać się na swą sytuację "skomplikowaną i niemożliwą". Niemożliwość sytuacji Gołąbskiego polegała na tym, że nie miał pieniędzy. Komplikacją zaś nazywał swoje przestrelone pod Radzyminem prawe płuco, gdyż to czyniło go niezdolnym do żadnej przyzwoitej rządowej posady. Drugi lokal szczytowy zajmowali już dawniej państwo Posztrascy i także nie płacili nic - i tu bowiem sytuacja była niemożliwa, a z pewnych względów nawet wyjątkowa. Pani Łucja Posztraska, mianowicie, była z dawnych lat przyjaciółką pani Cecylii, niegdyś bogatą i ładną damą, dziś zrujnowaną zupełnie i obarczoną mężem alkoholikiem. Ta przyjaźń ciążyła pani Kolichowskiej finansowo i towarzysko, ale nic na to nie mogła poradzić i dźwigała ten obowiązek, który pogłębiał tylko jej rozgoryczenie. Rozległe, chociaż od śmierci męża do połowy zredukowane (tę drugą połowę z dobudowaną kuchnią zajmowała rodzina Gierackich), mieszkanie własne pani Kolichowskiej mieściło się na prawo od bramy na niewysokim parterze, lekko od ulicy odsuniętym i ocienionym dwiema akacjami. Było całe dość ciemne od tej zieleni, zawalone ciężkimi, natłoczonymi meblami z dębu i orzecha, pełne pluszu, dywanów, portier, kozetek, otoman i serwet. ^Szczególnie ciasny był salon, do którego wcielono cały dawny skórzany gabinet rejenta z wielkim biurkiem i futrem niedźwiedzim na dywanie. Lampy ze stolikami i jedwabnymi abażurami, wielkimi jak parasole, z naftowych przerobione na elektryczne, czarne toczne słupy, haftowane i malowane parawany, żardiniery dźwigające olbrzymie filodendrony i fikusy, obrazy w

grubych ramach złożonych, pochodzące ze starych 7 losowań Zachęty - to wszystko mnożyło się i zagęszczało, odbite - w dwóch sięgających od podłogi do sufitu lustrach. Na fortepianie ^ okrytym jedwabną haftowaną kapą z chwastami, na biurku, stołach, stolikach i etażerkach, na dwóch małych orzechowych konsolkach podpierających w dole oba wielkie lustro, między słoniami różnych rozmiarów (od wielkości dobrego kota do średniego chrabąszcza), wśród wazonów, figurek, kandelabrow, pater i bombonierek, obok całej orkiestry grających kotów z terakoty ("kocia muzyka") stały wszędzie nieprzeliczone fotografie w ramkach, wyobrażające członków trzech rodzin: Bieckich, Wąbrowskich i Kolichowskich, oraz osoby z nimi skoligacone lub zaprzyjaźnione. Inne jeszcze fotografie spoczywały w dwóch grubych pluszowych albumach obok albumów miejscowości zwiedzanych w podróży, albumów z kartami pocztowymi i wydawnictw luksusowych z reprodukcjami Andriollego i Siemira-dzkiego.

Okurzenie, wytrzepanie, utrzymywanie w porządku wzorowym tej rupieciarni, tego świetnie zachowanego fragmentu muzealnego z ostatnich lat XIX stulecia, wymagało dosyć trudu i samo przez się mogło wypełnić egzystencję.

Dla Zenona Ziembiewicza, ucznia ósmej klasy gimnazjum, mieszkającego na stacji u nauczyciela gimnastyki, salon pani Kolichowskiej był najpiękniejszą rzeczą, jaką w tym rodzaju w ogóle oglądał. W zestawieniu z ubogą pustką i nędzą salonu w Boleborzy to wyładowane, wyścielone, wytapetowane, udrapowane tapicerskie wnętrze stanowiło ostatni wyraz przepychu, gustu i kultury. Pierwszy raz widział tu okryte haftem złotym i kolorowym poduszki jedwabne, leżące wprost na ziemi przy kanapkach, poduszki, na których można usiąść i przytulić głowę do kolan kochanej kobiety. Pierwszy raz widział porcelanową sowę ze świecącymi elektrycznymi oczami, a także dużą prawdziwą muszlę różową, w której wnętrzu umieszczoną żarówkę zapalała Elżbieta o wczesnym zmierzchu, zanim zrobiło się naprawdę ciemno. I od tego powietrze w salonie, zgłuszone pluszem portier i serwet, adamaszkim obić, jedwabistą wełną dywanów, stawało się gęste jak tokaj, ciepłe i powoli falujące. Wszystko tutaj rozmarzało, obudzało dziwne wzruszenie, dawało pewność, że istnieje naprawdę jakiś inny, wrogi, nieznośnie upragniony świat, a młodość jest prowadzącą do niego drogą, pełną nienawiści i udręczenia.

Na dwie drzemki w złotych ramach kobiety Żmurki o nozdrzach otwartych, ciężkich do udźwignięcia powiekach i piersiach obnażonych Zenon nie był w stanie patrzeć przy Elżbiecie. Niedaleko na tej samej ścianie wisiał portret reagenta robiony przez Lenca - żółto-czarny i jeszcze przez te niespełna trzydzieści lat poczerniały niby cenny zabytek szkoły holenderskiej. Wyobrażony na nim Aleksander Koli-chowski w todze i birecie, z twarzą wygoloną i tak szlachetną, jakby w jego kasie ogniotrwałej leżały tylko pieniądze i najpewniejsze papiery, też reprezentował ów nienawistny świat wyższego rzędu, przeznaczony na zniszczenie i zgubę, wrogi i zarazem kuszący.

Przecież zawieszony obok i uszanowany przez panią Cecylię portret pierwszej żony reagenta przyciągał najbardziej uwagę Zenona. Była to pani z włosami blond, w sukni balowej bardzo wydekoltowanej i w dużym czarnym kapeluszu z czarnym piórem. Jakże była dziwna, taka cieniutka w pasie - i czyżby wtedy na bale chodziło się w kapeluszu? Elżbieta przypuszczała, że to musiało być w loży, na jakimś przedstawieniu w teatrze. I powiedziała, że ta pierwsza pani Kolichow-ska umarła młodo dlatego, że nie mogła mieć dzieci. Przedtem jeszcze zwariowała, a później umarła. "Czy można z tego zwariować?" a - przeraził się Zenon.

"Widocznie, że tak" - odpowiedziała Elżbieta <sup>^c.^</sup> z urazą, że mógł o tym wątpić, Żenon nie śmiał usiąść na żadnej z haftowanych jedwabnych poduszek leżących na dywanie, a tym mniej przytulić głowy do kolan Elżbiety. Mimo to Elżbieta domyślała się z różnych jego min ponurych i tragicznych, że jest w niej zakochany. Przychodził, pomimo że powinien był siedzieć w domu i przygotowywać się do swych egzaminów piśmiennych. Przychodził prawie codziennie - nie zawsze po to, by pomagać jej w algebrze. Dla człowieka w spodniach o tyle za wąskich i za krótkich trudno było mieć istotny szacunek - choćby był pierwszym uczniem w klasie. Elżbieta musiała mu dokuczać. Lubiła go tylko wtedy, gdy milkł obrażony, gdy chciał odejść i nie odchodził, jakby wcale nie miał ambicji. Za to jego dobry humor, jakiegoś chwile głupiego zadowolenia z siebie budziły w niej najgorsze uczucia. Tak samo, gdy w niedzielę przychodził w innym ubraniu, wyczyszczony, wyświeżony, z dopiero co wygoloną długą, kościstą twarzą, z lepiej niż co dzień przylizanymi włosami - uczuwała do niego wstręt. Bo wtedy musiała uznać, że pewne rzeczy w nim są ładne. Te przylizane włosy, bardzo gęste i równe, miały dziwny kolor - niby ciemny, ale złotawy - i kiedy były tak gładko z czoła do karku szesane, wyglądały jak czapeczka. Ale Elżbieta nie była w stanie pomyśleć o nim żadnej dobrej rzeczy bez wstrętu. To zapewne były zmysły, tak to sobie tłumaczyła.

Elżbieta była wtedy zakochana w kim innym miłością prawdziwą, poważną, niewzajemną i tragiczną. Ten człowiek był rotmistrzem i nazywał się Awaczewicz. Miał takie dziwne, jakby niepolskie nazwisko i sam był dziwny, inny od wszystkich ludzi. Elżbieta widywała go rzadko i tylko u panny Julii Wagner, nauczycielki francuskiego. Zdarzało się, że panna Julia, zamiast przyjść na lekcję, przysyłała mały kratkowany sekretnik, że się źle czuje i żeby Elżbieta przyszła do niej. Elżbieta miała pewność, że go tam zastanie. Był w mieście tylko wtedy, gdy przyjeżdżał z frontu. Jeżeli zaś go nie było, to znaczyło, że to każdej chwili mógł zginąć. Dlatego właśnie ta miłość była tragiczna. Rotmistrz Awaczewicz miał siwiejące włosy, chociaż nie był stary, i czy tak niezwykle, że samo to już wystarczało do miłości. Oczy zupełnie popielatego koloru, zimne, przymrużające się uważnie i lekceważąco. Panna Julia mówiła do niego: kuzynie - i nic w tym nie było dziwnego, gdyż sama była Polką z pochodzenia, tylko wychowaną we Francji. Przyznawała zresztą, że pokrewieństwo jest dość dalekie. Rotmistrz uśmiechał się, przymrużał oczy i mówił, że, jego zdaniem, jest bardzo bliskie. Był nie tylko oficerem, ale i artystą. Jedyne dwa obrazki, jakie wisiały w mieszkaniu panny Julii, on właśnie malował. Pokazywał rozmaite szkice ołówkiem z wojny, konie, trupy, typy jeńców bolszewickich albo żołnierzy. Były tam też rysunki wyobrażające ludzi powieszonych. Na Elżbiecie zrobiło to straszne wrażenie. Rotmistrz objaśnił, że ich nie można żałować, bo to są zdrajcy. Elżbieta myślała o nim z zachwytem, w którym był smutek nie mający jakby żadnej przyczyny. Bo nie marzyła, kochając, o wzajemności, wcale jej nie pragnęła. Właśnie jedyny ratunek był w tym, że on jej nie kochał. Mimo to czasami wyobrażała sobie, jaka szczęśliwa musi być jego żona. Nigdy nie widziała tej kobiety, wiedziała jednak, że jest i że ma dwie córeczki. W tym miejscu zaczynały się rzeczy, o których niemożliwością było myśleć.

Jej miłość piętnastoletnia była sprawą ogromną i w życiu jedynie realną. Wszystko poza tym - szkoła, rówieśnice, dom, ciotka, Zenon, wojna trwająca nieustannie od samego dzieciństwa, rodzice mieszkający gdzieś daleko na świecie - i osobno - to wszystko stanowiło płaską, mglistą, daleką dekorację dla jej samotnego dramatu. Niestety, ta sprawa ogromna i jedynie realna skończyła się dość prędko wielkim rozczarowaniem.



Dom był stary i wszystko w nim było stare, obrócone sobą na ten zawsze dla wszystkich już przeminiony czas, gdy to "lepiej się działo". Może to być pięćdziesiąt lat temu albo piętnaście, może to być po prostu przed wojną albo tylko dawniej. Kiedykolwiek - byle nie dziś, nie dziś. Jak gdyby jedynym właściwym czasem życia była przeszłość.

Dom był stary i prawie zawsze pusty. Pani Cecylia prowadziła życie samotne gości nie zapraszała nigdy; Różne JitarszeJlamy, które zjawiały się nieproszone - rzadko i nieśmiało - nie były witane chętnie. Gość najczęstszy, pani Posztraska, przyjaciółka, zakradała się do domu od kuchni, prawie podstępnie - i zawsze sprowadzona jakąś doraźną potrzebą. Zabiegająca, wesoła i rozmowna, usiłująca nie dostrzegać niechętej miny i roztargnionych oczów gospodyni wykupywała się jakąś specjalnie na ten cel przygotowaną nowiną, wiadomością o kimś z lokatorów, cennym doniesieniem czy ostrzeżeniem." Pani Cecylia nje hylajątwa\_ Znała już te sposoby, niewiele było rzeczy, które mogłyby ją tak naprawdę zainteresować. Przecież ulegała pokusie i nie od razu siadając pytała: "No, cóż takiego, Łucjo, opowiadaj." A pani Posztraska czepiała się tego skrawka terenu, by się na nim rozeprzeć i niejako rozgospodarować, by zasiąść, pogadać i na końcu załatwić swoją sprawę. Zaczynało się od tego, że sąsiad spod dachu, Gołąbski, po chorobie stracił miejsce w tym zakładzie przewozowym, że teraz stara się o coś w banku, ale na próżno, że nie będzie płacił, bo skąd. Później zaś sposobem jakoś logicznym i naturalnym wynikała z tego rura od piecyka, która jest zupełnie przepalona i zwała się już drugi raz. Cały pokój był czarny od sadzy i ona, i mąż wyglądali jak Murzyni. Pani Posztraska zrobiła wszystko, by rozśmieszyć swą przyjaciółkę tą opowieścią, a następnie uzyskać zakupienie nowej rury. Tak samo przychodziła czasami chyłkiem pani Tawnicka, która, zanim została kasjerką u Chązowicza, miała już za sobą jakąś lepszą przeszłość i opowiadanie o tych przemianach losu stanowiło moralną potrzebę jej natury. A także starsza pani Gieracka, sąsiadka najbliższa, chorowita i żalosna, krzywdzona przez syna, synową, wnuki i cały boży świat, a przez panią Cecylię trzymana z daleka i przyjmowana z oficjalnym chłodem.

Przecież parę razy do roku zdarzały się okazje, że paniusie nabierały śmiałości i zjawiały się liczniej. To było jakieś pogorszenie w stanie zdrowia pani Cecylii, o czym dowiadywały się zaraz niepojętym sposobem, lub jakaś nagle łącząca wszystkich sprawa publiczna, obchód czy święto, poruszające stare, wątle niteczki przyjaźni i zaufania. A zwłaszcza stwarzała tę możliwość data, znana powszechnie i pamiętana, imienin pani Cecylii, przypadająca na dzień 22 listopada. Wtedy też trzeba było upiec zawsze jednakowy tort orzechowy, przyrządzić białą kawę z różnymi ciastami i wyjąć ze spiżarni dwie butelki porzeczkowego wina. Hasło do tego zlotu widm dawała pani Łucja Posztraska, która przybiegała kuchnią najpierwsza, żeby, jak mówiła, trochę dopomóc. Zaraz później schodziły się gromadnie stare przyjaciółki, zapomniane krewne lub tylko rówieśnice. Wypełniały sobą siedzenia kanap i foteli w tym zawsze pustym, rozległym salonie. Zdejmowały niciane czarne rękawiczki i mieszając kawę, łyżeczki zostawiały w filiżankach. Elżbieta roznosiła talerzyki z tortem, a każda z pań mówiła przerażona: "Och, taki duży kawałek!" Za oknami dudnił uparty deszcz

listopadowy, ale tutaj w salonie było ciepło i jasno. Zaciągnięte portiery z czerwonego pluszu osłaniały szyby i wszystkie lampy płonęły pod swymi jedwabnymi parasolami. W wazonach tkwiły wątle miotłki przyniesionych kwiatów, białe chryzantemy podobne do astrów i amarantowe cyklameny. Pani Cecylia pilnowała surowo, czy wszystko jest w porządku, i pochmurnie patrzyła na zebrane panie.

Były nadmiernie grube lub przesadnie chude, pomarszczone i nabrzękle, siwe lub wyłysiałe, poubierane w dystyngowane czarne suknie z różnych epok, z koronkami albo dżetami, spłowiałe i dziwnie pachnące. Były przeważnie ubogie, jednak nie wszystkie. Niektóre miały na barkach wyleniałe skunksy albo żółtkłe gronostaje, a w białych, naciągniętych uszach staromodne butony. Ale wszystkie były stare.

Ich wielkie brzuchy wspierały się na cienkich nóżkach, jak beczki na zapalkach, podczas gdy inne znów nogi były grube i równe, pod wałkami czarnych pończoch wełnianych uchodzące do ciasno zesnurowanych trzewików. Twarze siedziały ciężko na tłustych podgar-dlach, podpiętych w dole broszkami z granatów, lub chwiały się na szyjach wydłużonych, przewiązanych pośrodku aksamitką, a widoczna gra mięśni, żył i ścięgien, które "chodziły" pod skórą żółtą i cienką, dodawała grymasom tych twarzy i słowom mówionym jakiejś patetycznej, sabatowej ekspresji.

Pani Cecylia sama nosiła już na szyi aksamitkę, przez którą przewieszały się z przodu dwa woreczki niepotrzebnej skóry, i nie miała co do siebie żadnych złudzeń. Ale myśl, że i ona należy do tego "kongresu czarownic", do tej "parady wiedźm", żeionajest z nich, była dla niej bardzo nieprzyjemna. Gorycz tej prawdy rozrastała się do niecierpliwego strachu, do jakiegoś panicznego popłochu.

Pamiętać dokładnie, jakie były dawniej, widzieć je teraz tak odmienione, widzieć, jak robią się coraz starsze, jedne prędzej od innych, i być w to wprzęgniętą całym swoim losem - cóż za urągawisko! Zdarzało się przecież, że między jedną a drugą wizytą przenosiły się do innej generacji. Niejedna odchodziła w wieku niebezpiecznym, a po roku wracała już jako staruszka.

Były okropne, ale całkowicie nie winne tego, jakie są. Gdyż te twarze - pokrzywione fałdami, gorzkie, fałszywie uśmiechnięte, ironiczne albo tragiczne - nie wyrażały żadnej prawdy ich charakterów. Na przykład zawsze impertynencko uśmiechnięta pani Gieracka, przez wszystkich, jak wiadomo, pokrzywdzona, była właściwie nieśmiała i smutna - a jej uśmiech służył do podciągania opadających policzków, do ratowania małej resztki młodości. Sztywne znowu trzymanie się pani Tawnickiej, jej arystokratyczny port de tete miał na celu wygładzenie zmarszczonej szyi, a mógł dać powód do pomawiania jej o wyniosłość, tak niewłaściwą w jej skromnej obecnej sytuacji. Mecenasowej Warkoniowej wystarczyło tylko trochę "puścić" twarz, wystarczyło zwyczajnie na chwilę przestać mówić, by ogromne rysy zadumy i zgryzoty zaległy na jej masce, chociaż miała z natury bardzo wesołe usposobienie. •^Każda z nich była kiedyś młoda, za każdą ciągnęła się ta jej młodość dawna jak gałąź kwitnąca, uczepona brzegu niemodnej sukni. Były zestrychowane z powierzchni życia, odrzucone na bok przez jego nurt głęboki, wspaniały i zły. Leżały zadyszane i zmęczone na jego brzegu, wspominające umarłych mężów, zabitych synów, zobojętniała, daleką rodzinę. Wojna, rewolucja, zmieniony świat zostawiał je ich zdumieniu. Zapatrzone w samotny dramat artretyzmu i klimakterium, anarchii czasów dzisiejszych przeciwstawiały szczątki anarchii

dawnych, rozbite kawałki wiary i zbankrutowanych przeświadczeń. Musiały jeszcze trochę żyć, żeby umrzeć.)

Elżbieta włożyła do wazonu ostatnią wiązaną drobnych ciemnozłotych chryzantem i ostatniej przybyłej pani podała talerzyk z dużą kawałkiem orzechowego tortu. Brała udział w tych obrzędach, pełna dziwnego niepokoju. Myślała, że każdą z tych starych kobiet mogłaby być ona sama. Nie jest. Jest tylko sobą. Nazywa się Elżbieta Biecka, mówi o sobie: ja. Tu są one wszystkie, razem z ciotką Cecylią

- a tu ona jedna, osobna, skazana na siebie aż do końca. Jest to tylko przypadek, przerażający traf. I cały świat pełen jest takich przerażeń.

Można by myśleć, że one należą do odrębnego, szczególnego gatunku ludzkiego, który temu podlega, że starość ich tylko jest udziałem. A przecież wystarczy czekać - i to przyjdzie.

Wystarczy zwyczajnie - żyć.

Zeszły się tu jakby na drugie Zaduszki, na swoją przedśmiertną ceremonię. Każda z nich mogła powiedzieć do Elżbiety te dawne słowa umarłej: "Czym ty jesteś, ja byłam, czym ja jestem, ty będziesz. Westchnij do Boga i pomyśl!"

I Elżbieta wiedziała, że starość jest tylko dalszym ciągiem młodości.

Paniusie piły wino porzeczkowe, chociaż to każdej z nich szkodziło. Co tam! Mogły sobie pozwolić raz na rok, przy takiej okazji. Na pomarszczone policzki występowały malutkie rumieńce. Coś się tam działo w tych organizmach, pod tą skórą, w tych ciałach. Miały jeszcze jakąś krew - i ta myśl była trochę obrzydliwa i nieprzyzwoita.

Rozmawiały z ożywieniem, całe jasne, ciepłe powietrze salonu napępniały swym gwarem. Mówiły o ostatnich pogrzebach i jak "odprawia" który ksiądz u Fary i u Panny Marii. Ale wiedziały, że pani Cecylia tego nie lubi. Wspomniały rejenta Kolichowskiego, "człowieka, jakich teraz próżno szukać", i uważały, że na swym portrecie jest jak żywy. I wszystkie obróciły się w fotelach ku wiszącemu nad fortepianem ściemniałemu portretowi. Przecież i to nie podobało się solenizantce, która odpowiedziała milczeniem. Więc można było jeszcze mówić w ogóle o tych czasach, jakie nadeszły, o wojnie, o bolszewikach, o Żydach. I o służących. Elżbieta chodziła między nimi, sama jedna młoda i sama jedna zakochana w Awaczewiczu. Nie raczyła brać udziału w rozmowie. Tonem poważnym osoby, która ma za sobą "pokój dziecinny", odpowiadała grzecznie na pytania - nic więcej. Musiała jednak słuchać tego, co mówiły.

Pani Cecylia powiedziała surowo, że jej zdaniem służąca to jest taki sam człowiek jak każdy inny. Pamiętała tę prawdę z czasów pierwszego małżeństwa. Na to zgodziły się zasadniczo wszystkie panie.

"Taki sam człowiek, naturalnie" - powtórzyły jedna po drugiej, ale coraz ciszej, jakby stopniowo ogarnięte zastanowieniem. Elżbieta wiedziała, że kłamią. Służąca to jest zupełnie inne stworzenie, wcale nie takie samo jak każdy człowiek. Wystarczy powiedzieć: "panna Marianna" - i już można się śmiać. Dla niej są osobne schody, wąskie, ciemne i strome - i temu nikt się nie dziwi, chociaż tamtędy właśnie nosi się kosz z mięsem i jarzynami, i kubły węgla z piwnicy. Nikt się nie dziwi, że gdy wszyscy zasiadają do nakrytego stołu, służąca je sama w kuchni. Naturalne to jest, że je wszystko zimne, gdy już wystygło w jadalni. Że je taką ilość i takie kawałki, jakie jej wydzielą w pokoju. Na przykład z kury może przez całe życie ani razu nie spróbować piersi, a z zająca zawsze dostaje przednią łapę. Jednakże pani Gorońska, zamieszkująca połowę drugiego piętra w kamienicy pani Cecylii i płacąca

komorne, zgłosiła taką poprawkę: "Pewnie, że to prawda. Ale jak mi się dzisiaj dziewczyna w niedzielę wystroi w suknię jedwabną, włoży lakierowane pantofle i jeszcze na głowę kapelusz, to to przecież nie ma najmniejszego sensu." Chuda osoba w wyleniałych skunksach podjęła z irytacją: "Takiej to ja powiadam od razu, żeby mi się zabierała szukać sobie innego miejsca, bo ja potrzebuję służącej do tego, żeby robiła, nie do tego, żeby się stroiła lepiej niż ja i żeby chodziła na spacer z żołnierzami." - Temu każda z pań musiała przyznać słuszność, nawet milczenie pani Cecylii - tym razem oznaczało zgodę.

Pani Warkoniowa znowu przypomniała sobie taką rzecz: "Dobrze, ale jakie te sługi są głupie, to przechodzi ludzkie wyobrażenie. Kiedy umarł mój mąż i jeszcze nikt nic nie wiedział, o piątej słysząc od frontu dzwonek. Sługa pocziwa, zapłakana, wychodzi do przedpokoju i z kimś się tam ujada, z jakąś klientką, nie chce jej wpuścić. Powiada: «Kiedy pan mecenas pani nie przyjmie.» A tamta mówi:

«Jak to nie przyjmie? Proszę tylko zanieść bilet, to pan mecenas mnie przyjmie.» Ta znowu: «Nie, kiedy pan mecenas pani nie przyjmie.» «Ale - tamta mówi - przyjmie na pewno, jak tylko będzie wiedział, kto.» A sługa znowu: «Nie, pan mecenas pani nie przyjmie.» Tak mnie to wreszcie zgniewało, że sama w żałobie wychodzę do przedpokoju i powiadam: «Proszę pani, pan mecenas pani nie przyjmie, bo właśnie umarł i leży w salonie na katafalku.»"

Zgromadzenie przyjęło tę opowieść powściągliwym szmerem. Nikt nie wiedział, czy można naprawdę się śmiać. Bo z jednej strony głupota służącej nie ulegała wątpliwości, z drugiej jednak w grę wchodził prawdziwy nieboszczyk i do tego mecenas Warkoń, człowiek szanowany, którego wszystkie pamiętały. Ale pani Warkoniowa sama się śmiała i opowiadała dalej: "Ta moja sługa wtedy to była wdowa, tak miała ze czterdzieści lat, przyzwoita kobieta i religijna. Nikt by jej o nic nie był posądził. Ale coś mi się jakoś zaczęło nie podobać i raz powiadam do niej: «Moja Bogutowa, mnie się zdaje, że Bogutowa jest w ciąży.» A ona się tak chwilę zastanowiła i mówi do mnie: «A i mnie się tak zdaje, proszę pani.» Uśmiełam się i powiadam: «No, jak się Bogutowej tak zdaje, to trudno, to się musimy rozstać.» Za nic nie chciała się przyznać, kto ani co, ale jakem ją odprawiła, to naprawdę potem miała dziecko. Głupia była kobieta, aż strach, tylko że służąca była z niej pracowita i bardzo przywiązana. I jak jej się poszczęściło! U mnie tak się wyuczyła pierwszorzędnie gotować, że ją później razem z tym dzieckiem wzięła do służby sama młoda hrabina Tczewska. I podobno, że dotąd tam jest w pałacu w Chąrzebnej za kucharkę. A ta jej mała Justynka, to podobno, że się tam bawi w ogrodzie z hrabiankami jak równa.

Panie ożywiły się wszystkie. Właśnie! Takim dzieciom się zawsze szczęści! Nawet pani Cecylia zestąpiła do tych zagadnień - ona, która chowała w swej pamięci nie zagojoną, brudną tajemnicę ogniotrwałej kasy rejenta. Cały ten zespół żyć nie dokończonych, pokrzywionych i głodnych ustawił się we wspólny front, obronny nagle wzmożoną czujnością wobec ogromnej dziedziny nie zorganizowanego erotyzmu. Wróg niepokonany i odwieczny: "tamte"! Nie druga kobieta - taka jak każda z nich, nie równa i zrozumiała, z którą można się mierzyć - ale pojęcie kolektywne, żywiol nieprzenikniony, nieobliczalny, wszędzie zaczajony, który podważa układ pozorny świata i niweczy wszelki jego sens. Sens potrzebny koniecznie do tego, aby usprawiedliwić "zmarnowane życie" i przepadła fikcję młodości.

Ze skwapliwej rozmowy wynikało jasno, że udziałem „tamtych” stają się pieniądze, samochody, podróże, że tamte wychodzą za hrabiów, ministrów i generałów i mając lat pięćdziesiąt są jeszcze piękne. Tym zaś pozostają małe emerytury, niepewne koncesje albo

nic prócz tęsknoty na dziećmi, które poszły na swoje, i wspomnienia o mężach, którzy na długo przed tym, zanim umarli, stali się obcymi ludźmi.

Elżbieta nieraz słuchała takich rozmów, jej obecności nikt tu naprawdę nie brał pod uwagę. Wobec trucizny, sączącej się z tej wiedzy, miała w sobie gotową wzdargę i szyderstwo. Była obronna swoją miłością i całkowicie bezpieczna. Nie wyjdzie nigdy za mąż, nie ulegnie "zmysłom", będzie okrutna dla mężczyzn, o ile który odważy się ją pokochać.

Gdyby nie on, cóż by to było! Cóż by to było! Jakże dałoby się znieść życie - ohydny widok podwórza, tamci ludzie, los Fitka. Ciotka, do której nie można mieć pretensji, że jest niedobra i że jej nie kocha. I to, że od matki już trzeci miesiąc nie ma listu. Wszystkie męki tęsknoty i ambicji znajdowały zastosowanie w tamtym najśłodszy udęczeniu i karmiły je sobą jak krwią.

4

Gdy przyszła wiosna, dozorca Ignacy odbijał zabezpieczone na zimę drzwi od jadalni i z niewielkiego tarasu obstawionego skrzynkami nasturcyj schodziło się wprost do kwitnącego ogrodu. Wysoki parkan, w górze zakończony jeszcze trzema rzędami kolczastego drutu, oddzielał to miejsce od wąskiego brukowanego podwórza, gdzie hałasowały dzieciaki sąsiadów. Wieczny trzypiętrowy cień murów tam leżał, gdy ogród oblany był słońcem. Tylko mieszkanie pani Cecylii komunikowało się z ogrodem. Poza tym nikt z lokatorów nie miał tu wstępu. Pani Cecylia uważała, że "ma prawo być u siebie". Furtka w parkanie, łącząca ogród z podwórzem, była zawsze zamknięta na dużą zardzewiałą kłódkę, a klucz od kłódki znajdował się w pewnych rękach dozorca Ignacego. Pomimo tych rygorów niepodobieństwem było uchronić się od częstych szkód i kradzieży. Kwiaty, które nadawały się do sprzedaży

li na targu, i dojrzewające owoce stanowiły przynętę dla własnych i f' podwórzowych i okolicznych urwisów. Ranki po takich wypadkach były ciężkie i burzliwe. Pani Cecylia krzyczała na Ignacego, że wysypia się przez całą noc zamiast chociaż czasami popilnować ogrodu. Ignacy pochmurnie zaręczał, że właśnie tej nocy, jak otworzył o wpół do trzeciej bramę panu Posztraskiemu, obchodził cały ogród i wszystko było w porządku. Przed kuchnią wystawała zgryziona Ignacowa i mówiła, że Fitek całą noc nie czekał, więc to nikt inny, tylko na pewno chłopaki od Chaśbów, dla których nie ma żadnego parkanu ani żadnego drutu. Chaśbina biła wszystkich trzech swoich synów po kolei, ale zaklinała się, że przez całą noc spali spokojnie, i prosiła, żeby przeszukać mieszkanie, bo najłatwiej jest powiedzieć na biednego, a jeżeli się co znajdzie, to ona pierwsza, chociaż matka, zawoła na nich policji. Pani Cecylia oglądała ślady w ogrodzie i zapowiadała, że jeżeli pies jeszcze raz dostanie jeść wieczorem, to kucharka może sobie szukać innego miejsca. Niczego, jak zwykle, nie można było dojść, i sprawa szła w niepamięć. Tylko pani Cecylia przez cały tydzień trzymała na wątrobie gumową torbę z gorącą wodą i wyrażała się o życiu negatywnie.

Z mieszkania pani Kolichowskiej wychodziły na ogród tylko okna od salonu i od jadalni. Następne okno, należące do pokoju Elżbiety, wypadało już poza owym parkanem, który,

choć wysoki, dawał się jednak przeskoczyć. Odrabiając przy biurku lekcje Elżbieta miała przed sobą widok podwórza wstrętny i zarazem zajmujący. Zawsze przede wszystkim był tam do oglądania ten pies Fitek, ogromny wilk z czymś mieszanym, pokryty sierścią podwójną: długim włosiem czarnym, ondulowanym i pokręconym w loki, i krótszym, jedwabistym puchem kremowym, stanowiącym spód, jak w futrze, które się nazywa ełki. Ten Fitek we dnie i w nocy był niejako zawieszony za pomocą łańcucha na długim drucie idącym górą nad podwórzem od parkanu z prawej strony, gdzie była furka, do drewnianego budynku w lewym kącie podwórza

Fitek cały dzień leżał albo w budzie, przystawionej do owej szopy na drzewo, narzędzia i różne graty, albo w jakimkolwiek miejscu na kamieniach wzdłuż linii drutu, która była dla niego linią życia. Leżał zwinięty albo wyprostowany, na brzuchu, albo, gdy było gorąco, na boku, szukał pcheł w różnych miejscach swego futra, drapał się, rozglądał, węszył, nasłuchiwał, stawiał uszy i znowu kładł je po sobie. Czasami szczekał na odległość, obojętnie i matowo, z sobie jedynie wiadomych powodów, czasami wyl z nudzonym basem. Gdy to wycie trwało za długo, pani Cecylia wołała do kuchni: "Niech tam wreszcie która wyjdzie uderzyć tego psa, żeby przestał, bo przecież nie można wytrzymać." Załatwiając małą potrzebę Fitek nie podnosił nogi z wspaniałą fantazją, jak psy szczęśliwe, nie szukał uważnie i prędko jakiegoś miejsca po temu jedynie wskazanego, tylko przysiadł apatycznie byle gdzie, jak szczeniak albo suka. Jeżeli ktoś obcy wszedł na podwórze, jeżeli zwłaszcza wjechał tam koń z wozem i ludźmi, Fitek wpadał w niesłychane uniesienie, szczekał, szalał, rwał się z łańcucha, miotał od jednego końca drutu do drugiego, zawisał, dławił się, charczał, tracił głos z wściekłości, nienawiści i rozpacz. Postępował tak, póki ludzie nie wyładowali węgla czy drzewa, czy kartofli, choćby to trwało godzinę. Gdy wróg zniknął, Fitek uspokajał się powoli, ale długo jeszcze przelewał się w jego wnętrzu gniew daremny i warczące złorzeczenia. I znowu kładł się to tu, to tam, przyglądał się czemuś między kamieniami bruku, wygryzał sobie pchły z brzucha i ogona, otrząsał łeb z latającymi uszami, drapał się to z jednej, to z drugiej strony albo pod gardłem, albo na grzbiecie, albo w brzuch. Na pozór miał dużo do zrobienia, ale w istocie to życie, które wiódł niezmiennie przez dnie, tygodnie, miesiące i lata, było bez miary jednostajne i jałowe. Mimo to, gdy raz na dzień kucharka Michalina wynosiła mu miskę z jedzeniem, machał do niej serdecznie ogonem, wspinał się na tylne łapy, skakał z radości i robił wszystko, żeby polizać ją po twarzy, chociaż Michalina się broniła i mówiła do niego: "Idź, ty diable." Wyglądał wtedy na psa szczęśliwego, którego los ułożył się pomyślnie. Gdy się najadł, zasypiał głęboko i wtedy też można było myśleć, że mu jest dobrze. Obcego psa, jeżeli zapędził się tu z ulicy, Fitek witał jak wroga, rwał się do niego ze skowytami i nienawiścią, marząc o tym jednym, by go na miejscu rozszarpać. Ale pies domowy, biały wesoły szpic młodszej pani Gierackiej, Lulu, nie bał się Fiteka. Gdy zbiegał na podwórze, podchodził nieraz do jego budy. Fitek roztapiał się wtedy ze szczęśliwości, pierwszy rozpoczynał zabawę, przypadał na przednie łapy, czołgał się wiewając ogonem, nadstawiał łeb szpicowi, aby go gryzł. Wprędce Lulu miał tego dosyć i odbiegał na parę kroków, zainteresowany czym innym. Fitek rzucał się w pogoń za nim, biegł chwilę, zapominając o swym losie - i nagle, poderwany łańcuchem, stawał na dwóch łapach, charcząc i przebiegając przednimi w powietrzu. Nigdy nie pamiętał, gdzie kończą się jego życiowe możliwości, i za każdym razem było to dla niego niespodzianką. Niekiedy szpic odchodził po prostu w swoją stronę, wybiegał przez bramę na ulicę nie oglądając się za siebie, albo,

zawołany przez służącą, znikał w cieniu schodów kuchennych. Kiedy indziej, niczym nie naglony, dłużej pozostawał w obrębie podwórza, czas wolny obracając na szczegółową jego inspekcję. Fitek siedział wtedy nieruchomo i wodził za Lulu uważnymi oczami, śledził każdą jego czynność w skupieniu. Wreszcie Lulu kładł się na kamieniach - przecież nigdy tak, by Fitek mógł go dosięgnąć. Widocznie też nie rozumiał, o co chodzi, nie orientował się zupełnie w tej całej organizacji niewoli. Na próżno Fitek przez długie kwadransy na końcu wyprężonego łańcucha robił wszystko, by podejść do szpicy, czołgał się na brzuchu, wydłużał się i kurczył, pelzał - tęskny, rozpaczający, czasami o dwa zaledwie kroki odległy. Lulu wylegiwał się spokojnie, zmieniał miejsce, odchodził i wracał, nie rozumiejąc wymowy krótkich, skowytliwych szczęknięć i błagalnych jęków - albo może tylko nie chcąc brać ich pod uwagę.

Fitek przebywał na podwórzu latem i zimą, wiosną i jesienią, znajdował się tam o każdej porze dnia i nocy. Obecność ludzi natomiast zależna była od wielu rzeczy. (^Elżbieta знаła mieszkańców sutereny, wszyscy bowiem co dnia przechodzili podwórzem do wspólnego "tezolka" (ten inwersyjny termin obowiązywał już od dawna w rodzinie Bieckich nawet służbę), ukrytego w pobliżu szopy z drzewem z lewej strony, za wielką, czarną paką na śmiecie. Była to wieczna ludzka wędrówka w deszcz i śnieg, zarówno jak w najpiękniejszą pogodę, {poza tym w niektóre popołudnia, gdy było ciepło i deszcz nie padał, ludność podziemi wylegała na podwórze gromadnie. Mówili o bolszewikach i rozważali, co by to było, gdyby tak bolszewicy przyszli albo "nastali". Niektórzy bali się ich strasznie, zwłaszcza kobiety. Ci ludzie podziemni byli na ogół podobni do innych, jednak w wielu szczegółach tak odmienni, że Elżbiecie wydawali się zupełnie odrębną rasą, jak Murzyni lub Chińczycy. Nie dlatego, że byli brudniejsi i mieli na sobie odzienie, którego niepodobna było określić kształtu ani koloru. Ale że byli wszyscy mniejsi od ludzi nawierzchni, inaczej się trzymali i ruszali, innych używali słów, mieli inny głos, inną barwę twarzy, inne stopy i palce, inny zapach. Nawet starość inaczej u nich wyglądała. Wszystkie stare panie, znajome ciotki, miały przynajmniej zęby. Tutaj każdy, kto nie był młody, od razu nie miał zębów. Prawdziwie starych ludzi zresztą wcale nie było, może prędzej umierali. Dzieci za to było mnóstwo. Ich kłótnie i zabawy na podwórzu powodowały hałas istotnie trudny do wytrzymania.

W kącie, z prawej strony, gdzie leżało parę pni ściętych czereśni, które zmarzły tej zimy, siadywała często Gołąbska, mała i delikatna, ze swym rocznym chłopczykiem, Stefankiem, bladym jak ona i chorowitym, bo mówiła, że tu przy ogrodzie najlepsze jest dla dziecka powietrze. Byłaby nawet ładna, gdyby nie to, że chociaż miała dopiero lat dwadzieścia i mieszkała nie w suterenie, tylko w tym nowym mieszkaniu pod dachem, już brak jej było jednego zęba i to z samego przodu. Na tych pniach czereśniowych szukał też schronienia najstarszy, spokojny chłopak Chaśbów, Marian, i, opędzając się od młodszych swoich braci, czytał jakąś małą, zwykle podartą książkę. Zawołany przez matkę, składał tę książkę spieszenie i nieporządnie, wierzchem do środka, i biegł piwnicznymi schodami w dół po wiadro, by przynieść wody z podwórza. Wyglądał dość dziecinnie, ale miał już lat szesnaście i po ukończeniu jakiejś szkoły zawodowej pracował w hucie, a wieczorami przygotowywał się do matury. Z tego samego podwórzowego kranu brał wodę do polewania kwiatów dozorca Ignacy. Gdy z dwiema chlapiącymi blaszanymi polewaczkami w rękach uchylał bosą nogą furtki od ogrodu, cała banda dzieciaków z piskiem gromadziła się w tym miejscu, by choć przez chwilę popatrzeć do zielonego wnętrza}

Wszystko to, widziane przez okno, łącznie ze stojącą tuż na biurku fotografią matki z czasów panińskich, wydawało się Elżbiecie dalekie i niezupełnie prawdziwe, należało do mętnego gobelinu, który stanowił obojętne tło jej istotnego życia. Wystarczyło przejść przez jadalnię na taras, by znaleźć się po tamtej stronie, by w kwitnących i szemrzących drzewach ogrodu myśleć o swoim.

Pewnego jednak dnia czerwcowego cały ów daleki i mglisty świat odzyskał nagle swą rzeczywistość.

Wezwana zwykłą karteczką przez pannę Julię Wagner, Elżbieta poszła do niej na lekcję zaraz po obiedzie. Ten dzień był zimny, mokre od deszczu gałęzie jaśminu z białymi kwiatami wystawały z ogrodów. Idąc przez puste ulice Elżbieta marzyła gorąco, że może tym razem jakoś go nie będzie. Ale był.

Powoli szła po schodach, by jeszcze odwlec tę chwilę - chwilę "szczęścia", skoro go przecież kochała. Na pierwszym piętze przed drzwiami przystanąła, serce jej biło głucho i mocno nie ze wzruszenia, tylko z trwogi. Taka była ta miłość. Pociągnęła za drewnianą rączkę, uczeponą do drutu, najlżej jak mogła - ale wiedziała, że dzwonek, zaledwie dotknięty, dzwoni zawsze długo i głośno, szamoce się do nieskończoności. ^Chociaż jednak przestał dzwonić, drzwi były wciąż zamknięte i nie było za nimi słyhać żadnych kroków. Elżbieta odetchnęła z ulgą, że może nikogo nie ma. To jednak było niemożliwe. Spojrzała na zegarek. Przyszła za wcześnie o kilka minut. I wtedy usłyszała kroki, kroki brzęczące: jego ostrogi. Otworzył drzwi on sam - roześmiany dziwnie i zaczerwieniony. Dlaczego witał ją tak radośnie? Czy to na pewno była radość? Wziął ją za obie ręce i wciągnął do malutkiego przedpokoju. Ledwie się tu mogli pomieścić. - Czy nie ma panny Julii? - spytała przerażona. - Jest, jest, w tej chwili wyjdzie.

Zdjął z Elżbiety chrześzczący burberry i powiesił go na wieszadle obok swego płaszcza wojskowego. Zrobiło się gorąco, drzwi do pokoju były wciąż zamknięte. - Deszcz jeszcze pada? - spytał gładząc materiał jej płaszcza, trochę wilgotny. Elżbieta odpowiedziała zduszonym głosem: - Nie, już przestał. Tylko jest taka mgła. - Nie rozumiała, czemu nie idą do pokoju, czemu nie zjawia się Julia. Nigdy dotąd nie była z nim zupełnie sama i tak blisko. Nie mogła tego wytrzymać, ale nie śmiała się ruszyć. - Czy pani się mnie boi? - spytał półgłosem

- dlaczego? - Zamknęła oczy i oparła się o ścianę myśląc, że gdzieś leci. Uczuła jak przez sen, że ją objął i pocałował w usta. "Czy on nie jest pijany?" - pomyślała z przerażeniem. Zawsze bała się ludzi pijanych i wariatów.

Gdy się szarpnęła i otworzyła oczy, Awaczewicz stał już we drzwiach do pokoju. Z głębi mieszkania słyhać było głos Julii: - Czy to przyszła Eizunia?

Usiadły w pierwszym, prawie pustym pokoju po dwóch stronach jadalnego stołu. Elżbieta drżącymi palcami odwijała z papieru kajet i gramatykę. Powoli podniosła oczy na pannę Julię. Tamta milczała chwilę, jakby zbierając myśli czy powstrzymując się od śmiechu. Lubiła się śmiać, była żywa i wesoła, chociaż życie miała dosyć ciężkie, nie wyszła za mąż i połowę swoich zarobków posyłać musiała matce i siostrze. Ale tym razem się nie roześmiała, tylko wyciągnęła rękę po kajet i uważnie czytała, co tam było napisane. Elżbieta patrzyła z góry na jej trochę zniszczoną twarz, czarne brwi, nos wąski i garbaty, duże usta. Awaczewicz wyszedł do następnego pokoju, ale drzwi zostawił otwarte, był tu nie jak gość, tylko jak ktoś domowy. Kiwał się na krześle bujającym i coś sobie czytał. Słyszał każde słowo "konwersacji", ale



widocznie mu to nie przeszkadzało. Natomiast bardzo przeszkadzało Elżbiecie, która nie była w stanie spojrzeć w tamtą stronę, nie rozumiała własnych słów, nie miała pojęcia, czego chce od niej Julia. Myślała o tym, co się stało przed chwilą, co się stało pierwszy raz w życiu.

Wtedy nie czuła nic prócz strachu. Teraz zdrętwiała i omdlewała od samego o tym wspomnienia. "Si vous etes libre et que vous voulez faire un tour... faire un tour..."

Wreszcie skończyła się ta męczeńska godzina. Elżbieta wstała i prędko zawinęła w tę samą gazetę swoją paczkę. Zwykle zostawała tu na chwilę rozmowy, teraz chciała odejść jak najprędzej. Usłyszała srebrzysty brzęk, z jakim Awaczewicz dźwignął się z fotela. Już tu był. Wszedł patrząc na okratowany zegarek na rękę.

- Na mnie już także czas - rzekł nie odrywając oczu od zegarka. - Panno Elżbieto, mamy kawałek w jedną stronę. Odprowadzę panią do rogu Zielonej.

Panna Julia była tym zaskoczona. Jej czarne, cienkie brwi ułożyły się w tragiczny skos.

- Dlaczego? Gdzie?

- Od kwadransa powinienem być w dywizjonie - objaśnił Awaczewicz miękko i melancholijnie.

Panna Julia rzuciła wąskimi ramionami.

- Nic nie rozumiem! - powiedziała.

- Dajże pokój, dziecko, to jest ważna sprawa. - I śmielej dodał, widocznie już zagniewany: - To jest wojna.

- Nie, nie, kiedy ja pójdę sama - prędko powiedziała Elżbieta i pożegnała się z Julią.

Awaczewicz nie patrząc na Elżbietę spytał:

- Więc pani nie chce?

- Nie, owszem, tylko ja się bardzo śpieszę.

- No więc dobrze, to właśnie idziemy. /

Julia, czerwona, jakby się miała rozplakać, powiedziała jeszcze:

- Zostań, przecież to nie ma najmniejszego sensu. Elżbieta była już w przedpokoju, gdy Julia cofnęła się w głąb mieszkania i zawołała stamtąd:

- Chodź tu na chwilę!

Awaczewicz powiesił na powrót płaszcz Elżbiety, który już zdjął był z wieszadła, uśmiechnął się z porozumiewawczym grymasem i mówiąc:

"Niechże pani zaczeka, ja zaraz..." - poszedł za Julią. Elżbieta ubrała się prędko. Słychać było, jak Awaczewicz coś tamtej półgłosem perswaduje. Nagle drzwi zamknęły się same, z głośnym trzaśnięciem, jak od przeciągu. Doszedł spoza nich odgłos szamotania, niezrozumiałe słowa Julii, jej płacz i wyraźny, ostry krzyk Awaczewicza: "Mam już po uszy tych scen!"

Elżbieta wypadła na schody, uciekła z takim uczuciem, jakby wzięła udział w zbrodni.

Wszystko zrobiło się jasne i zrozumiałe. Że też nie domyśliła się tego od początku! Taki jest cały świat. Rozmowy starych pań w salonie - i to, co ciotka znalazła po śmierci wuja w tej kasie, kwity, recepty, jakieś przedmioty? Ciotka nie chciała iść na pogrzeb, dopiero jej musieli tłumaczyć, że tak nie można. Dlaczego matka odeszła od ojca, chociaż był dobry?

Ciotka mówiła tylko, że Bieccy nie mają szczęścia w małżeństwie, ani ona, ani brat.

Wszystko jest takie. Powinna była się domyślić, dlaczego nie od razu otworzyli jej drzwi. Och, i że on się ośmielił... Elżbieta biegła, byle nie krzyczeć, byle nie rozplakać się na głos na ulicy.

Płakać także? Jak tamta?

Na rogu ulicy Długiej i Zielonej stanęła nagle, zatrzymana przez czyjeś rozstawione szeroko ręce. Podniosła głowę i zobaczyła Zenona Ziembiewicza.

- Gdzie tak prędko? - spytał wesoło i śmiało. - Czy pani się czego przelekkła? Stanęła od razu, czerwona jeszcze i dygocąca.

- Niczego się nie przelekkłam. Tylko że zaraz będzie podwieczorek.

Uwierzył, nie miał żadnych podejrzeń, nic nie rozumiał. Szli chwilę razem i Zenon opowiadał, jakie były tematy na piśmiennym z polskiego. "Idea niepodległościowa"... w czym, nie dosłyszała. Był, zdaje się, zadowolony, jakoś sobie poradził. I mówił, jak. Nie miał pojęcia, co się w niej działo. Gdyby mógł wiedzieć!

Nie czuła do niego wstrętu, nawet wołała, że się znalazł na jej drodze, że do podwieczorku zasiadła nie sama z ciotką i mogła się prawie nie odzywać. Ale gdy wstali, powiedziała, że boli ją głowa i nie będzie dziś robiła zadań, żeby przyszedł jutro. Odszedł pochmurny i obrażony. Elżbieta była spokojna, że wróci.

Wreszcie znalazła się u siebie w pokoju, usiadła przy biurku bez sił, tępo patrzyła w okno, w wysoki parkan, który z szarego zrobił się prawie czarny od wilgoci. Deszcz znowu padał. Było zimno i pusto. Na pninach czereśni stały rzędem trzy zmoknięte kury. Jedna, czarna, skubała się w piersi i pod skrzydłem, a później zesuwała dziobem wzdłuż mokrego piórka wesz schwytaną, by ją połknąć. Z lewej strony przeszła prędko do "tezolka" Gołąbska, owinięta chustką, i drzwi nawilgłe jęknęły na zawiasach. Od przyjścia na świat tego Stefanka Gołąbska jest chora na nerki, a teraz, jak powiedziała pani Posztraska, znowu "zaszła w ciążę" i to jest niebezpieczne. Fitka nie było widać, schował się przed deszczem do budy. Zupełnie blisko na biurku stała fotografia matki jako młodej panny. Była cienka w pasie, ale nie tak jak pierwsza żona wuja Kolichowskiego na portrecie. Kołnierzyk od białego stanika sięgał pod samą brodę i wyglądał, jakby był zrobiony z czegoś twardego. Przez prawe ramię przewieszał się do przodu gruby warkocz, ręce trzymały poręcz krzesła. Zawsze dotąd młodość matki wydawała się Elżbiecie rzeczą tajemniczą, jakby jej nigdy nie było, jakby jej nie było od samego początku. Matka zaczęła się w jej życiu, kiedy miała już dwadzieścia kilka lat. Gdy robiono to zdjęcie, Elżbiety jeszcze nie było i ojciec wcale jeszcze matki nie znał.

Teraz to wszystko prędko stawało się rzeczywiste, cały świat powracał do istnienia. Nie było już gdzie uciekać od okropności, nie było jej czego przeciwstawić. Ta nieznajoma dziewczynka na fotografii - to jest ktoś najbliższy na całym świecie. Nie można o niej pomyśleć, żeby nagle nie chcieć jej zobaczyć zaraz, w tej samej chwili, żeby nie projektować jakiejś bezsensownej ucieczki, jazdy za granicę bez biletu i paszportu, poszukiwań. To głupie uczucie jest najgłębszym wstydem, do którego przed sobą samą nie można się przyznać. Listy adresuje się: Munich, Lausennne, Paris IX-e - i wreszcie: Nice (Alpes Mariti-mes). Miejsca fantastyczne, których żadnym wysiłkiem wyobraźni nie można zobaczyć.

Dźwięk kółka metalowego sunącego po drucie, krótkie gdakanie zaniepokojonych kur. To Fitek wyszedł z budy, otrząsnął się, stoi chwilę, patrząc przed siebie, siada w deszczu na mokrych kamieniach i wyje. Ucichł. Może przestanie. Nie, znowu zaczął - równym, grubym głosem.

Ciotkę znalazła Elżbieta w kuchni. Pani Cecylia stała tam, słuchając opowiadania pani Posztraskiej, która wpadła na chwilę z góry, żeby sobie coś przy ogniu naprędcie przeprasować.- Ciociu, pies znowu wyje. Ciociu, ja go na chwilę odwiążę. Ja z nim pochodzę

na łańcuchu, on mi się nie wyrwie. i Pani Cecylia niechętnie wzruszyła ramionami. - Co ty masz za pomysły? To jest pies do pilnowania, nie do spacerów.

Trzeba na niego krzyknąć, żeby poszedł do budy - i przestanie. Ja mam X dosyć kłopotów, żeby mi jeszcze głowę zawracać głupim psem!

- Ale kiedy on nie może, on przecież zwariuje! Kiedy on ciągle, ciągle jest przywiązany! Michalina, która krajała kalarepkę stojąc przy stole, też zabrała głos:

- Panienska to tylko psa bałamuci. Jakby go tak spuszczać, to będzie jeszcze gorzej wył.

- Ja sobie idę do szkoły i wracam albo idę na lekcje i przez całe godziny o nim zapominam. Każdy o nim zapomina. Co on ma robić, co on ma robić, kiedy on nie może wytrzymać?

Elżbieta czuła z rozpaczą to ścisnięcie w gardle i poza oczami, z którego się bierze płacz. Zirytowany głos ciotki był nienawistny.

- Ja nie mogę się litować nad psem, ja muszę się litować nad sobą. Ja nigdzie nie chodzę, o tym nikt nie pomyśli, że ja sama jestem tu uwiązana jak pies. Jeżeli mnie nie ma przez godzinę, to cały dom zastają do góry nogami. Każdy myśli tylko o sobie, a ja jedna mam na głowie wszystko. Raz ustąpiłam i pozwoliłam ci go wpuścić na noc do ogrodu. Przecież mi wszystko wyłamał i wydeptał przez tę noc. To jest dzikie zwierzę, nie pies! To jest wariat!

- On właśnie zwariuje, jak będzie przywiązany przez całe życie!

- Uspokój się, nie zwariuje, nie zwariuje - powiedziała pani Cecylia, urągliwie przeciągając te słowa. - Już się o to nie bój. Prędzej ja zwariuję od tego wszystkiego. Każdy jest subtelny, każdy ma serce wrażliwe - tylko ja jedna jestem bez serca. A gdyby nie ja, to nie wiem, co by z wami wszystkimi było...

Pani Posztraska prasowała swą bluzkę w paski prędko i w milczeniu. Teraz sama poczuła się zagrożona i powiedziała łagodnie:

- Eluniu, nie denerwuj cioci! Pitek jest przyzwyczajony i najlepiej mu jest na łańcuchu.

Elżbieta milczała, ściskając mocno splecione ręce. Jakże miała powiedzieć, że sama nie może wytrzymać w tym domu, że chce uciec, że chce się zabić. Naprzód Fitka, żeby się nie męczył, a później siebie. Wszystko było głupie i niemożliwe. I nie obchodziło nikogo.

- Niech Michalina idzie zapędzić psa do budy, to się zaraz uciszy. A ty się uspokój i wracaj do swoich lekcji. Jeżeli cię boli głowa, to najlepiej się połóż, i jak masz jakieś humory, to do mnie nie przychodź z pretensjami. Jest powiedziane, że pies ma być przywiązany, i będzie przywiązany. Już ja wiem najlepiej, co mam robić.

Elżbieta wyszła powoli z kuchni. Leżała u siebie na łóżku, nie zapalając światła, i płakała. Nie myślała o Awaczewiczu ani o matce, ani o Gołąbskiej, która może umrzeć przy drugim dziecku. Jeden jedyny los psa urastał do kosmicznych rozmiarów i ogarniał sobą wszystkie tamte smutki. Wycie Fitka, który uspokojony przez Michalinę spał cicho w budzie, wypełniało teraz cały świat.

Justyna Bogutówna, dziś, jak wiemy, w oczekiwaniu na termin rozprawy sądowej "przebywająca pod śledztwem w miejscowym więzieniu, weszła do biografii Zenona Ziembiewicza w sposób prosty i naturalny.

Zobaczył ją po raz pierwszy w boleborzańskim ogrodzie, gdy miała lat dziewiętnaście. Siedziała na ławce w pobliżu kuchni i trzymała na kolanach płachtę białego płótna, które uważnie haftowała. Z pochylonej głowy zesypywały się ku jej twarzy proste, jasne włosy, obcięte równo jak u chłopczyka.

Ukloniła mu się pierwsza, nie wstając, i z dziecinnym uśmiechem powiedziała bez cienia uniżoności "dzień dobry". Był zdziwiony, gdy dowiedział się od pani Żanci, że ta różowa dziewczyna, zdolna do szycia i bardzo w domu przydatna, a "kosztująca tyle, co zje", jest córką nowej kucharki, baby grubej i nadąsanej, którą widział od rana człapiącą po kuchni i podwórzu nogami bosymi, brudnymi i spuchniętymi.

Zjawienie się Justyny w Boleborzy wynikało ze zmiennych kolei życiowych starej Karoliny Bogutowej i jej końcowego upadku. Gdy wówczas pani Warkoniowa nagle wymówiła jej miejsce, Bogutowej wydało się to naturalne i do nikogo nie miała pretensji. Ale po wyjściu później z dzieckiem ze szpitala przeżyła ciężkie chwile i myślała, że już sobie nie poradzi. Kiedy nikt nie chciał wziąć jej do służby, miejsce u hrabiów Tczewskich nie przyszło jej nawet do głowy. Pomógł jej wtedy stary znajomy, Borbocki, ogrodnik z Chązebnej. Pałacowy kucharz tak się już rozpił, że szukali nowego. Borbocki powiedział gospodyni o Bogutowej. Więc wzięli ją naprzód na próbę, a później spodobała się i została.

Córka tego samego Borbockiego, Jasia, późniejsza lokatorka w kamienicy pani Kolichowskiej, chorowita Gołąbska, miała wtedy dopiero jedenaście lat, chowała się zdrowo i patrzyła na świat przez kwitnące azalie, magnolie, hortensje i oleandry.

Ale stanowisko kucharki w chązebiańskim pałacu nie wyglądało znowu tak, jak sobie wyobrażała mecenasowa Warkoniowa. Pensję Bogutowa pobierała tam nie wyższą niż gdziekolwiek indziej, robotę miała bardziej odpowiedzialną, a jasnego oblicza pańskiego nigdy nawet z bliska nie oglądała.

Jednak jej wewnętrzny stosunek do państwa był bliski, był najistotniejszy, najgłębiej intymny. W skupieniu i uwadze, wspomagana wiedzą nabytą i wrodzonym talentem, wytwarzała to, co oni z całym zaufaniem spożywali. Za jej sprawą doznawali nie tylko subtelnych upojeń smaku, ale przenikali się głęboko ideą jej lotnego, zachwyconego natchnienia i przetwarzali je w swoją treść biologiczną. Cóż innego, jak nie to właśnie, mogło być stworzyć między nią a nimi most porozumienia, zbliżenia, poufności? Intuicja, z jaką umiała im dogodzić, mogła wywoływać prostą wdzięczność za to, że odgadnięte zostały ich życzenia, że sprostano ich oczekiwaniom. Nic podobnego. Po prostu nie widzieli jej wcale ani ona ich. Oba te przeciwstawne i wzajemnie uzależnione światy rozłamane były na progu dzielącym kuchnię od pokoiów i strzeżonym przez niezłomne postacie kamerdynera, gospodyni i lokaja Antoniego.

I Bogutowa przyrządzała potrawy wonne, krusze, gorące, układała je malowniczo na srebrnych półmiskach w elipsie garniturów, w polewie majonezów i sosów holenderskich - długie ryby, wypukłe ptaki, chropowate pieczenie, pasztety, sałatki, pierogi, galarety i kremy. I widziała bez sprzeciwu i rozterki, że porywa je Antoni, blady jak spektrum, silny jak tygrys, celebryca jak kapłan, sprawny i celowy, baczący, by nie czekali zbędnej sekundy, by ciepłota i świeżość dań nie doznały uszczerbku. Zdenerwowany i niecierpliwy ku niej, na

progu drzwi odmieniał się w sobie, krzepł w powagę i spokojność, urzeczony wyższą naturą sprawy, której służył. Drzwi zamykały się cichym, miękkim wahaniami, wszystko znikало. I to był kres zadania Bogutowej, meta ostateczna jej wewnętrznego porywu, uciszenie, które nas nawiedza, gdy rzecz słuszną i celową wykonaliśmy wedle najlepszej naszej wiedzy i możliwości.

Z tej strony był spokój i dopełnienie, a tam za drzwiami cała rzecz dopiero się zaczynała. Mgiełka lekka i gorąca nad wazą, barw i kształt potrawy, potem zapach i stopień ciepłoty, wreszcie konsystencja i smak. Czy paradoks zimnych lodów w gorącym cieście, czy kruchość skórki na indyku, czy chłodny aromat sarniny przekładani płatkami ananasa - to wszystko wzmacniał jeszcze bukiet win, dol ranych z wiedzą protokołu i higieny. Zamykał całą sprawę proces asymilacji, wprowadzenie tych treści i wartości w spokojny krwioobie rasowego organizmu, przetwarzanie ich zgodnie z prawami przemian materii w wybredny stosunek do życia i jego spraw, w idealistyczny światopogląd powszechnej celowości i harmonii, w metafizyczne kategorie sądów moralnych. O Bogutowej, która pozostawała już półnawiasem tych cudów chemii organicznej, mówiono tam: "Jest lepsza od każdego kucharza." Ona jednak o tym nie wiedziała. Antoni był dyskretny. To, co usłyszał, nie mogło wyjść poza granice "pokojów".

Przecież wiedza o tamtym życiu przenikała jakoś na tę stronę. Angielscy goście w pałacu, polowanie z dwoma generałami, odwiedzenie ministra, zjazd rodzinny. Zupełnie ponadludzka odświętność tych spraw, ich idealna stratosferyczność miała tutaj urok romantycznej nieprawdopodobności i doskonałej bezużyteczności. Hrabia pojechał do Gwareckiego Folwarku (konie), do Boleborzy (głuszcze albo kaczki), do Popłoszej (poker), do stolicy (polityka, klub). Hrabini prowadziła konia (skoki na parkurze), założyli szpaki do bryczy (spacer z dziećmi), hrabina jest na tenisie (francuski książę). Wyjazd w góry, wyjazd nad morze, wyjazd za granicę. Sama fikcja, sama najistotniejsza zbudność, puch i piana, obłoki ponad życiem, mgła powiewna ponad rzeczywistością, nic.

Z okna kuchni, wychylając się trochę na lewo, Bogutowa mogła niekiedy zobaczyć tył odjeżdżającego Rolls Royce'a z jakimś profilem i dyndającym za szybą pluszowym fetyszem, czasami ogon koń i kawałek angielskiego dyplomaty na siodle. Za ledwie tyle, nie więcej. Tak wyglądała od strony Bogutowej ta najwyższa kondygnacja, byt, któremu służyła całym swoim jestestwem.

Jeżeli chodzi o informacje pani Warkoniowej dotyczące Justyn ("że bawi się tam z hrabiankami jak równa"), to miały one pewną podstawę. Justynka, płacząca się bez opieki w okolicy kuchni i przemian i trephauzów, wpadła kiedyś w oko dwuletniej hrabianki Róży. Nic, tylko: Ustinka i Ustinka... Różnica wieku z najbliższą siostrą wynosiła przeszło cztery lata, wokoło nie było żadnych odpowiednich rówieśnic, sprawa nadawała się więc do rozważenia. Ostatecznie Justynkę wykapaną i ubraną przydzielono do boku Róży i dziewczynki bawiły się razem pod wspólnym fachowym nadzorem. Ta paroletnia przyjaźń rozchwiała się w czasie jakiegoś dłuższego wyjazdu całej rodziny Tczewskich za granicę. Zostało z niej Justynie trochę dziecinnej francuszczyzny, pewien system wskazań obyczajowych oraz nieumotywowane zaufanie do losu.

Tymczasem Karolina Bogutowa, doszedłszy lat pięćdziesięciu, zaczęła chorować. Utyła bardzo i ocieżała, w czasie roboty przysiadła czasem na stołku, czego się była wystrzegąca przez całe swoje życie. Po nocnych atakach kolki wątrobianej dźwigała się z łóżka, by stanąć

przy blasze. Przemordowała tak jeszcze w pałacu blisko cztery lata i nie zdziwiła się, gdy wreszcie jej powiedzieli, że już jest niezdatna i dłużej jej trzymać nie mogą.

(Parę miesięcy mieszkała wtedy z Justynką u ogrodników Borbockich, którym się ich dom wydawał pusty, odkąd wydali swoją Jasię za męża do miasta, a syna Franciszka umieścili w szkole zawodowej, żeby się uczył na ślusarza. U tych poczciwych ludzi było im dobrze. Ale w tym czasie Bogutowa dowiedziała się, że wszystkie jej oszczędności, które umieściła w jakiejś przez wszystkich zalecanej pożyczce, przepadły. Zostawiła więc Justynkę u Borbockich, a sama zgodziła się do Owa re<sup>^</sup>kjfgn Fplwa rini do plenipotenty Czechlińskiego. Tutaj dwór wydawał jej się naprzeciwko chązebiańskiego pałacu jak prosta chałupa, a państwo, chociaż niby bogaci, byli zwyczajni ludzie i robili rzeczy dla każdego zrozumiałe. Pani do samego obiadu chodziła w szlafroku, nie uczesana i z rozczochranymi włosami przychodziła wtrącać się jej do kuchni, chociaż mniej się znała na gotowaniu niż kura na pieprzu. Bogutowa robiła teraz z wysiłkiem i przymusem to, w czym dawniej znajdowała chlubę. Jednak i tutaj po trzech latach okazała się z powodu swojej choroby niezdatna. Pani Czechlińska dała jej rekomendację do rządcy Ziembiewicza w Boleborzy, gdzie dwór był jeszcze o połowę mniejszy, ale roboty niedużo - tyle, co dla dwojga państwa.

W Boleborzy zaraz pierwszego dnia Bogutowa zrozumiała stopień swego upadku.

Przekonawszy się, że pani, chociaż dobrze już siwa, od rana wyśpiewuje w salonie: "... i szczęścia mógł nam płynąć zdrój", a pan w kancelarii przy warsztacie naprawia wyżymaczkę, popadł w głębokie przygnębienie.

Mimo to, gdy nastąpiło lato, musiała sprowadzić do Boleborz Justynę. Dziewczyna bowiem nie miała gdzie być, odkąd ogrodnik Borbocki umarł nagle na serce, a wdowa po nim wyniosła się do miasta do córki.

Pierwsze spotkanie Zenona Ziembiewicza z Justyną Bogutową nie miało następstw bezpośrednich. Wiedział, że o ile jest pogoda, może J zawsze znaleźć na tym samym miejscu i przy tym samym zajęciu. A odkąd jeszcze jako chłopak zrozumiał, co oznaczają wyczekujące pod ogrodzie albo skradające się w ciemności pod okna ojcowskiej kancelarii dziewczyny, nie lubił "folkloru". O tym zaś czasie, gdy pod "cudzie nad Wisłą" i ciężkich późniejszych latach paryskich przyjeżdżał na parę tygodni do rodziców, miał głowę zaprzątniętą zupełnie innymi sprawami.

Później przypominał sobie dokładnie i był o tym najgłębiej przekonany, że przez cały ten pierwszy okres wyraźnie Justyny unikał, ;

niewiele o tym myśląc omijał nawet z daleka część ogrodu, którą podchodziła w stronę kuchni. Rzeczą zaprzątającą go teraz przede wszystkim była "włoska polityka kolonialna", którą obrał sobie za temat doktoryzacyjnej rozprawy, oraz zagadnienie stosunku do własnych rodziców, które miał zadecydować o dalszym jego losie. Wychudzony na "chartierowym wikcie, odziany w zły i wytarty garnitur, dzięki dyplomowi wyższej szkoły paryskiej uzbrojony w wiedzę o sprawach "społecznych i interesach państwowych", na świat tutejszy patrzył teraz "europejskimi" oczami. Wszystko wydawało się egzotyczne: daleki wschód, dworek polski nawet melodyjne dźwięki języka.

Całe życie boleborzańskie, widziane w tych nowych kategoriach przylegało do ziemi małej i całkowicie niepojęte. Dziwna była jej struktura, niczym już nie podparta, trzymająca się nie wiadomo jak pozbawiona wszelkiego usprawiedliwienia prócz faktu trwania. Na niej nie było pieniędzy, ale po brzydkim i zapuszczonym domu snuło się mnóstwo służby, która przez swą

obecność podtrzymywała jedyn owo trwanie i której zalegano z wypłatą pensji przez całe miesiące. B na przykład osobny chłopak, Florek, tylko do czyszczenia pańskiej butów i do nastawiania samowara o każdej porze dnia, ponieważ pan

Walerian nie ufał nikomu drugiemu, a jako amator herbaty, w imb-ryku gotowanej nie znośił. Łazienka i kanalizacja stanowiły zbytek nieosiągalny, a tak zwane "srebra" oraz prześcieradła i obrusy z najcieńszego płótna dziesiątkami tuzinów zalegały szafy i kredensy. Dawniej oburzała Zenona w życiu Boleborzy jego niemoralność, teraz zdumiewał go jego nonsens. ^Historyczna konieczność przetrwania - ta cnota ludów, które zaznały niewoli - skostniała teraz w nawyk i działała nadal jako podświadomy metafizyczny imperatyw godności istnienia. Wszystko zmierzało do tego, aby zachować kształt życia, z którego wyciekła już wszelka treść

Obecność Justyny Bogutówny dała się też podciągnąć pod kategorię tych dziejowych skostnień. Jedynym jej zajęciem było haftowanie serwet, obrusów i podpiniek. Wszystko musiało tu być "ręczne", włącznie z koronkami, którymi rozszywała tę bieliznę i które też umiała robić. I jeżeli nawet naprawdę nie kosztowała nic, to jednak wszystkie godziny jej dnia szły na to, by coś leżało nieużytecznie w zamkniętych na klucz szufladach. Wykwintna bowiem bielizna zaledwie parę razy do roku zjawiała się na stole i łózkach, jedynie przy nadzwyczajnych i coraz radszych okazjach, na co dzień zaś używano zupełnie innej. Zresztą rozważanie fenomenu Justyny przez Zenona od tej jedynie strony trwało bardzo niedługo. Wkrótce ich wzajemny stosunek przybrał zupełnie inny charakter.

6

Od kilku dni padał deszcz. Świat nasiąkł wilgocią, liście drzew były umyte i świeące, niebo niskie. Zenon siedział na górze i szeleścił swymi papierami. Lybia Italiana, taka piękna nazwa, oznaczająca czystą pustynię i smugę stepów na wybrzeżu trypolitańskim. Daleka nad Morzem Czerwonym Erytrea, gorąca jak piekło. To była na razie obowiązująca rzeczywistość. Massuana, do której się jedzie, żeby umrzeć z samego upału. Asmara w górskim klimacie, u progu niedostępnej, naturalnej fortecy abisyńskiej. Handlowo to wszystko jest nieudane (Francuzi), ale dla usprawiedliwienia fatalnej wojny z Mene-likiem i wstydlivej niewoli zostaje zawsze jeszcze ta najwyższa racja: "pochodnia cywilizacji". Zenon przekładał i przepisywał notatki robione ołówkiem jeszcze w Paryżu. Głupia, kompilacyjna robota szła mu ciężko. Gdy ją zaczynał, wydawała mu się ważna i zajmująca, tutaj, w Boleborzy, zatraciła jakby wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Jego niepokój wzrastał. Powinien był wracać tam jak najprędzej, ze wszystkich względów (Adela!). Wojna i tak zabrała mu więcej niż dwa lata, pozostawiając w życiu dezorientującą wyrwę, z całym sobą był niemożliwie spóźniony. Czuł, że czas mija, że jego sprawy nie posuwają się wcale, że ostatni rok w Paryżu jest wciąż niepewny. Tamtejsze nijakie artykuły o "bogactwach kopalnianych Polski" widocznie podobały się Czechlińskiemu, skoro wystąpił zaraz z taką propozycją. Ale wizyty w Gwareckim Folwarku, obie zakończone pijatyką, zostawiły Zenonowi tylko niesmak i obrzydzenie. Widział jasno, że jeżeli przystanie ostatecznie na tę drogę, nie mając innej, to

nie będzie w porządku ze sobą i na samym wstępie zacznie od rezygnacji. Och, przyłapał się na tym komunale! "Być w porządku ze sobą" - cóż to znaczy? Jest to zawsze w jakimś choćby najbardziej wzniosłym sensie dogadzać swoim chęciom, swoim "wrodzonym instynktom moralnym". A przecież moralność jest wynikiem życia w społeczeństwie i poza społeczeństwem jej nie ma. Są tylko słowa, które służą do oszukania siebie i zwłaszcza innych.

Zenon pragnął rzeczy bardzo prostej: żyć uczciwie. Jego program naprawdę był minimalny. Chciał zapalić papierosa, ale brakło mu zapalek. Zeszedł więc na dół, do jadalni, otworzył dolne drzwiczki kredensu i z leżące, tam nisko na półce paczki papierowej wyłuskał nowe pudełko. Usiadł na chwilę pod oknem, tyłem do zachodzącego słońca, któn wyszło spod niskich chmur w kłębach mgły czerwonej. Szyby był) spotniałe, widocznie na dworze się ochłodziło. Zenon zapalił i chowając zapalki natrafił w kieszeni na list, którego z rana nie przeczyta do końca. List był od Karola Wąbrowskiego i Zenon miał pewność że nie przyniesie mu odpowiedzi na najważniejsze pytania. Jaj zwykle zresztą. Cóż to za typ! Wyciągnął złożony papier i czytał. Nawet do najbliższego człowieka Karol pisał tak samo, jak mówił. To znaczy, całkowicie bez uwagi na odbiorcę. Rozmowa z nim nie była wzajemną wymianą, to było zawsze słuchanie monologu albo prelekcji w radio. Listy wyglądają jak artykuły, "...ludzie, którym wypadło odbyć swoje jedyne życie w obrębie pierwszej połowy XX wieku, nie mogą tym być zachwyceni. W strasliwym wirze nowoczesnego świata każde obrane miejsce o każdej chwili ulega przesunięciom, wszystko jest płynne, niepewne, grożące wciąż innymi niebezpieczeństwami." Ten nieudany syn pani Kolichowskiej z jej pierwszego małżeństwa, zawdzięczający swe imię chrzestne kultowi ojca dla dwóch Karolów, Marksa i Darwina, przeleżał lata wojny nieruchomo na łóżku Rolliera w podniebnym szwajcarskim sanatorium i wyciągnięty, zestawiony, na wylot przegrzany i prześwietlony górskim słońcem, narodził się po raz drugi do życia jak gdyby w innym wymiarze. Poszczególne fakty i poszczególni ludzie nie przenikali do jego świadomości. Rzeczywistością były dla niego tylko zbiorowiska i procesy. Zenon czytał: „Wojna zwała się, jak jakaś nieprzebyta Dent du Midi, między dwa pokolenia. Przedwojenne ideologie, skompromitowane przez realizację, powiewają jeszcze, jak brudne łachmany, nad złą swoją rzeczywistością - niezdolne niczego wytłumaczyć i niczego usprawiedliwić. Ratowanie własnego indywidualnego życia, wpisanego w obrót tej przemiany, upieranie się przy jego utraconej godności - jest miotaniem się skorupy od jaja na czarnej wodzie wielkiego przyływu, który podmywa ład i musi go znieść. Logika tego procesu jest nie do przyjęcia dla tych, którzy widzą w nim tylko chaos, jak nie do przyjęcia jest wyrok śmierci."

Zenon opuścił parę wierszy i czytał znów: "...Ciężko jest uznać rolę swoją za skończoną. Ale świat przetacza się ku nowym decyzjom i ostatecznie cała ludzkość wsłuchana jest w formułę tej diagnozy..." Nagle urwał, niespodzianie zobaczywszy u dołu kartki odpowiedź na pytanie, które przesłał Karolowi w ostatnim liście. Nie przeczytał tych słów, tylko je zobaczył. I powtarzał bezmyślnie: "Więc jednakże tak, więc jednakże..."

Te słowa były: „^dela już nie żyje, umarła trzydziestego lipca w szpitalu de la ChariteJ^ Szukał po liście jakiejś jeszcze wzmianki o tym, jakiegoś szczegółu - nic. Od dawna wiedział, że nie będzie żyła. I nie mógł już wtedy dłużej czekać na jej śmierć, musiał wyjechać. Zostawił ją samą w nadziei, że jeszcze zdąży na czas powrócić. I nie zdążył. I już jej nigdy nie zobaczy, i żadnym ostatnim słowem nic nie naprawi.



Była starsza od niego, była od początku chora i wiedziała, że nie jest kochana. Ale sama kochała w takim stopniu, że jej uczucie starczyło dla nich obojga na całe dwa lata męczarni i szczęśliwości. Była ti niedobra miłość, pełna ciężkich scen, które nic nie zmieniały, i najgorętszych pieszczot, które nic nie mogły okupić. Zbyt wyraźni umierała, by czegokolwiek, co jeszcze było z życia, zdolna była się wyrzec, nawet męki.

Nie obiecywał jej nic, nie kłamał, nawet niewiele udawał. Był wdzięczn i dobry dla niej, jak tylko mógł - i właśnie tę jego dobroć w złych chwilach także mu wypominała. Byłaby wolała, żeby ją dręczył i poniżał, byle j, kochał - to wiedział./Odwlekał swój wyjazd, póki to było możliwe, nawet ponad możliwość. To, co znosił przez ten ostatni rok, było niepomierni ciężkie. Nie mógł sobie niczego wyrzucać, znowu "miał czyste sumienie" Ale ona, która dała maksimum swojej zdolności kochania, która dla niego( zapominała o śmierci, która nawet nie pozwoliła sobie na łzy, gd;

wyjeżdżał - ona została sama i sama tam umarła.

Odjeżdżając prosił Karola, najbliższego swego przyjaciela, by nad ni; czuwał, by donosił mu o wszystkim. Nie mógł do nikogo innego się zwrócić, tak. Ale wiedział przecież, że ten człowiek nie ma żadnego czuci;

z rzeczywistością. Swoją własną chorobą interesował się zupełnie teoretycznie. Stosowanie chirurgii przy spondylitis i coxalgii, ciekawsze wypadki, procent uzdrowień, przerzuty, odrębne urządzenia w Leysil i Berek sur Mer, różne opinie o działaniu słońca - to było dopiero zajmujące. Więc jakże sobie wyobrażał czuwanie tego człowieka nać Adela? Jej gruźlica była taka zwyczajna. Nie doniósł mu nawet, czy był;

przytomna, nic. Miał przed sobą tylko te słowa: "Adela nie żyje, umarł; trzydziestego lipca..." Więc jego list ostatni już jej nie doszedł.

Zenon siedział tępo z listem Karola w ręce. Na przeciwległe) ścianie na wypłowiałych kwiatach papierowej tapety, widział matowy, czer wony odbłask słońca, poziomym promieniem wchodzącego w głął pokoju. Powietrze pełne było zapachu gorących konfitur wiśniowych z salonu dochodziła nieustająca muzyka fortepianu. (Wtedy nagle dc . (^'pokoju weszła Justyna.

Pojawiła się od strony drzwi kuchennych, w głębi, szła ku niemi powoli, w najgłębszym skupieniu. Niosła przed sobą dużą miedziana j miskę, w której przelewała się ciecz krwista, gęsta i świecąca. Dźwigała ją w rękach sztywno wyprężonych z hieratyczną symetrią, jej mała twarz była groźna od wysiłku.

Zatrzymała się tuż przy nim i ciężką miednicę ustawiła na bocznym stole, przy którym siedział. Z niechęcią szedł wzrokiem za jej ruchami. Zobaczył z bliska jej ręce cienkie i nagie i twarz, oblaną czerwonym światłem zachodu. Przechyliła się przez stół -tuż nad nim i otworzyła okno:

- Przestało padać - powiedziała poważnie. - Słońce zachodzi na wiatr.

Zenon nic nie odpowiedział, usunął się tylko bezwiednie od jej nadmiernej bliskości. Oknem weszła fala rzeźwej wilgoci i chłodu.

- Będzie pogoda - dodała jeszcze Justyna patrząc obojętnie w mokry ogród. Odwróciła się i wyszła.

Kobieta, przeszło mu przez myśl. "Tyle jest kobiet na świecie." I te słowa zawierały smutek dotyczący Adeli. Obecność tej obcej dziewczyny była mu w związku z tym szczególnie

przykra. Zjawiała się właśnie w tej chwili, przeniknęła sobą w sam środek tej sprawy- jak gdyby weszła w gotowe, puste miejsce.

Nie zdążył wstać i odejść, gdy już znowu była w pokoju. Przyniosła teraz na tacy kilka jednakowych słoików szklanych, postawiła tackę obok miednicy na stole i wielką łyżką przekładając zaczęła konfitury do słoików.

- Z tymi wiśniami musi być dziś przed kolacją zrobiony porządek - powiedziała - a mama znowuż jest chora.

Zapytał, co jest jej matce. Odpowiedziała mu rzeczowo i obszernie, nie podnosząc powiek, cała zatopiona w swoim zajęciu. Była bardzo komunikatywna. Osoba tego chudego, nie ogolonego studenta w pogniecionym, rozpiętym kołnierzu koszuli i bez krawata, o którym mówili na folwarku, że chodzi w pole między ludźmi, kręci się przy żniwiarce i opowiada niestworzone rzeczy, nie onieśmiała jej w najmniejszym stopniu. Dla niej należał do świata oficjalistów chłazebiańskich, jak na przykład Franek Borbocki, który także pojechał do miasta się uczyć, a teraz pracuje w fabryce.

- Póki mama była zdrowa, to nam było dobrze. I gdyby mama nie była chora, toby nas byli nigdy nie wypuścili z Chłazebnej.

Mógł na nią patrzeć do woli, gdy tak mówiła, nie starając się nawet bardzo rozumieć jej dziecinnych słów. W miarę jak zmierzchało się na świecie, pałanie zachodu gasło z wolna na jej twarzy, małej i poważnej.

- A kto jest pan Borbocki? - zapytał w pewnej chwili, słysząc parę razy to nazwisko.

Bardzo się zdziwiła, że tego nie wiedział, i aż na niego popatrzyła.

- To był ogrodnik w pałacu - powiedziała surowo i na chwilę oparła kapiącą łyżkę o brzeg pełnego słoika. - Umarł nagle na wiosnę, jak w trephauzie ścinał groszki do pokojów. Bo w trephauzie było bardzo gorąco, a on był chory na serce.

Opowiedziała, jak pani Borbocka strasznie płakała i jaki piękny był pogrzeb. Cała Chłazebna zeszła się do kościoła i Jasia przyjechała z miasta, ich córka, której małżeństwem pan Borbocki właśnie się tak martwił, że aż się rozchorował, i Franek Borbocki, który się zwolnił z fabryki na pogrzeb i zabrał matkę z Chłazebnej ze sobą do miasta. Potem zaczęła się historia tej Jasi Gołabskiej, której już drugie dziecko umarło. Jej mąż naprzód był dobry, ale później stracił robotę, wdał się w złe towarzystwo i pije. Podobno go nawet raz zamknęli do więzienia, ale go wypuścili i teraz całą tę rodzinę utrzymuje Franek.

Mówiła wciąż o innych. Wydawało się, że nie miała własnej biografii. Cały świat nieznanymi ludźmi powstawał dla Zenona z tych jej słów. Jakaś wystarczająca sobie, równoległa rzeczywistość, dająca spokój, że wszędzie jest życie i śmierć,

Następnego dnia naprawdę była pogoda. Rozpoczęły się upały sierpniowe. Rano, po otwarciu okien, muchy chodziły po twarzach i rękach, było gorąco i duszno. Trzeba było walczyć z tymi muchami, komarami i pchłami - milszymi jednak niż pluskwy w hotelikach bulwaru Saint-Michel. Wieczorem leciały przez okno niezliczone odmiany ciem i muszek, skrzydlate mrówki, różne istoty podobne do słomek, piórek i szmatek, których pełne jest nocne powietrze. Lamy z mlecznymi kloszami pachniały naftą, rezerwuary oblepione były trupami setek owadów. Przypalone komary, wielkie jak pająki, biegały cienkimi łapami w kółko po papierze, duże ćmy miały się długo, trzepocząc skrzydłami, zanim zdołały umrzeć.

Drzewa w ogrodzie przez te lata zrobiły się wyższe, ich ostatnie gałęzie przebijały niebo. Daleki horyzont objęty był ciemną smugą lasów gwareckich. Dymne, czerwone zachody nad grupą brzoź za sadem i łąkami napelniały świat dziwnością istnienia. Stada krów w głębinach i zatokach łąk długo płonęły od niskich promieni słonecznych, a potem wracały przez wieś rozdeptanym traktem piaszczystym i chmura kurzu nad nimi była różowa.

W Paryżu życie zdawało się odmienne, przewexslowane na inne relsy. Tutaj rozważania genewskie, pacyfizm, Paneuropa już były groźną nowoczesnością. Tu były żniwa. Na rżyskach stały snopy w koprkach, jak na obrazie Moneta, wieczory pachniały zbożem, do późna słycać było skwierk świerszczy. Wielkie drzewa na skraju białego pola dźwigały się jak czarne, nieruchome góry z liści. Księżyc nad nimi rozświetlał parę najbliższych chmur i rozmieszczał je w różnych planach perspektywy niebieskiej.

Wilga jeszcze odzywała się w starych olchach nad łąką, skowronki skwirzyły najdłużej wieczorem, jakby do snu. Potem była cisza, cisza niewiarygodna po tamtym straszliwym łoskocie stolicy świata.

Pośród tego wszystkiego odnajdywała się teraz ciągle Justyna, chociaż był prawie pewien, że jej nie szuka. Była w ogrodzie, w domu i na podwórzu. Gdy wracał z pól wieczorem, spotykał ją z dala od J /ty, dworu na swojej drodze. Przybiegała tylko po to, żeby mu coś opowiedzieć. Jej życie utkane było z "cudzych zdarzeń. W swym epickim stosunku do "rzeczywistości nie rozróżniała w zjawiskach żadnej hierarchii. Wszystko zarówno było ważne i zajmujące. Gdy mówiła, sprawy układały się na jednej płaszczyźnie, oddzielone konturami, bez perspektywy. Brała udział we wszystkim i tym gorącym stosunkiem do świata osiągała rzecz dziwną, że geometryczne kształty faktów ściśle przylegały do siebie, nie było między nimi miejsc pustych. Całe jej życie było od nich pełne i szczęśliwe. Szła obok w pachnącym słomą, chrzęszczącym od upału popołudniu, sama była ciepła, była miękka i przelewna jak jej głos. Szła obok, obrywając po drodze kity z traw albo liście z krzaków, i mówiła nie patrząc w jego stronę. Mówiła z zachwytem, że trzecie, jeszcze żyjące dziecko Jasi Gołabskiej, tyła dziewczyneczka, Jadwisia, już rozumie każdziutkie słowo, taka jest mądra, albo mówiła ze śmiechem, że żrebaki wyleciały z ogrodu i biegały jak wariaty po całym podwórzu, albo z przejęciem, co będzie na kolację. Jedzenie było dużą pozycją w życiu Boleborzy. Pan Walerian, powiedział: "Co, u Boga Ojca, nie mamy sobie na to pozwolić, żeby spróbować hrabskiej kuchni? A cóż to my gorszego, inne żołądki mamy, czy co?" I Bogutowa co dzień, o ile była zdrowa, przyrządzała dla rządcy Ziembiewicza dania godne wyższego stołu. Zenon widział, jak ojciec się "posunął", chociaż przecież nie był jeszcze taki stary. Nie mógł już pić, odzwyczaił się od palenia, zrobił się ustępliwy i niezdecydowany. Chroniczny bronchit chrobotał i świszczwał w jego oddechu, otyłość i rozedma uniemożliwiała mu dawne myśliwskie włóczęgi, jedyną jego namiętnością było teraz łakomstwo, które też zresztą nie wychodziło mu na dobre. Jadł w taki sposób, jak gdyby zawsze był zgłodniały, jak gdyby raz wreszcie zapragnął całkowicie się nasycić, dopadał stołu, talerza, widelca, gnany pośpiechem i niecierpliwością, ręce mu drżały, a grube wargi robiły się wilgotne.

W pole wyjeżdżał teraz zawsze małą bryczką, z której zdjęto siedzenie dla stangreta, sam powożąc w jednego konia. Wracał przed wieczorem, zmordowany gorącem, czerwony, świecący od potu. Przed gankiem wysiadał frasobliwie, przechylając swą wagą stękaający wehikuł, lejce wiązał luźno do żelaznego pręta poręczy i ciężką ręką w wyświeconej zamshowej rękawicy uderzał płasko w obły zad konia. Tęgi kasztan rozumiał tę aluzję, sam

okrażał gazon i między dwiema nierównej wysokości topolami wykręcał przez otwartą bramę na folwark o nic po drodze buksami nie zawadzając. Tam stawał przed stajnią i, dziwnymi drgawkami skóry na grzbiecie i brzuchu otrząsając ze siebie muchy, czekał bez zniecierpliwienia, żeby zrobiono z nim, co trzeba. A w sieni już słycać było astmatyczny głos pana Waleriana zapytującego, czy kolacja gotowa.

Teraz pani Żancia doczekała swego czasu. Wyższa od męża, chuda, zaledwie cokolwiek w ramionach pochylona, szła wprost od fortepianu do jadalni, by swą łagodną, niewygasłą kobiecością uświęcić obrzęd jadła. Sama, poza muzyką i kwiatami, nie zajmowała się w domu żadną robotą, ale miała dar rządzenia służbą cicho i skutecznie. Lubiła w sobie tę cechę i umiała sprawić, aby oceniał ją też pan Walerian. Właściwie lubiła w sobie wszystko i to z siebie zadowolenie uczuwała jako miłość do Boga i ludzi. Była pewna, że wszyscy też ją kochają i szanują, a los wydawał jej się na nią łaskawy. Przeżyła swoje życie, jak należało je przeżyć, ku własnemu i innych zadowoleniu. Umiała też postępować z mężem, wyrozumienie dla jego słabości i dogadzanie jego zachceniem sprawiało jej istotną przyjemność. - Już tylko na ciebie czekamy, Walusiu - mówiła w progu. Życzyła sobie, aby miał ręce umyte przed jedzeniem, co od dawna przywykł uwzględniać, niekiedy jednak dawał sobie przypominać. Wywołany przez młodszą Wikcie, schodził z góry Zenon, Nie wyglądał na młodego panicza, który wrócił pod dach rodzinny ze stolicy uciech i wykwintu. Jego garnitur "sportowy" odznaczał się proletariackim egzotykiem, pochmurną twarz golił rzadko, a włosy, których kolor ciemnozłoty podobał się kiedyś "zmysłowo" Elżbiecie Bieckiej, także domagały się ostrzyżenia. Pani Żanci nie razily dziwactwa jedynaka, nazywało się to, że "Zenio ma zawsze swoje chimery". Przyszłość syna, zdrowie męża i własne sprawy zawierzyła raz na zawsze Opatrzności i miała spokój, gdyż, jak mówiła, "bez woli boskiej włos człowiekowi z głowy nie spadnie". Była przekonana, że Bóg każdym jej krokiem kieruje i każdej chwili o niej pamięta. Zenon na próżno usiłował jej wytłumaczyć, że to jest przecież okropna megalomania. - Nie pleć, nie pleć, Zeniu - powiedziała dobrotliwie. - Ja tego sama na sobie w różnych chwilach życia .doświadczyłam. Jakby mię ktoś po prostu wziął za rękę i prowadził Jej bardzo biała twarz z gładko na dwie strony szeszanymi siwymi włosami była pełna miłego spokoju. Siadała na swym zwykłym miejscu przy stole, naprzeciwko pana Waleriana, który spieszenie nabierał potrójne porcje każdej potrawy, co było tak lekkomyślne przy jego wysokim ciśnieniu. Sama jadła mało i powoli. Nie pozwalała sobie mówić: "mój drogi, żeby ci czasem nie zaszkodziło" - tak samo jak dawniej nigdy nie przeszkadzała mu pić, ile chciał. Nie była jak inne kobiety, które swą troskliwą dobrocią zatruwają otoczeniu każdą chwilę, i cenę tej swojej właściwości też dobrze znała. Po kolacji Florek wnosił samowar (srebrny) i ustawiał go na małym stoliku przy lewym łokciu pani Żanci. Herbatę w Boleborzy pito Jf angielską, bardzo mocną i zalaną paru łyżeczkami gęstej, surowej śmietanki. Od lat blisko trzydziestu pani Żancia zaparzała ją i nalewał sama. Wstając od stołu pan Walerian całował rękę żony, a później ona rękę jego, co Zenonowi sprawiało od dzieciństwa niewymowną przykrość. Jeżeli pan Walerian nie bardzo chciał spać, to prosił żonę o trochę muzyki albo grali we dwoje partię bezika. Później szli do sypialni, którą przez całe życie mieli wspólną. Patrząc teraz z bliska na ich starą miłość Zenon uczuwał w Sposób nieprzyjemny, że gdy się posługuje zaimkiem osobowym "ja", to oznacza nim zmieszane w różnym stosunku cechy

tych dwojga ludzi. Matka była łatwiejsza do przewyciężenia, chociaż i w niej istniały rzeczy niepokojące. Groźniejszy był ojciec. Na jego twarzy, jak na szpitalnej karcie choroby, stały wypisane jego dzieje. Odczytywanie ich było dla Zenona upokorzeniem nie dającym się w żaden sposób oszukać ani ugłaskać. Tkwiła w tym wstydliva myśl, że to jest jego "rodzic", że mu zawdzięcza istnienie. Myśl groteskowa, że jego życie jedyne i nieodwracalne, ma swoje źródło w erotyzmie tego człowieka i nie można było tak zrobić, żeby to było obojętne. Bo cały ów niezdolny splot gnieździł się właśnie w tym miejscu uczuć, które jest przeznaczone do szacunku, przywiązania i solidarności. Rzeczą bolesną było wiedzieć, że ten człowiek jest jego ojcem i że wszystko, co jest z niego, trzeba w sobie za wszelką cenę wytepić. I boleśnie było wiedzieć zarazem, że jest już stary, że źle słyszy i że mu się trzęsą ręce i opierając się głupiej słabości dla Justyny Zenon musiał walczyć nie tylko z jej urodą i młodością. Wszystko zdawało się pomagać tej sprawie i na wszelki sposób ją popierać. Uroki lata, rozprzegając wolę wpływ natury, sprzyjająca atmosfera domu. Wystarczyło wejść w zwykłe, uświęcone od wieków koleje boleborzańskiego obyczaju wystarczyło przystać. Z dawnych czasów pamiętał Zenon niezrozumiałą przy jej zasadach tolerancję matki. Trzymała we dworze rozmaite dziewczyny, które były jawnie kochankami ojca. Często, jakby czemuś na przekór wychwalała nawet rozmaite ich zalety. Może, iż nie chciała być pomówiona o rzecz tak jej niegodną jak zazdrość. A może znajdowała w tym jakiś słodki, sobie tylko wiadomy dreszcz poskromionego instynktu. Teraz Justyna była po prostu jej ulubienicą, jej "prawą ręką". Mówiła o niej z Zenonem, jak gdyby nie raczyła wcale dostrzegać, ni co się zanosilo. Zenon pochmurniał i nic nie odpowiadał. Nie chciał już dociekać tej sprawy tak niejasnej, tak niepokojącej. Bez zgody na to korzystał jednak z jej dobrych stron. Przystając wciąż z tą dziewczyną, musiał widzieć o każdej porze dnia, w pełnym, wszystko ujawniającym słońcu czy w podstępny niekształcącym i odejmującym barwę mroku wieczorów, jak jest czysto, starannie i precyzyjnie przez naturę wykonana. Musiał to całym sobą odczuwać. Pani Żancia mówiła, że na Justynie wcale nie znać gminnego pochodzenia, mówiła: "Skąd ta dziewczyna ma tyli rasy." Jemu to było wszystko jedno. Nie myślał nawet, czy jest ładna. Ale niczego nie chciałby w niej zmienić, niczego nie potrzebował jej wybaczać. W ruchu, spoczynku, w każdym geście była w obrębie wyznaczonego sobie celu i życiowego zamierzenia fizycznie doskonała. Gdy stała blisko, chciał ją wziąć do rąk, chciał ją po prostu mieć. A wtedy ona mówiła: "Pan nie jest taki, jak drugi, co to nie da dziewczynie przejść spokojnie." I opowiadała o Franku Borbockim, który ją prześladował i nie wiadomo co sobie wyobrażał. Bo ona nie jest znów taka głupia. W tym myliła się także. "Ach, Justyno, Justyno" - wzdychał Zenon. Jego "siła woli" miała efekt zupełnie odwrotny, niż zamierzał. Nie odebrała jej złudzeń, natomiast uspiła czujność.

- Pan się tu chyba nudzi tak na wsi. Pan prędko z Boleborzy pojedzie?
- Tak. Jeszcze wyjadę na rok. Muszę się jeszcze uczyć.
- Ale potem pan tutaj wróci, prawda? on także nie obiecywał nic. Ale jednak powiedział, że wróci. Stali o jakimś ciepłym zmroku w ogrodzie, za szpalerem cobei, kwitnącej zielonymi, nie pachnącymi kwiatami. Zachowywała się tak, jak gdyby on ją kochał. Dlaczego była taka ufna, pozbawiona wszelkiego instynktu niebezpieczeństwa? Garnęła się do niego, można powiedzieć, że sama szła mu w ręce. Zanim wyjechał z Boleborzy, została jego kochanką?

W czasie jeszcze jednej ostatecznej rozmowy z ojcem Zenon wyznał otwarcie, że mu potrzeba pieniędzy. Idzie o ten ostatni rok, o niewielką sumę miesięcznie, resztę sobie dorobi. Powołał się na znany ojcu skądinąd fakt, że od piątej klasy zarobkuje, i dodał, że gdyby nie wojna, stypendium szkolne byłoby mu wystarczyło do końca.

Pan Walerian zachował się zupełnie inaczej, niż oczekiwał Zenon. I w tym jeszcze przecięciu zaznaczyła się głęboka odmiana lat, które minęły. Nie uniósł się gniewem, nie zadawał druzgocących pytań retorycznych (na przykład: czy Zenon może mu wskazać, w sejfie jakiego banku leżą ukrywane przez niego dolary, albo czy może go objaśnić, co z nim samym będzie na starość, gdy go już sterane w pracy siły opuszczają), nie krzyczał ani groził, tylko jakoś dziecinnie i bezradnie się spłoszył. I w tym popłochu, trzepocąc grubymi rękami przy twarzy czerwonej i wielkiej, powtarzał: - Ja nic, ja nic, to idź i matki, ja nic nie wiem. Matka ma wszystkie rachunki.

Sprawa tego ostatniego roku była ważna dla Zenona, poszedł wi za ojcowskim wskazaniem. Pani Żancia powiedziała tak:

- Moje dziecko, dosironale cię rozumiem. Do kogo masz s zwrócić, jak nie do rodziców. Nie potrzebuję ci chyba mówić, co by była dla mnie za radość, gdybyśmy ci mogli pomóc. Ale sam przeci dobrze wiesz: straciliśmy wszystko. Widzisz, jak tu żyjemy. Zbytkć się żadnych nie robi, a gdzie się tylko obrócić - długi. I trudno ' nawet spodziewać, żeby się co miało w tych czasach na leps odmienić.

Rozwiodła się trochę na ten temat i czasy bieżące zakwalifikowa jako gorsze od wszystkich, które kiedykolwiek dotąd były. Ale doko czyła pogodnie:

- Siedź tutaj z nami, Zeniu, dopokąd możesz. Kawalkiem chlel podzielimy się z tobą zawsze. Jesteś jedynym naszym dzieckiem i ni na świecie nie może ci być bliższy niż rodzice. Kiedyś przekonasz s o tym, chociaż teraz pewno inaczej ci się wydaje.

Mówiła tak i była do dna prawdziwa. Była dobra i lekkomyśln była miła i pociągająca z tym wszystkim, co było tak trudne do przebaczenia. I nawet zapewne miała rację. Ale Zenon pomyślał, że chwila, w której się o tym przekona, będzie jakąś straszliwą, najgors. chwilą jego życia.

- No trudno, mamó - powiedział. - Jakoś jeszcze i teraz będę sob musiał poradzić.

- Ja ci, moje dziecko, nic nie narzucam, broń Boże. Sam wie najlepiej, co masz robić. Ale może ten wyjazd nie jest znowu ta konieczny.

Zenon powiedział, że jest konieczny. Że mianowicie gdyby n pojechał, to te poprzednie lata w Paryżu, tak ciężkie, byłyby zupełn stracone.

- Jak chcesz - zgodziła się od razu pani Żancia. - Muszę ci tyró powiedzieć, że ten Czechliński to człowiek zamożny i ustosunkowan wszystko tutaj od niego zależy. Jedno jego słowo u hrabiego wysta czy. Powiadam: nie chcę ci dawać jakichś rad, bo masz swój rozum tylko po prostu widzę, że on się na tobie poznał. Kto wie, może by coś dla ciebie wyrobiła.

Rzeczywiście, Zenonowi pozostawał tylko ten zamożny i ustosunkowany Czechliński. Po wyjeździe z Boleborzy zatrzymał się w mieście. Nagle zrobiła się jesień, padał deszcz, było

zimno i nieprzyjemnie. Tutaj miał umówione z Czechlińskim ostateczne spotkanie. Fundusze na solidny "bezpartyjny" dziennik regionalny już były wyjednane, Zenon zobowiązał się przysłać z zagranicy szereg artykułów (nie korespondencyj) o zasadniczych liniach polityki poszczególnych państw w latach powojennych. Artykuł pierwszy, rodzaj wstępu do tego cyklu, wręczył Czechlińskiemu w restauracji Hotelu Polskiego. Znowu więc pił z tym panem, tak sobie dalekim i nieprzyjemnym, i co więcej, oczywiście na jego koszt.

Przez szybę, ruchomą od spływającej wody, widać było kawałek pustej ulicy Emerytalnej, z głębokimi, brukowanymi rynsztokami i jedną niedużą, podstrzyżoną akacją, dygocącą od wiatru i zmokłą, pełną szerniałych, poskręcanych straków między liśćmi. Na przeciwległym rogu mieściła się największa tutejsza cukiernia, ciemna i brudna, w oknach wysokiego parteru rozłożone były na szklanych kondygnacjach ciastka, a za szybą drzwi wejściowych, do których wiodły te same co dawniej drewniane cztery schodki, wisiał wielki, żółto-czer-wony afisz przejeźdnego teatru. Ponad wejściem, na długim z czarnej blachy szyldzie, stały wypisane cmentarną kursywą litery: Marian Chązowicz. Drzwi cukierni otworzyły się, wiatr szarpnął teatralnym afiszem, a po schodkach krokiem wykwintnie drgającym zeszedł na połamane, mokre płyty chodnika jakiś starszy pan w bardzo jasnym płaszczu gumowym. Miał zirytowaną twarz, oczy przymrużone i papieros w kącie ust. Zenon widywał go przed laty jako oficera i pamiętał, że nazywa się Awaczewicz. Teraz w cywilu wydał mu się już starym człowiekiem.

Rynsztokiem waliła woda zmywając z kamieni ślady wapna i niosąc na sobie w podskokach jakieś szmatki, papiery i patyki. Widok postarzałego Awaczewicza i paprochy mknące wodą rynsztoka dały się ująć łącznie jedną, heraklitową formułą przemijania. I nagle w tym zestawieniu "sprzedanie duszy" Czechlińskiemu wydało się rzeczą znikomej wagi. Czechliński wziął rękopis, popatrzył na początek i na koniec, dotknął paznokciem miejsc, gdzie zdania podkreślone miały w druku stanowić rozbijające tekst podtytuły, powiedział: "tak" i rzecz zwyczajnie schował do kieszeni. Tymczasem na początku i na końcu nic właściwie nie było, a sens artykułu leżał pośrodku i całkowicie uszedł uwagi Czechlińskiego. ...rzeczą znikomej wagi. Był to już wpływ tego człowieka. Czechliński przez samą swoją naturę wytwarzał koło siebie pewien stan rzeczy, w którym jedynie mógł być taki, nie inny, w którym jedynie mógł żyć do woli, wedle obowiązujących tam, jemu tylko właściwych i potrzebnych miar. Są tacy ludzie, którzy sami sobie niejako aranżują świat i im właśnie wszystko się udaje, choć można by mniemać, że działają pośród fikcji. W tym kręgu, wykrojonym z rzeczywistości płaszczyzną i zakresem czechlińskiego widzenia, życie wydawało się czymś niepoważnym, nie nakładało żadnej odpowiedzialności, do niczego nie zobowiązywało.

Ten człowiek siedzący naprzeciwko, niewysoki, krępy, mocno związany, o twarzy miękkiej i fałdzistej, skorej do śmiechu, o szerokich szczękach smakosza, nie mówił właściwie nic na serio jak gdyby cały świat był wart diabła, jak gdyby, szczerze mówiąc, wszystko było do luzu. Wciąż z czegoś kpił, na coś się stylizował, nie umiał jakby myśleć inaczej niż w cudzysłowie - po liniach, które wciąż załamywały się w fikcyjnych warstwach cudzych opinii, programów i zwłaszcza knoń. Nie było wiadomo, co myśli sam, na czym mu może zależeć, po czyjej opowiada się stronie. Podstawy jego zjadliwych sądów zdawały się leżeć w jakiejś dziedzinie niedostępnej, daleko wyższej i nierównie bardziej wyrafinowanej niż jakiegokolwiek przekonania. W jego relacji groteskowej i zarazem

sugestywnej przeciwstawiały się sobie nawzajem światy rozmaitego głupstwa. Każdy się ludził, każdy był w błędzie. każdy dał się wystrychnąć na dudka - pojedynczy ludzie, partie polityczne, państwa. Płynęła z tego niewyczerpana uciecha, śmiech niedobry i wcale niegłupi, pełen triumfującej niemoralności, sugestia że wobec takiego stanu rzeczy wszystko właściwie jest dopuszczalne. Pośród tego nieustającego brania jednych przez drugich na kawał bezradnych miotań się w paradoksalnej próżni zła i głupstwa jeder Czechliński zdawał się trzymać w rękach nici całej gry, ale tej wiedza swojej niczym prócz drwiny nie ujawniał. To wszystko nie dawało się do niczego sprowadzić, nie dało się nawet streścić i po każdej rozmowie z tym pierwszym na całe starostwo causeurem po prostu nie było wiadomo, o co chodzi. Zenon orientował się jedynie w tym, że pewni ludzie są "nasi" - bez jakiegokolwiek jednak ich definicji - oraz że należy "ubrać" pozostałych - też nie wiadomo, w imię czego. Właśnie teraz otwiera się możliwość podjęcia pewnych rzeczy, o których nikt nie pomyślał. Jakich rzeczy mianowicie? Założenia pisma. To dopiero będzie dla "nich" niespodzianka, zagarnie im się to, co właśnie myśleli, że przygotowują dla siebie.

Śmiech Czechlińskiego, triumfalne miny, konspiracyjne aluzje - to wytwarzało jakieś brudne ciepło zaufania, wciągało w ścisłą solidarność, urzekało. Obaj zjedli i wypili dość dużo, Zenon czuł się coraz bardziej bezbronny. Jego zdumienie, że można myśleć tak niekonkretnie, roztopiało się w łagodnym podziwieniu. Gotów był mniemać, że właśnie to jest dowodem istotnego czucia z rzeczywistością - taką, jaką ona jest dzisiaj. I ostatecznie, sam nie wiedząc jak, poczuł się także "swoim" człowiekiem, a wyjaśnienie bliższe tych rzeczy odłożył sobie na później.

Tymczasem zajęło go coś innego. Alkohol działał na niego rozmiękczająco i sentymentalnie. Nie miał tak mocnej głowy jak Czechliński. Patrzył znowu przez okno w stronę, gdzie za narożną cukiernią Chązowicza leżał w wylocie ulicy ukośny skrót placu Narodowego z długim budynkiem starej hali targowej pośrodku. Niska, pociemniała od kurzu i deszczu kolumnada osłaniała rząd sklepików, w których samotni Żydzi sprzedawali nici, żelastwo i koronki. W tym skrócie było widać, że umiane na pamięć, nabrzmiałe pośrodku filary poobsuwały się i wykrzywiły, a długi nad nimi dach obsiadł w garby i wnęki. Rozległy trapezoid starego rynku z tą sfałowaną kolumnadą i barokową żółtą fasadą kościoła w głębi, wyścielony drobno chełbią mokrych, połyskliwych brukowych kamieni, przypominał swą naiwną żałością i opuszczeniem jakiś niedobry kawałek dzieciństwa. Tędy przechodził Zenon codziennie na ulicę Świętojańską do swego gimnazjum. Gmach przebudowano teraz całkowicie i w przywróconych do dawnej architektonicznej świetności salach umieszczono biura Wydziału Powiatowego i Starostwa. Przez dawny korytarz szkolny szło się teraz wyrabiać i prolongować paszport zagraniczny.

Sentyment zwiększyła jeszcze okoliczność, że z dala przeszła przez rynek jakaś młoda kobieta, która dawniej byłaby mu się wydała zabłąkaną tutaj zamorską księżniczką, a dzisiaj była tylko prowincjonalną panną, ubraną z pretensją do prostoty. Zatrzymała się pośród ku placu, podniosła głowę twarzą w niebo i, przekonawszy się widocznie, że deszcz ustał, zamknęła parasol. Zenon pomyślał, że kochać się w kobiecie można tylko, gdy się jest sztubakiem, a wszystko później jest zaledwie przybliżeniem do tamtych rozdzierających serce zachwy tów, słabym refleksem tego, co możliwe byłoby przeżyć wówczas i czego naprawdę nie przeżywa się nigdy. Pomyślał właściwie o Elżbiecie Bieckiej.



Kobieta zniknęła pod kolumnadą w otwartych drzwiach jakiego sklepu jak w czarnej czeluści. Przez plac i ulicę zaczęli przechodzić w różnych kierunkach drobni, czarni, nieważni ludzie, mający tu, tym wycinku ziemi swoje własne, jedyne sprawy. Po chwili zupełnie blisko, w miejscu, gdzie dawniej stało zawsze parę dorożek, za przeżonych w najnudniejsze typy końskie świata, a dzisiaj dwie taksówki, ukazała się znowu ona. Szła w tę stronę i Zenon nagi przekonał się, czemu na jej widok pomyślał o Elżbiecie. Ponieważ to była ona.

Nie widział jej od lat. Poznanie jej teraz było właściwie niespodziewanym odkryciem. Był daleki od myśli, że Elżbieta jest w mieście. Na początku lata, będąc tu w drodze do Boleborzy, słyszał, że wyjechał;

Zupełnie o niej nie pamiętał. Przez krótki czas, mierzony jej szybkimi krokami, patrzył, jaka jest. Była zupełnie zmieniona, była duża i ciężka, stała się już kimś innym. Ale idąc tak, niosła jednak w sobie to wszystko, co kiedyś stanowiła dla niego.

Nie porwał się od stołu, nie wybiegł za nią. Nawet uśmiechnął się pobłaźliwie do tego nieoczekiwanego wzruszenia, którego doznał. A wiedział, że przed odjazdem musi ją zobaczyć. Musi tę starą sprawę całkowicie zrewidować, by się nacieszyć, że tak bez śladu minęła, i przed samym sobą ten mały platoniczny romans prowincjonalny skompromitować. Nazajutrz Zenon otrzymał od Czechlińskiego umówioną zaliczkę, która pozwalała mu wyjechać. Obliczał to sobie we frankach, trochę wahał się, ale był zadowolony. Po południu wybrał się na ulicę Staszica, do pani Kolichowskiej. W drodze myślał z niepokojem o przemianach i z ulgą (jak niegdyś Elżbieta idąc do panny Wagner), może nie zastanie tam Elżbiety, że może wczoraj tak mu się wydał

Jakże znał ten niepokój i tę tchórzliwą nadzieję. Jakieś ślady, wygniecione w mózgu śmieszna męka dzieciństwa, jeszcze zostały. Jeszcze to wszystko razem nie dało się zbyć jednym krzywym uśmiechem lekceważenia.

Wyobrażał sobie tę Elżbietę, jako pannę pewną siebie, oschłą i wyniosłą. Mogła doskonale wcielać wszystkie małomieszczańskie sposoby widzenia, odczuwania i sądzenia świata. Konstruktywnie umieścił ją teraz w jakimś punkcie idealnym przeciwieństwa z Justyną - w ten sposób, że to wypadło na niekorzyść Elżbiety.

Jego cała sympatia była w tej chwili po stronie tamtej, od której oddarł się zaledwie przed tygodniem, ogarnięty splotem uczuć bardzo ze sobą skłóconych. Z zewnątrz mogło się zdawać, że ją po prostu porzucił. W istocie przecież było inaczej. Zenon wcale już teraz nie myślał, że uległ słabości wiążąc się z tą kobietą białą, ciepłą i łagodną. Taką samą słabością jest chodzenie po trawie, kąpanie się w rzece, taką samą słabością jest oddychanie powietrzem. To doskonale przeniknięcie się fizyczne z drugim człowiekiem, całkowicie na sobie poprzestające wzruszenia takiej miłości, ostre, głębokie wstrząsy upojenia - przekonały go swą jedyną logiką. Nie trzeba tu było legitymować się żadnymi względami duchowego porozumienia, żadną psychiczną nadbudową. Wystarczyła zgoda z naturą, prosta rozkosz ulegania jej prawom.

Tak niewątpliwie było i to przemawiało za Justyną. Ale ta rzecz, jak wszystkie inne, nie dała się odciąć, wyosobnić od reszty życia. Wprawdzie Justyna zgodziła się na rozstanie, od początku przywykła do myśli, że on odjedzie. Ale jej ufność, jej dziecięca tklivość, tak ujmująca w pieszczocie, rozpościerała się poza nią, usiłowała przeniknąć w inne dziedziny jego życia, ogarnąć go całego. "Przecież ty wrócisz" - powtarzała, gdy ją żegnał. I Zenon nie miał siły powiedzieć, że nie wróci. Poza Boleborzą zaś całe zagadnienie Justyny było nie do

pomyślenia, musiało pozostać w swych naturalnych granicach, zamknięte kresem tego gorącego boleborzańskiego lata. I tutaj też Zenon pozostawał w zgodzie z naturą, z jej prawem przemijania

Wejście do mieszkania pani Kolichowskiej było na prawo z bramy, której środkiem płynął ściek, nakryty długą deską drewnianej podłogi. Za naciśnięciem dzwonka drzwi zewnętrzne otworzyły się z elektrycznym pomrukiem. U wierzchu stromych parę schodków były drzwi drugie, też już otwarte, wiodące do słabo oświetlonego przedpokoju. Wszystko, nawet zapach, było znajome. Jak dawniej służąca Ewcia wpuściła go do salonu pełnego cieniów, chociaż dzień był pogodny. Natłoczone meble, fotografie, lampy pod parasolami, portrety rejenta i jego pierwszej żony nad fortepianem - wszystko znalazł na miejscu. Niezmierna brzydota tego wnętrza, które kiedyś upajało w nim zmysły piękną i zbytkiem, dała mu nagle poczucie zupełnej niezależności. Jak gdyby przewyciężył w sobie niedogodne złudzenie, jak gdyby tym skonstatowaniem ostatecznie wyzbył się dzieciństwa. Stojąc patrzy dokoła siebie i czekał. Doskonale. Może sobie teraz wejść. Jakakolwiek wiek okaże się w swej przemianie, jest tą, która nie ma już władzy nadawania cierpienia. Za oknem, osłoniętym tiulem stary i zwięzonym ciężką portierą, jednak było widać, jak przez mgłę, różnobarwna jesienny ogród cały w słońcu i niebieskie ponad drzewami niebo.

Elżbieta Biecka weszła do pokoju nic nie wiedząc, że miała się ot( zmierzyć ze swoim losem. Zrobiła się przez ten czas dorosłą kobietą. Aż było dziwne, że wczoraj na ulicy mógł ją poznać. Wystrzegał się je o tym wspomnieć. Pamiętał jej grube warkocze pensjonarki. Teraz miała małą głowę, ciasno objętą krótkimi, ciemnymi włosami. Ubrana była też wąsko i ciemno. Weszła żywo, z uśmiechem, mówiąc głośno od progu, jak jest zdziwiona, jak się cieszy. Nawet, jak jest wdzięczna, że nie zapomni. Wszystko to była nieprawda, służąca do zajęcia miejsca w czasie, do zorientowania się w sytuacji. Jak również wiadomość, że pani Kolichowska czuje się niedobrze i nie będzie mogła go zobaczyć. Jaka różnica od dzieciństwa, gdy istotną radość okrywała złą miną i impeł tynenckimi słowami! Teraz konwencjonalna radość służyła do okrywania pustki.

Zrobiła na nim złe wrażenie. I gest, żeby usiadł, i sposób, w jaki usiadła sama, coś poprawiając przy sukni i jakoś ustawiając stop. Była niespokojna nerwowo, niepewna siebie, dawny urok pochmurnej siły znikł bez śladu. Rzecz nieoczekiwana, rzecz, na którą ani przez chwilę nie liczył: poczuł nad nią swoją przewagę.

Rozpytywała go o te lata, o dalsze projekty z miną uważną i życzliwą. Oglądała go wciąż, nie spuszczała z niego oczów, ciemnych i matowych.

- A pani? Dlaczego pani nie mówi o sobie?

Odgrodziła się od razu od tego pytania. Powiedziała gładko, że lubi tu być, lubi to miasto, ten dom. Że jest stworzona do życia na prowincji.

- Zdaje mi się, że już inaczej być nie może. Tak jestem związana z tym, jakby to we mnie tkwiło. Ten dom, ulica, podwórko - ja cała z tego się składam.

- Pani gdzieś wyjeżdżała tej wiosny? - zapytał. Spłoszyła się na chwilę.

- Tak, wyjeżdżałam do mojej matki, do Szwajcarii - odpowiedziała z przymusem. Opanowała się jednak zaraz i uśmiechnęła. - Widziałam się z matką, ale nic jakoś z tego nie wynikło.

Zrobiła swój ładny gest cienkimi rękami, powiewnymi palcami. I ten gest znowu wydał mu się sztuczny, a palce zbyt kościste i zbyt wypukłe paznokcie.

Teraz on pozwolił sobie być zachmurzony i wzgardliwy. Stało mu się jasne, jaką nie do przebycia rzeczą od człowieka do człowieka jest jego jakość. Ten każdemu właściwy sposób, aby być osobno. Dawniej Elżbieta odgradzała się od niego drwiną i złością, jak trzaśnięciem drzwi. Teraz - grzeczna, wesoła i łatwa - nie istniała już wcale poza tymi otwartymi drzwiami. Nic nie było pod samym wierzchem, zrobionym z twarzy, sukni, słów, gestów i śmiechu.

Uczuł nie tyle zniechęcenie, ile gniew. Cała była w tym nerwowym trzepocie uprzejmości.

- Dlaczego się pani wciąż śmieje? - zapytał. - Wydaje mi się, jak gdyby pani po dawnemu nie chciała mnie brać na serio.

- Ach nie, dlaczego? - odparła machinalnie.

- To mnie zresztą nie obraża - powiedział. - To znaczy, że pani nie bierze na serio samej siebie. Niech pani mi wybaczy. Ale musi pani przyznać, że to jest przecież nie do wiary, żeby pani po tylu latach tylko to miała mi do powiedzenia.

Widział, że była niezadowolona.

- Myśli pani znowu, że jestem źle wychowany - tak? To nic. Albo coś zostało z tych dziecinnych naszych kłótni i pogodzeń, albo muszę myśleć, że przyszedłem niepotrzebnie. Próbowала się uśmiechać. - Widzę, że pan się chce kłócić po dawnemu - zaczęła. Ale jej przerwał.

- Jedna rzecz wydaje mi się istotna, wciąż o tym myślę, muszę być szczery. Przecież ja się w pani tak kochałem, gdy byłem sztubakiem.

- Och, te rzeczy nie mają chyba znaczenia, gdy się jest dziećmi.

- Ale pani o tym wiedziała. Prawda?

- No tak. Tylko że teraz jesteście już dorośli.

Popatrzył na nią uważnie i dał jej spokój. - Pani wie, że ja si w Paryżu zaprzyjaźniłem z Karolem Wąbrowskim?

Teraz dopiero spoważniała. Z wyraźną przykrością, głosem ściszo nym, jak gdyby uważając, by jej nie usłyszano, zaczęła wypytywa o kuzyna.

- Pan go jeszcze zobaczy, jak pan tam wróci?

- No tak, naturalnie.

Wiedział, że go zobaczy i dowie się wtedy wszystkiego o Adeli. Uczu całym sobą ten czas nieznośny, jak zapach, kolor czy melodię - be;

żadnych słów. Brudny cień hotelowego pokoiku, kroki na schodach zapalające się i gasnące światło w szybie nad drzwiami, niepokoi i smutek. Niepokój. Przypisywali go warunkom, małym rzeczom pobocznym. Ale on był wewnątrz tej sprawy, w samym środku.

- Jak pan będzie mówił z Karolem, niech pan na niego wpłynie. OB powinien przyjechać.

Przecież to jego matka. I powtórzyła surowo: - Przecież to jego matka.

- Czy człowiek zmienia się przez to, że jest naszym ojcem albo matką?

Nie od razu zrozumiała.

- Jak to: się zmienia? Ach, nie o to chodzi. Pewnie, że się zmienia. Ale - więc on był z panem zupełnie szczery?

- No, nie wiem. O rodzinie nigdy ze mną nie mówił.

- Widzi pan...

- O sobie zresztą nie mówił także. To już jest taka natura...

- Ale pan mu wytłumaczy, że przecież tak nie wolno. Ona jest chora. Są dni, kiedy zupełnie nie wstaje.

Jej głos zrobił się niecierpliwy i zarazem proszący.

- Pan sam się przekona, jeżeli pan ją zobaczy, jak się zmieniła. Zenon przyrzekł, że mu to powie. Elżbieta wstała i przeszła do kąta salonu, w rogu od ulicy, zajęтым małą kanapką. Na stoliku obok stał mały aparat radiowy, którego dawniej nie było, z pokręconymi sznurkami od słuchawek. Na ziemi leżała, jak dawniej, duża, okrągła poduszka. Zenon zbliżył się do niej z wahaniem.

- Niechże pani mi powie, co pani robi. Co pani robiła przez cały ten czas?

- Nic nie robiłam - odpowiedziała i roześmiała się niechętnie.

- Naprzód miałam posadę tutaj w starostwie. Ale to się nie dało utrzymać, odkąd ciocia jest chora. Chciałam tej jakiejś niezależności, i ja także, jak pan. Wobec tych wszystkich "starszych", którzy są winni, że świat jest zły, ponieważ się na to godzą i ciążą tą swoją zgodą nad naszym dzieciństwem. Chcemy odkłamać się od nich najgłębiej jak można. A później się okazuje, że to samo jest w nas. Bo nie jesteśmy tak bardzo inni, nie możemy ich się całkowicie wyrzucić.

- To jest trudne, ale to jest możliwe - powiedział Zenon. Zaprzeczyła głową, jak gdyby miała więcej doświadczenia.

- Pan wie, co tu jest pod nami? - spytała nagle.

- Co, tu pod podłogą?

- Tak. Na pewno pan się nawet nie domyśla! Właśnie w tym kącie, jeżeli spuścić prostopadłą, to natrafi na dziwną rzecz. Tu na końcu piwnic jest jedno mieszkanie. Od reszty piwnicy oddzielone jest przepierzeniem z desek i ma kształt trójkąta prostokątnego, którego powierzchnia równa się ściśle powierzchni, jaką zajmuje ta kanapa ze stolikiem, lampą i tą poduszką na ziemi. W tej chwili mieszkają tam cztery dorosłe osoby i jedno dziecko. Przedtem było inaczej. Ale w ciągu ostatnich lat umarło tu pod podłogą troje dzieci, a na wiosnę ze wsi zjechała stara matka, chora, zdaje się, na raka, i zajęła łóżko, które stoi o tu, pod ścianą. Przed paru dniami zameldowała jeszcze niejakiego Franciszka Borbockiego, którego zredukowali w fabryce Hettnera, więc także się sprowadził do siostry i przez miesiąc mieszkał nie meldowany. I teraz niech pan mi powie, jak trzeba nazwać cały ten fenomen, jeżeli ja sobie siadę nad nimi na kanapie i słucham przez radio Strawieńskiego albo zapalę lampę i czytam, powiedzmy, Pascala.

- Umilkła i po chwili dodała z obrzydzeniem: - Czasami mi się wydaje, że to są szczury. Zenon nie czuł się winien tego stanu rzeczy. Przy tym inna jego strona uderzyła go bardziej. Słuchał nie odzywając się wcale.

- Więc jak to nazwać? - powtórzyła. - Bo można by powiedzieć, że to jest filantropia. Ci Gołębscy zostali eksmitowani z mieszkania na czwartym piętrze. Rzeczywiście nigdy nie płacili. Ale ponieważ ona była jeszcze chora po położu i nie mieli gdzie się podziać, więc ciotka

pozwoliła im zostać w tym kącie, póki sobie czegoś nie znajdą. Podłoga, piecyk, ta ściana z desek - to nawet coś kosztowało... I tal już siedzą szósty rok. Oni sami mówią nie - mieszkać, tylko siedzieć, bo tam nie można się ruszać. A na noc wszyscy wchodzi, do tego łóżka, do matki.

- Ach! owszem! - przerwała sobie sama. - Pan się pytał, co ja robię. Rzeczywiście coś robię. Już dwa lata zastępuję ciotkę i prowadź' meldunki. Polega to na tym, że wszystkie najintymniejsze sprawy tego domu przechodzą przez moje palce. Ktoś się chce ożenić, ja mi

wypisuję świadectwo, że tu mieszka - ktoś u kogoś nocuje ni meldowany, ja to muszę wytropić. Urodziny, śmierci, wszystko Wiem, gdzie na ilu metrach kwadratowych ilu ludzi się gnieździ Wszystko poświadczam, przybijam u dołu pieczętkę, usprawiedliwiam, legalizuję. Taki dom to jest rzecz zadziwiająca. Czy to nii szczególne, że ludzie zdecydowali się żyć na sobie warstwami? O dla jednych jest podłoga, to dla innych staje się sufitem. Pan wie, że ti połowa piwnic zamieniona jest na mieszkania i tam, pod nami mieszka więcej ludzi niż na wszystkich piętrach poza tym.

- Oni się nazywają Gołąbscy? - spytał powoli Zenon.

- Ci pod nami, tak, Gołąbscy - powtórzyła Elżbieta i przypatrzyli mu się z uwagą. - Dlaczego pan się o to pyta? Zenon nie odpowiedział.

- Bo to jest chyba obojętne. Cały ten dom pełen jest takich rzeczy I to wszystko ja wiem. Ja to podpisuję i u dołu przykładam do teg( pieczętkę z nazwą ulicy Staszica i numerem domu siedemnastyn i jeszcze hipotecznym. To jest ustanowione. Od tego nie można sil wyłamać, nie ma żadnego sposobu, żeby się z tego wykręcić, żeby sil tego wyprzeć. Wszelka indywidualna niezależność to jest złudzenie Już przez sam fakt, że żyję, godzę się nieustannie, biorę w tym udział przykładam do tego ręki. Każdym oddechem przystaję wciąż na t( wszystko.

Elżbieta mówiła stojąc. Jak kiedyś dawniej. Zenon rozumiał, że powinien już iść, że to jest już pożegnanie. I jak wtedy, gdy czytał razem książki z biblioteki starego Wąbrowskiego albo rozwiązywał geometryczne zadania, Zenon zapytał, czy może przyjść jutro.

- Dobrze, niech pan przyjdzie - powiedziała Elżbieta. - Jutro, tylk( wcześniej, dobrze?

Zenon wyszedł z ciemnego salonu na jasną jeszcze ulicę. Była chłodna, jesienna pogoda. Po całym niebie rozsypane były drobne, szarofioletowe obłoki, ostatnie refleksy wczesnego zachodu gasły. Na ulicy Emerytalnej, w tym samym miejscu co wczoraj, zobaczył schodzącego ze schodów cukierni Awaczewicza. Przystanął i przez chwilę patrzył za nim. Awaczewicz rzeczywiście skręcił w ulicę Staszica i Zenon nie wiadomo czemu był pewny, że ten stary lew prowincjonalny poszedł właśnie do Elżbiety.

8

Pani Cecylia Kolichowska wyraziła się raz tak: Wszystkiego się spodziewałam, ale tego, że będę stara, to nigdy?

Było to po jednej scenie z Elżbietą. Z tą dziewczyną, do której przywiązała się naprawdę jak do rodzzonego dziecka. A czasami myśli, że to jest stworzenie bez serca, zupełnie pozbawione uczucia, ktoś obcy, prawdziwy wróg domowy. Żyje tylko swoim życiem, poza sobą nie widzi nikogo. Nie rozumie, że ktoś obok niej się męczy, że istnieją większe tragedie niż nie móc wyjechać na uniwersytet. Wystarczy po prostu się odezwać, żeby zaraz była innego zdania. Bierze stronę każdego przeciw niej, wciąż o coś walczy, każdy jest bliższy niż ona, jedyna siostra jej ojca, kobieta, która właściwie ją wychowała, nie mając wobec niej żadnych obowiązków. Bo przecież nie jest sierotą, skoro jej matka żyje i opływa we wszystko, a odkąd została małżonką dygnitarza, którego przez szereg lat była kochanką, mogłaby sobie przypomnieć, że ma córkę. Staje w obronie oszusta i złodzieja Gołąbskiego, nie daje ruszyć

Chąsbów, którzy na komorne wprawdzie nie mają, ale urządzić u siebie hałasy i pijatyki co tydzień to mogą, ujmuje się za Ignacym, starym leniem i niedołęgą, przez którego marnieje ogród, nie da słowa powiedzieć żadnej służącej. Co to wszystko jest? Poczucie sprawiedliwości, równość, uświadomienie społeczne? Pani Cecylii wiadome były te rzeczy nie od dzisiaj. Sprawiedliwość, dobrze. Ale niechże idzie ze swoimi pretensjami tam, gdzie naprawdę jest jakiś wyzysk i krzywda, nie do niej, którą właśnie wszyscy wyzyskują, której ta kamienica nic nie przynosi prócz kłopotów. "Ja ci wcale nie powiadam - mówiła do Elżbiety - że świat jest dobrze urządzony i że każdy ma, co mu trzeba. Ja tylko nie chcę się jedna cierpieć za to, że jest urządzony źle."

Po scenach z Elżbietą następowały godziny i dni śmiertelna uraz, których zapomnieć nie sposób, milczeń nadętych i bezi dziejnych. Honor nie pozwalał odezwać się z pierwszym słowem upór rozdłużał te stany w nieskończoność. A mroczne powiet domu napełnione było czarnym promieniowaniem niezdolnej, sferycznej, złej kobiecości.

Pani Cecylia zdawała sobie niekiedy sprawę, że to, co jest ta wrogię w Elżbiecie, to jest po prostu młodość. Wtedy mówiła:

- O jedno cię tylko proszę, moja Elżbieto, pozwól mi spokój nie być starą. Jak umrę, to będziesz tu sobie mogła rządzić swojemu, jak ci się tylko będzie podobało. Ale tymczasem i jestem u siebie.

Dla pani Cecylii starość była rzeczą najdziwniejszą, jaka się nu przytrafić. Młodość stanowiła jej najdawniejsze przyzwyczajenie. niedbałe codzienne szczęście wydawało się nieodjęte, było stan naturalnym, jedynym właściwym czasem życia. Starość istniała i da jej, ale gdzieś daleko, należała do innych ludzi, była cudza, skaza na rychłe przeminienie i śmierć.

Niepodobieństwem było teraz na przystać. Przez całe życie oczekiwała jakiejś zmiany, z dnia na dzień liczyła, że wreszcie wszystko się wyjaśni, usprawiedliwi, nabie sensu, że coś się wreszcie okaże. Całe jej życie było ustawionym zamiarem, ambitnym projektem, niecierpliwym, gniewnym czekaniem. Wszystkie te rzeczy nie pozamykane, nie dokonane musiały prowadzić do jakiegoś wniosku, coś definitywnego spowować. Starość była procesem rozpadania się tych złudzeń.

Wydawało się niemożliwością, aby to miało być wszystko. A jędr to było wszystko.

Z powodu ustawicznego od lat niezdrovia, kataru płuc, powięszenia wątroby, niepokojów serca pani Cecylia zawsze sobie proji towała, że kiedyś, jak się wreszcie ułożą interesy, "weźmie się siebie", odbędzie porządną kurację, wyjedzie do jakichś zagranicznych wód albo do sanatorium. Wówczas zacznie nowe, normalne życie. Wszystkie ważne osobiste sprawy odkładała sobie do tego czasu liczyła na to jak na rzecz niewątpliwą. Tymczasem nic takiego nastąpiło. Przeciwnie, zaczęły się choroby zupełnie nowe, bezsenne ataki duszności, bóle we wszystkich stawach. Na wąskich, normalnych dotąd palcach porobiły się guzy i skrzywienia, nogi były bezwładne prawie do kolan i każdy paznokieć rwał i bolał na swój własny sposób. Pani Cecylia zaczęła chodzić z jedną laską, później z dwiema, nie mogąc zrozumieć, że coś podobnego ją właśnie spotyka. Nadeszły dni, że nie była w stanie wcale się podnieść. Leżała w łóżku, rozmyślając o tym wszystkim i nie mogąc się temu dość nadziwić. Z największym wysiłkiem, z trudnością niezmierną robiła to mozolne odkrycie, że właściwie nic już ją nie czeka, że się już nic nie stanie. Że jedyna rzecz, jaką jeszcze musi wykonać, to jest umrzeć. W złych chwilach wracała do niej myśl uporczywa, którą umiała zwalczać wówczas, gdy jeszcze była silniejsza. Była to myśl o synu. Wiele lat minęło, odkąd widziała go po raz

ostatni, odkąd ciężko chorego kilkunastoletniego chłopca wywoziła do sanatorium za granicę. Myślała wówczas, że go utraci, przez wiele lat bała się o jego życie. Ale nie umarł. Tylko nie chciał więcej jej widzieć. Odmieniło mu się serce - temu dziecku, tak ją kiedyś uwielbiającemu. Nie mógł jej darować drugiego małżeństwa, w jakimś paroksyzmie dziecinnej, patologicznej zazdrości złorzeczył jej i przeklinał. Nie dała sobie wówczas "zamknąć drogi do życia", jak mówiła. Ileż razy jednak rozważała później w pamięci te słowa dziecinnego jasnovidzenia: "To jest niedobry człowiek, przekonasz się, że on jest niedobry." Poświęciła uczucie dziecka, by żyć swoje życie, które jest jedno i nie da się powtórzyć. Życie, które łatwo jest zepsuć, a naprawić tak trudno.

Tuż obok panoszyła się młodość Elżbiety. Pani Kolichowska lubiła, gdy Elżbieta wchodziła do pokoju, lubiła jej głos, jej słowa, jej ruchy. Uczuwała wzruszenie, gdy Elżbieta nachylała się nad nią pytając o zdrowie, gdy grzała dla niej wodę do torby gumowej, rozpuszczała w szklance tabletki Vichy, gdy krzątała się przy niej, pochmurna, cicha i zrećzna. Po dziesięć razy w ciągu dnia pani Cecylia chwytala sama siebie na gorącym uczynku tej słabości. Nie mogła znieść, gdy Elżbiety nie było w domu. Ze wstydem i gniewem oczekiwała niecierpliwie jej powrotu. Za nic na świecie nie byłaby dała wyrazu tym uczuciom tak jej niegodnym. Pokrywała wzruszenie skargami na swój zły los, na chorobę, cierpienia, niewygody, służbę. Ewcia jest niechętna i do niczego. Michalina ospała i leniwa. "Nigdy się nie można nikogo dodzwonić w tym domu, niczego się nie można doprosić." I jeszi oczywiście: "Można dziesięć razy umrzeć, zanim nareszcie ktoś zjawi."

Wyjazd Elżbiety w czasie ostatniej wiosny to było doświadczenie przechodzące jej siły. Na myśl, że spotkanie córki z matką może i zmienić w ich stosunkach, zamierała z przerażenia. Oto nigdy nie spokoju, oto nic na ziemi nie jest skończone i zawsze jeszcze dr człowiek może stać się dla nas źródłem niewymownego udręczenia.

Stara twarz przyjaciółki, Łucji Posztraskiej, pochylającej się te nad jej łóżkiem, przejmowała ją obrzydzeniem. Pani Łucja zastępom ła przy niej siostrzenicę, nocowała w domu, gdy pani Cecylii b gorzej. A ona gniewała się na nią za to, że nie jest Elżbietą.

Jak przed laty, pani Posztraska przychodziła nieoczekiwa drzwiami od kuchni, prosząc o pożyczanie odrobiny węgla albo p złotych "do jutra". Czasami pytała, czy nie mogłaby posiedzieć tro w ogrodzie, bo ma dużo cerowania, a w mieszkaniu na górze dusz Albo jeszcze: "Czy nie zrobię ci różnicy, Cesi, jeżeli przepras u ciebie parę kawalków, bo dziś nie paliłam pod blachą, a Maur włożył ostatnią czystą koszulę." Pani Cecylia przystawała na prośby.

I pani Łucja zjawiała się z pękiem bielizny. Zawsze ubrana czyść ko w wypelzło satinetki i kretony, w których służba i sama Cecylia rozpoznawały dawne, ofiarowane jej swe suknie. Co tu mówić, ta kobieta jest po prostu w nędzy. Żyje w cięż codziennej pracy, w nieustannej trosce i zależności. Powinna ch być nieszczęśliwa, powinna się trochę skarżyć. Nic podobnego. P chodzi zawsze wesoła, pełna wiadomości lub wspomnień. Niczego bierze ze złej strony, może nawet niczego nie bierze na serio. Świat jest miejscem, na którym odbywają się sprawy zabawne, a o sprawach można się dowiedzieć i później zajmująco to opowia' Oto jest rzeczą niewątpliwą, że się Gieraccy rozchodzą. O Gierackiej, tej, która miała białego szpica Lulu, już się nie m "młoda", odkąd stara pani Gieracka umarła. Teraz ona z kolei stara, a jej mąż chce rozvodu, żeby ożenić się z młodziutką pa Ciwidzką. Człowiek na stanowisku, człowiek, którego pensja wy jakieś tysiące miesięcznie. Nic dziwnego, że młodej dziewczynie

przewróciło się w głowie, że ma dosyć tego bębnienia na masz w biurze. I oto jest temat: mężczyźni! Ach, jeszcze raz można o tym pomówić do syta! Wystarczy młody, ładny buziak, żeby opuścić żonę, z którą przeżyło się dwadzieścia lat, żeby opuścić dorastające dzieci. Mężczyźni! Jakiś niższy gatunek ludzki, rodzaj zwierząt, które należy opanowywać, ujarzmić, tresować, które trzeba umieć trzymać. Poświęca się temu całe życie, całą inteligencję uczucia, całą przemyślność instynktu, stwarza się nową dyscyplinę psychologiczną, pełną wskazań, norm i paragrafów - na próżno.

Czy na przykład mówi kto kiedy, że jakiś mężczyzna "umie postępować z żoną"? Nie. Bo kobieta jest kimś, z kim można się dogadać, na kogo można liczyć, komu można zaufać.

Ale mówi się powszechnie: "ona umie postępować z mężem". Albo:

"ona nie umie postępować z mężem". Wiadomo jest, że stara Ziem-biewiczowa umie, a Łucja Posztraska nie. Cóż to znaczy? To znaczy, że to są jakieś istoty, z którymi nie ma zwykłego stosunku człowieka do człowieka, istoty wrogie, nieobliczalne, pełne dzikich instynktów, tajemnicze i kłamliwe. Trzeba je za wszelką cenę odgadnąć, trzeba się przeciw nim zbroić, życie z nimi wciąż grozi niebezpieczeństwem i zgubą. Nic nie jest niewątpliwe, nic nie jest pewne - a za to możliwe jest wszystko.

Tak. Ale nie wszyscy. Pani Posztraska godziła się na sąd przyjaciółki, jeżeli idzie o cały ten gatunek, jeżeli idzie o mężczyzn cudzych. Ale o swoim mężu myślała inaczej. I zawsze gotowa była o nim mówić nie bacząc na wyraźną niezyczliwość pani Cecylii.

Dla niej nie było ważne, że Maurycy wszystkie po kolei posady tracił z powodu lekkomyślności i pijaństwa, że podpisywał weksle obcym kobietom, że popełnił jakieś nadużycie i miał sprawę, z której się szczęśliwie wykręcił. Ważne było, że jest stanowczy, że jak coś powie, to już tak musi być, broń Boże mu się w czymś sprzeciwić. Nie było ważne, że od rana siedział u Chązowicza i w jakąś loteryjkę przegrywał grosze wyłudzone przez nią od pani Cecylii. Że wracał tam zaraz po obiedzie, z którego, żeby nie wiem co, nigdy nie był zadowolony, gdyż jak nikt znał się na jedzeniu i niełatwo mu było dogodzić. Że wieczorem znalazł zawsze sposób, by gdzieś z kimś popić, gdzieś się zadłużyć czy jeszcze raz kogoś naciągnąć.

Ale było ważne, że to jest grand seigneur w każdym calu, że ma takie szczęście do ludzi, iż wszyscy za nim przepadają. To prawda, że

jak nie jest w humorze, to do niego nie przystęp. I język ma cięty. Nie daj Boże mu się narazić, bo człowieka tak urządzi, że każdemu później odechce go zaczepiać. Ale po dobroci, to nie ma miłsze człowieka. Przystępny, popularny, do szpiku kości demokrata - i taki, jak to są dzisiaj, co do interesu z każdym jest za pan brat - ! prawdziwy, szczery, z sercem.

- Naturalnie, nie mówię o tobie, bo ty jesteś wyjątkiem. Ale pok mi dziś, proszę cię, moja Cesi, człowieka, który by był takim jak Maurycy przyjacielem. Ja bo takiego nie widzę, prawdę ci powie Dla siebie i swoich nie dba o nic, to prawda, sama wiesz, jaki jest, dla drugiego wszystko zrobi, o każdą rzecz się wystara, potrzebują mu odda ostatni grosz, każdemu pomoże, poradzi, każdego poratu

Pani Cecylia siedziała na krześle w kuchni, trzymając obie laski w jednym ręku. Złość ją brała na głupotę tej Łucji. Więc co? Miała z nią razem zachwycać tym Posztraskim, który odkąd tu mieszł grosza uczciwie nie zarobił, nigdy do domu nie wraca inaczej j pijany, po nocy dobija się do bramy, robi hałasy, a stróżowi, co r otwiera, szeląga złamanego nie da. Cała kamienica z niego się v śmiewa, tylko ta jedna żona nic nie widzi. Dogadza mu, pracu zdziera sobie dla



niego ostatnie siły i daje się takiemu gałgano wyzyskiwać. Zniecierpliwienie pani Cecylii rosło.

- Dobrze, dobrze. Ale sama powiedz, do czego to go doprowadzi Póki miał, żył zawsze nad stan, to wiadomo. Ale teraz, jak nie ma, co on może rozdawać, nawet nie wiem. Ty byłaś rozsądniej sza, ciebie należało myśleć o przyszłości.

Pani Posztraska prasowała jak zwykle nie na desce, tego nie śmiała się domagać, tylko na brzegu stołu. Rozłożyła tam sobie odda kawałek starego, brązowego w drobną kratkę pledu, a na t; strzęp żółtkłego, poprzypalanego płótna, które nazywała magio nikiem. Co pewien czas wytrząsała z wielkim łoskotem na blac szerniała duszę z żelazka, a na jej miejsce wpuszczała na pogrzebać nową, czerwoną i pałającą. Jedną po drugiej odkładała na rozposta gazetę wyprasowane, poskładane koszule.

- Zlituj się, Cesium, co też ty mówisz - broniła się łagodnie. Chyba go nie znasz! Czy on byłby mi kiedy dał wtrącić się czego?

- A widzisz, to właśnie jest najgorsze - przerwała pani Cecylia surowo. - Zawsześ mu na wszystko pozwalała i sama chyba widzisz, jakie masz z tego skutki. A dziś robisz to samo. I co? Do niczego się ten człowiek nie weźmie, całe dnie u Chązowicza, całe noce w Hotelu Polskim. Sama go do tego wszystkiego popychasz swoim postępowaniem.

Pani Posztraska miała na policzkach wypieki i od gorącej duszy, i od wysiłku, i od emocji, przykre, ciemne, koloru mięsa wypieki kobiet starych. Nie odrywała oczu od roboty, uśmiechała się winowaj-czo i ze zgorzeniem.

- Czy ja jego popycham, moja droga Cesium? Jak to ja jego popycham? Ja tylko nie chcę mu robić piekła, bo wiem, jak on sam nad tym cierpi, jak się czuje winien, jeżeli się tam kiedy da zaciągnąć i późno wraca, i czasem mnie nawet obudzi. Trudno się dziwić człowiekowi, który nie ma żadnego ujścia dla swojej energii. On przecież wie, że jego siły, jego zdolności przez to się marnują. A powiedz sama, czy w jego wieku on nie powinien mieć jakiejś emerytury? Są przecież tacy, co mają naraz i emeryturę, i posadę, a on co? Tylko, że on ma charakter niezależny, nigdy nikomu nie schlebiał, prędzej da się zarębać, niż powie to, czego nie myśli. Mówiła prędko, polubownie, usiłując jak najdalej odwlec wybuch narastającej w pani Cecylii nieżyczliwości, by zdążyć jak najwięcej uprasować tym cudzym węglem i cudzym żelazkiem.

- Maurycy, widzisz, to jest człowiek, którego nie można kupić - tłumaczyła szukając zawsze najwyższych motywów swego zaślepienia. - Czy ty myślisz, kochanie, że ci, którzy dziś doszli do stanowisk, do szczytów, to są ludzie naprawdę zdolniejsi od niego? Wcale nie, ja ci zaręczam. To są tylko ludzie, którzy wiedzieli, z kim trzymać, którzy umieli w porę kłaniać się, komu trzeba. Maurycy tego nie umie. A u nas tacy ludzie się marnują.

Pani Cecylia niepokojąco przekładała laski z ręki do ręki, jak gdyby zamierzała już się podnieść. Obie należały kiedyś do rejenta K-olichow-skiego. Rączka jednej wyobrażała głowę konia wyrobioną z kości słoniowej, rączka drugiej - srebrną i prawie nagą baletnicę. Ostatecznie pani Cecylia straciła cierpliwość.

- Moja droga - powiedziała sucho - jeszcze jedną koszulę skończ i na dziś będzie dosyć, bo widzisz, że stół jest teraz potrzebny Michalinie. A jeżeli chcesz, to ci jeszcze Ignacy zanieś na górę kubełek węgla z piwnicy. Chciała być wreszcie sama i bez współczucia patrzyła, jak pa Łucja uwinęła się prędko, zapakowała w magłownik swoje dobi i cała w serdecznych dziękczynieniach zniknęła za drzwiami. Ale po j odejściu wcale nie doznała ulgi. Opierając

się na obu laskach i burliwie opędzając od pomocy grubej Michaliny, przeszła powoli do jadalni. Była teraz sama wśród swoich ciemnych mebli dębowych ponurych i brzydkich. Nawet patrząc, nie widziała ozdabiających grubo rzeźbionych, drewnianych gruszek, jabłek i ubitych kuropatw tak od dawna to wszystko wydawało jej się jedynie możliwym tłem życia. Pomyślała, że nie ma na świecie samotności. Lucja poszła, alej cudze słowa i cudze uczucia nadal napelniają niepokojem serc. Samotność jest złudzeniem. Myśl człowieka krąży zawsze koło innych ludzi i łącząc go z ich obcym losem, który na próżno stara się odepchnąć.

Cały stosunek tej Lucji do męża pozostawał niejasny, jątrzył, nie dawał spokoju. Nie ma przecież wątpliwości, że stary Posztraski jest jej nicpoń, że Lucja jest jego ofiarą, że jej życie jest bezsensowne i niemożliwe. Ale ona tego nie wie. Jej przemiana materii jest szybsza, wątroba zdrowsza, a los pomimo wszystko szczęśliwszy.

I pani Cecylia nagle z goryczą pomyślała o Elżbiecie, która by daleko, i która zawsze przeciwko niej stawiała po stronie Lucji.

Znowu nie mogła być sama. Życie Elżbiety od razu obstało zewsząd, z mnóstwem twarzy ludzkich i spraw, z wieczną niemo-

żliwością zgody. Gieracy, Chańbowie, Gołąbscy, cały ten dom tętniący i huczący, którego Elżbieta wobec niej była rzeczniczką. Niczego nie można było się domagać, nic nie dało się uzyskać, odkąd ta dziewczyna objęła rządę. Już to, aby przynajmniej wszystko zostało po dawnemu, kosztowało panią Cecylię wiele wysiłków.

I jeszcze ten Awaczewicz. Nie mieszka wprawdzie w domu, ale jest jakby domownikiem, odkąd przychodzi stale, siedzi godzinami, zabija Elżbietę na wycieczki za miasto, na nowe filmy, do teatru, zostaje na kolacji. Pani Cecylia nie cierpiała tego człowieka; to był jeszcze jeden węzeł udręki.

Pewnego letniego rana wróciła wreszcie Elżbieta i pani Koliczowska musiała się ostro trzymać, by nie okazać swej radości. Od razu zrozumiała, że Elżbieta i tym razem nie doszła do porozumienia z matką.

Elżbieta zresztą nie przyznała się do porażki.

Na rozpytywanie pani Cecylii odpowiadała tak, jakby w każdym jej słowie węszyła potępienie. Mogła zresztą mówić, co chciała. Ostatecznie było niewątpliwe, że ta urocza Romana z Gieźłowskich Biecka, obecnie pani Niewieska, znalazła się w Vevey bez męża i że znowu tam ktoś był. Tak więc, pomimo dokładnie czterdziestu pięciu lat ukończonych, wiodła nadal swe życie kobiety "z drugiego brzegu".

Po powrocie Elżbiety od razu naturalnie pojawił się Awaczewicz. Myśl, że Elżbieta mogłaby wreszcie za niego wyjść, była nie do zniesienia. Od dawna nie żył z żoną, ale rozwodu dotąd nie miał, chociaż podobno starał się o to od dwóch lat. Elżbieta wprawdzie zawsze mówiła, że za męża wyjść nie ma zamiaru, ale takich postanowień nie można brać na serio.

Awaczewicz był zepsuty przez kobiety, dbał o swoją wędzną urodę jak niegdyś rejent Koliczowski, dawał sobie robić manicure, nosił jedwabne pończochy. Na niewielkiej jakiejś posiadłości robił minę człowieka, któremu doskonale się wiedzie, ubierał się jak z igły, polował, bywał, kupował i sprzedawał samochody, rozmaite sprawy ciągle załatwiał. Z wojska wyszedł ku swojemu i innych zadowoleniu, czymś urażony czy rozczarowany. Pani Cecylia bała się, że ten pan wytrwałymi swymi zalotami może wreszcie dopiąć celu. Zwłaszcza że Elżbieta na ogół nie lubiła towarzystwa i mało kogo widywała z tutejszych mężczyzn. Ale dowiedzieć się czegoś, a nawet mówić z nią o tym było niepodobieństwem.

Za drugą wizytą młodego Ziembiewicza pani Kolichowska zjawiała się z obiema laskami do podwieczorku i przyjrzała mu się dokładnie od stóp do głowy. Pamiętała go jako ucznia, poważnego chłopaka, który pracował i nie zajmował się głupstwami. Myślała o nim, że wdał się w matkę, nie w ojca, że coś z niego będzie. Ale ślad podświadomej niechęci pozostał z tamtych czasów: że to nie jest Karol. Że on jest tutaj, a Karol jest daleko.

Nie ufała i jemu. Od razu obliczyła sobie dokładnie dni do czasu, kiedy miał wyjechać. I w tych ramach zażęganego niebezpieczeństwa dopiero mogła na niego przystać bez goryczy. Ale przez ten niedługi czas Zenon przychodził prawie codziennie.

Niezupełnie był pewny sam, co to znaczy. Jednak całe godziny przebywania z Elżbietą po dawnemu były teraz koniecznością. Właśnie jej trzeba było opowiedzieć o Adeli w sposób nie całkiem prawdziwy, ale pomimo to szczery. Ze złożonych ówczesnych uczuć swoich wybrał i wyodrębnił głównie przyjaźń i głęboko człowiecze, patetyczne współczucie. Chcąc być mimo wszystko sprawiedliwym, idealizował Adelę. Chwalił nawet jej urodę, której wówczas nie widział, i inteligencję, którą po prostu lekcewał.

Elżbieta słuchała wrogo, pełna wewnętrznej przekory. Ale ukrywa tę wrogość nawet przed sobą, nie chciała się z nią zdradzić. Brała stronę Adeli przeciw niemu - i w tych czasami gorących sporach Zenon rozgryzał smak zwierzały dawnych scen i wyrzutów. Doznawał przy tym uczucia pobliskiego szczęścia - choć nie chciał zdawać sobie sprawy z jego niejasnej natury.

Wreszcie Elżbieta zapytała otwarcie:

- No dobrze, ale przecież ona miała rację. Ta druga kobie istniała, tak?

Musiał odpowiedzieć, że tak - chociaż psuło mu to kosmicznie, niejako nadprzyrodzony, charakter minionych udręczeń.

Zobaczył na jej twarzy pochmurny gniew. Nagle serce zaczęło mu bić powoli. Był olśniony, cały przejęty wzruszeniem.

- No więc - powiedziała zmienionym głosem. Urwała i odetchnąszy dokończyła: - Teraz rozumiem.

Jakby jeszcze raz uzyskać pragnął przebaczenie, wysuwał wątpliwe argumenty.

- Cóż, to przecież nie miało znaczenia. Ja byłem wolny. Ona wiedziała

- Wszystko ma znaczenie - przerwała mściwie. Sama nie chciała teraz mówić o sobie. Mogło się zdawać, że nie miała nic do ukrycia. Jak tajemnicę zwierzyła mu raz taką rzecz:

- Dawniej zawsze, zanim zasnąłam, wyobrażałam sobie jakiś mały nie bardzo jasny pokój jadalny. Nie taki jak tutaj, właściwie żaden z tych, jakie widziałam kiedykolwiek. Mały i nawet ubogi, z jedną lampą wiszącą nisko nad stołem. I koło tego stołu siedziała moja matka, ojciec i ja z nimi razem we troje. To nie było wspomnienie, bo byłam bardzo mała, kiedy dostałam się tutaj, do ciotki. To było tylko wyobrażenie. To sobie wyobrażałam jako szczęście.

Zenon mógł wiele powiedzieć o tym szczęściu.

- I to minęło dopiero wtedy, kiedy umarł mój ojciec - dokończyli - Rzecz, która mogła być i nie była nigdy.

- Ale - dodała zaraz - w tym jest wstrętne, dziecięce egoizm. Bo nie liczymy się wcale z tym, ile innych może kosztować to, co się nam wydaje naszym tak naturalnym prawem. Ile w tym może być nie wiem jakich przymusów, nie wiem jakiego zła. W tym wszystkim, co zastajemy jako gotowe. Strach pomyśleć, z ilu cudzych cierpień i poniżeń składa się czasami takie "szczęśliwe dzieciństwo".

Zenon rozważał, kiedy dla niego było ono szczęśliwe. Przypominał sobie wieczory przed zaśnięciem w ciemnym pokoju w Witkowie, jeszcze na długo przed Boleborzą. Wiedział już, że nie ma duchów ani diabłów, że nic się nie stanie. "No tak, ale gdyby jednak przyszedł diabeł" - myślał i na tę myśl omdlewał ze zgrozy. "Naturalnie, że to jest niemożliwe, ale gdyby przyszedł..." W tych dziecinnych, nikomu nie wiadomych nocach udręki jedno było ulgą: że jest ojciec. Ojca można zawołać na pomoc. Ojciec się nie boi. Już on będzie wiedział, co robić, on się z tym strasznym rozprawi, to jego rzecz. On się na pewno nie boi. Bo gdyby i on się bał, jakże można by znieść noc i ciemność. Musi być ten ktoś jeden, kto się nie boi, kto może osłonić przed ciemnością, w której jest wszystko straszne i niepojęte, przed całą nocą świata. Czy nie dlatego Bóg nazywa się Ojcem?

Zagadnienie Boleborzy w życiu Zenona znalazło sobie ściśle to samo miejsce po drugiej stronie osi symetrii, co dom na ulicy Staszica w życiu Elżbiety.

Ponieważ nie mówiła o tym sama, zapytał ją raz surowo, co znaczy ten Awaczewicz.

Zobaczył z drapnięciem w sercu, że się zaczerwieniła.

- Jeśli pani nie chce, to niech pani nie mówi. Nie mam przecież żadnego prawa tego żądać.

- Tu nie ma nic do ukrywania - oświadczyła po namyśle. - Mogłaby to być przyjaźń, ale nie jest. Bo nie ma między nami żadnego psychicznego porozumienia. Taki nawyk od lat.

- Czy on się w pani kocha?

- Nie - odpowiedziała zaraz. I jeszcze po chwili powtórzyła: - Nie.

- Jednakże przychodzi tutaj, rozmawia z panią, gdy mnie nie ma. Siedzi i rozmawia. Tak?

- No tak! Ale opowiada mi, jak się kocha w innych kobietach. Czy właściwie, jak się od nich opędza.

- To bardzo miłe - powiedział Zenon. - Bardzo miłe.

Umilkł urażony i myślał, co ma zrobić. Oto nagle wymykała mu się w niezrozumiały, obrzydliwy sposób. Od początku chciał ją o t zapytać. Teraz nagle ujrzał, że nie docenił tej sprawy, że się w swe nieuzasadnionej ufności przerachował. Był pewny, że nie jest szczerą i nie mógł znieść odkrycia, że się już teraz na niej zawiódł. Pomyślał, że jest "jak wszystkie" - chociaż nie wiedział sam, co to znaczy.

- Pani mi nie mówi prawdy.

- Teraz nic nie ma - powtórzyła niechętnie. - To jest moja dawna moja pierwsza nieudana miłość. Och, bardzo nieudana. Jeszcze z tam tych czasów.

- Z jakich czasów?

- Kiedy byłam na pensji.

- Wtedy kiedy ja tu przychodziłem?

- Tak. Ale rozczarowałam się prędko.

- Wtedy - powtórzył i wstał. Nie mógł z nią zostać ani przez chwilę dłużej. Był przejęty głęboką odrazą i upokorzeniem. Nie znał do tego uczucia. Wydało mu się nie do wytrzymania.

- Dziękuję pani za wszystko, za wszystko - powiedział. - Alf widocznie się omyliłem...

Elżbieta wstała też, zmieszana.

- Co to znaczy? - spytała i roześmiała się niezręcznie. - Czy to ma być zazdrość?

- Tak, niestety, to właśnie jest zazdrość. Bo ja nie kochałem się dotąd w nikim oprócz pani.

Wyciągnęła rękę, by go zatrzymać - i ten gest nagle odkręcił w nim wszystkie uczucia.

Całował ją po czole, po włosach i oczach z najgłębszą, szaloną tkliwością. Mówił do niej: "Ty

droga, ty kochana" - i nie mógł wcale uwierzyć, że jest taka cienka i giętka, że jest rzeczywista i dobra.

Tego jeszcze wieczora powiedział jej o Justynie. Mówił ściśle tak, jak ta sprawa wyglądała teraz w jego oczach. Gdyby nie nuda i depresja, która ogarnia go zawsze w domu rodzinnym, nie byłby na pewno uległ tej letniej pokusie. Należała jeszcze do kompleksu boleborzańskiego, który zawsze usiłował w sobie zwalczyć, z którego już dziś na zawsze się wyłamał.

- Czy to jest zerwane? - zapytała.

- Było zerwane, zanim tu wszedłem, zanim jeszcze... Siedział u jej nóg na ziemi, jak kiedyś pragnął, przyciskał twarz do jej kolan i za oboje postanawiał, że będą sobie zawsze mówili tylko prawdę.

Sprawę Justyny w swym życiu uważał za przekreśloną równie bezpowrotnie i ostatecznie, jak sprawę Adeli. W rzeczywistości zaś i to, i tamto trwało jeszcze, tylko zakwalifikowane inaczej. Z tego samego materiału budowało się teraz nowe uczucie, karmione przewyciężonym cierpieniem i przewyciężoną radością. Ich rozstanie się na długie miesiące było ciężkie. Wmówili sobie jednak, że to nic nie znaczy, że nic między nimi nie może się zmienić. I w udreće, którą czytali nawzajem w swoich oczach, znajdowali na nią najgłębsze pocieszenie.

Nie powzięli żadnych postanowień, nie przyjęli na siebie żadnego zobowiązania. Tym głębiej jednak sięgała wzajemna niezachwiana pewność.

W rok później odbył się ślub Zenona z Elżbietą. Ale przedtem między Elżbietą i Justyną miała miejsce owa pamiętna rozmowa, która w późniejszym rozwoju tragicznych wypadków odegrała niewątpliwie dużą rolę.

9

Tego roku na wiosnę Bogutowa rozchorowała się tak ciężko, że doktor z Chązebnej już nie mógł jej poradzić, musiała jechać do miasta na operację. Pani Ziembiewiczowa sama przyszła do izby za kuchnią, żeby się z Bogutową pożegnać, i dała jej pensję za sześć miesięcy, a resztę obiecała przysłać do miasta, jak tylko Justyna napisze jej adres, gdzie mieszkają.

- Ani jeden grosz wam u mnie nie zginie - powiedziała. - Bogutowa może być spokojna. A na kolej dostaniecie bryczkę, żeby wam było wygodnie jechać.

Bogutowa pani podziękowała i pocałowała ją w rękę.

Wszystko, co miały, Justyna zapakowała do jednego dużego plecionego kosza, docisnęła trzeszczące wieko, przez kółka przesunęła gruby pręt żelazny i zamknęła na kłódkę. Na drogę wzięła do małego koszyczka chleb z serem i herbaty w butelce, a poduszkę i chustkę mocno skręciła osobno i obwiązała sznurkiem.

Zaraz po obiedzie przed kuchnię zajechała bryczka zaprzężona w dwa gniade konie fornalskie, z prawej większy i chudy, z lewej mniejszy, tłusciejszy. Fornal Józef założył duży kosz na kozioł i pomógł Bogutowej wejść na siedzenie. Parę dziewczyn pokazało się przed kuchnią i każda życzyła Bogutowej szczęśliwej drogi i prędkiego wyzdrowienia. Józef wskoczył na

bryczkę po kole, usiadł przy koszu bokiem i uderzył batem grubszego konia, który był leniwy,  
1

Koło zabudowań i między opłotkami za ogrodem przejechali prędko, ale zaraz droga zrobiła się piaszczysta, konie poszły stępa i zaczęły się grzać. Słońce ostro świeciło nad polami, chude żyta, pełne bławatków, stały bez ruchu, koła szorowały w piachu i gęsty kurz buchał kłębami spod bryczki. Justyna coś sobie przypomniała i obróciła się, żeby popatrzeć na Boleborzę. Ale nie zobaczyła nic, ani dworu, ani podwórza, tylko same drzewa. I dopiero teraz zrobiło jej się przykro.

Jazda wydawała się ciężka i długa, chociaż do kolei była niecała mila. Bogutowa dostała na drogę proszek od bólów, ale poty ją oblewały, było jej to zimno, to gorąco. Miała na sobie czarne palto, dobrze ciasne, i czarną koronkową chusteczkę na głowie, ale nim dojechały, wszystko na nich zrobiło się białe od kurzu.

Na stacji przesiedziały parę godzin, bo pociąg szedł dopiero w nocy, W wagonie Justyna zezuła matce buty, wypakowała poduszkę i rozłożyła chustkę na ławie. Bogutowa położyła się wygodnie, wzięła jeszcze jeden proszek i popiła zimną, słodką herbatą, która miała smak rozmoczonego korka. Zrobiło jej się przyjemnie i jak wagon ruszył, myślała, że zaraz zaśnie. Ale zasypiała tylko na chwilę, różne rzeczy jej się wydawały niby sny, niby prawda na przemiany. Justyna zamknęła okno, żeby nie wiało, i siadła przy matce w kąciaku, w nogach. Było prawie ciemno, obcy ludzie siedzieli naprzeciwko i drzemali. Spod podłogi słychać było wielkie huki, niby wystrzały i pioruny, tak się ten pociąg rwał, tak stękał i walił przez tę noc, jak coś żywego.

Było wiadomo, jak zwalniał, dojeżdżał do jakichś stacji, gwizdał w ciemności, natrafiał na zwrotnicę. Cała ławka przesuwiała się ku nogom Bogutowej, poduszka cisnęła mocno na głowę, jak czyjaś ręka A zaraz potem ciągnęło ją znowu ku górze, jakby siedząca Justyna popychała ją w nogi na dawne miejsce. Wszystko uspokajało się na chwilę, cichło, później rozlegały się różne głosy i nowi ludzie wchodzili trzaskając drzwiami. Chcieli, żeby im ustąpić miejsca. Wtedy Justyna operację. Bogutowa słyszała i rozumiała każde słowo, ale wciąż jej było dziwnie, że to się o niej tak mówi, że to ona sama jest ta chora kobieta, a nie kto inny. Ludzie odchodzili dalej, ciągnąc swoje tiumoki, a pociąg znowu zaczynał się ruszać i szamotać, łoskotać i dudnić.

Chwilami się jej zdawało, że to już może koniec na nią przyszedł, i martwiła się o Justynę, co ona będzie robiła na świecie, czy sobie sama poradzi. Myślała tak, ale była spokojna i dobrze jej było tak leżeć w tym huku i trzęsieniu, jakby to było własne, ciche i ciepłe mieszkanie. Czowała ciągle ból w brzuchu, tylko że jakoś nieprawdziwie, niby obok siebie. Jak gdyby tu kto drugi na jej miejscu leżał, nie ona, i czuł to wszystko, jak gdyby to tego drugiego bolało. Chciałaby, żeby się ta jazda nie tak prędko skończyła, żeby nie trzeba było wstawać i nigdzie iść, tylko tak ciągle jechać i drzemać.

Kiedy zaczęło świtać, zrobiło się nieprzyjemnie. Justyna powiedziała, że już dojeżdżają. Oduła matkę, zapakowała poduszkę do chustki i związała. Wszyscy zaczęli się ruszać i pociąg stanął. Justyna wzięła w jedną rękę tiumok i koszyczek i zaprowadziła matkę do poczekalni, a sama poszła odebrać duży kosz z bagażu. Siedzieć na ławce było Bogutowej bardzo ciężko, ale nie wiedziała, czy może się tutaj położyć. Kręciło jej się w głowie, a kiedy spojrzała naokoło, na ścianę, na jakichś ludzi przy bufecie, wszystko ruszało się z góry na dół i ciągle zostawało na miejscu. Przymknęła oczy, żeby tego nie widzieć, i usłyszała, jak Justyna mówi,

że już rzeczy są na dorożce, że trzeba iść. Myślała, że nie wstanie, że to jest niemożliwa rzecz - i wstała, i poszła, ale ją już prowadziła Justyna z jednej strony, a z drugiej tragarz. I tak ją oboje wsadzili do dorożki.

- Jak też to mama zesłała przez tę drogę - dziwiła się Justyna. Bogutowa jechała przez miasto, w którym kawał życia przesłużyła, i nie poznawała żadnego domu ani żadnej ulicy. Chwilami robiło się jej straszno, jakby to wszystko była nieprawda, jakby jej się to wszystko śniło.

Do szpitala ledwo się dodzwoniły. Człowiek, który otworzył, zaraz powiedział, że nie ma miejsca. Dopiero jak Justyna wyjęła z torebki kartkę od chązebiańskiego doktora, uwierzył i kazał czekać, bo o tej porze jeszcze wszyscy śpią. Ale rzeczy nie pozwolił wnieść.

- Czy mama poczeka tutaj sama? - spytała Justyna i popatrzyła na matkę niespokojnie. Bogutowa nic nie powiedziała, tylko schyliła głowę. I Justyr musiała ją zostawić, żeby zawieźć rzeczy do Jasi Gołąbskiej, bo n mogły stać na ulicy.

W poczekalni na ławce Bogutowa jeszcze raz została sama. Przypięła jej się, że akurat dwadzieścia lat temu wychodziła z tego szpitala na świat, jak jej się urodziła Justynka. Ale i to zaraz przestało być prawdziwe. Czowała mdłą, okropny zapach szpitalny, widziała przy swoich nogach kamienną, układaną w kwadraty podłogę i pomyślała, że już nie może być gorzej, jak tu być i czekać, że już lepi umrzeć. Nagle kamienne kwadraty powiększyły się ogromnie, podeszły, podeszły do góry, a Bogutowej zrobiło się mdło i strasznie. Poczowała, że zaraz zwymiotuje na tę podłogę, i straciła przytomność.

Kiedy wróciła Justyna, ten sam człowiek nie chciał jej wpuścić do szpitala, jak obcej. Ale tak płakała i prosiła, że ustąpił i nawi powiedział, jak ma iść. Justyna poszła szukać matki na oddział wewnętrzny i tam się dowiedziała, że ta chora, którą w nocy przywieźli ze wsi, już jest na sali operacyjnej. Człowiek cały w białym fartuchu jak kucharz, zaprowadził ją na jakiś korytarz i kazał tam czekać. Przechodziła gruba siostra w habicie i ogromnym białym czepie i zapytała ją, co tu robi.

- Dlaczegoście ją tak późno przywieźli? - powiedziała surowo. Justyna nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, żeby jej nie rozgniewać i tylko spytała, czy mama jest bardzo chora.

Zakonnica wzruszyła ramionami, nie patrząc na nią.

- Na wsi zawsze czekają do ostatniej chwili i przywożą do szpitali jak już jest za późno. Trzeba było doktora w nocy budzić.

Justyna miała taki strach w sercu, że nie śmiała o nic więcej zapytać. Stała na korytarzu, patrzyła na drzwi i myślała, co też tam oni z matką robią za tymi drzwiami.

Podeszła bliżej i nasłuchiwała, czy matka nie krzyczy, jak ją kraj? Ale nic nie było słychać, ani głosu, ani ruchu, jakby tam w środku nie było żywego człowieka.

Pomyślała, że już matki nigdy nie zobaczy, że ją tamci ludzie po cichu zamęczą. Znowu poczuła w sercu ten okropny, zimny strach. Powoli zaczęła sobie wyobrażać, co z nią będzie, jak zostanie sama, w świetle. Co zrobi, jak matka naprawdę umrze? Uczuła, że płyną jej łzy po twarzy, i myślała dalej, co zrobi. Naprzód poleci do Jasi Gołąbskiej, pierwszej o wszystkim opowie. Mój Boże, jak też ta Jasia teraz wygląda, jak stara kobieta, w takiej biedzie, mąż ją zostawił i poszedł nie wiadomo gdzie. Kosza i tłumoka nie było gdzie postawić, tak tam mieszkają, ani kawałeczek wolnej podłogi. Zaniepokoiła się, że rzeczy zostawiła obok ich mieszkania, w sieni, bez żadnego zamknięcia, przecież mogą teraz wszystko rozkraść. Gdzie się podział Franek, wcale go tam nie widziała, a słyszała, że

mieszkają razem. Zaciekawilo ją, co powie Franek, jak się dowie, że ona teraz jest w mieście, czy się ucieszy...

- Matko Boska, o czym ja głupia myślę - przerwała z przerażeniem. I rzeczywista chwila obstała ją od razu ze wszystkich stron. Znowu słuchała i znowu za drzwiami była cisza śmiertelna.

Czasem jakiś człowiek przeszedł przez korytarz i każdy przechodząc na nią patrzył. Bała się już teraz ich pytać, tylko powtarzała w myśli:

"Boże, Boże." Myślała, że to już koniec świata na nie obie nastał, że już nie ma żadnego ratunku. Jeszcze jakiś przechodził w białym fartuchu i powiedział, że nie wolno tu stać, żeby poszła do poczekalni. Udała, że idzie, ale jak tamten poszedł, znowu wróciła pod te drzwi. Była tak zamyślona, jakby na stojący zasnęła. I kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, odskoczyła od nich nieprzytomnie, nie rozumiejąc, co się stało.

Wyszło ich kilku, złych i prędko mówiących. Najstarszy, z łysą głową, doktor, jakby się od nich opędał. Obok niego szła zakonnica:

- Do samej tej chwili puls był dobry - mówiła prędko. - Słaby, ale dobry... Starła się jakby przebłagać za coś doktora, coś jeszcze uratować.

- Od razu było widać, że to beznadziejny wypadek - takim samym tonem mówił ktoś drugi. - Przywożę w ostatniej chwili...

- To córka tej kobiety.

- O Jezu, Jezu, mama nie żyje! - krzyczała Justyna. Doktor odwrócił się, popatrzył i poszedł dalej. Przy Justynie stała siostra i trzymała ją za ramiona.

- Cicho, dziecko, cicho, nie można tak krzyczeć - powtarzała odciągając ją gdzieś dalej. I pytała, gdzie mieszka, czy ma tu jaką rodzinę.

- Nikogo nie miałam - zawodziła Justyna - tylko tę jedną mamę. Same byłyśmy na świecie. Wydarła się z trzymających rąk zakonnicy i wpadła do dziwnego straszego pokoju. "Może jeszcze żyje, może jeszcze trochę żyje - myślała. Zatchnęła się od duszącego smrodu eteru i chloroform. Ciało leżało na żelaznym stole pod białą płachtą. Wszystko powalał było krwią i w kubie były jakieś rzeczy pełne krwi. Odjęła ze strache płótno z głowy, pocałowała matki twarz. Była ciepła jeszcze i miękka ale inna, niż gdyby spała. Wygarnęła grubą, białą rękę spod prz ścieradła i ręka też była ciepła i miękka, ciężka i bezwładna, każde palec opadał osobno. Ktoś tu sprzątał nic nie mówiąc. Dwaj pi sługacze weszli we drzwi z czymś drewnianym, jak długie taczki i kijach, postawili to na ziemi i przystąpili do matki. Prędko, bez słów wzięli ją, jeden pod plecy, drugi pod nogi i, zakrytą, położyli c drewnianego pudła. Justyna podetknęła pod głowę umarłej troct prześcieradła i szła za tymi ludźmi przez korytarz, przez schody, przez ogródek z ławkami i dziedziniec aż do drzwi trupiarni, gdzie jej znó nie dali wejść. Ale zobaczyła, że tam było więcej umarłych, leże rzędem wysoko na deskach, widać było ich gołe podeszwy z podgiętymi, krótkimi palcami.

Postała jeszcze pode drzwiami, póki ci ludzie nie wyszli niosąc pusi nosze. Wtedy trochę odeszła i siadła na ławce blisko dziedzinę;

Chciała płakać, ale łzy nie szły, tylko stały w gardle, twarde i suche

Było wczesne rano, pogoda. Zawiewał lekki chłodek, cały świc wyglądał spokojnie, jakby nic takiego się nie stało. Justyna zamknęła oczy, piekły ją powieki i mocno bolała głowa.

Pomyślała, że jescz wczoraj o tej porze były obie w Boleborzy i mama jeszcze była żywi. Przypomniała sobie, jak jechała przy niej na bryczce, jak spokojni drzemała w wagonie.



Wydawało się jej, że jeszcze jedzie, że tak siedzi przy mamy nogach na ławce wagonu, budzi się i zasypia. Zjawily się jakieś twarze nieznanomych ludzi, zrobiły się paskudne i zniknęły) Potem ktoś powiedział w niej samej: "Prędko, prędko, prędko" i także znikł.

Gdy się ocknęła, zobaczyła, że siedzi przy niej na ławce ta sama zakonnica w białym czepcu na głowie, i bardzo się zdziwiła. W ogród ku pełno było słońca. Po ścieżce, pod niedużymi zielonymi drzewami chodzili ludzie w jednakowych niebieskawych chałatach. Niektóra stawali i rozmawiali.

- Zasnęłaś dziecko - powiedziała siostra i uśmiechnęła się. Nie byli jeszcze stara i wyglądała na dobrą kobietę. Spytała Justynę, czy ma trochę pieniędzy.

- Pogrzeb musi być prędko, bo upał i ciało się psuje. Jakbyś teraz zaraz poszła po trumnę, to ciało jeszcze na noc będzie ustawione w kaplicy.

Justyna poczuła zimno w środku i zaczęła płakać. Teraz dopiero zrozumiała, że to wszystko jest prawda. Obróciła się i płacząc patrzyła na trupiarnię, nieduży budynek z drzewa i bez okien.

- Jesteś taka młoda - powiedziała zakonnica. - Pan Bóg cię pocieszy.

Justyna zaprzeczyła głową. Wiedziała, że już nic jej nie pocieszy nigdy, że matka nie ożyje i ona już na całe życie będzie sama.

Podniosła się i poszła, gdzie jej powiedziała zakonnica, do stolarza, który zaraz niedaleko szpitala miał sklep z gotowymi trumnami. Stamtąd musiała znowu iść zamówić karawan, żeby był jutro raniutko przed szpitalną kaplicą. Później wróciła na ulicę Staszica do Jasi Gołąbskiej, powiedziała jej teraz już naprawdę o swoim nieszczęściu i poprosiła, żeby poszła z nią razem na cmentarz wybrać miejsce na grób.

Gołąbska zrobiła porządek koło starej Borbockiej, a potem wyniosła na podwórze swoją małą i zapowiedziała, żeby się grzecznie bawiła. Justyna dopiero teraz spostrzegła, że dziewczynka nic prawie nie widzi.

- Co to jej się zrobiło z oczami? - spytała.

- Z tej ciemnicy - odpowiedziała Gołąbska. - No i nerwy, odżywienie, to wszystko na oczy pada.

Od ulicy Staszica do cmentarza było chyba ze trzy wiorsty. Szły i szły. Justyna myślała, że nie dojdzie. I Gołąbskiej także było aż słabo od gorąca. Mówiła, że taka nagła śmierć jak pani Bogutowej to najlepsza dla człowieka, przynajmniej siebie i drugiego nie umęczy. Jej matka już drugi rok się morduje, po nocy stęka, co i raz to się poruszy, nie można ani spać, ani nic. Koło siebie sama niczego nie robi, trzeba po niej wynieść, uprać, wszystko oporządzić. Że czasami to już i życie niemiłe.

- Jak starego człowieka Pan Bóg zabierze, to jest jego prawo umrzeć. Ale jak dziecko umiera, to gorzej żal. Na cmentarzu wybrały tanie miejsce, puste i gołe, dalekie od bramy i od kościoła. Justyna myślała, że mamie tu nie będzie dobrze, i znów zaczęła płakać.

- Umarłemu to jest wszystko jedno, gdzie leży. Czy tu, czy tam, pod ziemią w dole nie ma różnicy - pocieszyła ją Gołąbska.

Poszły potem w drugą stronę cmentarza i Jasia znalazła tam niedużo groby swoich dzieci. Nie była całkiem pewna, ale tak jej się zdawało, że to tu. Prawie wszystkie groby były jednakowe, mało który miał krzyż na sobie. W piasku rosła wyżółkła uschła trawa.

- Ten drugi - mówiła - to od małego był cały słabowity. Kto zobaczył, to każdy powiedział, że to jest dziecko do wymarcia. P. Stefanek dobrze się chował. Chorował ciągle i zawsze wyszedł,

ta miał mocny organizm. Już mu było na ósmy rok, jak z niczego dosi tej gorączki. Jeden dzień czterdzieści stopni, drugi dzień czterdzieści stopni, zrobił się całkiem niewładny, co się do niego mówiło, rozumiał. Doktor z Opieki przyszedł i mówi, że to dziecko zapalenie płuc i żeby go zaraz wziąć do szpitala. A w szpitalu dokt pyta: "To panine to dziecko?" Powiadam, że moje, a on domnie mówi: "Niech go pani zabierze do domu, niech ono skona spokojnie podobno się nie poznali, że to było zapalenie mózgu. Więc go wzięła na powrót i przywiozłam do domu. Zaniemówił, oczy w kole, patrz przed siebie i nie widział. Całą noc tak wył jak pies, aż lud z kamienicy przysyłali, żeby ucichł. W ciężkich męczarniach skonał. Na chwilę uklękły na ciepłym piasku i pomodliły się. Ale wstały, I Justynie było spieszo, żeby jeszcze mamę zobaczyć, jak ją będą kłaść do trumny. Gołąbska trochę pogrzebała w trawie na grobie, odrzuci na ścieżkę parę suchych patyków i popatrzyła na to miejsce.

- Szczęśliwa jestem, że mi te dzieci umierają - odezwała się na zamyślona. - Pan Bóg wie, co robi. Jak ja bym sobie dzisiaj z czwac giem radę dała.

- Co też Jasia mówi, co Jasia nie myśli - upomniała ją Justyn I pocałowała jej mokry od łez, wpadnięty policzek.

Zawróciły do miasta. Justyna chciała myśleć o matce, chciała soh dobrze przypomnieć, że już jej nie ma, że jest teraz sama na świecie. Ale wciąż jej coś przeszkadzało. Chudy koń ciągnął ulicą wóz z cełami i nie mógł dać rady pod górę, aż się obejrzała, czy wyjedzie. Zań potem przeleciał prędko wielki samochód z panem i panią i przysz jej na myśl, czy to czasami nie jest samochód z Chązabnej. W dół bliżej placu Narodowego, zaczęły się większe kamienice ze sklepami i ludzi było gęsto na ulicy. A jeszcze przez całą drogę Gołąbska mówiła o swoich sprawach.

- Od kiedy ten mój mąż ukochany ode mnie uciekł, to co mam robić, sama już nie wiem. Chodziłam i ja wszędzie, jak każdy, ale co z tego? Nic. Co się tam dzieje rano przy magistracie, to strach. "Co to pani myśli, że pani jedna?" Siedzą tam sobie przy stolikach, pensje biorą, to co ich ludzie obchodzą. Niedawno dwóch przy mnie zemdląło z głodu, jak czekali w kolejce - to co im do tego? Pogotowie ich zabrało i już. Będzie mniej. I prawda, różnych rzeczy na świecie jest mało, ale ludzi to zawsze dosyć.

Roześmiała się na głos nie wiadomo z czego i dodała:

- Już tam teraz nawet nie chodzę, nie warto się na próżno mordować. Kto na mnie spojrzy i tak mnie do roboty nie weźmie. Każdy mówi: gruźlica, i już.

Weszły do domu i Justyna wypakowała najlepszą matki suknię, czarną z aksamitem na przedzie i przy rękawach. Jeszcze Jasia z nią poszła do szpitala i razem we dwie umyły i ubrały Bogutową do trumny. Ciało już zeszywniało, ręce nie chciały się dobrze zginać i Justyna poszła do zakonnicy po nożyczki, żeby rozciąć z tyłu stanik. Zdążyły akurat z tą robotą, jak przynieśli od stolarza trumnę. Ludzie przenieśli ciało z trupiarni do szpitalnej kaplicy jak bądź, raz nogi, raz głowa była niżej. I Justyna myślała, że to już nie jest ona, ta sama jej matka, już to jest coś, co można tak zamknąć wiekiem i tak nieść jak jaką rzecz. Cały ostatni dzień zeszedł Justynie na chodzeniu. I więcej myślała o wszystkim, co ma zrobić, niż o matce. Dla niej to robiła, a jej nic już z tego nie przyszło. Jak wszystko popłaciła, to się przekonała, że pogrzeb musi być bez księdza, że już na to nie starczy. I to ją także zasmuciło, choć i to dla matki było wszystko jedno.

Od wczoraj Justyna nie pomyślała, żeby co zjeść. Zimno jej było w środku i tak się w niej wszystko trzęsło, jakby była chora. Różne myśli ją oblegały, głównie o rzeczy, żeby ich kto

nie ukradł w piwnicy, a także, że u Jasi nie będzie mogła zostać, najwyżej na jakie dwie noce, bo nie ma u niej ani miejsca, ani nic. Dziwiła się, że tym ludziom aż na to przyszło, na taką biedę, nawet jeść co nie mają.

- Wszystko było dobrze, póki jeszcze Franek pracował - mówiła Jasia - bo z tego chłopaka jest dobry brat i dobry syn. Ale się i 01 popsuje bez roboty, już ja to widzę. Już się i o niego policja wzięła. przepytują.

Justynie z całych pieniędzy zostało tylko parę złotych i za to z Jasi kupiły ćwierć kilo mięsa, słoniny i kartofli. Dawniej Gołąbska do stawała z komitetu dwa obiady, ale teraz wydają tylko jeden. I tym jednym obiadem muszą się we trzy z matką i z małą najeść na cały dzień. A to już ostatni miesiąc, bo zapowiedzieli, że od pierwszego przestaną wydawać.

Mieszkanie Gołąbskiej było na samym końcu piwnic i trzeba było przejść niziutkim, ciemnym korytarzem pod całą kamienicą, żeby tam dojść. Justyna szła za Jasią z przykucniętymi kolanami i nachyloną głową i aż ją poty oblały za strachu w tej ciemnicy. Jak tu dziś rano pierwszy raz przyszła, to się zdziwiła, że można tak mieszkać. W pokoiku czuć było naftą i dymem, mała lampka paliła się na ścianie - blisko przez cały dzień. Koło łóżka ledwo się można było przecisnąć. Tylko przy samych drzwiach było trochę miejsca i tam stał piecyk, kubel z wodą i drugi kubel na pomyje, a obok małe krzesło z oparciem dla małej, która jeszcze sama nie chodziła. Nad kubłem wisiało na ścianie ubranie, owinięte prześcieradłem od kurzu i sadzy, która leciała z rury, kiedy piecyk dymił. W drugim rogu wysoko było okienko z żelaznymi prętami. Do tego okienka szły zrobione jakby schody z desek, czysto wyłożone gazetą. Nisko stały garnki, szklanki i talerze, a na najwyższej desce pod oknem dwie doniczki z kwitnącą „panną młodą”, która nie lubi za dużo światła. Justyna usiadła wysoko na brzegu łóżka, obok chorej pani Borbockiej, patrzyła na Jasię, jak się uwija w tej ciasnocie. Aż ją zemdlilo od swędu słoniny, która zaczęła strzelać na piecyku. Taka była głodna.

Gołąbska dała jeść matce do łóżka, nakarmiła małą, a dla siebie i Justyny ustawiła talerze na krzeselku i śmiała się, że się już dawno wszystkie tak nie najadły.

- Weź, weź jeszcze, Justynko, boś głodna - częstowała ją grzecznie. Ale od ostatniej resztki mięsa odkroiła dobry kawałek i dodała małą, żeby zjadła.

Potem na krzeselku postawiła miskę i zmywała statki, a Justynie dała ścierkę do wycierania.

- Szczęśliwa jestem - mówiła swoim grubym głosem - że już ten łajdak naprawdę poszedł.

Przynajmniej mam spokój i nikt mi po pijanemu w mieszkaniu krzyków nie wyprawia.

Kobieta to jest głupia. Po co jej iść za męża, co ona z tym chłopem użyje? Tylko żeby te dzieci jedno po drugim umierały. Zmarnuje się, zdrowie straci. Czy jej to potrzebne?

Pani Borbocka jak zjadła, zaraz zaczęła drzemać. Nie odzywała się nic, tylko czasem sieknęła, otwierała oczy i patrzyła to na Justynę, to na córkę. Może już i niewiele co rozumiała z tej ciągłej choroby.

- Ale kto mógł myśleć, że to jest taki łobuz, wcale niezdatny na męża, czy on wtedy na to wyglądał? Z początku udawał dobrego. Jeszcze nawet jak tę posadę stracił i to się zawsze starał, był spokojny, nie pił, gdzieś dorywczo zarobił. Dopiero jak się zadał w tę szajkę, pokazało się, co za człowiek. Gdybym nie była głupia, (Boże byśmy i do dzisiejszego dnia siedzieli w Chązabnej. Może by i tatuś nie był umarł.

Nie przestając mówić nalała na szmatkę trochę wody z buteleczki, uklękła przy małej i przemyła jej tą szmatką oczy. Dziecko wyrywało się i płakało.

- Widzisz jaka jesteś niegrzeczna. Żebyś nie płakała, toby cię oczki zaraz przestały boleć. Wzięła małą z krzeselka, rozebrała, wysadziła na kubek i podeszła z nią do łóżka.

- Niech no się mama trochę posunie - powiedziała. Poklepała poduszkę z boku, odchyliła kołdrę i położyła dziecko obok chorej.

-Przeżegnaj się grzecznie, o tak. I śpij, no śpij, nie marudź.

Przykręciła lampkę, że ledwo został mały płomyczek, i zaczęła się rozbierać po ciemku.

- Co tej małej z tego, że grzecznie będzie spała albo że się przeżegna

- pomyślała Justyna. - I tak, tylko patrzeć umrze jak tamte. Świata już nie widzi.

- Łobuz, nawet nie ma mowy - mówiła teraz Jasia. - Wykolejeniec z życia, w tę bandę oszustów należący. Co oni nie wymyślą, takie kanciarze. Brali zamówienia na portrety z fotografii albo na prenumeratę, po siedem złotych od książki. A wszystko na oszustwo. To ile oni mieli pieniędzy. Boże kochany! Pił z nimi i sam się zrobił potajemny oszust. Całe życie skądś te pieniądze bierze, zawsze coś wycyгани, do domu, jak się należy, nie przyjdzie, w szynku gdzie pije. Justyna nie widziała dobrze twarzy Jasi. Miała doły w oczach i pc nosem, jak trupia główka.

- Jak nie ma gdzie ukraść, to do tego stopnia już przyszło, że zbiei na pogrzeby i za życia ludzi chowa. Powie, że mu żona umarła, że n ma na trumnę - i zawsze mu kto co da. Ma sumienie na pogrzet żywych zbierać! Mamę to już dwa razy pochował. Potem taka jedr pani, co ją naciągnął, tu do mnie przychodzi i widzi, mama leży, n umarła, to pyta się, co to znaczy. Z takiego rodu nie wychodzę, żebym ja kłamała. Mówię jej: "Oszust jest, proszę pani, i już złodziej, tylko g oddać do policji, niech gnije w więzieniu."

Ucichła na chwilę i potem powiedziała:

- Ale w więzieniu go nie ma, chodziłam się dowiadywać. Ai w więzieniu, ani w policji, ani nigdzie. Widać poszedł gdzie w inr strony, gdzie go tam nie znają. Uciekł.

Gołąbska wstała i znowu wykrciła lampkę, aż się zrobiło całkiei jasno. Wyszła na stopień, zamknęła okienko, żeby się mała w nocy ni przeziębila, i zrobiła Justynie miejsce w nogach łóżka. Justyna wyjęł poduszkę i chustkę z tłumoka, posłała sobie i jakoś się tam zmieściłc. Wtedy Gołąbska zgasila lampkę na dobre, napiła się jeszcze p ciemku wody i weszła do łóżka z brzegu.

Przed zaśnięciem Justyna zobaczyła znowu jakieś małe, niepraw dziwe twarze i śmieszne figurki ludzkie. Pokazały jej różne min i znikły. Przez sen czuła nogi Borbockiej, słyszała jej stękanie. Obudzi ła się w nocy, było gorąco i duszno. Bolały ją wszystkie kości, ale bał się rozprostować. Przyszło jej nagle do głowy to, co Jasia mówiła, ż starych ludzi prawo jest umrzeć. Dlaczego? Chyba jej nie szło o ti trochę jedzenia i robotę przy rodzonej matce. Ale może chciała miei wolne łóżko, żeby się na nim raz dobrze wyciągnąć i wyspać. Zrobił jej się strach i tak jej się wydało, że ktoś obcy jest w tym pokoju. Znów spała i obudziła się, gdy było szaro. Wtedy zobaczyła, że przy łóżku n;

ziemi leży mężczyzna. Nie na sienniku ani na jakiej płachcie, tylko tak na podłodze.

Domyśliła się, że to jest Franek, który nie co dziei przychodził na noc do domu. Widać to jego miejsce w łóżku oni zabrała. Było jej nieprzyjemnie, że tak przez nią leży na ziemi, i wstyd. Dopiero rano zapadła w sen na dobre i przyśniło jej się, że mama nic umarła, że są obie w Boleborzy razem z Zenonem i że Zenon ją całuje.

Na drugi dzień raniutko odbył się pogrzeb Bogutowej. Za trumną szła z Justyną Jasia Gołabska i Franek Borbocki, a dalej Balinowska i Chaśbina. Dozorczyńni Ignacowa poszła tylko kawałek, ale zawróciła z drogi, bo miała przy domu robotę.

Justyna całą drogę myślała, jakie to mama miała życie. Mój Boże, wciąż tylko przy blasze i przy blasze, nigdy nawet nie widziała, co to było gdzie pójść. Tylko te jedne parę miesięcy w Chązebnej u Borboc-kich żyła jak człowiek, od rana się ubrała, poszła gdzie, posiedziała w ogrodzie. A tak to całe życie zawsze przy kuchni, przy ogniu, przy tym ciągłym gotowaniu. Na cmentarzu znów się Justynie przykro zrobiło, że nawet nie ma księdza. Całe życie pracowała, a wszystkiego cztery osoby stoją, jak ją kładą do grobu. Tamci wszyscy, co im gotowała, czy choćby nawet o niej pomyśleli? Nikt. Mogła sobie umrzeć, jak sobie wzięli drugą. Lepiej, że człowiek nie wie, jaki ma pogrzeb.

10

Droga długo trwała tym razem. Zenonowi spieszno było do kraju. Wracał jako człowiek skończony, pełen niecierpliwości, niczego już nie odkładający na później. Był rodzinnego zakątka, rozważany w proporcjach europejskich, miał niewątpliwie wiele punktów wstydlivych. Jednakże spośród innych możliwości Zenon całkiem świadomie wybrał sobie to ubocze świata jako miejsce swego życia i swojej śmierci.

Gdy wysiadł z wagonu, zobaczył naprzeciwko dworca na skwerze znajomą grupę akacji i wydźwigające się sponad ich koronkowych gałęzi mgliste, jeszcze różowe słońce. Miasto było małe i sennie. W parę minut znalazł się w hotelu. Okna pokoju wychodziły na plac Narodowy, gdzie zaczynały już zjeżdżać małe wózki chłopskie, naładowane jarzynami i nabiałem. Wyprężone koniki, każdy z dużym węzłem na ogonie, stały w dyszlach, odkręcone łbami do wózków, i gryzły siano.

Trzy godziny mocnego snu wróciły Zenonowi trzeźwość i świeżość. Miał rozkoszne wrażenie przestąpienia nowego progu życia. Otrząsnął się ostatecznie ze swej głupiej, nie zorganizowanej młodości.

Ranek był piękny i słoneczny, wieże kościoła sięgały wysoko w białawy błękit. Dzień targowy rozpostarł się już po całym rynku malowniczym gwarem. Aż tutaj dochodził wiejski zapach zieleniny, koni i siana.

Zenon zeszedł na dół i zatelefonował do Elżbiety. Posłyszał jej stłumiony, niski głos i gorąca struga wzruszenia przepłynęła mu przez serce. Obiecał przyjść na obiad. "Czy nic się nie zmieniło?" - spytał i usłyszał: "Nic się nie zmieniło."

Poszedł naprzeciwko do cukierni Chązowicza, by się napić kawy. Była dobra i miała na sobie ładny kozuch, czego nie zaznał od wielu miesięcy. Smak pieczywa i świeżego masła również wydał mu się doskonały. Pisma, zawieszzone rzędem na swych kijach, były polskie. Wybrał jedno z nich, miejscowe, zatytułowane "Niwa", i od początku do końca odczytał zamieszczony w nim własny swój artykuł. Czytał jak coś całkowicie obcego. Drukowane zdania nabierały obiektywnej wagi, twardniały i stygły, zatracając wszelką łączność z jego myślą żyjącą, pełną niepewności i niepokoju.

Czy był nieszczerzy pisząc? Czy naginał się do tego, czego po nim tutaj oczekiwano? Teraz sądził, że nie. Tylko nie mówił swoich myśli do końca, musiał je zawsze urwać w jakimś miejscu na to, aby mogły być napisane. Musiał je zamknąć tematem jak granicą, aby nie przeniknęły do sfery, w której zaczynają się zastrzeżenia i wątpliwości, wszystko robi się względne i daje inaczej pomyśleć. Znał dobrze ów moment, gdy rozróżnienia i przeciwstawienia zbliżają się, wzajemnie zachodzą na siebie, przecinają się, jak równoległe, przedłużone w nieskończoność.

Skinął na chudego, wysokiego kelnera, który nie spuszczał zeń oczu, zapłacił, uklonił się siwej, bardzo dystyngowanej kasjerce, pani Tawnickiej, i wyszedł z cukierni. Pierwszą osobą znajomą, jaką zobaczył na ulicy, była Justyna Bogutówna.

Szła od strony placu i niosła na zgiętym łokciu koszyk pełen prowiantów. Jasne główki sałaty stanowiły tło dla osełki masła, owiniętej w ciemnozielony liść chrzanu. Stanęła w miejscu, zastępując mu drogę.

- O rety, Zenon! - zawołała jak chłopka, patrząc na niego okrągłymi oczami.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał niezbyt radośnie. Był tak zaskoczony tym spotkaniem, że zupełnie nie wiedział, co trzeba zrobić.

- Mama mi umarła - powiedziała Justyna i nagle się rozplakała - Mama nie żyje.

- Co ty mówisz - współczuł jej z roztargnieniem i niepewnie pogłaskał ją po ramieniu. - Jak dawno? Nic nie wiedziałem. To już nie jesteś w Boleborzy?

Szli obok siebie w górę ulicy Emerytalnej i Justyna opowiadała prędko, jak to się stało.

Ponieważ niosła koszyk i nie przestawała płakać, parę osób obejrzało się za tą niezwykłą parą.

- Poczekaj, dziecko - przerwał Zenon i zatrzymał się zaniepokojony - tutaj przecież nie możemy rozmawiać. Stanęła i czekała bezradnie, co jej powie.

- Zaraz - rozważał. - Słuchaj, wejdźmy na chwilę do mnie, to mi wszystka opowiesz. Tu naprzeciwko, w Hotelu Polskim.

- Kiedy nie mogę - odpowiedziała zmartwiona. - Muszę lecieć do domu, już późno.

- Jak to? Gdzie?

- Muszę robić obiad. Mam teraz posadę, jestem w służbie. Siostra Józefa ze szpitala dała mi miejsce do jednej chorej pani.

Niby to się śpieszyła, ale dalej stała opowiadając teraz o dobroci siostry Józefy.

- Gdyby nie ona, to nie wiem, co by ze mną było. Zenon się niecierpliwił.

- Przecież ci wszystko jedno, czy mówisz tu, czy w hotelu. Tutaj ludzie przechodzą.

- No dobrze, ale tylko chyba na chwileczkę.

- Naturalnie, jak będziesz chciała, to zaraz pójdziesz. Szedł z nią na górę po schodach i był zawstydzony. Wyglądało,

jakby w biały dzień prowadził sobie "dziewczynę". W numerze Justyna postawiła koszyk przy drzwiach na ziemi,

spojrzała lękliwie w lustrzaną szafę i, ponieważ krzesło stało daleko, usiadła na brzegu łóżka.

- No widzisz, teraz możemy swobodnie porozmawiać, nikt nam się tu nie kręci...

- Gdyby umarła - mówiła Justyna - i gdyby tak przy niej zwyczajnie siedzieć w jakim swoim kącie, toby nie było tak smutno. Ale ją w tym szpitalu zabrali, zanim przyszłam. I zanim przyszłam, już była nieżywa. Później ją znowu wzięli i leżała tam między trupami samiut-ka, bez nikogo swojego.

Wyjęła chusteczkę z torby, zatkała nią oczy i płakała głośnym dziecinnym płaczem.

- Tylko ciszej, kochanie, troszeczkę ciszej - prosił Zenon z uwagi na sąsiadów. Usiadł przy niej na łóżku, głaskał ją po plecach i pocieszał

- No, nie płacz, już nie płacz - mówił serdecznie. - Nie płacz, to trudno, tak nie można.... Słowa nie pomogły. Więc objął ją przez ramiona i przytulił do siebie. Zdjął jej z głowy brzydką czapeczkę i pocałował we włosy a później w czoło i w mokrą twarz.

Wtedy się uspokoiła i znów zaczęła opowiadać, jak wyjeżdżając z Boleborzy, jaka pani Ziembiewiczowa była dobra, jak mamy żalowała, sama ją poszła pożegnać. Dała im pieniądze, ale to wszystko poszło na pogrzeb i Justyna została bez niczego. Miała później napisać o reszcie, żeby jej pani Ziembiewiczowa przysłała, ale naprzód była u Jasi, teraz jest w służbie, znowuż we dnie i w nocy przy tej chorej pani - nie może się i nie może zebrać, żeby napisać. Nie ma ani czasu, ani papieru.

Zenon odsunął się trochę i z głęboką przykrością spytał:

- To w Boleborzy nie wypłacili ci wszystkiego? Justyna poważnie zaprzeczyła głową.

- Nie, drugie tyle jeszcze zostało. Ale pani powiedziała, że zaraz odeśle, żeby jej tylko z miasta napisać adres, gdzie ma odesłać.

- Poczekaj - powiedział prędko myśląc - jutro nie, lepiej pojutrze, żebyś tu przyszła o tej samej porze, to będę ci mógł oddać te pieniądze. Będziesz w mieście?

Justyna powiedziała, że może przyjść w poniedziałek, jak będzie tędy znowu wracała z targu.

Targ jest zawsze w czwartek i w poniedziałek, a w takie dnie to się co bądź kupuje w sklepiku.

- No więc w poniedziałek pamiętaj, o tej samej porze tu do mnie wstąpisz i ja to załatwię. Nie ma sensu, żebyś czekała i miała tu kłopoty, kiedy ci się pieniądze należą. Dziś mogę ci dać tylko trochę

- Teraz to nie pilne - powiedziała - bo teraz mam i gdzie spać, i co jeść. Tylko z początku było mi ciężko, teraz nie.

Uśmiechnęła się i z wdzięcznością na niego popatrzyła. Jej młoda twarz nie zbrzydła od płaczu, tylko zrobiła się pełniejsza i różowa. Jasne, proste i suche włosy zesypywały się na czoło i skronie, jak dawniej,

- A ja wiedziałam, że się wrócisz - powiedziała z cichą radością

- Ciągle o tobie wtedy myślałam, nawet w sam dzień maminej śmierci mi się śniłeś.

Wiedziała, że się wrócisz, że już nie będę taka sama na świecie. Teraz znowu ona przysunęła się i przytuliła do niego.

- No co mi powiesz, Zenon, co mi powiesz. Nie było ci nic żal, jak wtedy pojechałeś z Boleborzy, co, no powiedz! Nie było ci żal?

- Było mi żal, naturalnie - odpowiedział. - Tylko widzisz, Justyno, teraz już wiele rzeczy się zmieniło, już dzisiaj...

Chciał mówić dalej, ale nie mógł. Justyna dawnym, znajomym gestem objęła go mocno w pasie obiema rękami i małą głowę z całej siły przyciskała mu do piersi. - Ty mój kochany - mówiła - ty mój kochany, jak już ty jesteś, to już teraz wszystko jest dobrze.

Była bardzo stęskniona, udręczona i kochająca, była znowu miła, dobra i młoda. (Nie mógł jej odepchnąć i już nie chciał. Uczuł, że wszystkie zmiany zaszły w nim jakby poza nią, że nie naruszyły zupełnie jego do niej stosunku. Miała w tym splocie swoje miejsce własne, ograniczone wyraźnie i w całości zachowane. Jej przygarnięcie się do niego, wnikliwe i gorące, jej dziecinną czułość wyszarpaneła mu z głębi dawne wzruszenie. Zobaczył nagle

bladość jej małej twarzy, powieki zamknięte pod ściągniętymi brwiami, silnie na zaciśniętych zębach domknięte wargi. Wystarczyło pociągnąć ją głębiej na to łóżko hotelowe, duże i płaskie, wygniecione przez wszelką cudzą, nieważną, przelotną miłość. Odchodziła szczęśliwa, śmiejąca się na przemian i przerażona.

- Jezu, co ja powiem, gdzie ja tak długo siedziałam - powtarzała, wkładając brzydką czapkę na jasne włosy - jej, co ja powiem. Co tam sobie myślą, że mnie tak długo nie ma. Zenon nie zapomniał dać jej trochę pieniędzy, chociaż powiedziała znowu, że teraz wcale nie są jej potrzebne, bo wszystko ma.

Wzięła z ziemi swój koszyk, ale jeszcze ode drzwi wróciła, by go pożegnać. - To w poniedziałek przyjsć, prawda? - spytała nieśmiało.

- Tak, naturalnie - odrzekł.

Odeszła wreszcie do tego swego jakiegoś malutkiego, nieznanego, żalosego życia, a Zenon został sam.

- Do diabła - myślał głośno - co za głupstwo. Zwariowałem czy co? iKrecił się po pokoju, przyglądał przed wyjściem włosy i ubranie, szukał rękawczekTktore zgniecione leżały na łóżku. Czy miał udawać, że był zaskoczony tym, co się stało? Nie, musiał przyznać, że był zaskoczony tylko samym sobą. W lustrze widział swą twarz, czerwo i ordynarną, niechętną twarz nieznanomego człowieka, z którym i ma porozumienia.

Siła doznanej emocji była rzeczywiście niespodziewana i ponieć nawet rewelacyjna. To było więcej niż wtedy w Boleborzy, więcej i w ogóle kiedykolwiek. "Co mi się stało? - myślał. - Od czego ta rzecz zależy? Nic nie wiadomo, co rządzi właściwie tą w człowie gorącą uśpioną ciemnością, której przewrotnych praw nie zna w( ani świadomość. Czy to po prostu długa jazda w wagonie, dv rozkołysane noce bez snu, wczesny poranek? Czy może raczej moc postanowienie poprawy życia, miesiące w Paryżu, surowe i praco też Niejako: «nagroda cnoty»."

Przypomniał sobie niski głos Elżbiety w telefonie i tamto wzrus;

nie. Byłby to więc mechaniczny przerzut tęsknoty magazynowan tęsknoty za inną kobietą. Tylko przypadek podstawił Justynę na miejsce. "Ach, cóż za świństwo, cóż za świństwo" - mrucał.

Zresztą tamtejsza wierność wobec Elżbiety też daleka była i jakiegokolwiek egzageracji. Wszędzie są kobiety. I głód erotyczny m tuje pod wierzchem życia, nasycy je barwą i zarem, jest mięse czerwonym dla jego skóry. Można go tłumić, wekslować na inne tol nadawać mu różne nazwy i kwalifikacje. Przecież, przywalony kodę sem i obyczajem, bije w głębi pulsem złej rewolty, huczy ciąglą upar gotowością wybuchu. Zenon w listach do Elżbiety mówił o swej prą i postanowieniach, złorzeczył, kulturze Zachodu", we wszystkii szczegółach gotowej i spetryfikowanej. Ze schematów wolności, roi ności i braterstwa sypią się trociny. Nad wszystkim leży melancoi zamierania i rozpadu. W obawie przed śmiercią nagłą cały ten świ zdaje się tylko o tym marzyć, by dano mu ginąć powoli śmierć naturalną, by mu nie przerywano konania. Pisał, że tęskni do kraj gdzie wszystko jeszcze jest możliwe, wszystko zaczyna się od początk Wielka przerwa między wczoraj i dzisiaj wytworzyła próżnie powietr ne, centra niskiego ciśnienia, gotowe do wchłonięcia nowych treści. Nagie miejsca życia, wytarte do cna przez niewolę i wojnę, czeka akcji i decyzji. Są to tereny, gdzie nowa organizacja życia mo, powstać bez żadnej konieczności niszczenia.



Tak pisał późnymi wieczorami i zaraz wychodził z hoteliku, ł wrzucić list do skrzynki, umieszczonej w podnóżu latarni. A później gorącym podziemiem, pełnym zapachu mydlin, jechał na Montparnas-se. Na tarasach kawiarni, pod zadrukowanymi okapami kolorowych markiz, w dojmującym, wilgotnym chłodzie nocy siedzieli wokół żelaznych piecyków ludzie ubrani w letnie palta, jakby spełniając nieodparty nakaz uświęconej obyczajem udreki, i pili białą kawę albo piwo. "To jest nocne życie Paryża" - myślał zjadliwie Zenon, który także nie miał pieniędzy na inne. Wchodził przez taras do wnętrza kawiarni i w zadymionej, secesyjnym mahoniem i lustrami wyłożonej sali, wśród sennych dziewcząt, zmarzniętych i głodnych, wynajdywał sobie jakąś przygodę. Tak było. Wystarczyło przecież, gdy stosunek do tych "upadków" był właściwy. Odbywały się niejako poniżej rzeczywistości, nie osiągały poziomu, na którym przemilczenie staje się kłamstwem. Pozostawały w podziemiu życia, już w samym założeniu uważane za niebyłe.

Ale ta Justyna dzisiaj nie dała się już podciągnąć pod tę kategorię. Tutaj właśnie, w tym samym mieście, zaraz w dniu przyjazdu, niejako na samym wstępie do nowego kursu życia - to była grubsza sprawa. Romans, który trwał już przedtem i ostał się wobec wszystkiego. A teraz wracał tylko w swą dawną, boleborzańską kolej, chciał dalej istnieć.

Złorzecząc sobie, Zenon wreszcie powtórnie wybrał się z domu. W sieni na dole zawiesił klucz od pokoju na haczyku z numerem szóstym, odpowiedział na ukłon służącego, który wiedział, i wyszedł ulicą w lewo na plac Narodowy. Wieśniacy zaprzęgali już konie do pustych wózków i zjeżdżali z targu, zostawiając na bruku śmiecie, nawóz i słomę. Pogięte filary hali targowej, żółta barokowa fasada kościoła, wszystko stało w suchym, oślepiającym świetle nadchodzącego południa. Zenon poszedł przez plac stroną cienistą i mijając szereg wystaw sklepowych z lampami, żelastwem, mąką i kaszą albo materiałami piśmiennymi przedostał się na ulicę Świętojańską. We wspaniałym gmachu, niegdyś zniszczonym i mieszczącym gimnazjum męskie, rezydował teraz Czechliński, od dwóch miesięcy piastujący urząd starosty. Gmach wyglądał istotnie imponująco, rozległe perspektywy korytarzy lśniły od stiuków, wielkich szyb okiennych i białego lakierowanego drzewa, a snujący się po nich i wyczekujący na coś kmiotkowie razili na tym tle i wydawali się tu wcale niepotrzebni. Zenon został przyjęty w gabinecie, który był raczej salą, umeblowaną nowoczesnie pięknie politurowaną brzozą. Zza wielkiego biurka witał go bardzo łaskawie Czechliński i pokrótce opowiedział, jaką jego mianowanie zrobiło przykrość i komu, kto nie chciał wprost temu uwierzyć, kto się oburzał, a kto zrobieniem dobrej miny pokrył swe głębokie upokorzenie. Jak zwykle - i tutaj sprawa dała a zrobić dlatego, że ktoś chciał drugiemu wejść w drogę, a zarazem na coś innego liczył, myślał, że robi dla siebie, a w istocie przygotował wszystko dla Czechlińskiego. W odpowiedniej chwili powiedziało się dwa słowa, gdzie trzeba, i kawał się udał. Rzecz konkretną, dla której chciał widzieć Zenona, była propozycja, ab Zenon został redaktorem "Niwy". Jednocześnie Zenon dowiedzie się, kto będzie tym zdziwiony, kogo z tego powodu spotka zawoń i wreszcie kto zrobi wszystko, aby do tego nie dopuścić. Przysta oczywiście z radością i nawet próbował stawiać pewne swoje wnioski. Ale Czechliński szybko temu zapobiegł, upewniając Zenona, że może na nim polegać z całkowitym zaufaniem. Co zaś do szczegółów to będą mieli jeszcze na to dosyć czasu.

Ten nowy awans skierował myśli Zenona w inną stronę i nawet jakby przerzucił go w inną rzeczywistość.

Było to życie razem z Elżbietą, jakieś małe wnętrze własne, okupione pracą i odpowiedzialnością. Zapragnął wyrwać ją z warunków w których się męczy, z ponurego domu, od zdziwaczałej ciotki uczynić wszystko, żeby jej było dobrze. Czymś ją obdarować, ucieszyć po prostu coś jej kupić.

Niedaleko rynku był sklep z kwiatami. Na małej wystawie więdł w słojach za szybą nieładne róże. Gdy jednak pomyślał, że kwiaty owinięte w papier będzie musiał nieść przez miasto, że z pakietem nif pozostawiającym żadnej wątpliwości zjawi się u tamtych drzwi, poniechał swego zamiaru i nie zatrzymując się poszedł dalej.

Myślał o niej. Ale nie mógł jej sobie wyobrazić, nie mógł je doznać tym targnięciem wzruszenia, które jest jakby czymś więcej niż widzenie.

Pamiętał, jak - żegnając ją - cierpiał. Gdy tą ulicą odchodził od niej ostatni raz, włókł za sobą to cierpienie, jak przedmiot dotykalny, jak kawał czegoś ciężkiego nie do udźwignięcia.

Dzisiaj, po tylu miesiącach, gdy towarzyszyła mu myśl, że ją za chwilę zobaczy, jego radość nie miała tej mocy. Była wstydliva, pełna niejasnej obawy.

Powiedzieli mu, że jest w ogrodzie. Tam więc poszedł jej szukać w migocącym gorącu, zapachu i zieloności.

Zobaczył ją na końcu uliczki wysadzonej krzakami agrestu. I ona zobaczyła go od razu. Ale nie krzyknęła na jego widok i nie przybiegła, tylko szła stamtąd ku niemu jakoś powoli i niezręcznie, uśmiechając się i robiąc ręką przez powietrze konwencjonalny gest powitania. Tak więc widzieli się przez chwilę z oddalenia, idąc ku sobie w jasnym, obiektywnym świetle dnia. Jakby rozdużył się czas na tę chwilę, by pomieścić w sobie całe jego rozczarowanie. Zenon szedł coraz wolniej, wreszcie zatrzymał się na ścieżce czekając. Wydała mu się zbyt wyraźna, cała zrobiona z ciała, zamknięta w swoich wymiarach, ciasno obwiedziona jasnym powietrzem. Zupełnie inna niż ta, o której myślał.

Uczuł z goryczą, że to ona jest chłodna, że w niej nic nie ma. Że to ona jest winna.

- Nie cieszysz się wcale? - zapytał, gdy była blisko. Zdziwiła się, ale odpowiedziała ze śmiechem.

- Nic a nic.

Wziął obie jej ręce, ścisnął je gniewnie i trzymał tak chwilę, by się opanować, by nie zawrócić z miejsca i nie odejść. Schylił się i zaczął całować te palce zbyt cienkie i zbyt wypukłe paznokcie. Byle jeszcze nie mówić nic, nie tak od razu patrzeć sobie w oczy. Ale sam gest pokory, samo przytulenie twarzy do rąk ciepłych, żywych i człowieczych obudziło w nim tkliwość i skrucę. - To ty - powiedział - Eizuniu. - I dotknął lekko oburącz jej ramion, które były chłodne, i szyi, która była gorąca. Przejęła go szczęściem myśl, że jest żywa, że jest cielesna i rzeczywista. - To ja - odpowiedziała zaraz i przygarnęła się do niego radośnie. Myślał o niej tak, jakby miała oczy ciemne i matowe. Teraz w słońcu zobaczył, że są jasne. Miały kolor na przemian przezroczy-tobrazowy albo zielony i były pełne światła dziennego.

- Słuchaj, Zenonie, Zenonie.

- Co? Mów.

- Nie można już być osobno. Czy pamiętasz, jak długośmy się nie widzieli?

Pamiętał dokładnie. Nieraz obliczał sobie ten czas. Szli powoli w stronę domu, pod niskimi gałęziami wiśni i jabłoni. Zza parkanu dochodziły bliskie głosy ludzkie. Brzeg małego tarasu obwiedziony b) pasem pomarańczowym nasturcji.

Gdy ze słońca weszli w cień domu, powiedziała:

- Jak odchodziłeś ostatni raz, było zimno i mokro, padał deszcz I była noc, było po dwunastej. Odchodziłeś prędko, było zupełnie pusto na ulicy. Obejrzałeś się dopiero na zakręcie. Patrzyłeś w tę stronę, ale nie widziałeś, że stoję w oknie.

- Nie widziałem - powtórzył. - Okno było ciemne. Dlaczego Zgasiłaś światło? Nie chciałaś, żebym cię widział?

- Nie wiem - nie chciałam.

- Widzisz, że to ty. Że to jest twoja wina. To ty nie jesteś dobra. Na tarasie stał wielki pusty fotel pani Kolichowskiej, z podnóżkiem i pledem. Elżbieta schyliła się, by podnieść zapomniane na ziemniaczane okulary.

- To nie jest smutek, tylko przerażenie - powiedziała niskim, swym głosem. - Strach przed cierpieniem, jak przed czymś nienormalnym. Pomyślałam to pierwszy raz jeszcze przed twoim odejściem, kiedy tyś wysunął rękę, bo chciałeś zobaczyć, która godzina. Uczulał w tedy ten strach. Przełękłam się, że temu nie poddam, że nie ma zwyczajnego ludzkiego sposobu, żeby to znieść. Bo to znaczyło, a wtedy wstaniesz i pójdziesz...

- Chodź - odezwał się szorstko. I wyjął z jej rąk okulary, których pałeczki, mówiąc, rozkładała i składała w powietrzu, jak anteny owada.

Weszła za nim do mrocznego salonu pani Kolichowskiej. Nikogo tu nie było, tylko oni. Z głębi mieszkania dochodził słaby szum ustawionych talerzy.

- Już nigdy nie będziemy osobno - powiedział. W jego głosu słumionym usłyszała nie obietnicę, tylko postanowienie. Siadła przy nim, jak chciał, w kącie, na małej kanapie.

- Ale to jest szczęście tak cierpieć przez drugiego człowieka Zenonie.

- Chodź - powtórzył.

Jej usta były niezaradne w pocałunkach, jej ciało, które obejmował nienawykłe do upojenia. - Dlaczego się bronisz? - zapytał. Klęcząc na ziemi, głaskał jej nogi pod suknią, przytulał twarz do jej kolan - Dlaczego nie chcesz?

Nie miał do niej żalu. Czuł tylko zmęczenie i jakieś niezmiernie współczucie. Dla niej i dla siebie. Że weszli tak oboje w tę sprawę, która jest ciężka i trudna, która jest niepewna i ciemna i w której już muszą być.

Przypomniało mu się, że tu pod podłogą spała Justyna u Jasi w dniu, kiedy umarła jej matka. I że on jej się śnił tej nocy.

11

W następnym poniedziałek Justyna przyszła do hotelu po resztę bolebo-rzańskich pieniędzy. Zenon pamiętał o tym, że przyjdzie, i zczasu sobie obmyślił, jak tę sprawę ostatecznie zakończy. Postanowił powiedzieć Justynie, że widzą się po raz ostatni, i całkiem otwarcie wytłumaczyć, dlaczego tymczasem stało się inaczej.

Przed wszystkim nie oczekiwał jej tak wcześnie. Przyszła z samego rana, zanim jeszcze zdążył się ubrać. Już ta okoliczność utrudniła mu przyjęcie postawy dość zdecydowanej. Po wtóre, mimo starań, nie udało mu się na ten dzień przygotować całej pozostałej sumy.

Jak za pierwszym razem, Justyna koszyk z zakupami ustawiła przy drzwiach na ziemi. Potem usiadła na krześle obok łóżka, w którym leżał, i opowiedziała parę rzeczy nieważnych. O tej chorej pani, u której jest we służbie, o Jadwisi Gołąbskiej, że pewnie całkiem zaniewidzi, o Jasi i pani Borbockiej.

- Od samej tej maminej śmierci, gdzie nie pójde, to zawsze ktoś jest chory - rzekła markotnie. Zenon rozważał w milczeniu swe postanowienie, zarazem nie spuszczać z niej oczu. Miała zabawną górną wargę, w środku podciągniętą przez krótki nosek, jakby nie wystarczającą. Jej zęby, nierówne i białe, obnażały się bez uśmiechu, prawie przy każdym słowie, i były mokre. Wprędce jednak się rozpozgodziła.

- Ale co bym najbardziej chciała, wiesz? - to iść na pannę do jakiego sklepu. Odrobię swoje i już mnie nic nie obchodzi, wieczór sobie wracam do domu, nikt nie ma prawa mnie słowa powiedzieć.

Rozumiał, że nie jest jej dobrze w tej służbie i uczył płynące stąd zakłopotanie.

- Na przykład, do jakiego sklepu? - zapytał jak gdyby zamierzał je w tym dopomóc. Ale myśl o wolnych wieczorach Justyny nie miała w, sobie nic pociągającego.

Justyna nie była taka czysta ani taka miła fizycznie jak na wsi. Je bardzo biała, porcelanowym lśnieniem powleczonej skórą teraz wydała się anemiczna. Już ją całą odmieniła brudna robota miejskiej służby. Szorstkość rąk, przepocone ubranie, niejasny zapach smażonych tłuszczów dookoła - to wszystko przylgnęło do niej i składało się już na nią samą jako na całość.

Siedziała przed nim ta sama i jedna, a Zenon właściwie widział ją coraz to inaczej. Przez chwilę wydawała mu się tylko jakąś cudzą służącą, której poufała obecność jest niewytłumaczona i kłopotliwa. Zaraz później była natrętną kochanką, z którą za wszelką cenę trzeba było zerwać. I wreszcie stawała się Justyną, miłą i dobrą dziewczyną z Boleborzy, której los jednak dotąd żywo go obchodził. I on sam, odpowiednio do tych jej zmiennych jakości, stawał się kolejno kimś innym. Jakąś częścią siebie pamiętał teraz, jak jeszcze tam mówiła:

"Dla ciebie, Zenon, ja poszłabym nie wiem na jakie męki, nic mi nie strach, o nic nie dbam." Czymś innym w sobie widział zarazem, że jej szyja jest równa i gładka jak dawniej, a małe piersi, których wypukłość zaczyna się tuż pod obojczykami, są tak samo ściśle i szeroko rozstawione i nie dadzą się tak łatwo stulić. I że cała, wrażliwa i bezbronna, jest w swoim lichym czerwonym sweterku i popielatej spódniczce pełna wszelkiej słodyczy. Zenon był tym, który pierwszy wyciągnął ręce i powiedział: "Chodź do mnie." Tym razem, gdy ją brał, nie prawie nie miał już w sobie do przewyciężenia.

U Justyny zwykła czułość dziecinna przekręcała się nagle i bez pamięci w ślepe, nieprzytomne uniesienie. Zamykała oczy, zaciskała twardo nagie zęby, pod brwiami ściągniętymi męczeńsko jej mała twarz bolesna cała kostniała od ekstazy. Z zapartym tchem leciała w ten świat, struchlała i pełna grozy, jak do ciemności.

Zasłuchana głęboko w swoją rozkosz, umiała jej doznać aż po ostatnie, najcichsze targnięcie. Z chwilą jednak, gdy czas jej przeminął nie pragnęła wcale rozumieć tej sprawy ani jej wyjaśnić. O tym obojt nie mieli sobie nigdy nic do powiedzenia! Ich pieśczość, krótka, surowa i milcząca, odbywała się bez zakłęb i dziękczynień.

Ledwie ochłonawszy Zenon odnalazł się na myśli, że ten samowystarczalny patos przyspieszonego, zgęszczonego istnienia nie wymaga usprawiedliwień ani motywacji.

Jednocześnie zapragnął, by Justyna odeszła co prędzej. Obawa, czy woda w łazience nie ostygła, stała się najwyższą jego troską na tę chwilę. "Bój się Boga, dziecko, prędzej, prędzej, może ktoś wejść i co będzie" - wołał głośnym, niecierpliwym szeptem do ogarniającej się już Justyny. Po jej odejściu ubrał się błyskawicznie i pełen niedobrych, upokarzających uczuć pospieszył do redakcji.

Praca tutaj wyglądała inaczej, niż to sobie przedtem był wyobrażał. Brudny parterowy pokój z odstającą od ścian popielatą tapetą, powleczone ruchomymi muchami okno, letni zaduch cudzych kuchni i śmietników to były ramy tej działalności. W godziny przyjęć redaktorskich zjawiało się kolejno mnóstwo ludzi ze swoimi propozycjami, krzywdami i talentami. Tego dnia dane było Zenonowi ujrzeć z bliska jakże odległą dawniej hrabinę Tczewską Wojciechową z Chązebnej. Przyszła nie sama. Towarzyszył jej osobnik w sutannie, wielki, grubo-kościsty i brunatny, o dużym nosie i głęboko pod czaszką ukrytych czarnych, przepaścistych oczach. Ksiądz Czerlon od dwu lat był w Chązebnej na miejsce dawnego proboszcza, któremu pan Walerian Ziembiewicz spowiadał się ze swych grzechów nieczystości. Siedział teraz po drugiej stronie stołu ponury i milczący. Sprawę, z którą przyszli, wyłuszczyła bez jego pomocy sama hrabina Tczewska. Mówiła powoli, z głęboką rozważą, głosem szlachetnie wibrującym. I wzdychała w tych miejscach, gdzie każdy inny znalazłby sposobność do uśmiechu.

Zenon wiedział o tej kobiecie, że urodziła w swym życiu dziewięć dzieci, w tym ową Różę, która kiedyś bawiła się z Justyną Bogutówną wśród kwietników chązebiańskiego ogrodu. Jej szczupła, wysoka postać rozszerzała się poniżej stanu nagle i niepomierne jak odwłoki niektórych owadów. Ale twarz zdawała się nic o tym nie wiedzieć, przebywając w sferze wyniosłej, słodkiej i zadumanej świętości. Ta twarz była nieruchoma, zupełnie skrepowana ciasną skórą, od nosa poprzez kostne czoło i brwi nagle mocno ściągniętą ku skroniom. Ruch każdy był tu wysiłkiem. Z wąskiego rozkroju powiek patrzyły na Zenona oczy wypukłe, szare i matowe, podobne do obu wielkich pereł, które nie wisiały w uszach, tylko tkwiły w nich z bliska jak wrośnięte. Ani jeden włos nie odstawał po bokach tej twarzy, wszystko było tu gładkie, czyste i jedynie właściwe. Tylko usta - blade i zbyt pełn z trudem domykające się na lśniących zębach, tak naciekle słodkie. - one jedne świadczyły inaczej. Przerzywała sobie sama, by westchnąć, i dopiero wypuściwszy ca dech, znowu podejmowała temat. Szło o cykl wykładów pod ogólnym tytułem: O istocie doświadczenia religijnego, które ksiądz Czerlon zgodził się wygłosić w mieście, w otwartym świeżo loku Koła Pań. Należało koniecznie opublikować zawczasu ich program i oczywiście gorąco je poprzeć. Ksiądz z gorliwą uwagą słuchał każdego jej słowa i treść ich całym sobą potwierdzał. Gdy przyszła chwila właściwa, sięgnął w obrzeżony małymi guziczkami i pętelkan rozkrój sukienki na szerokiej swej piersi i znanym już redaktorskiemu Zenonowi gestem dobył stamtąd skrypt maszynowy, by go w miarę cieniu położyć na biurku. Zenon mimo woli przejął jego spojrzenia pytające, pełne uległości i pokory, na które hrabina odpowiedział westchnieniem. Uzyskawszy zgodę redaktora pani Tczewska wstała powoli, dźwiga jąc za sobą ciężki swój odwłok. Z nią jednocześnie podniósł się szybki ksiądz Czerlon, przerastając ją od razu o głowę.

Wystarczyło spojrzeć na tego człowieka, by nie mieć wątpliwości, że jego sprawa ze sobą jest ciężka i niedobra. Mógł być okrutny wobec samego siebie i zarazem całkowicie bezradny.

Wiadomo było, że pochodził z tych stron. Był synem kupa drzewnego, człowieka prostego, który dorobił się majątku i w czasie wojny pieniądze stracił. I święcenia przyjął już po śmierci ojca o której dowiedział się za granicą. Hrabina przywoziła go i odwoziła swą limuzyną, jak cenny przedmiot, którego nie można było korni powierzyć.

Żegnając Zenona, nie umiała i teraz zdobyć się na uśmiech, tylko głęboko westchnęła. Za to uśmiechnął się ksiądz Czerlon, opuszczając jednocześnie powieki na swe gorejące, niesamowite oczy, jakby się czegoś zawstydził. Jak gdyby nagie cierpienie istoty ludzkiej było rzeczą nieprzyzwoitą i gorszącą. Hrabina odchodziła niby pogrom-czyni niedźwiedzi, na łańcuszku cierpliwej łagodności wiodąca za sobą niebezpieczną bestię.

12

Niejako uzupełnieniem wizyty tej szczególnej pary było zjawienie się we dwa dni później hrabiego małżonka. Z Wojciechem Tczewskim weszło, oczywiście, zagadnienie reformy rolnej, parcelacji, pożyczek i długów. Poza tym jednak hrabia interesował się plagą kłusownictwa, o czym zamierzał nawet sam napisać, a także teatrem, i to w szczególności teatrem regionalnym. Główne niebezpieczeństwo dla tej idei upatrywał w kinematografii - takiej mianowicie, jaką ona jest teraz, w internacjonalnym zbolszewizowanym filmie.

- Cóż to dziwnego - powiedział, chociaż widoczne było, że sam zdziwieniu nie umiał się oprzeć. - Cóż to dziwnego, kiedy ja sam nieraz wolę sobie tu w mieście wpaść do kina niż nudzić się w teatrze przez cały wieczór.

Nie o to więc szło widocznie. Konflikt ześrodkował się szybko na osobie panny Luci Wisłowskiej. Takie to jeszcze po prostu dziecko i taki talent. Prawdziwie dany od Boga, idealne, niebiańskie natchnienie... Znowu z kieszeni na piersi wynikł portfel, a z niego złożony starannie, wytarty na zgięciach wycinek z "Niwy". Któż to pisuje recenzje teatralne sygnowane przez małe "x"? Tutaj z jednej strony brak poparcia w prasie, z drugiej faworyzowanie pewnych zazdrosnych starszych aktorek, role drugorzędne, nie dające naprawdę zabłysnąć. A obca firma kinematograficzna, oczywiście żydowska, kusi propozycjami. Panna Wisłowska się waha, w jej wieku te rzeczy tak niepewne wydają się karierą. Więc strata dla teatru, dla ojczystej sztuki i - już po ludzku rzecz biorąc - po prostu zguba tego dziecka.

Wygolone szczęki starego pana chodziły miękko, jakby obłuzowane w zawiasach, ręce chybotliwie składały brudny świstek, a na szlachetną twarz wypływał z głębi ciała rumieniec wrzuseń sekretnych i wstydlivych.

Tak mniej więcej wyglądała z bliska ta cała chłazebiańska sytuacja. I tutaj dno rzeczy było oczywiste. I tutaj goły, żalony schemat obrastał w strzeliste pióra interpretacji, karmiony po prostu krwią serca, nasycony wszelką najwyższą wartością.

Było znowu lato - upalne, duszne, podestane rozgrzanyimi dachami i kamieniami miasta. Gdzieś daleko, po wielu tysiącach dziesięcin włosci chłazebiańskich, chodziły w skwarze słonecznym woły, konii traktory i ludzie, mrowie czarnych bosych pięć przemierzało w wszystkich kierunkach ich ścieżki, zagony i miedze. W zbożac klekotały żniwiarki, przy stodole w Boleborzy, w płynnym cieni dwóch starych brzóz podwórzowych, targał gorące

powietrze palnięte ny od dzieciństwa dygot lokomobili. Cały ogromny kawał ziem powleczone lasami, polami i łąkami, związany był w jedno robot codzienną tego mrowiącego się, rojącego i szeleszczącego mnóstw ludzkiego. I karmił sobą na sam wierzch wydzwigniętą sprawę tyć paru osób. Tysięczne nici połączeń doprowadzały na to miejsc zgęszczoną energię pracy, w tym węźle szczytowym przecinały si kierunki wszystkich wysiłków i przymusu, by tu osiągnąć swe uspra wiedliwienie i swój najwyższy sens.

To byli władcy Chązebnej, Popłoszy, Gwareckiego Folwarku, Pie szni, Boleborzy, lasów Bramińskich, tartaków, młynów i gorzelń Tczewscy dzieciństwa, ci, dla których ojciec pilnował ludzi, by prą cowali, bił chłopaków i dziewczęta, by nie kradły, ujadł się z najemnikami o robociznę, ci, których pobłażliwej łasce zawdzięczał "spokój ny kawałek chleba na stare lata".

Czechhński domagał się, aby na razie "nie ruszać" Tczewskiego i Zenon nie zamieścił listu do redakcji, którego autor - bardzo ci prawda naiwnie - krytykował oszczędności w majątkach chązebniańskich, zaprowadzone przez nowego plenipotentą. Wydrukował nato miast sprawozdanie szczegółowe, omawiające uroczyste poświęcenii Agencji Gospodarczej Koła Pań, którą założyła w mieście pani Tczewska, oraz artykuł samego Wojciecha Tczewskiego o kłusownictwie Szczególne obrzydzenie sprawiało Zenonowi, gdy machinalnie prze biegając oczami kronikę miejscowych wypadków w tym niby to własnym piśmie, oglądał dramaty małego miasta, kradzieże, bijatyk i samobójstwa, podane w sposobie żartobliwym. Tytuły opowiadań nieoczekiwane zakończenia - to robił mały, chudy chłopak, Chąbs Marian, piszący poza tym zjadliwe wiersze i protegowany tutaj prze;

Elżbietę jeszcze za redakcji Czechlińskiego. Wykonywał te dowcipy Ze grosze - głodny, gorzki, ironiczny, zawsze coś cichaczem knując) - sam jakby na to przeznaczony, by kiedyś żartobliwie wyskoczyć przez okno albo powiesić się w ustępie.

Zenon robił nie to, co chciał, i inaczej. Rzeczy od dawna rozstrzygnięte narzucały się świadomości swym istnieniem, kazały się jeszcze raz przemyśleć od początku, zmuszały do wiadomych skonstatowań. Napór codzienny obcych światów wytwarzał w nim stan ciągłego niepokoju. To wszystko wydawało mu się jakimś prowizorium, poprzedzającym życie właściwe. Obliczał to sobie na parę miesięcy - czas potrzebny, by strącały z pensji redaktorskiej dług paryski zaciągnięty u Czechlińskiego, całkowicie spłacić, urządzić jakieś małe mieszkanie, wziąć do siebie Elżbietę, żyć jak człowiek. Wszystko tymczasem odbywało się na wierzchu i niejako w cudzysłowie.

Pewien niepokój tkwił w tym, że cudzysłowy odpadały powoli od stów przyjmowanych umownie, w miarę jak te słowa powtarzały się co dnia i stanowiły skrót konieczny w pośpiechu życia.

Tylko popołudnia były dobre. Meble w mrocznym natłoczonym salonie zatracaly kontury i sama Elżbieta wydawała się pomieszana ze swym tłem w zasłonie wiszącego kurzu wibrującego od słonecznych rykoszetów, na przekór swej chęci całkowicie wrośnięta w ten dom, któremu nigdy nie umiała się dość nadziwić. Nie tylko dlatego, że ludzie mieszkają w nim na sobie warstwami, ale że w jego ścianach pod tynkiem i tapetą biegną ukryte arterie roznoszące wodę i odprowadzające nieczystości, a do odbiorników i mikrofonów mknie po nerwach drucianych mówiąca, śpiewająca i dzwoniąca elektryczność. I że ostatniej zimy zaczęły pod jego skórą chlupotać i szeptać rury ogrzewania centralnego, które od dawna były ambicją pani Kolichowskiej.

Elżbieta nie zapomniała dodać, że do obu mieszkań pod dachem rur nie dało się przeprowadzić. I że mieszkania pod ziemią nie mają nawet wodociągów.

Wieczorem ożywiały się pająki ukryte w zakątkach pokoju, ciężkie, z włochatymi łapami, udreżone codzienną ruiną pajęczyn, które bezmyślnie miotła z kogucich ogonów omiatała Ewcia. Okna otwarte na ogród zasilaly stale tę imigrację. Pająki nadciągały z ciemności - wielkie, czarne, rozczochrane - nieruchomiały na ścianie lub na suficie, nic nie wiedząc, jak są wstrętne i przerażające. Inne, mniejsze, bardziej powiewne, nagłym rzutem opadały z sufitu i zatrzymywały się w dowolnym miejscu pośród powietrza, jakby urzeczony przez doskonałość wyznaczonego sobą pionu.

Wtedy po stole, poprzez książki i niemodne albumy rozpoczynał ukośną wędrówkę stwór najdziwniejszy, pająk nie większy od biec ronki, na nogach wysokich dla niego, jak wielopiętrowe rusztowania miękkich i cieniutkich jak włosy. Idąc balansował tanecznie i każdą nóżkę stawiał niedbale zarazem i etykietalnie, z jakąś egzaltowaną elegancją. Było widoczne, że jest wytworny i wrażliwy, ostrożny i wybredny, mógł przy tym robić się na przemian wyższy albo niższa zależnie od swej chęci. Tak podszedł z bliska do opartej o stół Elżbiet i dotknawszy nieumyślnie jedną z łapek jej nagiej ręki, cofnął się 01 razu z przesadną delikatnością, jakby głęboko urażony, by, spieszni falując po nierównościach, odejść innym ukosem i przepaść w zwisają cych fałdach serwety.

Elżbieta utrzymywała, że pająki nie rażą w salonie. Jednakże z zachowaniem wszelkich ostrożności wyrzucała je za okno.

W mieście Elżbieta załatwiała sprawunki. Mimo upału, wewnątrz sklepów w hali, nie ogrzewane przez całą zimę, dotąd miały zapaci i chłód piwnicy. Zenon z upodobaniem patrzył, jak kupowała różni głupstwa o kobiecym, nieważnym przeznaczeniu. Stara, wysuszona m mrozie wielu zim Żydówka tasowała na kontuarze stos płaskich pudełek kartonowych, powolna i obojętna. Wreszcie otwierała jedno z nich i zdjęty wierzch gładko podsuwając pod pudełko, prezentowała towar. Były tam świecące tasiemki, różowe gumki obwiedzione karbowanymi falbaneczkami, węższe i szersze koronki. W jednym pudle nawinięty na papierowe rolki jedwab do szycia wyglądał jak różnokolorowe papierosy. Przez cały czas, gdy Elżbieta wybierała, kupcowa nie patrzyła w jej stronę i nic jej nie doradzała, nie chcąc widać wpływać na jej decyzję, wywierać jakiegokolwiek presji moralnej, tylko zakrzywionym palcem wskazującym drapała się powoli pod odchyloną nad czołem peruką, a dziwna rzecz ze spłaszczonych kokardek, strzępków czarnej koronki i fiołkowych paciorków poruszała się przy tym na jej głowie. Podnosiła oczy dopiero, gdy Elżbieta spytała o cenę, i sennymi ruchami rytuału odmierzała metry, jakby od dawna straciwszy resztę wiary w sens odprawianego obrzędu. Elżbieta płaciła, a gdy zdarzyło się, że kupcowa nie miała reszty, Zenon musiał wyjmować pieniądze i zmieniać na drobne albo pożyczać. To wszystko było ważne i sprawiało niezmienną przyjemność. Ich miłość, przewleczone przez różne strefy życia, robiła się zwykłą i zrozumiałą.

Najbliższą drogą wychodzili za miasto. Idąc mieli obok siebie nawzajem swoje profile jako dobro niewątpliwie należne i codzienne, jako rzecz pewną. Gdy zwracali głowy ku sobie, wymowne spotkanie ich oczu znaczyło, że wszystko jest w porządku, że nie zmieniło się nic. Ulica, zamknięta szlabanem, przecinała szeroki w tym miejscu tor kolejowy. Rozgałęzione szyny, gdzieniegdzie spięte zwrotnicami, schodziły się tu i rozchodziły skupiając wzdłuż siebie różne akcesoria swoich przeznaczeń. Zakopcone magazyny, remizy z poczerńiałych



cegieł, brudne szklane dachy, słupy z drzewa i żelaza wydzwigające w powietrze różne barwy, światła i kształty swych symbolów, pompy, pryzmy węglowego mialu, długie złoża desek, druty w niebie i na ziemi. Na prawo, w stronę dworca, stał trzymający się na uboczu długi sznur towarowych wagonów i pustych platform w oczekiwaniu na jakieś decyzje. Z niewyraźnych domczków, wznoszących się na roz-widleniach, wychodzili uczernieni ludzie, by z chorągiewką w ręku postać chwilę na oznaczonym miejscu i, spełniwszy swą rolę w całości zjawiska, powrócić znowu w swą samotność. Przed zamkniętym szlabanem przejechała wolno lokomotywa ciągnąca jeden wagon, a po niedługiej chwili wróciła torem następnym, popychając ten sam wagon przed sobą. Jej ciężki oddech ogarnął niebo nagłą ciemnością i szybko rozbiegł się po dachach, murach i ziemi, by zniknąć. Od lokomotywy odstawa! ukośnie wychylony człowiek i trzymając się jedną ręką wysokiej poręczy, drugą dawał sygnały komuś niewidzialnemu daleko przed sobą.

Szlaban poszedł w górę i Zenon z Elżbietą wstąpili na niski drewniany pomost przejazdu. Linie szyn przechodziły tu w wyłobieniach, deski obok poplamione były czarnymi kroplami smaru. Dalej między podkładami drobne szare chwasty wydobywały ze żwiru swe błagalnie pokręcone łodygi.

Za wielkim zielonym zagonem umęczonej trawy stał długi parkan pomalowany na żółto i zakończony u góry wycinanymi w drzewie ząbkami. Sponad tych ząbków wychodziły na niebo trzy chude akacje, jeszcze wśród dymu i sadzy kwitnące.

Słońce piekło, daleki błękit robił się od skwaru zupełnie biały i całe to wczesne popołudnie, zawisłe nad odcinkiem toru kolejowego, było wprost niewiarygodnie obojętne, jak pusta bania.

- Dlaczego tu jest tak smutno? - spytała Elżbieta.

Znaleźli się na terenie nowego przedmieścia, wśród rozparcelowanych ugorów i nieużytków. Drewniane szopy, parkany i sztache wyrastały prosto z trawy, ubogie domki tkwiły w małych ogrodach gdzie nic jeszcze nie chciało rosnąć. Wąska uliczka między posesjami wychodziła wprost na mokradło, objęte gdzieś daleko niskim sc nowym lasem, i wiodła przez kładkę z paru desek nad ciemną wodą kanału. Ledwie stąpnęli na mostek, rozległ się głośny plusk trzech i kolei spłoszonych żab, które spadały do wody ciężko jak kamienie.

Od dzieciństwa znali doskonale te strony, ubogi, jedyny spać podmiejski do lasu. Pamiętali czas, gdy nie było tu wcale domów tylko rozległe, chude pastwiska z jedną cegielnią rozsiadłą szeroko i horyzoncie. Teraz na skraju osady budowano dom, który miał być gotowy do jesieni. Zatrzymywali się tutaj i oglądali budowę, proje tując, że w tym domu wynajmą sobie małe mieszkanie z dala od ulicy Staszica.

Tymczasem wracali tam jednakże. Późnym wieczorem byli razem i tarasie albo w głębi ogrodu na białej ławce pod bzami. Letn powietrze kołowało nad nimi z cichym szumem. Za gałęziami wielk niebo było teraz dalekie i czarne, pełne gwiazd białe świecąc o których niepodobieństwem było myśleć, że to są słońca i światy.

I tak rzecz cała ułożyła się ściśle według wiadomego schematu dziewczyna wiejska i panna z mieszczańskiej kamienicy, narzeczon i kochanka, miłość idealna i zmysły.

A przecież wyglądało tak tylko z zewnątrz, jakby przez ironię los czysty zbieg okoliczności. Zenon bronił się przed tym skonstruowaniem, czuł na pewno, że istotna prawda jest inna.

Przed wszystkim nic nie byłoby się stało, gdyby nie to, że Justyn umarła matka i że starej Bogutowej nie wypłacili w Boleborzy cał pensji. Właśnie pierwsze, co byłby jej powiedział,

to to, że się zaręcz i że nie mogą się więcej widywać. Jakże miał odepchnąć od siebie płaczącą, "samą na świecie" i witającą go jak jedynego bliskiej człowieka! Następne spotkania były już tylko wynikiem pierwszego. Wszystko było zupełnie inaczej, niż się myśli, że jest u innych. A miłość idealna dla Elżbiety - to też nie było takie proste, nie wchodziło wcale w dualistyczny, naprzemianiegły schemat duszy i ciała. To prawda, że brał pod uwagę jej opór - jakby ta ostateczna sprawa nie była tu najważniejsza, w ich szczęściu był jeszcze na l czas. Przystawał, by ją odłożyć na później - nie wystawiał na zależność od nie zamkniętych drzwi, od mogącej o każdej chwili wejść pani Kolichowskiej albo Ewci. Myślał, że jest w tym zwykła delikatność z jego strony lub może miłość własna, nie pozwalająca prosić o to, co powinno być dane. Jednakże gatunek upojenia, który wyzwalał ten stan rzeczy, był zupełnie wyraźnie cielesny. Same niektóre słowa Elżbiety działały fizycznie jak pieszczota, dreszczem przeciekały przez skronie i powieki. Z milczącego bycia blisko, z długiego całowania suchymi wargami jakiegoś jednego wycinka ręki lub stopy, z wielbiącego przyłgnięcia czołem do kolan wynikało wzruszenie pełne zmysłowej słodyczy, rozkoszy kontemplacyjnej, niejako upojenie "wyższego rzędu". Ta rozkosz nie zlokalizowana i rozlewna wystarczała na teraz zupełnie. Może więc nie kierowała nim ani delikatność uczuć, ani miłosna ambicja. Może nie był delikatny, tylko nie dość silnie pragnący. Jego miłość do Elżbiety nie zstąpiła jeszcze w te ciemności instynktu, w których panowała dotąd Justyna.

Czemuż w takim razie bronił się przed uznaniem tego schematu, skoro rzecz ostatecznie miała się tak jak u wszystkich w podobnej sytuacji. Czyż każda najspokojniejsza sprawa od wewnątrz wydaje się jedyna i każdy schemat uczucia za każdym razem jest nowy. Czyż ujrzenie siebie samego oczami ludzi, pomyślenie siebie ich sądem - zawiera to niepokojące, czego nie możemy znieść.

Już w dzieciństwie Zenon znał ten niepokój. Dziwił się, że on jeden jest sobą pośród świata - i w tym odkryciu była groza, była jakaś nie do zniesienia samotność. Próbował się odnaleźć między ludźmi na innej drodze, ustalić się obiektywnie, wyprowadzić się ze świata, określić siebie jak każdego innego człowieka. Z wysiłkiem osiągał wreszcie to widzenie. Wyobrażał sobie, że jest Zenonem Zjembiewiczem, synem rządcy w Boleborzy, w ToTwarku należącym do dóbr chązebiańskich. Że po przejściu z celującymi stopniami do klasy czwartej przyjechał na wakacje do rodziców, że w tym właśnie charakterze stoi w pewne południe przy sztachetach odgradzających podwórze od podjazdu z gazonem, w tym charakterze, to znaczy jako syn Waleriana Ziembiewicza, tak widziany od strony ludzi prowadzących konie do stajni, pędzących z pastwisk krowy. Próbował tedy się odnaleźć i właśnie najbardziej się gubił. Wewnętrzne czucie siebie odpadało z przerażeniem od tego widzenia. To czucie siebie było czymś całkowicie odmiennym - i na to nie ma na świecie słów. I nie ma słów na wyrażenie udręki, która z tej odrębności wypływa.

Dotąd Zenon nie był wolny od niepokojów tych przeciwstawień i wejście sobą w jakiś gotowy schemat wyczuwał jako nowe potwierdzenie, że należy do tej rzeczywistości, którą przez to tylko poznać możemy, że nam się całkowicie przeciwstawia.

Jakkolwiek zresztą było ze sprawą Justyny, należało położyć jej koniec. Na początku miesiąca Zenon miał wreszcie w rękę tę sumę, która stanowiła formalną podstawę jej odwiedzin. Na ten raz mógł więc przystąpić do rzeczowych wyjaśnień.

Ale wbrew jego przewidywaniom pierwsza do wyjaśnień przystąpiła Justyna.

Oznajmiła mu mianowicie, że jest w ciąży. Targowy dzień wypadł tym razem w niepogodę.

Na świecie byli wietrzno i chłodno, deszcz lał od samego rana. Justyna przyszył zmoknięta. Otworzył jej drzwi, zanim zastukała - słyszał bowiem przez dłuższą chwilę, jak za drzwiami wycierała podeszwy, by ni zabłocić pokoju. Gdy ją wpuścił, rozwinęła się z mokrej chustki i popatrzyła naokoło, czyby jej nie można gdzieś rozwiesić. Za jego radą poprzestała na haczyku wkręconym w drzwi.

Nie od razu powiedziała, o co chodzi. Przez chwilę przygotowywał swój efekt naiwnym, przestraszającym sposobem. Zarazem jedna była godniejsza niż zwykle, troszeczkę uroczysta. Gdy ją zapytał: "No mów, co takiego?" - spłoszyła się i ze śmiechem powiedziała, że tak tylko udaje, że nic nie ma.

Ciemny dzień wchodzący spod uniesionej rolety, kłapanie deszczu W i ta jej minoderia zesumowały się w coś nieznośnego.

- Dajże spokój z głupstwami - powiedział szorstko. I zaraz, hamując zniecierpliwienie, dodał łagodniej: - No mów, coś chciała powiedzieć.

Stała na środku pokoju, niezdecydowana i niezręczna. Spuściła głowę i przyciszonym głosem wypowiedziała takie słowa:

- Bo nie jest ze mną tak, jak powinno być. Teraz dopiero Zenona owiał niepokój.

- Co to znaczy, Justyno? - pytał, dość jeszcze daleki od pewności. - Jak to nie jest tak, jak powinno być?

- Myślałam sobie jeszcze i tak, i tak. Ale już teraz nie może być nic innego, tylko to.

Powoli zrozumiał. Ale nie podszedł do niej, nie ruszył się z miejsca.

Zbierał myśli, żeby pojąć, dlaczego tej możliwości wcale dotąd nie brał w rachubę. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że to się może stać. Zobaczyła jego nieruchomą, zamkniętą twarz.

- Nic się nie bój, Zenon - powiedziała prędko. Jednym skokiem znalazła się przy nim, mocno objęła go w pół i z bliska mówiła: - Ja się wcale tym nie martwię, pamiętaj. Nie myśl sobie, że jestem taka głupia jak inne. Co mnie ludzie obchodzą, co oni powiedzą, jak ja mam ciebie.

Nie chciał jej od siebie odsunąć, tylko łagodnie próbował rozluźnić uścisk jej rąk. Ale nie dały się rozpleść.

- Poczekaj, poczekaj, pozwól - bąknął i niezaradnym gestem gładził jej łopatki. Było mu strasznie niewygodnie i duszno od zapachu jej przemokniętego ubrania i jej zmęczenia. - Pozwól, co też ty mówisz - perswadował.

Ale ona powtarzała w uniesieniu:

- Nic się nie bój. Ja się nawet cieszę, naprawdę. Ja zawsze tak lubiłam dzieci, że nie wiem.

Nie bój się, ja sobie sama dam z dzieckiem radę, ja zawsze mogę zarobić. I mama wychowała mnie sama, a przecież nikogo nie miała. A ja mam ciebie, Zenon, to wiem, że nie zginę.

Udało mu się wreszcie uwolnić z jej uścisku. Osiągnął to, że usiadła zwyczajnie na krześle.

- Uspokój się, dziecko, trzeba jeszcze poczekać. Może ci się tylko wydaje, może to naprawdę nic nie jest. Głos Zenona był ciepły i serdeczny.

- Po co to wszystko mówić, po co się denerwować, kiedy jeszcze nic me wiadomo.

Nie przerywała mu teraz. Słuchała. Starła się go dobrze zrozumieć. Nawet nie patrzyła na niego, gdy mówił. Słuchając uważnie, ściągnęła usta tak mocno, że wystawały naprzód, jak dziób u ptaka i wydawały się smutne.

Dopiero gdy umilkł, podniosła głowę i poważnie, powoli zaprzeczyła:

- Nie, już mi się to na pewno nie wydaje.

- No więc gdyby nawet - ustąpił Zenon. - Gdyby nawet... Ja nie chcę ci nic radzić, ale sama musisz zrozumieć... - Bezmyślne, spłoszone słowa biegły same, nie podległe żadnej kontroli. Rzeczą najobrzydliwszą w tym nieznośnym stanie była niechęć do Justyny pomieszana, z niepokojem o nią, ze wstydliwą litością i niepohamowaną irytacją. Jakże straszliwie jest głupia, o Boże. Po cóż ją spotkał, po cóż zaniósł go tamtego lata do Boleborzy! Przecież nie on jej szukał, przecie, właściwie unikał jej, wiedziony mądrym instynktem, omijał z dala ławkę, na której siadywała, haftując (i "kosztując tylko tyle, co zje") Nie szukał jej ani wtedy w Boleborzy, ani tu.

Myślał te myśli, wiedząc dobrze, jak są obrzydliwe - by tylko się upewnić, że nie jest winien, że to ona sama...

To, co mówił, nie było konkretne. Pamiętał o jednym i to stanowiło w tym wypadku niejako minimum, jakiego wymagał od siebie: s decyzja, czy to dziecko ma być, czy nie, wyłącznie od niej zależy. Zarazem jednak czuł w sposób jak najbardziej niewątpliwy, że mieć wspólne, to samo dziecko z tą obcą już i obojętną dziewczyną byłoby) czymś potwornym.

Powściągał się i uważał na swoje słowa. Zdaje się, że nie powiedział nic z tego, co nie powinno być powiedziane. Ona słuchała spokojnie, jakby nie dowierzała jeszcze swemu losowi.

- No, Zenon, dajże pokój, naprawdę. Tak jakbyś miał na mnie jaką złość...

Pospiesznie przerwał.

- Nie, nie, gdzie tam, nie mam żadnej złości. Ale przecież nie jesteśmy dziećmi. Trzeba mieć trochę rozsądku.

Przez chwilę było cicho. I słyhać było, jak Justyna z wysiłkiem i lekkim chrzęstem w gardle przełknęła ślinę.

Zenon otworzył okno. Deszcz już nie padał, było pochmurno i zimno. Do dusznego pokoju wtargnęło rzeźwe powietrze, jak wtedy w boleborzańskiej jadalni, gdy pierwszy raz mówił z Justyną. Łoskot wozów, odjeżdżających z placu targowego, wydawał się ogłuszający.

- Och, a ja tu siedzę! - zawołała Justyna ze zgrozą. Wykręciła się, zdjęła spiesznie wilgotną chustkę z drzwi.

- A na co te pieniądze? - spytała.

- Jak to, nie pamiętasz? Przecież akurat tyle zostało jeszcze z tego, coście nie odebrały z Boleborzy.

Machnęła ręką niechętnie, że jak gdyby to wcale nie jest ważne. Ale pieniądze wzięła.

- I gdyby ci tylko było coś potrzeba, to pamiętaj!

Przymrużyła oczy patrząc w jeden punkt. Przez chwilę wahała się zafrasowana.

- To już ty sobie głowy tym nie zawracaj, com ci powiedziała. To już ja sama.

- Włóż do torebki, bo zgubisz - przypomniał Zenon. Torebkę miała w koszyku przy drzwiach. Schyliła się, by wyjąć. Schowała pieniądze, owinęła się mocno chustką w burą kratkę i już z koszykiem w ręku powiedziała: - Może to się jeszcze jakoś na inne odmieni.

Elżbieta wchodziła do sypialni pani Kolichowskiej z miednicą pełną wody, z przewieszonym przez ramię włochatym ręcznikiem. Pękate mydło i gąbka, czerwona, podobna do miękkiej, porowatej cegły, były już zawnazs przygotowane obok na krześle.

Za Elżbietą szła Ewcia z pustym wiadrem i wodą zapasową w dzbanku.

Przybycie siostrzenicy nie sprawiało pani Kolichowskiej żadnej radości. Ale na widok Ewci pochmurniała wyraźnie. Nie lubiła tej dziewczyny, która zestarzała się u niej na służbie. Nie chciała, by obsługiwał ją kto inny prócz Elżbiety.

Ukośny od wiatru deszcz zmywał szyby i zimno przenikało do wnętrza pokoju. W taką pogodę pani Kolichowska czuła się zawsze gorzej i wcale z łóżka nie wstawiała.

Elżbieta myśla swoją ciotkę po kawałku, jak duży przedmiot. Pani Cecylia dała sobą powodować, przewracać się na boki, odkrywać i nakrywać - niechętna, nadąsana i bierna. Z przymkniętymi oczami znosiła wszystko i tylko nasłuchiwała ostrożnie, kiedy wewnątrz odezwie się ból. "Uważaj tutaj, uważaj" - niepokoila się zawnazs. "Nic, nic, ja pamiętam" - mówiła prędko Elżbieta i łagodnie zmywała bolące kolano.

Kiedy sprawa doszła do rąk, pani Cecylia stroskanymi oczami patrzyła na swoje palce rozpływające się w wodzie, podwójnie zniekształcone. Gąbka głaskała ciepło i przyjemnie, ale ręcznik zaraz potem wydawał się szorstki. Wszystko ciągle na nowo gotowe było boleć.

Nagle los, który okazał się oto jej losem, uderzył panią Cecylię jak coś niespodziewanego. - Co to jest? - powiedziała. - Człowiek leży, nie może się ruszyć, nie może wstać. Sam nie może sobie wziąć szklanki ze stolika. Jak kłoda.

- Poczekaj - przerwała Elżbieta. - Przecież za parę dni, jak tylko przestanie padać, zaraz będzie ci lepiej.

Na to nie warto było odpowiadać. Pani Cecylia patrzyła w powietrze, milcząc. Dopiero po chwili mruknęła: - I że to ja...

Elżbieta cesała teraz jej włosy. Nie były jeszcze całkiem siwe, ale wypadały tak gwałtownie, że z dawnego sporego warkocza został tylko długi, cienki kosmyk. Przez tłuste pasma, wygrabione grzebieniem, przeświecała łysa skóra.

- Nieraz sobie myślę, jak ty się nie brzydzisz, kiedy tak wszystko robisz koło mnie.

To, co uczuwała Elżbieta, nie było obrzydzeniem. Może jednak było czymś gorszym. Myślała zdziwiona, co właściwie robi się z ciałem starej kobiety, co ma wyrażać ten proces, czemu służy? Pożółkła, wiotka skóra trzymała jeszcze w obrębie dawnego kształtu miękkie mięso ludzkie. Ale wystarczył ruch nieznaczny, by przelewało się pod tą powierzchnią z jednej strony na drugą, jak gdyby odchodziło odi kości, jak gdyby było ciekłe, Zgrubienia i guzy artretyczne nie były tak odrażające jak ten pospolity obraz przemiany spowodowany przez starość i zgodny z porządkiem rzeczy.

- A kto robił przy mnie wszystko, ile tylko razy bylam chora, od samego dzieciństwa - nie ty?

Gdy to powiedziała, jej głos zadrżał i zakołysał się od wzruszenia. Ta tkliwość nie należała jednak do chwili obecnej i nie dotyczyła tą chorej kobiety. Pochodziła z innych zasobów.

Elżbieta mianowicie pomyślała o matce, która nie pielęgnowała jej nigdy w chorobie.

Och, tamtej urody nie uszkodziły lata. Ostatniej wiosny napatrzyła się jej do woli. Uczuła jeszcze teraz zapach powietrza, gorzki od nagranych południowych liści. Stała za matką na dużym balkonie nadwodnej willi. Nad balkonem wisiała markiza, a powietrze pod markizą pełne było świetlistego cienia, pachnące gorzko jakby skórą pomarańczy. Było południe.

Niżej w ogrodzie kwitły grubymi kwiatami bezlistne gałęzie magnolii, a dalej nad wodą

krzaki kamelii białe i czerwone. Matka była zdenerwowana, naprzód spieszyła się, a teraz czekała niecierpliwie. Lepiej było milczeć. Elżbieta z ciekawością przyglądała się jej sukni. Była z mszystej, mięciutkiej wełny białej i zapinała się na piersiach ukośnie na trzy guziki, trzy okrągłe kawałki różowego koralu. Na szyi nie było pereł, tylko sznurek takich samych, trochę drobniejszych różowych koralu. Nadęte, rozgniewane usta były pomalowane jasnym karminem. I jeszcze coś bladoczerwonego, jakaś kokarda z emalii uczepiona była do każdego z białych, mszystych pantofelków. Była cała czysta, świeża, zbyt kowna, gładka - bez jednej zmazy. Była czymś najpiękniejszym, co się da pomyśleć. Była bezużyteczna, była tylko do ozdoby. Jak można mieć taki profil i żeby to było żywe!

Nie była matką, była zwyczajnie drugą kobietą. Jej piękność, jej cała jakość była tylko męczarnią. Maskowała się tak niedbale. Obie ręce trzymała na poręczy balkonu - i także te ręce były piękne i miały koralowe paznokcie. Bez słowa patrzyła przed siebie, ściągając brwi. Ale nie na jezioro. Ani na góry tamtego brzegu - lekkie, jakby wydmuchane z niebieskiego kurzu, ani białe żagle, nadciągające po wodzie świetlistej i zielonej jak grynszpan - nic nie było dla niej warte widzenia. Patrzyła na kratkę małej bramy w murze, bo tędy miał znowu przyjść któryś z jej mężczyzn.

Nie uśmiechnęła się, gdy wszedł. Uśmiechała się niezmiernie rzadko, była piękna pochmurnie i gniewnie. Ale za to jej uśmiech znaczył o wiele więcej niż u innych. Był nie tylko łaskawy i dziecinnie niezaradny, był jeszcze pełen dobroci.

Dlaczego Elżbieta myślała o niej, że jest niedobra?

Z całej chwili tamtej zapamiętała najmocniej - tak jak gdyby nie pamięcią, ale całą skórą ciała - zgrzytanie żwiru pod ciężkimi podszwami tego pana, jego kroki mocne i chrzęszczące. Nie wiedziała już teraz, czy to był ten chudy i brązowy, do którego przychodziły wciąż depesze z jego banku w Algierze, czy ten z Rumunii, w którego ogrodzie blisko Galacza nad Morzem Czarnym rosły gorzkie migdały.

Myślała o matce, że jest niedobra. Ale co jest naprawdę w dobroci dotykalne i rzeczywiste, co jest nią samą? Przecież nie szereg dobrych uczynków, które mają motywy tak złożone i tak różne. I nie myśl pełna troski o los innych ludzi, myśl daleka, pamiętna, dająca się wyrazić słowami. Czyż nie najbardziej rzeczywiste, nie jedynie prawdziwe jest to, co uczuwamy sobą, jako ruch naszych obu rąk wyciągniętych, jako dreszcz ciepły w powiekach, gdy się patrzymy, jak uśmiech doznany od wewnątrz - jego smak w ustach, jego głęboki wilgotna treść. Elżbieta nie mogła sobie teraz nawet przypomnieć uśmiechu matki, ale wiedziała, że był nie wyrazem dobroci, tylko dobrocią samą. Po cóż jej były jeszcze dowody?

Pani Cecylia niełatwo dała się przejednać. Jej oczy mrużyły się o niepokoju i zniecierpliwienia. Cieniutkie wargi ciasno i boleśnie prz) leżały do sztucznych zębów. Tutaj także skrzywienie gniewu był gniewem samym, a wyraz cierpienia samym cierpieniem.

- I przecież wiesz - kończyła chłodno Elżbieta - że lubię być przy chorych.

Pozostawiać wszystko ze stolika, wytrzeć za okno serwetkę i na nowo wszystko na niej ustawić, zmienić wodę w kwiatach, powynosić przybory do mycia, wydobyć ze smutnego pokoju jego stały wewnętrzny, rozsądny ład - to jednak była pociecha. Gdy chora leżała wreszcie w czystej koszuli na prześcielonym łóżku, Elżbieta łudziła się przez chwilę, że odtąd będzie jakoś inaczej, że coś jednak obróci się na lepsze. I oczekiwała, że ciotka się uśmiechnie, że będzie jej teraz wygodnie i dobrze, że dozna ulgi.

Ale dla pani Cecylii rzecz nie zmieniła się w niczym. Nastąpiła tylko chwila, że mogła się wreszcie nieruchomo i w spokoju oddać na nowe swojemu cierpieniu.

Gdy Ewa przyniosła na małej tacy kawę i sucharki, pani Kolichowska poruszyła się z jękiem, niechętnie patrząc na jedzenie. Elżbieta weszła znowu w swą rolę. Ale zrobiwszy swoje, chciała już odejść. Pani Cecylia zatrzymała ją pytaniem:

- Dlaczego nie przychodzi Ziembiewicz?
- Właśnie wrócił, bo gdzieś wyjeżdżał. Telefonował wczoraj.
- To dziś przyjdzie?

Pytania ciotki były krępujące. Zenon nie przychodził od pięciu dni, za każdym razem zresztą wyjaśniał powody i rzecz nie nasuwała wątpliwości. Ale rozległość pustki, którą stwarzała ta nieobecność, była groźna. Na myśl, że mógłby nie przyjść jeszcze dziś, Elżbieta uczuwała pod żebrami ból dojmujący i nagły, ból będący przestradchem.

Rzeczy, których nie zrobiła, i te, których nie powiedziała, słowa odkładała wszystkie na to jedno widzenie. Przymykając oczy, po stanawiała, że teraz będzie już inna. Że będzie "dobra". Od rana rozpamiętywała widzenie ostatnie, i jeden w nim pośród innych pocałunek. Wiedza o tym była bardziej cielesna niżeli tamta rzeczywistość, myślała się całym ciałem, od stóp do głowy. Przelatywała w jego ciemnościach jak dreszcz. I wszystko wewnątrz zwijało się, skręcało i żarzyło od jej obiegu. Elżbieta żałowała: "Dlaczego nie zgodziłam się wtedy? Jak mogłam?"

Przytomniała powoli, słysząc głos pani Kolichowskiej, pełen skargi.

- Tyle lat jesteś ze mną i ciągle, ciągle obca.
- Co ciocia mówi?

Elżbieta nie zdziwiła się, tylko chciała zrozumieć.

- Ciągle masz jakieś swoje sekrety, kryjesz się ze wszystkim. A przecież chyba ja powinnam wiedzieć.
- O czym?
- Bo jeżeli masz zamiar wyjść za tego Ziembiewicza - tak? Pani Kolichowska leżała bez ruchu i jakby bez oddechu. Jej przestraszone oczy nie patrzyły na Elżbietę.
- Och, wie ciocia!

Elżbieta prędko powściągnęła swój gniew. Pytanie ciotki musiało być od dawna gotowe, odsuwane, odkładane na później. Musiało ją wiele kosztować. We współczuciu Elżbiety krył się wstyd, że komuś na niej tak zależy.

Z niedbałością, jak o czymś nieważnym, powiedziała:

- Tak, mamy zamiar się pobrać.

Od tego wyznania serce jej uderzyło parę razy mocno i powoli. Takimi nazwana słowami rzecz sama zaczęła być na nowo wielka, ciężka i rozległa.

I zaraz, jakby tracąc odwagę, dodała:

- W każdym razie jeszcze nieprędko.

Zenon miał przyjść zaraz po obiedzie. Ale do tego czasu zamysły i postanowienia Elżbiety odmieniły się znacznie. Naprzód pytanie ciotki zepsuło intymną, dręczącą tkliwość oczekiwania. Ponadto jeszcze przed samym obiadem wynikła nagle i nie po raz pierwszy sprawa, która wszystkie jej myśli odwróciła w inną stronę.

Sprawa dotyczyła starego dozorczy Ignacego. Pani Kolichowska już dawno chciała go oddalić i Elżbiecie udawało się dotąd zawsze wyjednać zwłokę. Tymczasem ostatnio Ignacy

rzeczywiście chorował na serce czy sklerozę i niewiele już przy domu pracował. Zastępowała go żona z pomocą młodszego chłopaka Chaśbów, Edwarda. Ale i Edward był, jak mówiła Michalina, "nicpotym", zawsze się gdzie zapodział i trzeba go było dopiero szukać, gdy był potrzebny.

Pani Cecylia domagała się, by Elżbieta umieściła Ignacego w szpitalu, jego żonie kazała się wynieść, a na ich miejsce znalazła ludzi odpowiedzialnych, z którymi byłby wreszcie spokój. Temat był ogromny i niedobrze było go ruszać. Naprzód choroba Ignacego nie nadawała się jeszcze do leżenia w szpitalu i nie mogła rąbko go zapewnić. Następnie czynności najważniejsze były właśnie wykonane. Ale tutaj zaczynał się właściwie inny splot zagadnień związanych ze skomplikowaną osobą Mariana Chaśby, któremu Elżbieta przyrzekła, że jego bratu młodszemu, mającemu tak trudny charakter, "nie da zginąć".

Dawniej, gdy pani Cecylia „trzęsła wszystkim”, gdy siała strat wśród zależnych od niej ludzi zaprzyjaźnionych, lokatorów i służb nie było dziwne, że ulegała jej Elżbieta. Ale oto teraz wobec leżąc w łóżku i bezsilnej była słabsza jeszcze niż przedtem. Wszystko, co udało się osiągnąć w sprawie Ignacego, to było odłożenie jej do jesieni. Nie zmieniło się więc nic. Tej upartej, nieustępliwej woli nie umiał się przeciwstawić. A przecież szło o rzecz ważniejszą niż jej stosunek do ciotki. Ważniejszą niż ten spokój sumienia. Szło o tamtych starych ludzi, którym groził głód.

Po tej rozmowie zmienił się sposób, w jaki czekała na Zenona. Zmienił się temat tęsknoty. Ach, to, że można się z nim porozumieć że dla niego słowa te same znaczą to samo, co dla niej. Ta jego bliskość była teraz jedynym ratunkiem, i wiedziała, że tym samym ona jest dla niego. Była tym samym dla niego. Zenon niecierpliwie odrabiał swoje redakcyjne godziny. O tym czasie zjawiało się kolejno mnóstwo ludzi z swoimi propozycjami, krzywdami i talentami. Po dawnemu przecinał się tutaj raczej istnienie całych gromad ludzkich - w zmniejszeniu w trybie doraźnym i uproszczonym, w karykaturalnym skrócie. Zenon był zaskoczony odkryciem, że na tym małym, prowincjonalnym odcinku świata istnieją jednak sprawy dające się tymczasowo załatwić, klęski, którym można jeszcze odręcznie zapobiec. Ale każde zagadnienie domagało się dla siebie odrębnych miar. O każdej chwili trzeba się było stawiać kim innym, by nie zatracić owego czucia z rzeczywistością, które jak tajemnicza magia zaimponowało mu kiedyś u Czechlińskiego. W ciągu godziny Zenon przesuwał się parę razy w górę i w dół po całej skali przeciwstawień. Sam teraz dziwił się sprawności, z jaką to robił. Na razie nie wyglądało to jeszcze na porażkę. W jakimkolwiek miejscu zastawał samego siebie, zawsze tuż w pobliżu leżało coś gorszego, czemu się można było w najlepszej wierze przeciwstawić. Jednakże granica ostateczna tych przeciwstawień - granica odporności moralnej - odsuwała się niepostrzeżenie coraz dalej.

Po artykule hrabiego Tczewskiego o pladze kłusownictwa Zenon zamieścił jedno wspomnienie z wielu tych, których dostarczał mu stale pan Maurycy Posztraski. Tego starego pana, zamieszkałego w domu pani K-olichowskiej w charakterze zrujnowanego męża jej przyjaciółki Lucji, i codziennego prawie gościa w redakcji, Zenon też właściwie, jak Mariana Chaśbę, zawdzięczał Elżbiecie. Używał wielu sposobów, by się go pozbyć, by go jakoś do siebie zniechęcić - z bardzo znikomym wynikiem. Posztraski powziął do niego duże zaufanie oraz rodzaj osobistej sympatii. T miał poza tym wiele wolnego czasu. Zjawiał się w samo południe, czyściutki, siwy, bezżębnie uśmiechnięty, już o tej porze mile podniecony poranną dawką alkoholu. Na szerokich, kościstych, wychudłych barach nosił wysoko małą głowę, nie



mogącą nic pomieścić, niczego zrozumieć. Oprócz wspomnień myśliwskich pisał też poezje o ryngrafach na piersi, sztandarach na wietrze i wiecznym wytrwaniu na szanłach z mieczem w dłoni. Gdy Zenon odrzucał jedno, pan Posztraski przynosił inne. Z różnych kieszeni wyjmował zniszczone wycinki, druczki, złośliwe odpowiedzi od redakcji pism stołecznych. To dossier całego życia świadczyło, że parę wierszy zdołał jednak zamieścić w pismach reklamowych, małych prowincjonalnych świsłkach, oraz dwa dłuższe poematy okolicznościowe w wydawnictwie jubileuszowym dwudziestolecia straży ogniowej i pamiątkowej księdze zjazdu koleżeńskiego wychowanków nie istniejącej już uczelni. Dwa w ciągu ćwierćwiecza kurtuazyjne listy prywatne, podpisane przez znane nazwiska, napelniły go otuchą na resztę życia. Ale inni nie odpowiedzieli nic. Obojętność stolicy budziła w nim nie gorycz, tylko zdumienie bez granic. Wydawało mu się niepojęte, że gdy jedni umieli się na nim poznać, u tamtych, wielkich, świątłych, dalekich nie znalazł zrozumienia. A któż, jak nie oni właśnie, byli do tego powołani. Świat wydawał mu się przewrócony do góry nogami. "To trudne do uwierzenia - mówił - to niepojęte." Natura jego nie znała mąk i udręki zwątpienia. Rozpogadzał się łatwo, gdy tylko sobie uprzytomnił, że pośród zmaterializowanego dzisiejszego świata nie on jeden jest osamotniony. Miłość ojczyzny, wiara, honor - to zeszło na plan dalszy, I Gdy panuje pieniądz, interes, koterie i kliki, ciężki jest wówczas los ludzi idei. Jedna rzecz wyjaśniała łatwo zagadkę. "Cóż to dziwnego ostatecznie, kiedy tam siedzą oni - mówił pan Posztraski i porozumiewawczo uśmiechał się do Zenona, któremu przypominał w tej chwili ojca - Żydzi. Tam Żydzi wszystkim trzęsą." Tak wprzegając własną przegraną sprawę w ogromny mechanizm świata, doznawał zupełnie wystarczającej pociechy W redakcji poznał Zenon jeszcze jedną hrabinę Tczewską, Olgier-\* dową z Pieszni, bratową Wojciechowej. Od dziecka widywał ją, jak przejeżdżała^ ciasnymi, pochyłymi ulicami miasta - daleka, nieosiągalna, jak gdyby niezupełnie ludzka. Sztubacy wystawali gromadkami na brzegu wysokich chodników, by oglądać wielki, dyszący, umączony kurzem szosy samochód, zwalony ciężko na jeden bok nad przepaścistym rynsztokiem. Opowiadali sobie, że spotyka się tu ze swymi kochankami, i wiedzieli na pewno, z kim mianowicie. Uwielbiali j^ nadaremnie i mówili o niej świństwa.

Obecnie ten fenomen, sprowadzony do właściwych proporcji, dał się rozważać wedle zwykłej miary ludzkiej. Mając ją przed sobą, Zenon widział, jak niedużo zostaje z człowieka, gdy odjąć od niego wszystko, co mówią o nim inni. Siedzący po drugiej stronie stołu najpierwszy "demon powiatu" był małą kobietą, pragnącą zjednać sobie każdego obcego, niewiadomego człowieka, podobać się za wszelką cenę. Poruszała się i śmiała jak dziewczynka. Jej jasne włosy zrobiły się popielate od siwizny, a oczy były ufne, słodkie, rozbrajające. Mówiła wciąż o sobie, chociaż szło na pozór o wyborowe nasiona warzyw, jajka zielononózek, opiekę nad sierotami i matkami, kursy niedzielne śpiewu chóralnego - to wszystko, co jest do obejrzenia w Pieszni Środkiem wsi jedzie się jak ogrodem, corocznie bowiem gospodyni która wyhodowała najpiękniejsze kwiaty przed swoją chatą, dostaje nagrodę konkursową.

"Niech pan redaktor koniecznie wybierze się do Pieszni - zapraszała - zobaczy pan sam, jakie ta praca daje wyniki."

W biografii Olgierdowej Tczewskiej minęła już epoka eleganckich panów, kuzynów zaufanych, salonowych lwów. Łowiła kiedyś tych mężczyzn i zatrzymywała przy sobie po kilku jednocześnie, jak ciężkie ryby w sieci, oplątując ich całym systemem jątrzonej wciąż,

racjonalnie karmionej i starannie kultywowanej zazdrości. Była tylko szczera, bezradna wobec ich rozpętanych uczuć, ceniąca nade wszystko prawdę. Nie oszczędzała im niczego, każdy dokładnie poinformowany był o innych.

Miłość nie miała dla niej smaku, gdy nie towarzyszył jej ciągły strach, groźba ujawnień, sceny, skandale i pojedynki. Dziwiła się dziecinnie, że sama tak spokojna, tyle zdolna jest niepokoju wokół siebie rozpętać. Żyła pomyślnie i bezpiecznie, jak salamandra, w tych krótkich spięciach. Wszystkie skandale kończyły się honorowo, a ona wychodziła z nich nietknięta i czysta.

Teraz obaj synowie przerośli ją od dawna i ze swymi wąskimi czaszkami na grubych karkach wyglądali przy niej na atletów. Częściej przecież prowadziła ze sobą ich ubogiego przyjaciela, chłopię wątłe i giętkie jak łądyga, jasnorszyste, pożerane zamkniętą gruźlicą i głodem doraźnej, byle jakiej rozkoszy. Przy nim mogła zapomnieć swych przebiegłych sposobów uwodzenia. Wystarczyła paryska, różana woń oddechu, chrzęst skór i impregnowanego jedwabiu, lśnienie i grzechot klejnotów. Była prosta i szczęśliwa, mogła wreszcie zacząć być dobra.

Sposobem, w jaki była dobra, były owe słynne urządzenia społeczne w Pieszni. Podziwiając je Zenon spędził w przyjemnym usposobieniu u pani Tczewskiej całe ostatnie trzy dni.

14

Na ulicę Staszica poszedł dopiero wieczorem, przed samą kolacją. Był pochmurny i zdenerwowany. Rozpytywał Elżbietę, co robiła przez cały czas, gdy się nie widzieli. Można było pomyśleć, że krótkie rozstanie nastąpiło z jej winy. Sam opowiadał niechętnie o widzeniach z Czechlińskim, o tym, że zawsze z nim musi pić.

- To z nim wyjeżdżałeś? - zapytała.

- Tak. On tam miał swoje sprawy z tym młodszym Tczewskim. Obcy świat przesunął się pomiędzy nimi i odszedł. Gniewny ton i szorstkie słowa Zenona oznaczały, że bronił się wzruszeniu. Bo oto po złych, niespokojnych dniach odnalazł ją znowu w miejscu tym samym, nie zmienioną. Sam od jej strony stawał się znowu sobą. Uczuł ulgę. Zbliżył się do Elżbiety i objął ją. Pocałowała go i odsunęła się z roztargnieniem. Miała mu tyle do powiedzenia. Przed samym jego przyjściem myślała, że zawsze rzeczy najważniejsze stawały się poza nią, obok, że zawsze była od nich odgradzona. Dopiero on, Zenon, sprawił, że to najważniejsze jest tutaj, że ją ogarnia, że wciąga ją wewnątrz życia. Miała mu to powiedzieć, ale podano kolację. Przy stole Zenon mówił o tym, co widział w Pieszni, o tych ludziach. Potem o redakcji i jakichś drobnych niesmakach. Tego wszystkiego mogła słuchać pani Kolichowska.

- Kto właściwie jest ten Chaśba? - spytał Elżbiety, lekko się krzywiąc.

Elżbieta wyjaśniła dość pobieżnie, kim jest Chaśbd. Mówiła to zresztą, co Zenon i tak już wiedział.

- A dlaczego się pytasz?

Nie odpowiedział. Wyszli na taras, potem do ogrodu. Było duszno, liście wisały nieruchomo w ciemniejącym powietrzu. Na końcu alejki usiadł na ławce, przyciągając ją za rękę.

- Chodź do mnie.

Przez chwilę siedziała na jego kolanach, skrępowana tym, niezręczna. Gdy tylko było można, zesunęła się i usiadła na ławce obok. Ławka była z przerywanych deseczek, wgięta, wygodna jak kanapa.

Siedząc przytuliła się do jego ramienia, dopiero tak szczęśliwa i bezpieczna.

Milczeli. Zza parkanu dochodziły nawoływania, okrzyki dzieci, głosy małego miasta. Słychać było życie zacichające, układające się do snu.

Głaskał jej rękę i Elżbieta znowu uczuła, że dzieje się to najważniejsze, że środek życia jest tu, gdzie oni. Ale drobna rzecz wystarczyła, żeby to zmącić. Życie cudze, opływające ich zewsząd, ruch, człowiek, słowo. Nawet niechciana myśl.

Tym razem były to kroki od strony tarasu. Elżbieta chciała zerwać. Zenon przytrzymał jej rękę.

- Nie bój się, nie bądź taka niespokojna. Nawet jeżeli zobaczą - to cóż?

Z głębi alei nadchodziła Ewcia, żeby wezwać Elżbietę do pani Kolichowskiej. Elżbieta podniosła się i poszła tam, łowiąc na próżno odlatujące strzępki tej niewymownej szczęśliwości. Jak przewidywała, me szło o nic ważnego. Pani Kolichowska powiedziała Elżbiecie, żeby nie siedziała długo wieczorem w ogrodzie.

- Jest wilgotno, możesz się przeziębic.

- Jest ciepło - odpowiedziała Elżbieta ścisząc głos. Było widoczne, że pani Cecylia mówi nie o tym, co ją w istocie niepokoi. Ani słowem nie wspomniała o Zenonie, jak gdyby nie wiedziała, że dotąd nie odszedł. Jej niechęć do niego i do ich sprawy była widoczna i nie dała o sobie zapomnieć.

Pani Cecylia nadmieniła jeszcze, że dziewczyna, która mieszka u Gołąbskich, jest dotąd nie zameldowana.

- Ty o tym nie myślisz, a ja będę płacić karę.

Wróciwszy zastała Zenona stojącego przy tarasie w ciemności. Usiedli tutaj. Elżbieta powoli otrząsała się od natrętnych słów, od brzmienia głosu ciotki. Powrót do szczęścia był trudny i wymagał wysiłku. Siedzieli teraz na dwóch plecionych fotelach, tuż przy sobie, choć nie tak blisko jak przed chwilą w ogrodzie. Zrobiło się ciemniej, widoczne światło w sypialni pani Kolichowskiej zgasło. Znów było dobrze. Gdy milczał, wyciągnęła do niego rękę, myśląc, że to dzięki memu jest teraz wewnątrz życia. Zacisnęła lekko palce wokół jego dużej dłoni.

Wtedy poruszył się niespokojnie i nagle powiedział, że to z Justyną nie jest jeszcze skończone.

- Nie jest skończone - powtórzyła powoli Elżbieta. - Nie jest skończone. To znaczy, co?

- SamJae\_w\_tym\_mężę. I że ty nie wiesz. Nie mogę tego dłużej znieść

- Ale co? - cicho powtórzyła. - Co? - i skuliła się, jakby jej było zimno. Chciała wyjąć rękę z jego dłoni, ale nie dał jej tego zrobić.

- Przyszła do mnie do hotelu - mówił prędko. - To było po śmierci jej matki. Nie mogłem jej przecie odpędzić, gdy płakała.

- Poczekaj - przerwała z namysłem. - To było kiedy? Zenon się zawahał.

- Zaraz po przyjeździe.

- Tego samego dnia?

- Zaraz rano.

- Rano? Zanim mnie zobaczyłeś?

- Tak.

- Zanim do mnie zatelefonowałeś, żeś przyjechał?

- Nie. Telefonowałem przed wyjściem z hotelu.  
- Poczekaj. Poczekaj. Więc to było po tej naszej rozmowie przez telefon? Odpowiedział z wysiłkiem:

- Po naszej rozmowie.  
- Kiedy ci powiedziałam, że nic się nie zmieniło.

Mówili cicho. W ciemności słyszeli tylko swoje słowa. Jedyne światło przenikało z otwartych drzwi jadalni. W tym oświetleniu twarze ich były szare i niewyraźne. Elżbieta siedziała spokojnie. Gdy Zenon zapalił papierosa, udało jej się niepostrzeżenie cofnąć rękę. Było ulgą, że mogła teraz ręce w ciemności mocno spleść palcami, cicho załamywać.

Podjęła szeptem:

- Powiedziałeś, przed wyjściem z hotelu. To znaczy, że później wyszedłeś i później znowu wróciłeś? A wtedy ona przyszła. Skąd wiedziała, że jesteś? Czy pisałeś?

- Nie, nie pisałem. Od roku nie było nic między nami. Elżbieta pracowała myślą.

- Mówiłeś, że to jest zerwane.

- Naturalnie. To było zerwane przez sam mój wyjazd. Ona była na to przygotowana od początku, że to się zerwie. Pogodziła się z tym zupełnie.

- Nie pisałeś do niej. Więc jak się dowiedziała?

Znowu się zawahał.

- Spotkałem ją przed hotelem - całkiem przypadkowo. Mówił niepewnie - tak to było nieprawdopodobne. Ale Elżbieta uwierzyła.

- I przyprowadziłeś ją do siebie?

- Nie, nie przyprowadziłem. To mogło tak wyglądać, ale - nawet przez myśl nie przeszło, że tym się skończy. Tylko...

- Tylko co?

- Tylko, że ona płakała głośno i to było na ulicy...

- Dlaczego płakała?

- Bo jej umarła matka.

- Ach, prawda.

- Płakała na ulicy. I przy tym było mi jej żal.

- Było ci żal - powtórzyła Elżbieta.

Znowu umilkł. Wyczekiwał w ciemności, męczył się. Elżbieta milczała też, siedziała bez ruchu, myśląc. Zenon powiedział z wyrzutem:

- Widzisz. Jesteś obca, jest w tobie wrogość.

Usiadł u jej nóg, na najwyższym stopniu schodów, mówił gorzko:

- Nie ma bliskości. Taka rzecz wystarczy, żebyś była daleka i wroga. Jestem sam.

- Nie jesteś sam.

Objął jej nogi, oparł brodę na jej kolanach.

- Nie gniewaj się. Musiałem ci to powiedzieć.

- Ja wiem. Lepiej, żeś powiedział.

Dotknęła dłonią jego włosów, na które padało światło z okna.

Ale ręka jej była sztywna i zesunęła się w dół po jego ramieniu.

- I wtedy to się stało? Tak? - zapytała nagle po chwili drgającym głosem. Gdy milczał, dodała: - Dlaczego? Dlaczego? Przecież nie dlatego, że umarła jej matka?

- Elżbieto!

Objął ją ciaśniej. Nie chciał wyznać, że coś w nim - to najgłębiej ukryte, najbardziej mroczne, odgadła. Czyż nie w tym właśnie pociągała go Adela, że w jego oczach, w jego rękach, kochając, umierała.

- Elżbieto, nie mów tak. Żebyś wiedziała! - Bo to jednak było niepojęte. - Byłem taki stęskniony za tobą.

Nogi jej wyprężyły się, chciała wstać. Gdy ją przytrzymał, nie odepchnęła go jednak. Uspokoiła się, przycichła. Ta wiadomość powoli się w niej rozrastała, rozmieszczała jakoś po różnych kątach uczucia.

Nie mógł przyjąć tej zgody. Szło o ważniejsze sprawy.

- To nie wszystko, Elżbieto.

Musiał mówić. Uczuwał w tym ulgę, gotową łatwość, gorzką przyjemność. Wyznawał Elżbiecie swą zdradę - jakby to było już przewidziane, wiadome z góry. Przypomnił sobie, że tak samo ojciec wyznawał matce swoje winy. Ale wtedy to było śmieszne.

Umilkł i usłyszał nad głową szept Elżbiety:

- Słucham.

- Ona przychodziła jeszcze później.

- Przez cały ten czas?

- Tak.

- Kiedy przychodziła?

- Nie pamiętam. W poniedziałki i czwartki - poprawił się zaraz. - Rano.

Ogrzewał w dłoniach ręce Elżbiety, bo były zimne.

- Ona tu jest w mieście?

- Tak, jest w służbie. W te dni chodzi na targ. Wydało mu się, że roześmiała się w ciemności. Ale to było niemożliwe.

- Słuchaj, Elżbieto, nie powinnaś patrzeć na to tak, jak to wygląda. Powiesz, co zechcesz - i tak będzie, jak będziesz chciała. Ale musisz to zrozumieć, ty właśnie musisz, że to nie jest jak zawsze, że to nie jest takie proste, że tam ona, a tutaj ty. Tak często bywa, ja wiem, ale to tylko pozór jest taki... A dno jest inne.

Nie umiał powiedzieć, na czym polega ta różnica. Chyba że każda rzecz najpospolitsza od wewnątrz jest jedyna. Ale już mówiąc myślał, że wewnętrzny stosunek do tych rzeczy jest złudzeniem perspektywy, że nie orzeka o niczym. Zostaje fakt ordynarny i nagi, schemat me pozostawiający żadnej wątpliwości. Justyna była w samej rzeczy uczciwą dziewczyną, którą uwiódł korzystając z jej zakochania. Elżbieta była narzeczoną, którą zdradził. To ostatecznie było istotne, taki był faktyczny stan rzeczy.

Tymczasem Elżbieta nie odzywała się wcale. I Zenon myślał: "Może to nie jest pozór. Może to wszystko jest takie, jak wygląda. I to czym jesteśmy dla ludzi jest ważniejsze, niż to, czym jesteśmy we własnych oczach.

- Elżbieto... - Ponieważ ciągle milczała, powiedział: - To jeszcze nie wszystko. Jest gorsza rzecz. Ona jest teraz w ciąży. I właśnie...

Na ten raz Elżbiecie udało się wyrwać z jego powstrzymujących rąk. Zastąpił jej drogę we drzwiach domu, unieruchomił ją w objęciu. Jego ramiona zwały się na jej plecach,

zaskoczyły na siebie jak szczęki buldoga. W tym żelaznym uchwycie z trudem łapała oddech.

- Nie pójdziesz - powiedział. - Zostaniesz.

To, czego chciał, to był boleborzański schemat. Musiała przebaczyć. Ten układ spraw powtarzał się wiernie aż do szczegółów. Elżbieta została. Nie szamotała się już, stała cicho. "Nie można krzyczeć, nie można nic zrobić" - pomyślała.

Cały świat jest taki. Od dzieciństwa męczyła się tym, że nfatka myśla" kochanków. Słuchała potem okropnych rozmów starych kobiet o życiu, rozmów ciotki z panią Łucją o mężczyznach. Już dawno domyśliła się, co to były te przedmioty w kasie wuja Kolichowskiego, znalezione przez żonę po jego śmierci. I wiedziała, na jaką chwilę trafiła, przychodząc za wcześnie na lekcję do panny Wagner, gdy czerwony i jakby pijany cudowny Awaczewicz otwierał jej drzwi.

Cały świat jest taki - życie dziejące się obok, za zasłoną. Jej wstręt dziecienny do tych spraw odrzucał ją zawsze gdzieś na ubocze istnienia.

Teraz oto podeszły tak blisko, jak dotąd nigdy. Ogłuszyło ją, oślepiło jej oczy, zalało ogniem męki całe ciało. "Widocznie byłam winna, widocznie coś takiego jest we mnie, jeżeli to mogło się stać" - myślała.

Jeszcze raz pogłaskała ręką jego włosy - gładko uczesane, świecące, brązowozłote nawet tu w cieniu. Ale była zgroza w tym dotknięciu i przeszywające wzruszenie.

- Ja wiedziałem, że mi przebaczysz - mrucał z ustami w jej dłoniach - że mi w tym dopomożesz.

Jej ręce wciąż były sztywne. - Czy jestem teraz dla ciebie wstrętny, Elżbieto?

- Nie - wyjąkała. I uczuła, że jego usta gniotą jej usta. Zwinęła się jakby z fizycznego bólu i znów chciała się wyrwać. Znów ją przytrzymał. i Ale powiedział: - Jeżeli nie chcesz, jeżeli nie możesz, powiedz tylko

-ja odejdę. ; Zaprzeczyła głową. - Nie, nie - mówiła cicho, żeby nie zadrasnąć  
• głosem hamowanego szlochania, od którego dygotała.

Zaledwie widział w mroku jej twarz, którą całował - małą, pociemniałą i gorącą.

Przez jadalnię dała się wprowadzić do ciemnego salonu. Jego ręce pieszczące, błagalne i rozbrajające, gdy przesuwwały się wzdłuż jej nóg ku górze, po raz pierwszy nie napotkały oporu. Przemogła się wewnątrz, rozluźniła i odemknęła na jego uścisk, cała przylegająca. Stało się to w salonie pani Kolichowskiej, przy drzwiach nie zamkniętych, na brzegu kanapki, ustawionej nad mieszkaniem Gołabskich.

- Wiesz teraz, że jestem twój - szeptał - kochasz mnie, powiedz, że mnie kochasz.

Odpowiedziała: - Kocham cię.

Oddała pocałunek, w którym był spokój i cisza.

- Poczekaj - szepnęła. Odsunęła go lekko, ale trzymała jeszcze w objęciach. - To nie jest sprawa tylko między nami. Nie chciał, żeby mówiła. Mimo to zapytała po chwili:

- Gdzie ona mieszka? Odpowiedział powoli:

- Nie wiem.

- Jak się nazywa?

- Nazywa się Justyna Bogutówna.

Tego wieczora, gdy Zenon rozmawiał o niej z Elżbietą, Justyna już od paru dni nie była w służbie. I dawniej, jak tylko co stłukła albo jaką rzecz zrobiła, pani mówiła nieraz, że ją oddali. Ale później o tym zapominała. Na ten raz stało się inaczej, bo teraz już i Justyna chciała odejść.

Rano jak zwykle wstała, kiedy wszyscy jeszcze spali. Dom o tej godzinie był ciemny i chłodny, wyglądał inaczej niż za dnia. Rozpaliła ogień pod blachą i w łazience, nastawiła mleko, panu i obu chłopcom oczyściła buty i ubranie. Zaglądała do pani, ale pani jeszcze się nie obudziła.

Pana się Justyna trochę bała, chociaż nie był zły człowiek. Tylko rzadko kiedy się odezwał, był zawsze poważny i w oczy nie patrzył Justyna wiedziała od pani, że pan ma kochankę i całe wieczory, zamiast w domu pobyc albo z chłopcami gdzie pójść, u niej siedzi. To nie było dziwne, kiedy miał taką chorą żonę. Dokuczać jej nie dokuczał, pieniądze jej do domu przynosił, lekarstwa płacił. Na wyrzuty i skargi nie odpowiadał nic, z domu wymykał się chyłkiem.

Śniadanie pił nie mówiąc ani słowa. Tylko chłopcy, którzy jedli stojąc, gadali coś też cicho, żeby matki, która w nocy nie spała, nie obudzić. Każdy myślał o tym, żeby z tego domu najprędzej odejść. Tylko chora zostawała tu zawsze, a z nią Justyna.

Kuchnię miała bez okna, wietrzyła ją otwierając drzwi na schody Szło stamtąd ciemne powietrze, pełne zapachu cudzego jedzenia.

Pani obudziła się dobra i smutna. Zaraz pytała się o męża, o synów. Zdziwiona była, że wyszli tak wcześnie. Dostała jeść.

- Dlaczego nie w niebieskiej filiżance? - spytała z niepokojem. Justynie zabiło serce i przyznała się, że ją wczoraj stłukła przy zmywaniu. Wtedy pani powiedziała jak zwykle:

- Nigdy nie uważasz. Nic cię nie obchodzi. O nic nie dbasz. Teraz jest ciężko, a ty...

Mówiła to zawsze z takim smutkiem, jakby na tym polegał jej zły los. I Justyna bała się powiedzieć, jeżeli wyszła herbata albo gdy nie było już węgla. Chciała oszczędzać, ale pan domagał się kąpieli, żądał mocnej herbaty, nawet chłopcy grymasili, że słaba.

Prawie każdą rzecz pani wydawała. Justyna przynosiła do łóżka cukier, bułki, wszystko. Pani nie wstawiała, ale wiedziała dobrze, gdzie co jest, pamiętała o każdej rzeczy. W domu dla każdego były osóbkki, dla pana w kubeczku zawsze śmietanka z kożuchem, dla młodszego chłopca znowu mleko cedzone przez sitko, dla starszego czekolada. Dla jednego kwaśne mleko ze śmietaną, dla drugiego zbierane. Pani sama jadła mało i przez oszczędność, i przez dietę, ale mówiła, że mężczyźni muszą jeść dużo, pan, bo pracuje, chłopcy, bo rosną. Justyna dostawała to, co pani.

Nie było jej tak dobrze w tej służbie. Zawsze trochę głodna, zawsze czegoś winna. Żeby nie wiem jak pracowała, zawsze pani jej robiła wymówki, zawsze była niezadowolona. Nie tyle się gniewała, ile lamentowała. Czuć było, że nie o samą rzecz tak jej chodzi, jak o tę chorobę, o tego męża, że siedzi u kochanki, o to życie, że musi je stracić.

Teraz, kiedy stłukła niebieską filiżankę i pani zaczęła się gniewać, Justyna wiedziała, że i tak tu nie zostanie. Miała teraz już co innego w głowie, toteż odpowiedziała pani, że dobrze, że w takim razie odejdzie.

Może za prędko się namyśliła, może zrobiła niemądrze. Niewiele ją obchodziło przecież ciemne mieszkanie, robota ciężka i wymówki. Ale trudno jej tu było myśleć o swojej sprawie,

myśleć o Zenonie, który zrobił się obcy i nie chce ani jej, ani tego dziecka. Strach ją brał przed tym, co z nią będzie. Nie mogła się wydziwić, że przyszło jej na to, co innym - a przecież zawsze myślała, że nie jest taka głupia jak inne. Tylko, że u niej było inaczej przez to, że Zenon był nie taki jak drudzy, że jej nie zaczepiał, że ją szanował, że to był on jeden na świecie. Inaczej - a skończyło się przecież tak samo jak zawsze.

Ale w tym wszystkim, co się tak uzbierało, strasznym i ciężkim, drżało głęboko pod spodem coś przyjemnego. Justyna chodziła, sprzątała, zmywała, wciąż z nagłym głodem patrzyła na jakieś jedzenie, które było nie dla niej, wciąż się o coś troskała, ale w sobie czuła spokojną radość nie wiadomo z czego, buchającą ciepłem od serca do głowy. Nie była to wcale myśl, tylko samo uczucie nie mające na sobie żadnych słów, żadnego zrozumienia. Działo się to głęboko w środku niej i było jakby silniejsze od wszystkiego, dające spokój. Jakby mówiące: niech będzie, co chce, niech będzie, co ma być. Przypomniała sobie, jak była mała jeszcze w Chązebnej i na majowym nabożeństwie mówiła za matką: "Niechaj mi się stanie według słowa Twego." Nie wiedziała wtedy, co to znaczy, a teraz czuła, że to było właśnie to.

W parę dni po rozmowie z panią Justyną zapakowała swój duży kosz po mamie i przeniosła się do Jasi na mieszkanie. Stamtąd w jedno rano wezwali ją na górę do gospodyni, żeby się zameldowała.

Oprócz Justyny Bogutówny, o której mówiła pani Kolichowska, Elżbieta miała tego dnia do zameldowania jeszcze niejaką Władysławę Niską.

Wczesnym rankiem podniósł się straszny rwetes na podwórzu Elżbieta popatrzyła przez okno, ale nic nie było widać. Więc wyszła przez korytarz do kuchni.

- Co się tam dzieje?

Michalina знаła już tę sprawę. - To Władziowa znowu wróciła do Wylamów - powiedziała.

Tym razem rzecz wyjaśniła się dostatecznie. Jednak Elżbieta spytała z niepokojem:

- Ale sama?

Michalina nie patrząc zrzuciła ze stołu kota na ziemię, jak miękki przedmiot.

- Poszed - powiedziała przy tym. - Nie, nie sama - z dzieciakiem. Więc naturalnie oni jej teraz nie chcą wziąć i dlatego taka heca - Poszed - powtórzyła, gdy zwierzę, przechadzając się u jej stóp z wyprężonym i drgającym ogonem, to jednym, to drugim biodrem objęło się o nogę stołu i nie spuszczało przy tym z jej twarzy pytającego spojrzenia. - Małoś dostał?

Elżbieta się zmartwiła.

- Co ta kobieta wyprawiała, żeby jej dziecko umieścić! A teraz znowu sama je odbiera.

- Ona jest diaboliczna. Naturalnie i tę służbę widać straciła, kiedy tu jest. Żadna pani tego nie lubi, żeby jej się cudze dzieciaki po kuchni kręciły.

Władziowa przyszła do kamienicy, jeszcze jak było rano, z poduszką owiniętą w kapę, kuferkiem i Zbysiu. Było mgliście, ale słońce przecierało się już przez białe chmury na piękny dzień upalny. Pierwsza zobaczyła ją Balinowska, jak wyszła posprzątać koło swojej komórki. Władziowa siedziała na schodku przed kuchennymi schodami.

- Ojej, to go pani znowu wzięła z Opieki? - zawołała Balinowska. - A mówiła pani, że tam dzieciakowi jest dobrze.

- Wzięłam i już. Dużo ja wiem, czy go tam świństwem jakim nie karmią. Czy on mi co powie, taki dzieciak. A czy on ma zdrowie do nauki? Każą mu tam latać z piłką po ogrodzie, zimno nie zimno, bawi się z takimi ordynarnymi chłopakami, to go jeszcze ponuczają wyrazów albo jeszcze go który uderzy, albo popchnie. To go wzięłam i odebrałam.



Drzwi na parterze od kuchni pani Kolichowskiej były otwarte. Na ukos widać było dużą półkę w ścianie z paroma miedzianymi rondlami nierównej wielkości i wycinaną w bielutkim papierze koronką. Kucharka Michalina wyjrzała na schody. Trzymała na brzuchu sporego kota przez pół, tak niedbale, jakby to była ścierka.

Popatrzyła, co to jest, i wyraziła swoją opinię:

- Też głupi ludzie, żeby oddali dzieciaka takiej wariatce. Władziowa roześmiała się cienko i groźnie.

- Oo, niechby mi nie dali! Niechby mi tylko nie dali!

- Pewno! - przyznała Michalina. Mimo to zapytała ironicznie:

- A na cóż to tu Władziowa z pakunkami oczekuje?

- Wylamowa poszła na miasto i mieszkanie zamkła. To sobie usiadłam i czekam. Jak komu zawadzam, niech nie patrzy. Wcale się nie proszę, żeby mi się przyglądali.

Wykręciła się na siedzeniu tyłem do Michaliny i zawołała w stronę podwórza:

- Chodź ino, chodź, Zbysiu, usiądź grzecznie koło mamusi, usiądź i posiedź.

Zbysio stał niedaleko, spokojny i obojętny. Wyglądał na pięć lat, a miał siedem. Był bardzo blady i wąty, ubrany czysto i miał wielkie, zbyt wysokie, jasne rzęsy na wąsko patrzących oczach. Przyszedł grzecznie i usiadł na schodku, gdzie mu matka kazała.

- Teraz, widzisz, już będziesz z mamą, teraz ci będzie dobrze. Nikt cię nie będzie ganiał do nauki ani do ogrodu. Nikt się do ciebie nie wtrąci.

Michalina zniknęła ze schodów ze swoim kotem. Władziowa mówiła na podwórzu do zmiatającej miotłą Balinowskiej:

- Włoski miał takie ładne, kręcone, to mu też wzięli i obcięli. Jak ten chłopak teraz wygląda. Boże kochany!

Zdjęła mu czapkę, zobaczyła, czy nie spocony, i znów włożyła. Pomacała też rękę w rękawie. Nie wytrzymała i nagle zaczęła go w tę rękę całować.

- Ty mój maminy chłopczyku - powtarzała - ty mój synusiu! Całowany po twarzy i rękach Zbysio zachowywał się pasywnie. Ale Balinowska była zgorzonna.

- Co też pani robi, pani Władziowa - odezwała się przystając. - To grzech takiemu smarkaczowi w głowie przewracać.

- A bo to nie mój - chichotała Władziowa - a bo mi to nie wolno? No sam powiedz, Zbysiu. Zbysio nie mówił nic, tylko dobrotliwie się uśmiechał.

Władziowa była dziwną w ogóle osobą - na pierwszy rzut oka bardziej podobną do koguta niż do kobiety. Mała jak dziecko, ale zdrowa i mocna jak z żelaza. Oczy miała na wierzchu, nos sterczący jak dziób, a włosy skręcone w mały zwitek na samym czubku głowy, Była wesoła, głośna i gadatliwa. Na jej szyi niezmiernie długiej wszystkie widoczne żyły latały wciąż i grały od jej pośpiesznych słów. • Ramiona spadziste, jak na starych miniaturach, obejmowały ciasne klatkę piersiową, w której, jak u każdego, mieściły się płuca, serce i żebra, a zarazem nie było to większe od dobrej pięści. Z tym wszystkim stan miała nisko, tak że na brzuch i biodra wcale jakby pod spódnicą nie było miejsca. Wydawało się, że jej krótkie i krzywe nosi sięgają do pasa.

Ta Władziowa, choć się tak jakby z męża nazywała, była panną i miała swego Zbysia z młodym pomocnikiem murarskim, którego ledwie pamiętała i który jej nigdy nic nie obchodził. Od tego czasu musiała wciąż zmieniać służbę i zawsze była w poszukiwaniu nowej, bo jej nikt w obowiązku z dzieckiem trzymać nie chciał. Godziła się do służby

podstępem, wyznając wprawdzie, że ma dziecko, ale dziecko "umieszczone". W niedługi czas potem przyprowadzała nagle Zbysiu-nia niby na tymczasem, na jeden albo dwa dni. Liczyła, że się dziecko to państwu spodoba, że zachwycą się nim, jak zachwycą się ona, i pozwolą mu zostać przy niej na służbie. Nigdy jednak to się nie stało. - Tak proste człowiecze szczęście było nieosiągalne.

Gdy oznajmiano jej, że ma się zabierać i iść z dzieckiem, gdzie jej się podoba, podnosiła gwałtowny protest. Zdawała się być bardziej zdumiona niż oburzona. Jej głos słychać było na schodach, strychach i podwórzach. Krzyczała, że to są przecież ludzie bez sumienia, że to są kąty! "Co to jest, co to takiego jest - wołała - żeby rodzona matka nie mogła mieć swojego dziecka przy sobie!"

Czasami znaleźli się lepsi państwo, którzy sami robili starania i z wielkimi trudnościami, przez wysoką protekcję umieszczali wreszcie chłopca w jakimś zakładzie. Ale Władziowa nie mogła długo spokojnie wytrzymać. Po miesiącu albo dwóch wpadała nagle do zakładu i wielkim głosem domagała się względów dla pogwałconych praw matki.

Gdy trafiała na opór, gdy szło choćby o jakieś powstrzymujące natychmiastowe wydanie dziecka formalności, Władziowa robiła straszne sceny. Groziła, że okna im powybijają, że dom podpali, nawet, że pójdzie do policji donieść na tych, co cudze dzieci matkom rabują. ^A A Zbysio słuchał tego ze spokojem, przyzwyczajony do odmian losu i porywczego temperamentu matki. Przyjmował wszystko pobłażliwie, z dyskretną, siedmioletnią ironią. Znał życie. Z czystych ochron i przedszkoli, gdzie był myty, kąpany i żywiony, przechodził bez protestu do dusznych kuchen, skąd go natychmiast wraz z matką wyrzucano, do szpitala, gdzie go każolowano, albo do sutereny Wylamów, w bród, ciemności, przekleństwa i nędzę. Znał to wszystko i niczemu się nie dziwił. ^J

Miał po trepanacji za uchem otwierający się co jakiś czas ropień. Chodził wtedy z główką obandażowaną, a struchlała Władziowa zostawiała nie dokończony obiad na blasze i prowadziła dziecko do szpitala na opatrunki. Zbysio nie bał się doktorów ani bólu, przystawał na wszystko, uśmiechał się łaskawie, mrużąc wspaniałe jasne rzęsy na wąskich oczach. Był błądy, miał delikatne rysy i uśmiech skromny i uroczy. Witał się i żegnał jak dorosły. Doktorzy i zakonnice pamiętali go i lubili. Gdy przechodził korytarzem, chorzy wołali go do łóżek, żeby się przyszedł przywitać, żeby co opowiedział. Był popularny, nikomu nie odmawiał siebie, szedł na wołanie pogodnie, ufnie i żartobliwie.

Jeden z doktorów nauczył go, żeby na zapytanie: "czy lubisz i kobietki?" odpowiadał: "pasjami", nie wyjaśniając bliżej tej sprawy. Zbysiunio przekonał się, że gdziekolwiek to powtórzył, robił jak najlepsze wrażenie.

Udawał bardziej naiwnego, niż był naprawdę, mówił już różne dowcipy własnego pomysłu, budząc śmiech, uznanie i pochwały.

Z ojcem Zbysia poznała się Władziowa przez okno. Odnawia podwórze kamienicy i pewnego poranka Władziowa zobaczyła i oknem naprzód jego wiszące nogi, a później całego mężczyznę! Siedział w powietrzu na zawieszonym poprzecznie drabinie, z mokr szczotką na kijku, i kapał wapnem na wszystkie strony. Śmiał si do niej i gadał głupstwa, jak się kręciła przy blasze, a ona urągała, że jej zachlapał szyby. Życzyła mu, żeby spadł i żeby sobie połamał gnaty.

Wieczorem przyszedł po schodach, ale go, jak mówiła, "parfors wypchła z kuchni". Na drugi dzień malowali niżej, więc wisiał już przed inną kuchnią, ale na wieczór przyszedł do niej.

Nie można nawet powiedzieć, że ją później "rzucił", i Władziowa tego nie myślała. Przychodził do niej na noc poty, póki odnawiali dom. A jak poszli odnawiać gdzie indziej, przestał przychodzić. Nie nazywał się wcale Władzio, tylko zdaje się Wicuş. Ale ona miała na imię Władzia, a że została matką, to się przerobiła na Władziowa, żeby było przyzwoicie. Nikt się zresztą na to nie brał, bo w paszporcie miała, że jest niezamężna.

- W życiu moim nie byłam taka szczęśliwa, jak kiedy tego dzieciaka nosiłam w brzuchu - mówiła. - Zawsze wyglądałam mała i chuda, to nikt nie poznał i do tej ostatniej godziny sobie spokojnie byłam w obowiązku. A potem, jak zaczęłam rodzić, to grzecznie mówię: "Do widzenia", graty mam po cichu zapakowane i już mnie nie ma. Wzięłam i poszłam do szpitala. Taki się malutki urodził jak kot - ledwie czuła.

Tym razem na podwórzu kamienicy przy ulicy Staszica awantura wybuchła z tą samą chwilą, gdy Wylamowa ukazała się z bramy i przed drzwiami do suterenu zobaczyła Władziową ze Zbysiem i pakunkami.

Była to kobieta duża, czarna i chuda. Koszyk postawiła na ziemi i zaczęła machać rękami.

- A to co! - wołała w szczerzej rozpacz. - Znowu mi się ta wariatka na kark wali z dzieciakiem. Jazda mi stąd! Zaraz! Nie puszcę do domu i już, na drugi raz nie będę taka głupia!

Władziową siedziała na schodku, nie tracąc spokoju.

- Co też to kuma mówi. Jezus kochany - to jest takie przywitanie człowieka? Zbysiuniu, wstawaj, przywitaj matkę chrzestną grzecznie, pocałuj w rękę, no pocałuj. Coś już zapomniał się witać?

- Ja grzeczności żadnych nie potrzebuję. Powiedziałam: na próg nie puszcę i już. Jeszcze mnie za tamto komorne nie oddała, a teraz mam ją na nowo brać?

- Ja nie zapieram, ja jeszcze nigdzie nie uciekam. Oddam wszystko. Nie taka jestem, żebym się długu zapierała. Znają mnie ludzie, kto jestem.

Wylamowa wciąż mówiła do trzecich osób, które się powoli gromadziły w tym miejscu.

- Nie potrzebuję jej pieniędzy ani nic! Tylko niech mi ta diablica z oczu schodzi.

Balinowska, dozorczyń Ignacowa, Chaśbina, różne baby z suterenu i podwórza ustawiły się naokoło, żeby popatrzeć. Wzmocniona tym audytorium, pewna akustyki psychicznej, Władziową nabrała rozmachu, wzięła najwyższy ton. Zagroziła, że jak jej Wylamowie nie wezmą ten ostatni raz, to szyby w całej kamienicy wybije, dom podpali. Niech się z nią później prawują po sądach, jak chcą, niech jej szukają.

- Cóż to za świnię te ludzie na świecie - krzyczała dziwiąc się raczej i gorsząc niż oburzając. - Żeby biednej kobiety z dzieckiem nie przenocować? To ja mam chłopaka zgładzić ze światu, czy co?

Kobiety wyrażały różne opinie o tym zagadnieniu. Chaśbina i Ignacowa broniły Wylamowej. Balinowska stanęła za Władziową.

- Co to jest przenocować biednego? Czy to kosztuje? Ale, jej się akurat o nocleg rozchodzi! - wołała Wylamowa.

- Niech już tylko ona się zwali, to parę miesięcy jej nie da rac wygnać. Nie ma przed nią schowania ani nic. Do łóżka człowiek wlezie, z garnka wyje!

Jednakże gdy zwabiona wielkim hałasem Michalina po raz dru wyszła na schody z kuchni pani Kolichowskiej, Wylamowa gniewn jeszcze mamrocząca, ale zrezygnowana, otwierała

już z korytars sutereny drzwi swojej izby. A Władziowa zaraz za nią wepchnę Zbysia i poduszkę.

Kiedy wracała na schody po kuferek, właśnie Michalina opar o poręcz mówiła do stojącej w kuchni Elżbiety:

- Takiej to powinni podług prawa dzieciaka odebrać i już go n oddawać na zmarnowanie.

Władziowa, szczęśliwa, że się przecież do Wylamowej dostał podeszła do Elżbiety, żeby ją przywitać. Jej serdeczność była racz łaskawą uprzejmością osoby pewnej siebie i niezależnej. Na Michalii nawet nie spojrzała, nie w głowie jej teraz było się kłócić.

Puszczając w niepamięć, że to ostatnio Elżbieta właśnie umieściła j Zbysiunia w domu magistrackim, powiedziała z poufnym humorem

- Ja o chłopca nie stoję, ale święcie pani powiem, jakby mi kiec naprawdę dzieciaka nie oddali, zaraz bym się postarała o drugiego.

Wkrótce potem Ignacowa przyniosła kartki meldunkowe, Elżbie zasiadła przy biurku w swoim pokoju i kazała wezwać Władziow Zapytała ją zwykłym trybem o imiona matki i ojca i, zapisując w odpowiedniej rubryce na blankiecie, niedbale powiedziała do Ignacowej:

- Niech Ignacowa powie jeszcze, żeby tu przyszła ta Bogutówna z dół Wypełniając zaraz później kartkę Zbysiunia, Elżbieta nie mogła s powstrzymać od niepotrzebnych słów:

- A jednak szkoda, że go Władziowa odebrała. Czy nie żal chłopca żeby tu mieszkał w piwnicy?

Władziowa nie traciła kontenansu:

- Co robić! Do salonu i tak go panienka nie weźmie. I po chwili poważnie dodała:

- A dla mnie życie bez dziecka to nie życie.

Ignacowa poszła i wróciła. Kobieta była nie stara jeszcze, tyli ogromnie zmarnowana. Jej usta nie miały siły się domknąć a powieki podnieść, jej wiszące ręce były ciężkie od zmęczenia.

- Powiedziała, że przyjdzie. Ona nie pierwszy raz śpi u Gołąbskich, ta Bogutówna.

- Tu mieszkała? - spytała Elżbieta, odwracając kartkę płaskiej książki meldunkowej.

- Gdzie tu u nich mieszkać! Tyle, że przenocowała. Po dwa dni zawsze była, po dzień - nie warto było meldować.

- A teraz dawno tu mieszka?

- Szósty dzień. Miała służbę, to nie przychodziła. A teraz znowu jest bez miejsca. - Po wyjściu Władziowej dodała wzdychając: - U Chaś-bów ten Marian najstarszy wciąż nie jest wymeldowany, a odkąd on nie nocuje! Żeby co z tego nie było.

- Dobrze, dobrze - powiedziała prędko Elżbieta. Wtedy, wpuszczona przez Michalinę, weszła do pokoju Bogutówna. Elżbieta lekko wstała z krzesła, natychmiast jednak usiadła znowu.

- Niech pani tu siądzie - powiedziała pokazując brzeg otomany. Justyna usiadła, a Ignacowa wyszła zaraz, jakby tak było umówione. Elżbieta wypełniła kartkę i nie podniosła oczu, gdy doszło do wstydlwego miejsca, i Justyna o imieniu ojca powiedziała, że jest nieznanne.

Elżbieta położyła podpis, przycisnęła pieczętkę i zakręcając obsadkę wiecznego pióra, podniosła oczy.

Justyna siedziała naprzeciw okna, cała w wyraźnym świetle dnia, oczywista, konkretna, obojętnie dająca się widzieć. Ten jej spokój obezwładniał Elżbietę. Przygotowała się na scenę gwałtowną, na łzy i wyrzuty, na obelgi.

Małoduszność kazała jej przewlekać tę chwilę. Spytała tamtą, skąd jest, jak dawno przyjechała do miasta. Zwierające się zęby robiły twardszymi jej słowa. Była blada, ale patrzyła na nią. I myślała o niej, że to ona. Że jest mu bliska, jest jego, że była przez niego szczęśliwa. Że była przy nim naga. Że była powodem jego rozkoszy. Myślała z pretensją do niego, że tak zła jest ta suknia ze sztucznego jedwabiu w kwiatki, i z przykrością, przez którą przelatywała rozkosz, że Justyna nie jest szczupła. I myślała, że wbrew temu, co mogła wnosić ze słów Zenona, Justyna jest jednak prosta i ordynarna. Miotana wstrętem i wzruszeniem, cała tętniąca od tej cudzej miłości, nie była już w stanie teraz zdobyć się na powiedzenie przygotowanych słów. Zamiast tego zapytała niespodziewanie dla siebie:

- Czy może pani być ze mną szczerą?

Justyna podniosła na nią oczy dopiero w tej chwili. Były zupełnie okrągłe, jak u kury, zarazem energiczne i zdziwione. Odpowiedział; niepewnie:

- Owszem, dlaczego?

Elżbieta poprawiła się na krześle i jakby cokolwiek zbliżyła do Justyny.

- Niech pani ma do mnie trochę zaufania - mówiła prędko i ze strachem. - Może potrafię pani pomóc. Niech pani mi odpowie, czy pani jest naprawdę przywiązana do pana Ziembiewicza? Wrażenie, jakie jej słowa zrobiły na Justynie, wydało się Elżbiecie zbyt silne. - To pani wie? - zapytała z osłupieniem. - To może on o tym rozpowiada?

- Wiem - wyznała Elżbieta po chwili niepewnie. Dopiero teraz przyszło jej na myśl, że to, czego dowiedziała się od Zenona, poza wszystkim było przecież i niedyskrecją. - Wiem - powtórzyła - i tak jest lepiej, tak jest lepiej. Niech pani mi tylko powie prawdę, czy pani go kocha?

Justyna siedziała chmurna i niespokojna. - Dlaczego się pani pyta? Co pani mi może pomóc. Ani pani mnie zna, ani nic.

Elżbieta wstała, usiadła tuż przy Justynie i mówiła cicho:

- O Boże, właśnie jest tak, że mogą pani pomóc. To dla mnie jest | bardzo ważne, czy pani go naprawdę kocha, czy może tylko tak...

Justyna namyślała się długo, co ma powiedzieć. Nie rozumiała czego od niej chcą. Jej milczenie stawało się niemożliwe do wy") trzymania. Elżbieta zrozumiała, że ma oto usłyszeć wyrok na siebie. Ach, więc nie była zupełnie zdecydowana na tę ofiarę, miała jeszcze^ trochę nadziei.

- Niech pani odpowie. Nagle Justyna się rozplakała.

- Ja nie wiem. O ja, przeklęta, że ja nie miałam rozumu! Co mu bjj do mnie, po co mnie ruszał? Czy ja mu wchodziłam w drogę? MB chłopaki nie byli w głowie, mnie było dobrze. Ocierała oczy i nos małą brudną chusteczką, trzymaną w niętej garści.

- Teraz ja mu jestem za prosta, teraz on się zrobił pan! A co to jestem gorszego? Każdy wie, że ci państwo w Boleborzy, to wcale nie państwo. Jego ojciec jest taki sam karbowy, jak każdy drugi. Pana teraz będzie udawał!

Elżbieta nie wierzyła, że to słyszy. Pierwsze zmysłowe wrażenie minęło, zostało rozczarowanie i wstyd, obojętność dla tej brudnej, cudzej sprawy.

"Dobrze, że ją zobaczyłam - pomyślała - teraz jestem chyba wyleczona."

Zawstydzona swoją wyższością, mogła już być łagodna i dobra.

Schyliła się nad Justyną z bliska - w sposób siostrzany, w którym jednak nie było dobroci. Tylko zimno wewnętrzne i bicie serca z wysiłku.

- Gdybyś go jednak kochała... - zaczęła.

- Ja go Kocham, jak tego psa wściekłego! Czy mi to było potrzebne? Co on mi narobił, co on mi narobił, co teraz ze mną będzie...

Płakała jeszcze, ale te słowa zdawały się ją raczej uspokajać. Jej młoda, nasycona kobiecość dawała jej przewagę nad gorzkim niepokojem Elżbiety. Wyczerpała już swoją rolę uwiedzionej, a teraz znowu stawała się cichą, potulną dziewczyną.

- Co pani przyrzekał? - pytała jeszcze Elżbieta. - Coś przecie musiał obiecywać.

- Pewnie, że obiecywał - śpiewnie westchnęła Justyna. - Mówił, że nie teraz, ale jak pokończy nauki, to się wróci. Że później, że później... A teraz mu widać samemu co innego w głowie.

Elżbieta chciała coś powiedzieć o dziecku, że mu nie będzie krzywdy. Ale jakaś myśl niejasna, jakaś wątpliwość od pewnego już czasu tkwiła na dnie jej wstydliwego rozczarowania. Już gotowa była zapytać, czy Justynie było wiadomo, że Zenon jest zaręczony. Ale zrozumiała, że wypada jej powstrzymać się od tego pytania.

- Może pani na mnie liczyć, niech pani o tym pamięta. Justyna niespodzianie wstała, jak osoba wyrobiona, która chce przerwać niewłaściwą rozmowę.

- Dziękuję. Ale ja nic nie potrzebuję, proszę pani. Mnie nikt nie może pomóc, jeżeli sobie sama nie poradzę.

Elżbiecie zdawało się, że zobaczyła jej uśmiech. Jej duże oczy, bardziej niebieskie od płaczu, jej usta niemądre, z dziecinnie poderwaną górną wargą - to wszystko z każdą chwilą stawało się bardziej obelżywe. Była ładna we łzach, policzki miała różowe i gorące. Nie można było tego nie widzieć, nie można było o tym zapomnieć. Nie można było tego wytrzymać - jej rąk gołych po pachy, jej szyi grubej i okrągłej, jej nóg, obutych tylko w białe, płócienne pantofle. Nagle, chcąc jak najlepiej, z lękiem w sercu, Elżbieta jęknęła:

- Niech pani nie myśli, że on jest czymś związany. On jest wolny. Ja za niego nie wyjdę.

Gdy mówiła te słowa, czuła rosnące przerażenie. Była zdumiona próżnią, w którą staczała się ta jej ofiara. Ale sama znajdowała się jakby wysoko i daleko, jakby już nieobecna.

- To dziecko musi żyć - dokończyła szeptem.

Teraz dopiero niebieskość w oczach Justyny stała się straszna, jakby przeciwna naturze. I niewiarygodny też wydał się jej krótki krzyk. Zwłaszcza, że zaraz potem powiedziała zwykłym zupełnie głosem:

- Nic mi nie potrzeba, proszę pani, nic mi nie potrzeba.

16

Elżbieta miała klucz od ogrodu i klucz od bramy. Przed świtem wypuszczała go sama na ulicę - dziwną, bezludną, odbarwioną z zieleni, zamkniętą na wszystkie bramy i okiennice. Te noce były krótkie\* ciepłe i suche, upływały w ogrodzie na ciężkim, gorącym szczęściu.

Dnie były pośpiechem i oczekiwaniem. Zenon jadł ponury obiad w Hotelu Polskim.

Czechliński wszedł niespodzianie, jeszcze zakurzone z drogi. Przyjechał prosto z Pieszni z młodym Tczewskim.

- No co? robimy naszą sprawę? - ryczał wesoło, rozsiadając się wygodnie przy stole Ziembiewicza. Hrabia okazał się zdecydowani pełen najlepszych chęci i nadziei. Gdy Zenon, ciepły i senny od paru kieliszków chambertina, wrócił do siebie na górę, Justyna czekała na niego. Przywitani się jak obcy ludzie. Nie widział jej od czasu, kiedy u niego była ze swoją wiadomością, na wszystkie te dni zeszła mu całkiem z oczu. Nie wiedział nawet że straciła służbę.

- Co u ciebie słychać? - spytał.

Miał twarz całkowicie zamkniętą przez współczucie, troskę i wyrażone znużenie. Ale słuchał uważnie.

- Może ci coś potrzeba? - podjął. - Jak się czujesz? Czy wszystko dobrze? Gdy tylko coś postanowisz, to pamiętaj w każdej chwili, że tu jestem. Że jestem gotów... Głęboko zamyślona powiedziała: - Teraz jeszcze nie, może potem

-i dodała, że najbardziej chciałaby posady w tym sklepie. - Ale może też potem.

Nie spytał jej o adres, nie prosił, żeby usiadła. Była delikatna, mówiła cicho, powoli, prawie się nie uśmiechając. - Jak się czujesz?

- powtórzył.

- Nic mi nie jest takiego.

Nastąpiło krótkie milczenie. Zenon myślał, że ani przez chwilę dłużej nie zniesie jej obecności. Widziała, że jest niezadowolony.

- Ja bym nie była przychodząc, ja bym ci dała spokój, żeby nie jedna rzecz - odezwała się Justyna niepewnie.

- Co takiego? - spytał skwapliwie, gotów do wszelkich świadczeń.

- Żeby nie to, co mi powiedziała ta twoja narzeczona...

- Jaka narzeczona?

Dowiedział się, że przed chwilą widziała się z panną Biecką, że właśnie od niej idzie.

Krzyknął czerwieniąc się z gniewu:

- Po coś do niej chodziła? Jak śmiałaś?

Odpowiedziała cicho, wcale jego krzykiem nie przestraszona:

- Nie gniewaj się, Zenon. To ona mi kazała przyjść. Zrozumiał wreszcie, jak to się stało.

Tłumił w sobie złość, że właśnie

tam przyszło Justynie do głowy zamieszkać. Ale skąd miała wiedzieć? Justyna sama usiadła na brzegu łóżka, zwykłym sobie, poufałym sposobem. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Więc tyś mnie nie mówił. Dobrze. Ale ona przecież wszystko wiedziała. Umilkła.

- Co ci mówiła? Czego chciała od ciebie? - nalegał. Poruszyła niedbale ręką.

- Nic takiego. Mówiła tylko tak samo jak ty, że chce mi pomóc. Ale to nie to... Co to ja chciałam... Więc to ona jest twoja narzeczona.

Powiedział łagodnie, zbliżając się do niej: - Posłuchaj, Justynko, przypomnij sobie wszystko, przypomnij sobie dobrze, od samego początku. Przecież pamiętasz, jak to było, przecież nie możesz powiedzieć...

Znowu zrobiła ten niedbały ruch ręką.

- Wiem, wiem, to nie o to. Czy się z nią ożenisz, czy nie - to jui trudno, to już ja do tego nie mam. Ona powiedziała, że nie, ale co to mówić...

Gotował się ze złości, targany niepokojem. Musiał tam przeciea biec natychmiast, musiał zaraz zejść do telefonu. Co za historia Był wściekły, że Elżbieta to zrobiła nic mu nie mówiąc. Ale nie na nią był zły, tylko wciąż na Justynę. Musiał się jej pozbyć nie wiedział jak. Przeszedł niespokojnie do okna, popatrzył na pusty plac.

- Tu ma ktoś przyjść - rzekł oschle.

- Już idę, Zenon, już idę. Tylko jedno mi jeszcze powiedz.

- Dobrze, ale prędko.

- Powiedz mi taką rzecz: czyś to ty jej mówił, żeby mi powiedziała to o dziecku? Żeby mu nic nie robić, żeby ono było. Odwrócił się na pokój, chwilę milczał.

- Nie wiem. Nic nie mówiłem.

Podszedł blisko, wziął ją za ramiona. - Słuchaj, zrobisz, jak będziesz; chciała. Tu przecież nikt ci nie może... Jeśli chcesz, to ja się dowiem Wszystko zrobię, co chcesz. Tylko teraz...

Głaszcząc ją po ramieniu, jednocześnie posuwał ją ku drzwiom Zanim wyszła, upewnił ją, że jakakolwiek suma będzie potrzebna, to zawsze w każdej chwili, niech tylko powie jedno słowo...

Wyczekał, aż zeszła na dół, aż ucichły jej kroki. Wtedy zbiegł do telefonu.

- Panienci nie ma - odpowiedziała w telefonie Ewcia.

- Dawno wyszła?

Dowiedział się ze zdumieniem, że nie wyszła, tylko wyjechała. Do Warszawy, do starszej pani.

W pierwszej chwili chciał biec na ulicę Staszica. Pohamował siii i wrócił na górę. Spuścił roletę i położył się na zasłanym łóżku. Mii mógł uwierzyć w to wszystko.

Jeszcze niedobrze rozumiał, że jej nie ma... Nie mógł jednakże tan pójść. Jeszcze raz telefonować? Nie, mógł tylko czekać.

Pomyślał przelotnie o tym, czego chciał Czechliński. Tak, to było niezwykle. To była jakaś niewiarygodna kariera. Nie zdążył o tyn wtedy pomyśleć, wszystko wydawało się nie bardzo prawdziwe - przy żartobliwych słowach Czechlińskiego, w którego interpretacji świat był rzeczą do luzu, wartą coś tylko jako ciekawa bujda. Ale przecież mówił konkretnie. I namowa ze strony Tczewskiego? Wystarczy się zgodzić, chodzi o takie głupstwo jak zgoda.

Zerwał się z łóżka. Cóż to było! Przecież myślał o tym, jak gdyby mówiąc to Elżbiecie.

Przecież od niej miała zależeć decyzja. Przecież jeżeliby przystał, to tylko dla niej. To już miał być początek życia razem, a właśnie teraz jej nie ma, teraz, w tej chwili. Teraz zrobiła się obca, teraz jest wroga i mściwa. Ta najbliższa.

To, co czuł, było po prostu cierpieniem. Cierpiał, powstrzymywał się od krzyku. Nie powinien był tak wypuścić tej Justyny, zanim nie wydobył z niej dokładnie wszystkiego.

Powtarzał sobie jej słowa, których nie dokończyła: "Ona powiedziała, że nie, ale co to mówić." Przypomniał sobie lepiej: "Czy się z nią ożenisz, czy nie - to już trudno, ona

powiedziała, że nie, ale..." Znów poderwał go gniew, że Elżbieta mogła to zrobić. Bez porozumienia z nim, bez słowa - przecież to jest zemsta, przecież jest jasne, że po prostu

chciała się zemścić. I zemścić się zachowując przy tym pozór wspaniałomyślnej, wielkodusznej. Tak myślał, a w głębi roił, że Justyna czegoś nie zrozumiała, nie mógł

uwierzyć w najprostszy sens jej słów.



Nie wytrwała, nie utrzymała się w tej pięknej roli. - Chciała być wielką miłośnicą - i była nią, nie można powiedzieć, była nią. Dopiero te dni ostatnie ujawniły mu ją jako kobietę. Ale nie wytrzymała, zniżyła się do ordynarnej zazdrości. Nie ufała mu, chciała się sama przekonać. I przekonała się, że Justyna nie wie nawet o jej istnieniu!

Leżał znowu z rękami na oczach. Pamięć słów Czechlińskiego rozwiewała się razem z odurzeniem po wypitym winie. Nie miał ich komu powtórzyć. Elżbiety nie było. Usiadł na łóżku i myślał zwyczajnie: "Nie jestem temu winien. Wszyscy to robią, wszyscy tak samo, wszyscy..." Ze zdziwieniem zobaczył, że teraz broni się schematem przed odpowiedzialnością. Gdy porwał się, aby coś zrobić, cokolwiek przedsięwziąć, iść choćby 'do ciotki Koliczowskiej i od niej dowiadywać się prawdy, zastukano do drzwi. Podszedł i otworzył przytrzymując ręką klamkę, by nikogo nie wpuścić.

- O co chodzi?

Za drzwiami stał Edward Chaśba niemiły chłopak, którego widywał na ulicy Staszica. Miał w twarzy wyraz poufny i porozumiewam czy, ręką z odgiętym małym palcem podawał Zenonowi list o' Elżbiety. Nie można było wątpić, że dobrze rozumie wagę swego poselstwa,

Zenon w milczeniu wziął list i zamknął drzwi, nawet przekręcił klucz w zamku. Koperta darła się trudno, Elżbieta pisała: "... jednak ni byłeś ze mną zupełnie szczerzy... Ona ma do ciebie prawo i ja go jej ni odbiorę."

Oczywiście, wyjeżdża do matki, która już jest w Warszawie. Zo stanie tam dłużej. Sądzi, że lepiej będzie, żeby się więcej nie widzieli.

17

Elżbieta była dobrej myśli. Zdążyła spakować rzeczy, wysłała list do Zenona, nie spóźniła się na pociąg. Więc jednak miała dość siły.

Jazda, noc, łoskot, obcy ludzie, miękkie miotanie się na wyściełane ławie, zdrętwiały łokieć pod głową, nagle zapadanie w przelotny sen - to wszystko było dobre. Raz, przytomniejąc, Elżbieta zastała siebie w jakimś bolesnym miejscu myśli. Ale myśl nie dotyczyła ani Zenona ani Justyny. Szło jeszcze raz o ten pokój jadalny, którego nigdy nie było. Siedzieli tam we troje wokoło nierealnego stołu, pod lampą opuszczoną dość nisko i z jakichś względów jednak naftową. Naftową zapewne dlatego, żeby było właśnie skromniej, wiejsko, bardziej bezpiecznie i zacisznie. Osoby naokoło stołu to był ojciec, matka i ona, Osoby te nigdy tak nie siedziały i siedzieć nie mogły. Rodzice Elżbiety rozstali się w niecały rok po jej urodzeniu. Scena więc w pokoju jadalnym była niemożliwa, jednak miała w sobie coś bardziej uporczywego niż rzeczywistość. To utrwalone, stwardniałe marzenie dziecka wystawało z pamięci, wracało w różnych porach życia, dawało się wyczuć pod palcami, gdy myśl przekreśliła je od dawna.

Ojca już nie było, ale została matka. Matka sama napisała, że będzie w kraju i chce się z nią zobaczyć. Czyżby teraz miało się coś zmienić, teraz, kiedy to dla Elżbiety jest bez znaczenia, kiedy zatraciło dawną cenę.

O tym pokoju jadalnym i ich trojgu naokoło pod lampą mówiła!

kiedyś Zenonowi, mówiła chyba niepotrzebnie. Teraz jechała na pierwszą w życiu szczerą rozmowę z matką - już nie dziewczynka nieśmiała, kryjąca się ze swoją daremną miłością, ale kobieta, dla której życie matki zatraciło zły urok tajemnicy. Już bliższa, już pewno mogąca coś zrozumieć.

Inne rzeczy należały bardziej do snu. Ale też wydawały się prawdziwe. Tak trudno było zebrać myśli, obudzić się do końca, gdy pociąg stawał na stacji i znieruchomiało na chwilę, zacichłe wewnątrz wagonu wypełniało się po sufit szumiącym biciem pulsu w głowie - by zaraz, gwałtownie targnięte, stoczyć się na nowo w pospieszne dudnienie, w rozchybotaną, pełną łoskotu niewiedzę.

Nad ranem Elżbieta odnalazła się na myśli o młodszynu Chaśbie. Coś ją skłaniało do rozważania go szczegółowo i wnikliwie. Był to chłopak nieduży, o krótkim, wysoko umieszczonym, mięsistym nosie, miękkich wargach i małych, jak gdyby szklanych oczkach niebieskich. Ze swego ciężkiego dzieciństwa wyniósł niespodziewanie usposobienie kapryśne, zachował w tonie głosu, manierach i minach szczególnie jakieś rozpieszczenie, niewłaściwą poufałość. Ubrany był zbyt dobrze na swoją sytuację, wymuskany niejako, chociaż brudny. Nie skarżył się na swe życie, raczej na to, że jego praca jako pomocnika dozorczy, nie jest dla niego dość odpowiednia. Mówił na przykład, że sobie odgniół palce przy kopaniu, że wcale nie może wstawać nocą do bramy, że jak podlewa, to sobie zawsze wodą zachłapie obuwie. Nawet, że od tego latania po piętach i na posyłki to mu się prędko drą skarpetki. Ubolewał, że ich po prostu nie może nastarczyć kupować. O swojej matce mówił "mamusia", a mówił to mianowicie, że nie ma nigdy czasu na cerowanie. Starał się dać do zrozumienia, że jest wrażliwy, że ma, jak sam się wyraził, "delikatne sumienie". Może i był coś wart w gruncie rzeczy, może te nieszczęśliwe miny były tylko pozorem i życie naprawdę źle mu się układało. Ale jego skargi nie mogły nikogo wzruszyć ani jego los nikogo obejść. Poniżej tych rozważań Elżbieta widziała nieustannie Edwarda Chaśbę, oddającego list Zenonowi. I znów przypominała sobie, że o tym miała nie myśleć.

Wychyliła się przez okno na peron. Było brzydko, padał drobny deszcz. Stary, zupełnie zgrzybiały tragarz wziął obie walizki Elżbiety i jeszcze domagał się neseseru, który wolała nieść sama. Mała, brudna wewnątrz taksówka sunęła tuż przy brzegu chodnika. Pod zawleczonym szarą wilgocią niebem miasto stare i znajome miało obcy wygląd. Moką ulicą przemykali spieszenie ludzie rannej godziny - ci, których nie ma w dzień, zjawiają się z rana i znikają później aż do następnego dnia. Brudne mury, rolety za szybami, matowe szyldy, przeważnie zamknięte jeszcze żelazne story - i wśród tego nieśmiałego życia przemoc wywleczone ze snu.

To miasto pełne było matki, która teraz śpi. Którą zobaczy wcześniej niż w południe. Zobaczy ją na nowo, jak nowy człowiek, ulegający słabościom dziecięcym. Tym razem nie miała złudzeń wobec niej. Nie marzyła już, jak kiedyś, że ją zachwyci, że ją oczaruje i zwycięży, że ją przymusi do miłości.

Miała nie myśleć o zerwaniu z Zenonem. O zerwaniu, zerwaniu - c za słowo! Powtórzona parę razy, robiło się niezrozumiałe i nawet zupełnie nieznane. Powoli i ze zdziwieniem wymówiła jeszcze raz: zerwanie. I oznaczało to teraz geometryczne rysunki na linoleum obicia, dwa spodem odwrócone, złożone do ściany, wyścielane przeciwko nie siedzenia, jakiś normujący tę sprawę, wymyślone sztabki żelazne. Ale prawdziwy sens był jasny i wyraźny, tylko że

schowany głęboko w środku ciała, cokolwiek bardziej z lewej strony, dał się całkiem dokładnie wyczuć przy oddechu. Jednak gdy powstrzymywał oddech, czuła go także. Zajechała jak zwykle do kuzynki wuja Kolichowskiego, małej tłustej, żalostnej damy starszej, żyjącej samotnie. Śniadanie już stało na białym nakrytym stoliku pod ścianą, otomana była zasłana, wszystkie przygotowane na przyjazd Elżbiety, mimo że wiadomość przyszła późno wieczorem. Sama pani Świętowska czekała na nią, już o tej porze całkowicie i starannie ubrana. Przywitała ją ze smutnym entuzjazmem. O panią Kolichowską zapytała kiwając głową współczująco jakby szło o straconą sprawę. Nie słuchała też odpowiedzi, która w jej stosunku do zagadnienia i tak nie mogła nic zmienić. Wiadomość, że jest w Warszawie matka Elżbiety, przyjęła z ubolewaniem. Przypieszywszy do śniadania opowiedziała Elżbiecie o paru z kolei swoich przykrościach biurowych, po każdej wzruszając powoli i wysoki ramionami i bardzo wysoko podnosząc brwi, na znak, że oto nie tylko wobec tego jest całkowicie bezradna, ale nie może ponadto wyjść z podziwienia ani na żaden sposób zrozumieć, jak coś podobnego w ogóle jest możliwe. Po opowiedzeniu jeszcze przykrości z dozorcą domu, przykrości ze szwagrem, z którym zerwała stosunki, i przykrości z siostrą, która ma niemiłe usposobienie, nagle powiedziała pogodnie:

- No to już idę! Masz cztery godziny spokojnego spania, bo posługaczka przychodzi dopiero o jedenastej. Ona ma klucz, nie potrzebujesz jej otwierać.

Elżbieta została sama w obcym, małym mieszkanku, zagospodarowanym celowo i sprawnie przez to tak rozgoryczone i pozbawione złudzeń istnienie. Gdy tylko umyta i rozebrana znalazła się pod kołdrą, natychmiast - jakby tylko na to czekając - wystąpiła tuż przed jej zamkniętymi oczami Justyna. Dygotanie i łoskot wagonu, zmagazynowany w czasie drogi, szumiał teraz w jej uszach, kołował w głowie, rytmicznie skandował myśli.

Co on mówił o tej Justynie? Więc był tak zaślepiiony? Czyż jest możliwe się łudzić? Czyż zamiast Justyny fikcyjnej, Justyny Zenona, nie zobaczyła pospolitej, kłamliwej i głupiej prostaczki? I jej właśnie przyniosła w darze to, co nazywa się szczęściem: klucz od furki ogrodu i od bramy, szalone dzieje ostatnich nocy, przedwczesne świty. Nie zostało nic prócz monotonnego pytania: jak on mógł, jak on mógł? Z łoskotem tych słów w głowie, skandowanych zamierzającym tchem kół wagonowych, Elżbieta zapadła w twarde sen.

W południe wybrała się do mieszkania matki. I tym razem był to najlepszy w mieście, a w tym hotelu nie numer, tylko tak zwany apartament. Salonik, za szerokimi, przesłoniętymi ciężką zasłoną drzwiami sypialnia, za nią w głębi łazienka. Na toalecie wyjęte z neseseru kryształ, obrosłe w srebro, wszystkie przybory świadomej piękności, mające własny zapach i specjalną na własny użytek wiedzę. W saloniku, na nie okrytym mahoniu stole, duży wazon kryształowy z różowymi różami.

Idąc tu, Elżbieta ubrała się starannie, jednakże i tym razem nie była tak zupełnie pewna, czy wszystko jest w porządku.

- Jeszcze urosłaś - powiedziała pani Niewieśka do córki. - Pokaż się - i obróciła ją, trzymając za obie ręce, w lewą i prawą stronę.

Patrzyła w sposób, który od razu onieśmiał. - Siadaj i mów. Cóż Cecylia, jakże się miewa? A ty? Co robiłaś przez ten rok?

Pytała, a oczy jej rozszargane zesuwały się po córce bez uwagi. Elżbieta stała, tępo, niepewnie się uśmiechając. I teraz, jak dawniej, czuwała tę przegrodę - jakby nie tylko

osobistą, ale wynikającą z odrębności sfery. Nie umiała nazwać tej różnicy, nie chciała na nią przystać.

Gdy obie usiadły dość oficjalnie przy owym stole z różami, matka uskarżała się na swe zdrowie, odcinając tym wszelką możliwość niewłaściwych zapytań czy pretensyj. W tym samym sensie omawiała kłopoty finansowe swego męża, ministra. Wspomniała coś ogólnie o czasach, gdy to dochody się zmniejszają, a potrzeby rosną, a także o stosunkach, które się pogarszają, o jakichś zmianach, które mogą czy mają nastąpić.

Słowa nie były ważne. Elżbieta nie spuszczała oczów z matki. Rozważała jej urok, usiłowała rozłożyć go na elementy. J Mała główka o rysach delikatnych, uczesana płasko w karby wyraźne, jaśniejsze dziś niż przed rokiem, jakby zrobione nie z włosów, tylko z jasnego szylkretu. Suknia czarna, gruby jedwab bez żadnej ozdoby, ale pełen dziwnych szwów i obrębów - na pewno model, którego głęboki mat, którego dziwność i jedyność oplaca się tysiącami franków. Do tego tylko sznurek pereł na szyi - zawsze ten sam, spięty w tyle fermuarem ze szmaragdu. Zapach.

Niedługo były same. W korytarzu, wysłanym grubo chodnikiem i oddzielonym przez drzwi podwójne, nie słychać było kroków. Głosy rozległy się tuż za progiem. - Proszę! - zawołała matka.

Nieduża dama, która weszła, okazała się pania Tczewska z Pieszni.

- Widzisz, to jest moja córka - powiedziała pani Niewieska takim tonem, jakby to było niewiarygodne. Po zwięzłych formalnościach obie panie rozmawiały z ożywieniem, nie zauważając wcale jej milczenia. Mogła zebrać myśli, mogła spokojnie wyobrazić sobie Zenona w tej Pieszni, jako gościa nieznanego, małej i siwowłosej kobiety. Po chwili tak samo bez anonsowania wszedł młody mężczyzna witając z jednakową zażyłością obie damy. To, że Elżbieta jest córką pani Niewieskiej, tym razem nie ujawniło się zbyt wyraźnie. - Siedzieliście jeszcze długo wczoraj? - spytała matka. Młody człowiek odpowiedział, że tak.

Że zresztą było nudno i wszystkim chciało się spać, ale wracali, kiedy ulice były jasne. Elżbieta wstała, by się pożegnać. Umówiła się z matką na wieczór iły razem w teatrze, tylko we dwie. Sztuka była niezajmująca, matka jednak chętnie śmiała się z żartów mówionych na scenie. W czasie gry Elżbieta przyglądała się parze ludzi siedzących o dwa rzędy bliżej sceny. Było ciemno, ale ich głowy i ramiona widoczne były pod światło rampy, jak cień na ekranie. Gdy mężczyzna podniósł rękę do włosów, kobieta przelotnie otarła się policzkiem o wierzch jego dłoni.

Nie dosiedzieli do końca, poszły razem na kolację. W dużej, jasnej sali było niewiele osób. Pani Niewieska krytykowała kuchnię, ale jadła z apetytem i zachęcała do jedzenia Elżbietę.

- No powiedz, co ty tam robisz? - pytała i tym samym tonem ciągnęła dalej: - Nic mi nie mówiłaś, że jesteś zaręczona. Dopiero dowiaduję się od Tczewskiej. Więc to prawda? Ona go zna, tego pana, mówi, że jej się podobał i że słyszała o nim bardzo dobrze.

- Byłam zaręczona - powiedziała z wahaniem Elżbieta. - Ale teraz to już jest zerwane.

- Co ty mówisz? - zdziwiła się pani Niewieska. - Tak, to łatwo zaręczać się i odręczać, póki się jest młodym. Później nie traktuje się już tego tak lekko.

- Tak mama myśli?

- Nie pytam się, o co wam poszło, bo to są twoje sprawy. Jestem dyskretna. Ale mogę ci powiedzieć, bo to wiem, że zerwać jest najłatwiej. Na to nie trzeba wiele rozumu.

Zamyśliła się pałac przy kawie papierosa.

- Ale wytrzymać, ale umieć to jakoś w sobie przemóc - to jest trudniej.

Uśmiechnęła się. - Z mężczyzną nie jest łatwo sobie poradzić, to prawda. Zwłaszcza jeżeli jest bardzo zakochany.

Nie znanym dotąd Elżbiecie gestem położyła rękę na jej dłoni.

- Pomyśl, zastanów się jeszcze, żebyś nie żałowała później. Bo przecież z innym będzie to samo.

Elżbieta nie próbowała nic tłumaczyć. Nie broniła się dziwnemu wzruszeniu. Tak samo jak tamta kobieta w teatrze otarła się przelotnie policzkiem o rękę matki. Ale wiedziała, że ta chwila nie była zbliżeniem matki do dziecka. Nie była tym zwycięstwem wieloletniej dziecinnej tęsknoty, marzonym odwetem niekochanej, niepotrzebnej rodzicom dziewczynki.

18

Już drugi miesiąc upływał Elżbiecie w Warszawie. Więc życie bez - Zenona było możliwe.

Piękny koniec lata zdobił miasto w błękitne, słoneczne perspektywy. Te same miejsca wydawały się inne, nowe i nieznane, pełne uroku i zasmucające. Po parkach kwitły wszelkimi kolorami dale i pacioreczniki, z płaskiej zieleni trawników mknęły ku górze jasnokore, wysokopienne drzewa i ostatnie gałęzie rozkładały już w samej głębi nieba.

- Więc można było bez niego śmiać się i rozmawiać, jeździć z matką i jej znajomymi na spacer, chodzić do magazynów, nawet ubierać się w nowe, kupione przez matkę suknie, których nie znał. Życie bez Zenona było możliwe. Ale jego nieobecność z dniem każdym stawała się większa.

Wracając co wieczór do domu Elżbieta za każdym razem doznawała zawodu. Nie spodziewała się przecież listu, ani przez chwilę nie myślała naprawdę, żeby mógł przyjść. Ale zabierając się cicho do snu na tapczanie, chodząc ostrożnie w ciemności, by nie obudzić pani Świętowskiej, uczuwała ściśnięcie serca tak dojmujące, jakby przez cały dzień miała zupełną pewność, że list otrzyma. Widocznie więc czekała nie wiedząc o tym.

Ciężko było przystać na to, że jej postanowienie Zenon uznał bez protestu, że się tak całkowicie z tym, co mu pisała, pogodził. Nie usiłował nic naprawić ani nawet wytłumaczyć. Nie usprawiedliwiał się, nie szukał przebaczenia ani zgody. Milczał, milczał.

W liście ciotki było napisane: "Ziembiewicz się nie pokazuje, nie wiem dlaczego. Jak raz przyszedł, to go Łucja odprawiła, bom wtedy była chora. Może się obraził." Nie, nie obraził się. Uznał po prostu, że słusznie postąpiła, zrozumiał konieczność ich rozstania.

Ale upewniając się w tym, że odniosła zwycięstwo, Elżbieta nie była już tak pewna swej słuszności. Z oddalenia kolor samej sprawy pobladł, krzywda Justyny nie była tak patetyczna ani tak rozpaczliwy jej los. Pozostawało jedno niewątpliwe: zagadnienie dziecka. Zenon pragnął je mieć. O małżeństwie z tamtą nie było mowy, oczywiście, ani i on, ani nawet Elżbieta nie brali tego na serio. I zrzekając się Zenona w tym sensie, Elżbieta poszła zbyt daleko. No, ale ofiara jej została przyjęta i nie było o czym mówić. Ciotka pisała także:

"Jeżeli ci dobrze z matką, to siedź. Ale pamiętaj, że my z Łucją ciągle się ciebie spodziewamy. Od tych słów wilgotniały oczy. A przecież nie o to szło, od czego chciało się płakać, Matka czekała tu na przyjazd swego męża. Całe to oczekiwanie wypełnione było zajmującymi i

przyjemnymi rzeczami. Młody człowiek, którego Elżbieta poznała pierwszego dnia, pan Sobosławski janfk., był niewątpliwie najbliższy. Ale to nie oznaczało, aby wykluczeni byli inni. Elżbieta patrzyła na to już doświadczonymi oczami. Dziwiło ją, że w tym świecie niczego nie przesadzano, nikt się nie męczył, nikogo nie szarpała zazdrość. Witali się z radością, a rozstawali bez żalu, bez pretensji i podejrzeń. Nie szło tu chyba o wiek, bo ten człowiek nie był starszy od Zenona, a matka miała wszystkie cechy młodej (kobiety - kapryśność, lekkomyślność, nierozsądek. iMoże to była kultura, dobre wychowanie, o którym tak często mówili. Albo może to była obojętność, pamiętała jak Zenon nie znosił żadnego obcego człowieka w domu; gdy był u niej, nie tylko mężczyźni, każda przychodząca tu kobieta była wrogiem. Idąc z panem Jankiem do teatru, do kina czy na kolację matka chętnie zabierała Elżbietę. Mówili tylko o tym, na co się patrzyli, albo o jakichś nieznanym ludziach, przeważnie rzeczy obojętne i konkretne. W tym nie krępowała ich wcale. Nie słowa były tu ważne - tylko nieustająca uroda tej kobiety, która trwała wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze. Elżbieta się dziwiła, że coś tak zbytkownego służyć może do zwykłych celów istnienia. Bo oczy matki były jak u innych do tego, żeby widzieć, zęby do tego, "zęby" gryźć. Skóra powlekała jej ciało tkanką najwyższej jakiejś- ceny, błękitną koło oczów, różową na dłoniach, na szyi zupełnie mleczną. A służyła, jak u innych, też tylko do ochrony ciała i oddychała, jak inne, porami, których nie widać gołym okiem. Całe życie matki odbywało się z towarzyszeniem tej piękności. Ta rzesz nade wszystko odświętna, dla niej była rzeczą codzienną.

Pan Sobosławski miał ciężko podnoszące się powieki i miękkie, obfite wargi, których, mówiąc, często dotykał językiem. Był poważny i grzeczny i pomimo wyraźnego lenistwa skłonny w każdej chwili do wyświadczenia wszelkiej usługi i poniesienia wszelkiego trudu. Dobrze i długo tańczył, zawsze chciał jeszcze więcej, choć na jego twarzy i w sennych oczach nie było wcale widać zapału. Na każde zawołanie pani Niewieskiej natychmiast się zjawiał, załatwiał wszelkie sprawy, szedł wszędzie, gdzie tylko chciała. Nic prawie nie mówił i podobno był dobrym urzędnikiem. Dwaj inni górowali nad nim wymową, a przy tym też dokładali starań, by na wszelki sposób uprzyjemnić życie pani Niewieskiej. Przebywając w ich towarzystwie Elżbieta zawsze miała wrażenie, że się z nią nudzą, że tylko czekają, aby iść gdzieś, gdzie naprawdę spodziewają się zabawy. Tymczasem to właśnie była dla nich najlepsza zabawa - mówienie rzeczy wiadomych i nie pozostawiających wątpliwości, taniec, jazdy autem do jakiegokolwiek zamiejskiej kawiarni, kina i kolacje.

Potem odwozili Elżbietę do domu i odjeżdżali z panią yiewieską. Elżbieta była pewna, że i z nią żegnają się zwyczajnie u wejścia do hotelu. Gdy jednak był tylko Sobosławski, nie miała tej pewności. I szukała jej we wzajemnej życzliwej tolerancji młodzieńców, w spokoju, z jakim kolejno zmieniali się i zastępowali przy boku tej pięknej i obojętnej kobiety.

Dawne nadzieje Elżbiety na jakąś wielką rozmowę, w której wreszcie powiedziane zostanie wszystko, marzenia o jakimś ostatecznym pojednaniu - sprowadzały się do tych wspólnych z matką jazd, tańców i wieczorów.

Matka mówiła: "Wiesz, teraz uśmiechasz się zupełnie jak twój ojciec. - Albo: "Szczególna rzecz: to jest zupełnie ton jego głosu." - I było niewątpliwe, że miała o to do niej pewną pretensję.

Wracając do mieszkania pani Świętowskiej, Elżbieta przenosiła się w inny świat. Nie było tu nic oprócz biura i wspomnień. W krótkie chwile, gdy były ze sobą, pani Świętowska zawsze

coś z ożywieniem opowiadała albo usiłowała Elżbietę o czymś przekonać. W przeciwieństwie do matki i jej znajomych, którzy mówili zawsze, że ktoś wyjechał albo przyjechał, że był wczoraj tam, gdzie oni, albo że go nie było, pani Świętowska wyraźnie wartościowała ludzi i sprawy-Zdawała się być niezdolna do prowadzenia dialogu, jej własne słowawypełniały całkowicie powietrze pokoju i zaspokajały przy tym zupełnie jej potrzebę porozumienia z drugim człowiekiem. Opowiadania wynikały jedne z drugich, zesypywały się lekkfr jak paciorki ze sznurka - nie zawsze w porządku chronologicznym Częściej następowały jako przykłady ilustrujące pewne założenia Wystarczyło zacząć: "Jacy ci ludzie doprawdy są, to nieraz trudno uwierzyć" - i już później dało się powiedzieć literalnie wszystko. Rzeczy złe albo dobre, albo tylko dziwne o różnych ludziach po kolei. I to, że tym samym tonem nie mówiła też o sobie, wydawało się prostym przypadkiem. Na przykład, co to za człowiek był z tego Olesia! Elżbieta wiedziała, że jest mowa o wuju Aleksandrze Kolichowskim, którego wspomnienie obrosło w jej wyobraźni we wszystko, co rozumiała z długich , rozmów ciotki i pani Łucji.

- Ja wiem, że ty się różnych rzeczy o nim nasłuchałaś od Cecylii - mówiła żywo. - On miał swoje wady, ale ona zanadto się rządziła nerwami. Kto by się takimi rzeczami u mężczyzny przejmował, co drugi ma romansowe usposobienie. A z tym wszystkim to była f sama dobroć, sama delikatność, ten człowiek to było złote serce. " Są ludzie, co nie lubią pamiętać cudzych dobrodziejstw, ale ja

do takich nie należę. Już ja tego Olesiowi nigdy nie zapomnę, ile on nam okazał po śmierci nieboszczki mamy albo kiedy potem tak długo chorowała Ludwisia. Nie było wypadku, żeby nie wpadł do nas choćby na godzinę, ile razy przyjechał do Warszawy za interesami. Nie wiem, co bym ja teraz zrobiła na świecie, gdyby nie on. Te parę groszy w kasie i tę posadę nie komu innemu zawdzięczam, tylko jemu. I przecież na każde święta, każdy urlop do nich zawsze jechałam jak do rodzinnego domu.

W tym oświetleniu rejent z portretu, rejent z domowej tradycji przy ulicy Staszica - nabierał nowych barw. Było więc miejsce, gdzie pośmiertne istnienie wuja Kolichowskiego trwało jako wartość, a jego pamięć uczczona została gorącą wdzięcznością.

Pani Świętowska opowiadała jej też chętnie o ciotce Cecyli, że była żywa jak iskra, przepadała za zabawą, tańcami i wycieczkami - i w to, jeszcze bodaj trudniej, przychodziło Elżbiecie uwierzyć. A także o matce, którą pani Świętowska zdawała się szczególnie interesować - ale tylko w przeszłości. Obecna pani Niewieska nie zajmowała jej wcale. Elżbieta wracała do domu po całych dniach przebywania z matką i miałyby do opowiedzenia mnóstwo szczegółów - nawet z pominięciem rzeczy budzących wątpliwości lub zdziwienie. Pani Świętowska nie zapytywała o nic.

Było widoczne, że interesowały ją wyłącznie rzeczy dokładnie jej wiadome, tych natomiast, których nie wiedziała, nie była całkiem ciekawa.

Gdy leżała już na swym tapczanie i w pokoju zapadała ciemność, Elżbieta przenosiła się myślą do tych spraw, które rozegrały się tak niedawno przy ulicy Staszica.

Było ciężko dowiadywać się co dnia nowych szczegółów o jego zdradzie, zobaczyć tę Justynę, widząc, jaka jest, usłyszeć od niej wyrozumieć z jej słów, jak było naprawdę. To było ciężko. Ale wtedy jeszcze on mógł o każdej chwili przyjść, wtedy jeszcze był w tym samym mieście, co ona, wtedy jeszcze mimo wszystko ją kochał. Mógł przyjść!... mógł przyjść!... I widziała myślą, jak przychodził, jak stawa wysoki we drzwiach od przedpokoju, przechylał głowę z

uśmiechem wyciągał ręce, w których uchwyt żelazny wpadała Stęskniona jął w potrzask. I w myśleniu o tym, które bolało jak yana, kryło sii niewymowne, nigdy nie wyczerpane upojenie. Może powinna była zostać przy nim wtedy, gdy dowiedziała sii wszystkiego. Właśnie z tych rzeczy nie dopowiedzianych, z tych, któn go najbardziej oskarżały w jej oczach, widać było, jak musiał sil męczyć ukrywając się przed nią i przed tamtą, oszukując obie. Mozi powinna była zostać przy nim i razem z nim pracować nad róż wiązaniem tej trudności, może powinna była mu pomóc w tej sprawie która już teraz była ich sprawą wspólną. Ogarniał ją nagły stract przed tym, co zrobiła, żal straszliwy za tym, co utraciła z własnej winy I pewność, że to jest niepowrócone, że teraz nic już nie można zmienić ani naprawić.

Była zdecydowana tam już nie wrócić, przystać na życie matki wyjechać z nią i gdzieś za granicą pozostać. Była zdecydowana nie zobaczyć go nigdy. I właśnie stało się inaczej.

Jednego rana wcześniej wyszła z domu. Miała iść po matkę do hotelu i z nią razem pojechać na dworzec, gdyż tego dnia właśnie | przyjeżdżał z zagranicy pan Niewieski. Gdy wyszła z bramy, zobaczyła stojącego naprzeciwko w niezdecydowaniu Zenona Ziembiewicza.

Widziała go i jakby go zarazem nie poznała. Czy że była taka pewna że nie może tu być, czy też, że w ubraniu, którego nie znała, wydał jej się kimś innym, przeobrażony tym oddalonym życiem, daleki i cudzy. Chwilę trwało, zanim podała mu rękę.

- To przyjechałeś? - spytała zachrypłym, rwącym się głosem. Ale on radośnie i jakby triumfalnie zawołał:

- Elżbieto!

Wziął ją pod rękę i poprowadził dalej od domu. Szła prędko przerażona ze szczęścia.

- Wszystko ci powiem.

Szli spiesznie, zostawiając za sobą ludzi i ulice. Milczeli, przytuleni do siebie.

- Poczekaj - powiedziała nagle, stając - muszę tylko zatelefonować do matki, żeby nie czekała.

- Coś ty zrobiła, coś ty zrobiła, Elżbieto - mówił bez gniewu ani smutku, patrząc na nią z zachwytem.

W tej samej małej cukierni, gdzie znaleźli telefon, w jej drugim, ciemnym pokoju, z łokciami na zimnym stoliku z marmuru, mówili z twarzą przy twarzy.

- Słuchaj, Elżbieto, teraz jesteśmy wolni, teraz już możemy. To wszystko jest już zupełnie skończone, załatwione, rozumiesz?

Nie pytała jeszcze teraz, jak to załatwił. Ich ręce puściły się tylko w chwili, gdy dziewczyna usługująca weszła z kawą i rogalikami.

- Nie, powiedz, przecież wiedziałaś, że ci nie dam odejść. Ale musiałem czekać, póki nie miałem zupełnej pewności. Żeby już nic nigdy nie stało między nami.

- Ciągle czekałam, że się odezwiesz, Zenonie. Co dzień mi się zdawało, że przyjdzie od ciebie list.

- Ach, Boże! - ucieszył się Zenon. - Widzisz, i ja co dzień zabierałem się do pisania. Ale co miałem ci pisać? Obiecować, kiedy sam jeszcze nic nie wiedziałem... Tyle mam ci powiedzieć! A ty co tu robiłaś? Pokaż się, tak ślicznie wyglądasz, taka jesteś zgrabna!

Poczekaj, zdziwisz się, jak ci wszystko opowiem. Proponuję mi tam takie rzeczy, zobaczysz.

Ten Czechliński... Ale słuchaj, chodźmy stąd! Chodźmy, chodźmy.

Stukał w szklanę, żeby zapłacić. Wyszli na jasność poranka, jak z piwnicy, otoczyło ich jaskrawe światło. Zatrzymali taksówkę, kazali się zawieźć do parku. Całowali się w pędzie, tracąc oddech.



- Tu przychodziłyśmy z matką - mówiła prowadząc go po znajomych alejach. - Ale ja myślałam o tobie.

Te same jasnokore drzewa szły w górę nagimi, śmigłymi pniami za zielonym obłokiem korony aż w niebo. Te same grzędy, niwy i łąny kwiatów oblewały bokami aleje. W dole, w głębi parku, śmieszne pawie bez ogonów chodziły po trawniku. O tej porze nie było tu jeszcze ludzi.

- Pojedziemy zaraz dziś albo jutro, Elżbieto - mówił Zenon ściskając ją w ramionach. - Weźmiemy ślub, weźmiemy ślub. - Nie pojechali jednak ani tego dnia, ani następnego. W południe upał był nie do wytrzymania. Z parku wyszli powo pod górę, poczekali na tramwaj, przebyli senne, białe od słońca i kurzu miasto.

- Idziemy do mnie - powiedział. - Tam sobie odpoczniesz. Mieszkał w małym, mrocznym hoteliku przy bocznej ulicy. Leżą w jego uściskach, w mroku nieznanego pokoju o zasuniętych plusze wych, brudnych kotarach, w obcej pościeli, Elżbieta myślała, że musiała być szalona wyjeżdżając wówczas, pisząc ten list. Jego dłońmi wokół niej ręce to było jedyne bezpieczne miejsce na ziemi;

Czyż istotnie wyobrażała sobie, że mogłaby żyć bez niego?

- Byłam szalona - wymówiła półgłosem, choć on tego nie rozumiał. Chciał, żeby powtarzała mu jeszcze, żeby powtarzała mu wciąż że go kocha.

O zmierzchu głód wywiódł ich na ulicę. W ciemnej kabinie publicznego automatu Elżbieta znowu telefonowała do matki, a Zenon sta obok, trzymając ją w pół.

Zakryła dłonią tubę i spiesznie szeptem powiedziała, że matka chce go poznać. Nieśmiało zapytała:

- Może poszedłbyś ze mną.

Zdziwiła się, gdy odpowiedział gorąco:

- Naturalnie, że tak.

- Bo widzisz, to jest zupełnie obcy świat. Ty nie masz pojęcia! Wszystko będzie cię tam raziło.

-Co znowu, nigdy w życiu! Przecież będziemy razem.

Hotel, w którym stała matka, był niedaleko. Szli piechotą przez coraz szersze, piękniejsze ulice, minęli rozległy plac. Widzieli się wzajemnie na tym tle nowym, czerpali z tego nieznanego, dziwne wzruszenie. Zaczęli roić o dalekich podróżach we dwoje, o rzeczach, które czekały ich w niepojętym, czarodziejskim obrębie przyszłości. Oprócz ojczyma, który przyjechał, w saloniku na zwykłym swym miejscu siedział pan Sobosławski. Witając się z matką i obydwoma paniami i przedstawiając im Zenona Elżbieta znowu doznała obawy przed zetknięciem się tych dwóch światów. Czuli, że jeżeli wyniknie z tego jakiś zgrzyt, wobec jednych i drugich wina spadnie tylko na nią. Poznała po tej obawie, że w głębi duszy marzy sobie, iż to Zenon ich oczaruje.

Dla Elżbiety było zaproszenie na raut, kloty miał odbyć się tegoż wieczoru z powodu jakiegoś sportowego zjazdu. Matka zapytała Zenona, czy nie wybrałby się z nimi. Ku zdziwieniu Elżbiety Zenon przystał bez wahania, właściwym sobie sztywnym ukłonem dziękując za zaproszenie. Pan Sobosławski łagodnie ujął ze stolika tubę telefonu, sennym głosem wypowiedział parę słów do jakiejś kancelarii i rzecz była załatwiona. Elżbieta uczuwała głuchy niepokój, czy Zenon wie, że na to trzeba iść we fraku, i czy go zabrał ze sobą, na tak krótko przyjeżdżając. Zarazem było jej wstyd, że taką rzeczą naprawdę się niepokoi.

Nazajutrz wieczorem przewidziany był znowu teatr i w łoży było wolne miejsce, gdyż pan Niewieski miał wieczór zajęty. Na pójście do teatru Zenon zgodził się także.

Wieczorem spotkali się wszyscy na dole i przeszli do sali restauracyjnej, by zjeść coś przed rautem. Pan Niewieski był tym, który zapraszał, wyznaczał miejsca przy stole, czytał kartę i udzielał kompetentnych rad. Miał przy tym szczególnie na uwadze "delikatny organizm" swej żony, a ona jego ton żartobliwy przyjmowała z powagą, lecz łaskawie. Jego małżeństwo, do którego doprowadził poprzez dwa rozwody i wiele przeszkód stawianych przez pierwszą żonę, było domknięciem klamry nad silną, wieloletnią namiętnością jego życia. Sam był pięknym jeszcze, starszym panem - duży, tęgi, z ciemną, twardo obrysowaną głową, osadzoną w sposób jakby i dla niego samego trochę niewygodny na krótkim karku. Ruchy miał ciężkie, zarazem pełne swobody i uroku, bary szerokie, wzrost wielki, maniery ujmujące. Jego grzeczność była uważna, baczna, skwapliwa, budząca zaufanie, żartobliwa i opiekuńcza. Miał za sobą długą przedwojenną przeszłość, której momenty heroiczne jeszcze tu i ówdzie pamiętano. Groźny wyraz jego brwi czarnych, zbiegających ukośnie ku nosowi, złagodniał z biegiem lat i rozwojem kariery. W nowym stanie rzeczy okazał się wybitnym finansistą, ostrożnym politykiem. Utył, mówił gładko, ruszał się, jadł, palił cygara, jak gdyby nigdy - głodny, obdarty i prześladowany - nie krył się po cudzych mieszkaniach przed policją i w swym budżecie nie liczył w pierwszym rzędzie na drobne pożyczki wypróbowanych przyjaciół. Osiągnąwszy to, co osiągnął, nie pozwalał sobie na odpoczynek. Uważał, aby każdemu się podobać - chwytny na cudze słowa, ciekawy cudzych spraw, zawsze baczny na poziom człowieka, z którym miał do czynienia, by od razu zastosować do tego swoje słowa, żarty i uczynki.

Przy stole okrągłym, w dużej białej sali, na białych złożonych ludwikach zasiedli oprócz rodziny naprzód pan Sobosławski, a potem nieoczekiwanie oboje Tczewscy, którzy też szli na raut i też przedtem przyszedli się tu posilić.

Elżbieta widziała, jak szybko ten zawsze pochmurny i gwałtowny Zenon staje się miły, miękki i zdawkowy, jak łatwo służą mu słowa i uśmiechy. Siedział między matką i panią Tczewską. Mieli sobie od razu dużo do powiedzenia o Pieszni, o Czechlińskim, o związanych z nim sprawach. Z drugiej strony hrabiny siedzący Sobosławski też okazał się znajomym Zenona z Paryża, słuchaczem tych samych profesorów w Szkole Nauk Socjalnych i Politycznych. Elżbieta była rada, widząc, że Zenon ładnie wygląda między tymi ludźmi, że się podoba. Pan Niewieski zadawał mu przez stół różne pytania - jak gdyby delikatnie i uważnie badając, czy jest mądry, czy głupi. Gdy Tczewski mrużąc wciąż oczy, jakby źle słyszał czy przewycięzał roztargnienie, co chwila poważniejący nagle od cudzych i nawet własnych słów, poinformował ministra, że Czechliński sprawę pana Ziembiewicza już definitywnie załatwił, Niewieski zajął się prawie wyłącznie osobą Zenona. Częstoował go winem, namawiał na skądś z daleka przywiezione cygaro. I Elżbieta nagle zaczęła żałować, że sama zorganizowała to spotkanie, w którym traciła na nowo ledwie odzyskanego Zenona, traciła na rzecz spraw, które wydały się jej teraz niewarte jej poświęcenia. Nowa, nieznana rzecz wchodziła między nich. On był bliższy im wszystkim niż ona.

To wrażenie było przelotne i rozwiało się w ciągu wieczora, gdy w szeregu wspaniałych, rozległych sal starego zamku zatraceni między obcym, wystrojonym tłumem, gubili się i

odszukiwali, najbliżsi sobie i stęsknieni. W ciżbie znaleźli gdzieś pod ścianą dwa wolne, królewskie czasy pamiętające fotele. Tam usiedli i wydali się sobie samotni jak w lesie.

- Kiedy na to wszystko tu patrzę - powiedziała Elżbieta - to nie mogę sobie wcale wyobrazić, jak ty potrafisz. Jak ty będziesz mój z tym usposobieniem, z całą twoją tak niezależną naturą przystać na wszystko, co tam jednak będzie niewątpliwie konieczne...

- No cóż - rzekł Zenon, trochę jej słowami zaskoczony - ja się przecież sam o to nie starałem. Spróbuję. A gdyby się okazało, że to nie dla mnie...

Przestał mówić, czując, że nie o to chodzi w jej pytaniu, że w ogóle nie to jest ważne. Chwilę pomyślał, pochylił się ku niej i w wielkim, huczącym gwarze sali powiedział po prostu:

- Widzisz, przecież ja nigdy dawniej nie byłem z nimi związany. To, co się dzieje, to nie jest dla mnie dramat osobisty jak dla tamtych, to nie jest rozwianie złudzeń ani żadne rozczarowanie.

I dodał jeszcze:

- Myślę, że właśnie teraz dopiero będę miał więcej sposobności do inicjatywy, że właściwie będę daleko swobodniejszy niż dotąd. I zresztą gdyby mi było ciężko, to przecież nie będę sam, będę miał ciebie. Ty właśnie będziesz mi wtedy pomagała.

Następnego wieczoru, gdy siedzieli w teatrze patrząc na rzeczy dziejące się na scenie, Zenon w ciemności wziął ją za rękę. Później uczuła drugą jego rękę i wsuwający się lekko na palec pierścionek. Nie uczyniła żadnego ruchu, nie wyszeptwała ani słowa.

19

Wbrew temu, co mówiono później, Justyna jeszcze przed ślubem Zenona i Elżbiety zaczęła pracować jako ekspedientka w sklepie bławatnym Torucińskiego przy ulicy Świętojańskiej. Prawdą było lednak, że zawdzięczała owo miejsce Elżbiecie. Pan Julian Toruciński, kupiec poważny, prezes miejscowego Związku Kupców Chrześcijańskich, od czasu do czasu dawał do "Niwy" ogłoszenia, już dawno wyjednane przez Mariana Chąsbę. Zawiadamiał, że nadszedł świeży transport towaru, jakieś specjalne wełny na kostiumy damskie albo ostatnie nowości paryskie w jedwabiach. Mając do tego okazję, Zenon odwlekał rozmowę z nim o Justynie, chociaż ostatnio prosiła go o to na nowo i usilnie.

Elżbieta już przedtem kupowała wszystko w sklepie Torucińskiego, a teraz zamawiała tam płótna i obicia meblowe. Do niej więc Zenon zwrócił się z tą delikatną sprawą.

Gdy zaczął mówić o tym, spoważniał i twarz zrobiła mu się surowa, jak w czasach, gdy jeszcze miewał żal do Elżbiety, że nie umie dostatecznie go kochać. Powiedział:

- Samaś w to weszła, kiedy wezwalaś ją wtedy do siebie Feraz, widzisz, ty już musisz pomagać mi w tym, pomagać mi t nieść...

Było wczesne popołudnie, cicha godzina pory obiadowej, gdy puste szeją ulicę. Zalany słońcem, straszliwie nieruchomy dzień jesienny był jaskrawy od przezroczystości powietrza i nieba. Zieleń liści na małych okrągłych akacjach ulicy Emerytalnej miała kolor grynszpanu.

Powoli Elżbieta zrozumiała, o co chodzi. Od przyjazdu z Warszawy przywykła do myśli, że zagadnienie Justyny jest skończone. Myślał nawet niejasno, że sama Justyna gdzieś wyjechała, że nie ma jej w mieście, że jej nie ma w ogóle. A oto wracała nagle, gotowa i tyłki czekająca swej pory. I trzeba było jej sprawę podjąć w tym samym miejscu, gdzie została przerwana, podjąć i razem z nim, jak się wyraził "nieść".

- Ja jestem gotowa - odrzekła skwapliwie i pobladła z przestachu Wszystko bowiem, co uczuwała naokoło tej sprawy, było jakim; cierpieniem.

- Jestem gotowa - powtórzyła, gdy Zenon namyślał się jeszcze, jał to powiedzieć. Ale musiał mówić, dawał tym przecież najwyższy wyraz; zaufania do jej uczucia i do jej solidarności.

- Wiesz, że ona marzy o tej posiadzie już od dawna, a teraz tam odchodzi jedna ekspedientka. Jest rzeczą naturalną, że powinienem jej pomagać. Ale ona nie chce zrozumieć, że ja przecież osobiście starać się o to nie mogę i nie mogę nikogo prosić, żeby to za mnie załatwił. Nie chcę, żeby ta rzecz gorzej jeszcze wyglądała, niż jest. Zwłaszcza teraz przecież, teraz muszę być ostrożny...

- Nie tłumacz się, ja rozumiem - przerwała. - Ja chętnie tam pójde i po prostu powiem... Zenon doznał ulgi, że się tak łatwo zgodziła.

- Naprawdę, sam nie wiem, jak to powiedzieć, jak ci dziękować... Jesteś taka dobra... Pocałował ją w rękę, ale wyrwała ją prędko. Była zaskoczona własnym popłochem. Robiła przecież wszystko, by się nie zdradzić, by całą tę sprawę wytrzymać.

- Powiesz, że mieszkała w waszym domu u tych Gołąbskich, że stąd ją znasz. To wystarczy. Milcząc potakiwała głową.

- Możesz powiedzieć, że jest uczciwa. To z całą pewnością. - Po chwili dodał: - Uczciwa i bezinteresowna.

Nie patrzyła na niego, czekając, by wreszcie skończył. Naprawdę wszystko, co uczuwała naokoło tej sprawy, było cierpieniem - zarówno żal głuchy do Zenona, jak gniew na tamtą, zarówno współczucie dla niej i dla niego, jak zwykła cielesna zazdrość.

Sama jednak nie urwała tej rozmowy. Przeciwnie, zapytała:

- A czy to umie? Czy robiła już kiedy coś takiego? Zenon o tym nie pomyślał.

- Chyba nie. Umie tylko haftować i robić koronki, to widziałem w Boleborzy. Ale mi mówiła, że zawsze pociągało ją takie zajęcie w sklepie. To przecież nie może być trudne...

- Pójde i powiem - powiedziała Elżbieta. - Pójde. Zdażę jeszcze przed obiadem.

- To chodźmy razem. Ty wejdiesz, a ja poczekam na ciebie przed pocztą.

Szklane drzwi magazynu były szeroko otwarte na ulicę, i jak wszędzie tutaj, trzeba było do nich wchodzić po schodach. W rozległym wnętrzu panował cień i chłód. Powietrze pełne było zapachu ciężkich tkanin wełnianych, grubych drukowanych kretonów, płócien lśniących i zimnych w granatowych kartonach, zapachu ich kolorów i apretury. Na widok Elżbiety pan Toruński wyszedł z głębi lokalu i upewnił, że wszystkie zamówienia będą na czas wykonane, że może być spokojna. Elżbieta rozmawiała z nim naprzód o swych sprawunkach, a później o Justynie.

- Znam ją samą, a także dużo o niej słyszałam. Jest uczciwa i pracowita, jest bezinteresowna. Kupiec oglądał na Elżbiecie jej nowy kostium. Jego twarz poważną rozpromienił uśmiech pobłażliwy.

- Kupiła pani sobie coś nowego w Warszawie, nieprawdaż? - Ale to rzecz gotowa, zagraniczna - tłumaczyła się zmieszana, że coś nabyła nie u niego.

- Klientom się mówi, że dostają materiał angielski, nieprawdaż? I pani szanowna uwierzyła. A to jest wyrób bielski. Bo wyrób bielski w niczym nie ustępuje oryginalnym.

Tak mówił: "w niczym nie ustępuje". I rozwinął przed Elżbietą na nagiej drewnianej ladzie sztukę kortu, której zebrany w fałdy bryt uniósł w lewej dłoni wysoko ku górze. Wykazał w sposób niewątpliwy, że mogła być z korzyścią dla siebie nabyć parę metrów tego materiału zamiast kupować gdzie indziej. I byłby nie tylko lepszy, ale tańszy.

- Chcę panu to jeszcze powiedzieć - wróciła do tamtej sprawy Elżbieta - że ona ma bardzo dobre warunki na ekspedientkę. Jest młoda, zdrowa, zręczna, jest - uprzejma i przystojna...

Mówiąc tak, myślała, że robi dobrze, że tak właśnie trzeba. Dlatego, że to było trudne.

Ze sklepu wyszła uśmiechnięta i wkrótce dogoniła Zenona, dla którego każda chwila

oczekiwania była ciężka. Zobaczyła, że jest niespokojny, więc powiedziała prędko: -

Wszystko dobrze, Zenonie, obiecał na pewno. Ona ma przyjść jutro, żeby się z nim rozmówić.

Wziął ją pod rękę - i ten gest związał ich od razu jednym rytmem kroku, ścisłym

zaskoczeniem na siebie rąk aż po splecione dłonie, doskonałym przyłgnięciem łokci i bioder.

W tym zwartym, niezawodnie zorganizowanym ruchu obojga rozkład równowagi wydawał

się idealny, jak w jednej, czworonożnej istocie. I wspólna była też ich radość.

Ale Zenon czuł ulgę, że sprawa Justyny staje się czymś zwykłym, że się wtapia w życie i daje się pośród niego umieścić. Jej ciężar, rozłożony na nich oboje, przestawał ich już dzielić.

Elżbieta natomiast znowu była przekonana, że wszystko jest skończone pomyślnie i ostatecznie.

Zenon nie mógł mieć tych złudzeń. Po wyniesieniu się od Gołąbskich i krótkiej chorobie Justyna zamieszkała w innej, dość odległej stronie miasta, na Przedmieściu Chązobiańskim, w niewielkim domu drewnianym, w niejakich Niestrzępów, ludzi obcych, którzy nic o niej nie wiedzieli. Zenon dawał jej pieniądze na utrzymanie, mimo to jednak znajdowała wciąż nowe przyczyny, by się do niego zwracać o pomoc albo radę. Przychodziła sama albo przysyłała list, pisała tonem osoby z najbliższej rodziny, zawsze na "ty", donosząc o jakiejś nowej komplikacji ze zdrowiem lub o drobnym kłopotcie domowym. Coś wyraźnie zmieniło się w jej usposobieniu, zaczęła mieć wymagania i grymasić. Gdy jednego razu jeszcze przed wyjazdem do Warszawy, zaalarmowany takim listem, sam poszedł do niej, okazało się, że nie czuła się gorzej niż zwykle. Była tylko "zdenerwowana", nie wiedziała co jej naprawdę jest. I wtedy prawie z płaczem powiedziała, że nie chce mu być dłużej ciężarem, że musi dostać to miejsce koniecznie, bo inaczej nie wie, co z nią będzie. Zenon nie miał wcale pewności, czy jeżeli je nawet dostanie, nie zacznie znowu domagać się czego innego. Gdy byli już blisko domu, Zenon nagle przycisnął do siebie rękę Elżbiety i popatrzył jej w oczy z niezmierną wdzięcznością.

- Bądź zawsze taka dobra i taka mądra, Eizuniu - poprosił. Nie była dobra. Myślała już teraz właśnie o tym, że to nie koniec. i Zenon będzie musiał przecież powiedzieć Justynie o rozmowie z Torucińskim, uprzedzić ją, że jutro ma się tam stawić przed dwunastą. Myślała, czy nie mógłby jakoś inaczej dać jej znać? Czy koniecznie musi ją widzieć? Nie odezwała się z tym, nie chciała mu okazać braku zaufania.

- Dobrze - odpowiedziała.

Pani Kolichowska czuła się zdrowsza czasu tej pogodnej jesieni. Przychodziła do stołu z dwiema laskami i broniła się gniewnym głosem, gdy Zenon usiłował przyjść jej z pomocą. Ale patrzyła nań teraz mniej niezyczliwie. Powrót Elżbiety, o której już myślała, że tym razem naprawdę pojedzie gdzieś w świat za matką, wiele dodał Zenonowi w jej oczach. Oto dzięki ich bliskiemu ślubowi Elżbieta miała na zawsze pozostać w mieście. Ulga, której doświadczyła teraz pani Cecylia w swym niepokoju, łatwiej dawała jej znieść myśl, że Elżbieta po wyjściu za mąż zamieszka osobno.

Dla Zenona odnawiano już jeden z domów miejskich w głębi publicznego parku, prawie za miastem. Ta niegdyś magnacka siedziba, mieszcząca później zarząd ogrodów i drobne lokale ogrodników, po ; znacznych przeróbkach wewnątrz miała stanowić jedno z najładniejszych mieszkań w mieście. Widok, chociaż zewsząd zamknięty, był pełen uroku. Płaskie klomby kwiatów pośród trawy, pochyłe łączki z grupami drzew, jasna smuga wody, własny ogród z altaną, oddzielony wysokim żywopłotem od publiczności, domek dla służby, garaż, własne kurniki i inspekty. Spoza ostatnich drzew wyglądały kominy cegielni i wielkiej huty Hettnera, widać było dalekie szczytowe ściany podmiejskich kamienic. Ten kapryśny, zębaty horyzont przesłonięty mgłą, ozdobiony chmurami i niebem, był tylko najgłębiej w kulisach ustawioną, zaledwie na pół rzeczywistą dekoracją. Elżbieta pamiętała z dzieciństwa, jak biegając z koleżankami po alejach parku w rzadkie dni uzyskanej od pani Cecylii swobody, zaglądała przez żywopłot, ciekawa, kto szczęśliwy może mieszkać w tym białym domu, przed którym rosły nie znane jej przedtem magnolie. I teraz zamieszkanie właśnie tam wydawało się jej rzeczą niewiarygodną i zbyt piękną.

Pani Kolichowska obdarowała Elżbietę trochę mebli ze swej zasobnej gradami. Wyjęte spośród oblegającej je szpetoty, odnowione i świeżo obite, niespodzianie stały się ładne. Z obrazów, które ofiarowała jej także, Elżbieta wybrała tylko portret pierwszej żony rejenta Kolichowskiego i zawiesiła go w swoim pokoju. Od matki dostała już przedtem cenne dary, zbrojące ją na tę nową drogę życia, mianowicie sznurek niewielkich pereł i piękne futro jasnopopielate, stanowiące jedno z ośmiu futer bogatej garderoby pani Niewieskiej. Ponadto pani Niewieska przysłała córce i zięciowi zaproszenie na miesiąc do swej willi, którą na ten sezon wynajęła sobie na Południu.

Przed samym ślubem Zenon zawiózł Elżbietę do Boleborzy do rodziców. Nigdy dawniej nie byłby siebie podejrzewał o taki sentymentalizm. Ale to, co miało teraz stać się w jego życiu, było rzeczą wielkiej wagi i domagało się zgody i pochwały wszystkich. Tej potrzebie nie umiał inaczej dać wyrazu jak przez obyczaj, przez obrzęd, który uświęca i uspokaja.

Gdy wysiedli z wagonu, poznał od razu stojące za ogrodzeniem stacji boleborzańskiej siwe konie i przygięty na resorach wolant. Granatowe sukno obicia wyglądało jak nowe. Zenon domyślił się, że było tak starannie wyczyszczone na ten dzień. Wolał, żeby człowiek na koźle okazał się inny, młodszy od dawnego stangreta, którego nie lubił.

Po drodze Zenon pokazywał Elżbiecie miejsca znajome. Gdy mijali wielkie, złotawe sosny i pokryte niską brzezina torfowiska, powiedział:

- Patrz! patrz! Tu się już zaczynają grunta Gwareckiego Folwarku Zaraz będzie miejsce z krzyżem, gdzie w polu są groby rosyjskich żołnierzy,

Chciał, żeby widziała wszystko tutaj tymi samymi oczami, co on. Ale chociaż rozglądała się uważnie, rozumiał, że to jest niemożliwe. Chciał, żeby podobały jej się podmokłe łąki i oblatujące już z liści olszyny, szeregami idące wzdłuż rowów i grobli. Chciał ją zadziwić

Siedząc obok, lekko naprzód wychylona, przewlekała swój profil przez tę krainę płaską, smutną i monotonną w białym słońcu jesiennym. Miał ją tutaj, na tym miejscu dzieciństwa.

- Patrzaj - powiedział znów, gdy konie poszły stępą, a spod koi wychodzić zaczął ku gorze ciężki kurz. - Taki piasek będzie teraz aż do samej Boleborzy.

Wreszcie dojechali do dworu i droga z piaszczystej zrobiła się znów twarda i sprężysta. Za plecionym ogrodzeniem sadu migały na drzewach czerwone zimowe jabłka w ciemnych liściach. Zenon uczył ciepły niepokój w sercu.

- Zobaczysz matkę - powiedział. - Ciekawym, jak ci się będzie podobała. - A potajemnie roił, że sobie przypadną do serca. Matka już od progu witała Elżbietę słowami, o których marzył:

- Bóg nie dał mi córki, ale wynagradza mnie dziś tobą, drogie dziecko.

A po obiedzie mówiła mu o urodzie Elżbiety z takim uznaniem, że wzruszony całował ją po rękach i dziękował. Dopiero później przypomniał sobie, że kiedyś podobnie wychwalała przed nim Justynę. Widocznie lubiła miłość i każda jej postać budziła w niej odzew przychylny.

Pani Żancia trzymała się dobrze. Siwe, gładko rozdzielone włosy i wysoko na czoło sięgające brwi nadawały jej portretowe dostojeństwo. Elżbieta była nią zachwycona. - Taka powinna być matka - mówiła. - Ona jest taka, jaka powinna być matka.

Ojciec natomiast źle wyglądał. Fałdy powpadały w głąb twarzy, podkreślając ciężkie policzki i wygolony podbródek. Torby pod oczami odchyłały w dół dolne powieki, jak u starego wyżła. Spojrzenie było ociężałe i czerwone.

- Ojciec bardzo się zestarzał - tłumaczył Zenon Elżbiecie, jak gdyby czuł się winny. Nie pamiętał, że z opowiadań jego nie mogła na ten temat mieć wielkich złudzeń.

Panu Walerianowi też podobała się przyszła synowa. I on powiedział coś w tym rodzaju, że wprawdzie ufał gustowi syna, który wdał się w niego, ale Elżbieta przeszła jego oczekiwania. A Elżbieta śmiała się i żartowała, jak wynikało z jej roli.

- Musi być niezdrów - mówiła z troską do Zenona. - Nie powinien już pracować. - I jakby wepchnięta w ten schemat, projektowała, że tych starych ludzi wezmą do siebie, że w ogrodzie koło nowego ich domu pan Walerian znajdzie rozrywkę, która zastąpi mu gospodarstwo.

Gdy odjeżdżali, pani Żancia dała Elżbiecie sygnet z herbem Ziem-biewiczów i obiecała przysłać całe tuziny bielizny, obrusów i podpinek, okrytych haftami.

- Nie mam córki, to komu ja to wszystko zostawię - tłumaczyła.

Oglądały i wybierały razem te skarby kobiece, których solidność przerażała Elżbietę, przyzwyczajoną do cienkich, nietrwałych batystów. Dziwiła się, że ta ich sprawa tak bardzo własna, ich miłość i ślub, nagle przyciąga oto zewsząd różne dobro, raduje ludzi dotąd jej obcych;

Zenon nie wdawał się bliżej w tę sprawę. W oglądanych płótnach rozpoznawał z daleka te, które haftowała przed dwoma laty siedząca na ławce ogrodowej Justyna. Mógł się mylić i nawet mylił się na pewno. Ale w owych czasach pani Żancia tak często o tym mówiła, że i ten wzór "wypracowany", i długie, drobniutkie mereżki uporczywie wydawały mu się te same. Przyjmując sercem radosnym dobro zewsząd do nich o tym czasie napływające, Zenon i Elżbieta postanowili po ślubie skorzystać też z zaproszenia pani Niewieskiej. Formalności związane z objęciem przez Zenona przeznaczonego dlań na mocy wyższych decyzji

stanowiska prezydenta miasta miały nastąpić dopiero w początkach grudnia. Do rozporządzenia pozostawał czas wystarczający na odbycie tej podróży.

Po drodze Zenon i Elżbieta spędzili kilka dni w Wiedniu. Zenon pragnął obeznać się tam z budownictwem miejskim. Od rana przebiegali wspaniałe dzielnice robotnicze, luksusowe domy nowoczesne, objęte ogrodami, obrócone na szkoły wielkoksiażące pałace, kolorowe przedszkola dla tysiąca dzieci. "Więc to jest możliwe" - mówili do siebie ze zdziwieniem. "Więc takie rzeczy są możliwe." Bo jednak świat naokoło nie przeobraził się wcale i nadal pozostawał bez zmiany

Szczęście dzieci, ich zdrowie i możliwość ich istnienia, radość z tego, że przychodzą na świat - to wszystko dało się dokładnie odczytać i wyrozumieć z wielkich tablic rozwieszonych w salach tamtejszego ratusza.

Oboje myśleli teraz o jednym i tym samym, ale nie ważyli się mówić Zbyt świeżo mieli w pamięci przejście z Justyną. Tylko jednej noc). kiedy jeszcze byli w Warszawie, Zenon zapytał szeptem: "Czy chcesz tego?" I Elżbieta odpowiedziała: "Tak."

Później nad morzem upłynął najszcześniejszy miesiąc ich życia. Elżbieta budziła się wcześniej rano, gdy Zenon jeszcze spał. Leżała na brzuchu, zwalczając nudności, i z brodą opartą o poduszkę poprzez pręty łóżka patrzyła na morze. Było w dole zasłonięte kratą ogrodzenia, w górze wolne, ciemne w oślepiającym słońcu poranka. Widziała je za pniami dwu starych palm, przez liście wielkie, twarde i rosochate. Oba pnie składały się z zaschłych ran po dawnych, odłamanych liściach. Powleczone romboidalnym rysunkiem ich przekrojów, wyglądały jak obciążone okami sieci. Na wąskim pasie morza migwały w prawo i w lewo przemykające promenadą motocykle i samochody, rozrzucając po drodze pogróżki sygnałów. Nieliczne pośród nich fiakry, obite białym sukniem, przesuwały się wolniej w cieniu swych płóciennych parasoli. Konie tutejsze chodziły w kapeluszach na gło-lwie, a ludzie bez. Odziani w płaszcze szafirowe i pomarańczowe, sunęli tędy do kąpielni samą krawędzią wybrzeża, w całości obrysowani morzem. A w pewnym miejscu kolejno znikali za poręczą, zstępując i po schodach na niewidzialną plażę.

Elżbieta odwróciła głowę od morza, patrzyła na pokój. Blisko łóżka stał ciężki, okrągły stół z mahoniem na jednej monstrualnej łapie dziwaczego zwierzęcia, roztrójonej u dołu, zakończonej brązowymi pazurami i grubą trójkątną podstawą. Gościnny pokój był dawnym pałacowym salonem. Nad kominkiem z czarnego marmuru wprawione było w ścianę wielkie kwadratowe lustro i odbijało morze. Sup-raporty wyobrażały przepiórki w zbożu, we wnękach ciemnoróżowego muru stały rzeźbione głowy osób nieznanych.

Położyła ręce na oczach. Zanudziło ją. Znowu myślała o jedzeniu, o kwaśnym mleku z młodymi kartoflami, którego nikt tu nie znał. I Gdy z tego zrezygnowała, w myśli jej zjawiała się nagle krajana, na chlebie z masłem ułożona rzodkiewka, posypana grubymi kryształkami soli. Sól rozpuszczała się w soku rzodkiewki, w kroplach wody występujących na maśle od płukania. Ale i ten głód nie dał się zaspokoić. Czekwała więc cierpliwie, że przyjdzie Julia, przyniesie kawę i rogaliki. I wtedy obudzi się Zenon.

Myślała, że świata mogłoby nie być i już byłoby rozkoszą mieć j świadomość. Żyć w próżni i rozważać jej niepojętą naturę. Ale świat jest. Nie niebo i morze ani cudzoziemskie konie w kapeluszach, pod palmami. To jest prawie nierzeczywiste. Rzeczywistość jest inna, jest daleko stąd, poręczona obecnością najbliższą. Że on jest tu obok, że tu śpi. Drugi człowiek,



do którego nie ma odległości ani przegrody, który tak samo obdarzony jest ciałem. Człowiek, którego można dotknąć.

Zadrżało w niej wszystko od tej wiedzy, od tego nagłego, niesłychanego odkrycia. Musiała się z nim podzielić. "Zenonie" - szepnęła najciszej, tylko ruchem warg. Umilkła. Położyła się twarzą na jego nagim ramieniu. I wtedy nie obudził się także.

Myślała o dziecku ukrytym w niej. Nie mogła przecież budzić Zenona dlatego, że była taka szczęśliwa. Ale płonęła od chęci, by mu to powiedzieć jeszcze raz.

Gdy Julia przyniosła kawę i odeszła, pierwsze jego słowa były:

"Elżbieto, czy pamiętasz, że ci dwoje tutaj to my?" Tak, starała się o tym pamiętać. Ale to go nie zaspokoilo.

Już po chwili, wybierając się nad morze, duży i prawie nagi, położył obie ręce na jej ramionach i powiedział: "Myślę z przestachem, że świat jest tak wielki, nawet ziemia jest za duża. „Dlaczego?" "Przecież mogliśmy wcale się nie spotkać. Pomyśl! Pomyśl!"

Pani Niewieska nadjechała w parę dni po ich przybyciu. Tłumaczyła się z tego szeroko i niejasno, pytała, czy im czego nie brakowało, czy Julia sprawowała się dobrze. Gdy chodzili z nią na spacer po wybrzeżu, wydawała się zadowolona z nowej swej roli. Szła obok córki zaćmiewając ją urodą i strojem. A Elżbieta bez zasmucenia zносиła jej piękność.

Tor kolei do Monaco, szosa i linia tramwajowa przecinały się raz po raz, wchodziły pod siebie tunelami, spletały się i rozplatały. Ten stromy brzeg kamienny wziął w siebie wiele pracy ludzkiej, zanim ze spiętrzonych nad morze, gołej, urwistej skały przeobraził się w zbocze ogrodów i pałaców, pokryte alejami kosmatych palm, gąszczem drzew figowych i mimozy. Twarda zieleń liści tutejszych przewieszala się przez mury i balustrady wykutych w kamieniu schodów. Jeden ogromny, zupełnie złoty kwiat agawy wyrastał z kolącego kłębowiska swych liści i kładł się na tle niebieskiej morskiej ciemności, podobny do wiosennej brzozy.

Na krótko przed wyjazdem zrobili wycieczkę do miasta, leżącego dalej na wschód. Uczepiona gzymsu skalnego droga kręcąc się i wywijając wpadła w wąskie, strome uliczki, między domy i wille z zamkniętymi w słońcu, jak powieki, okiennicami. Na jednej ze stacji wysiedli, szli pod górę aleją kwitnących różowo, okrągłych oleandrów, nieprawdziwych jak drzewka na tapetach. Chcieli obejrzeć tutejsze akwarium.

W wąskim korytarzu o ścianach ze szkła objął ich chłód. Z zielonego mroku wychodziły na nich ku szybom dziwne stwory morskiej głębin. Kołysały się na długich, pogiętych nogach, snuły wśród sztucznych skał i wątych wodorostów smutne, podejrzone i daremne swoje istnienie. Mały, różowy krab, okrywający ciało czymś mającym fason damskiego kapelusza, wędrował przed szybą twarzą do ludzi na sześciu cienkich różowych nogach tam i z powrotem, niejako w poprzek samego siebie. Inne, większe kraby, w zgodzie tam z nim żyjące, chodziły zwyczajnie wzdłuż swej osi, powoli i podwodnie dźwigając nogi, też cienkie i kremoworóżowe. Spotykając się zdawały nie zauważać się wzajemnie, nie zatrzymywały się ani zbaczały z drogi i przestępowały jedne przez drugie, jak przez nieznaczące zapory. W norach skalnych siedziały mureny - długie, podobne do liści agawy, powyginane jak wstążki na nagłówkach starych drzeworytów. Spletane ze sobą i nic nawzajem o sobie nie wiedzące, sterczały nieruchomo łbami do góry - jak sama zastygła ze zgrozy modlitwa nadaremna. Szli dalej wodnym podziemiem, trzymając się za ręce, niewiele mówiąc. Za szybami oddychanie niektórych ryb zdawało się wyraźną męką, ich milczenie - utraceniem wszelkiej nadziei. Jedna rybka miała na karłowatym ciele pyszny brokatowy strój, ale jej brzydka, duża

twarz była smutna i gorzka. Coś kolorowego, jakaś rubinowa blaszka, jakaś świetlista kropla poruszała się bezustannie koło jej oczu. Patrzyła nimi ze śmiertelnym wyrzutem spoza tej szyby, która była dla niej ścianą życia.

- Kim jest Bóg tych zwierząt - zastanawiała się Elżbieta, gdy stamtąd wyszli. - I na co one w ogóle mogą liczyć? Zenon milczał, więc powiedziała jeszcze:

- Nie może być rzeczą tak ważną, czy chodzi się w poprzek siebie, czy wzdłuż. To, że się w ogóle chodzi, jest ważniejsze. Najważniejsze jest podobieństwo. Dzieje się z nimi to samo, co z nami. Dzieje się przecież i to, że mają dzieci.

Zdawał się o tym powątpiewać.

- Znoszą jajka, o których nie wiedzą nic później. Może w ogóle nie wiedzą, co to jest.

- Ale dla każdego istnieje to drugie - co w pewnym sensie jest kochankiem. Szukają się nawzajem, coś znaczą dla siebie - choćby na chwilę. I to, czym się szukają, jest jednak jakąś tęsknotą. I to, że się znajdują, jest próbowaniem szczęścia. Zenon się roześmiał.

- Ale gdy się samemu jest swoim kochankiem, jak na przykład robak albo polip, gdy się rozmnaża przez pączkowanie - to już z tego podobieństwa nie zostaje nic.

- Więc myślisz, że wszystko stało się dopiero w człowieku - oburzyła się Elżbieta. - Że wszystko zaczęło się od człowieka? To byłaby straszliwa samotność. Ja czuję bez żadnej wątpliwości, że w istocie jesteśmy zupełnie tym samym, co one. Świadomość jest więcej, ale nie jest czymś innym niż westchnienia tamtych ryb albo modlitwa mureny.

Siedzieli w gorącu pod kolorowymi parasolami i jedli lody. Między krzeselkami biegały prędko małe gołębie, złe i niecierpliwe, czekając, żeby im dać coś do jedzenia. Zenon rzucał na żwir okruchy ciastek, ale nie wszystko chciały jeść. Elżbieta myślała o powrocie.

20

Jednego ranka, gdy niebo było ciemne, światło do okien ludzkich! weszło od dołu. Znaczyło to, że spadł śnieg - wczesny tej jesieni. Pod jego ciężarem zlatywały jeszcze z drzew ostatnie zapóźnione liście.

Zima nastąpiła długa i twarda. Justyna budziła się i wstawała przed świtem. Jej pokój był na parterze, okienko wznosiło się niewysoko nad ziemią. Myła się w zimnym pokoju, drżąc i zmarznięta. Herbat gotowała sobie na kuchence, która rozgrzewała się prędko i prędko stygła. Gdy Justyna wracała do domu wieczorem, wszystko było zlodowaciałe, oddech w powietrzu kłębił się białą parą.

Na ulicę Świętojańską szła ze trzy kwadransy. Złe sobie wynajęła ten pokój tak daleko, ale teraz już do tego przywykła i nie chciało jej się przeprowadzać. Na Przedmieściu Chąrzebiańskim śnieg leżał dość wysoko, zanim go ludzie wydeptali. Lepsze chodniki, zamiatane ze śniegu i wysypane piaskiem, zaczynały się dopiero za mostem. Justynie przemakały i marzły nogi w pantofelkach, potem jednak kupiła sobie modne kalosze, sięgające ponad kostkę, obszyte u góry czarnym króliczym futerkiem - i już było jej ciepło po drodze.

Przychodziła przed sklep trochę za wcześnie, bała się spóźnić, żeby się pan Toruciński nie gniewał. Był bardzo prędko. Czekala zawsze dobrą chwilę, zanim przyszedł z kluczami od strony placu Kościelnego, gdzie Torucińscy mieli mieszkanie. Pomagała mu otworzyć ze sztaby i przymocować na haku obie okiennice, od drzwi i od wystawy. Zaraz, jak tylko weszła, brała się do sprzątania. Dobrze skraplała wodą podłogę i zamiatała gołe, nie malowane deski, tak żeby się kurz na towar nie podnosił. Stara podłoga miała zadry, których czepiały się klaki śmieci. W sobotę po zamknięciu zawsze ją porządnie wyszorowała. Na wymiecioną podłogę sypała świeże trociny, potem wycierała kurz, zdejmowała płócienne płachty z lepszych materiałów. Paliła w piecach, ale niedużo, tylko tyle, żeby się w sklepie i w składzie wilgoć nie zapuściła. W sklepie było zimno i ciemno. W składzie przez cały dzień paliła się lampka elektryczna u sufitu.

Klienci przychodzili później, ale już zawczasu musiało być wszystko gotowe. Tylko w targowe dni od samego rana zjawiali się chłopcy i wiejskie kobiety coś kupować. Nabierali sobie sztucznego jedwabiu w kwiaty albo welwetu bawełnianego w prążki - same rzeczy niedrogie i mało warte. Wiele osób się targowało, chociaż na półce na wprost drzwi wisiał napis, że ceny są stałe. I Justyna mogła czasem coś opuścić, jeżeli pan Toruciński się zgodził. Jego syn najstarszy. Ludwik, stawał za kontuarem z tej strony, gdzie na półkach leżały materiały na ubrania męskie i grubsze wełny na płaszcze i kostiumy. Był niewielki, chudy i niedołężny, bał się ojca nie mniej niż Justyna. Prócz niego był jeszcze jeden ^subiekt, pan Michał, człowiek już niemłody, i jedna ekspedientka, Mańcia, specjalnie do włóczek i wełny. Najpóźniej przychodziła pani Torucińska, kobieta tłusta i spokojna, dużo młodsza od męża. Siedziała w kasie, w futrze fokowym i ciepłych botach. Przymykała oczy jak kot, ale słyszała każde słowo. I nie lubiła młodego Ludwika, który był jej pasierbem.

Na obiad chodziła Justyna, tak samo jak panna Mańcia od włóczek, do jednej kobiety w tym samym podwórzu, co był sklep. Ale każda osobno, żeby zawsze jedna była w sklepie. Robotę swoją Justyna lubiła. Stać za kontuarem i pokazywać klientowi materiał było przyjemnie. Nie żałowała fatygi, z każdej sztuki odwijala metr albo półtora, a jak pan Toruciński uważał, to i więcej - i odwijając przekręcała sztukę w powietrzu zgrabnie, łapiąc ją zawsze w porę, gdy spadała na płaską stronę.

- To jest nie do zdarcia - mówiła z przekonaniem. Albo zapewniała, że w tym sezonie tylko to będą nosili. Jeżeli klientce podobał się wyrób i gatunek, a nie mogła się zdecydować na kolor, Justyna ręczyła, że teraz tylko zielony albo granatowy jest modny. Albo mówiła jeszcze, że jest twarzowy, że pasuje do włosów tej kobiety i do jej cery.

- Na sukienkę pani potrzeba? - pytała. - Na spacerową? na popołudniową? - I jakakolwiek wypadła odpowiedź, każda sprawiała jej widoczną radość. - Ach, na popołudniową! To naturalnie coś z wełny! Bo jedwab już się nie nosi. Albo pokażę pani rzecz zupełnie nową, otrzymaliśmy dopiero w tamtym tygodniu; wełna z jedwabiem... Zaraz pani przedstawię... O materiale ciemnym mówiła, że poszczupła, o jasnym, że odmładza. I wiedziała, że każde jej słowo słyszy pani Torucińska.

- Ponosi pani tę suknię parę lat - cieszyła się, gdy już odkroiła materiał i uważnie składała go wzdłuż i w szerz, bacząc, by paczka zgrabnie wypadła. - Sprzykrzy się pani, a nie zedrze... Cieszyła się tak z każdym, kto coś kupił. I każdy mógł myśleć, że tylko o niego dba, tylko jego sprawą się przejmuje.

Nauczyła się tego wszystkiego w niedługim czasie. Szybko i zręcznie odmierzała metry wzdłuż kija, przetrzymywała miejsce palcem, przypuszczała odrobinę - i cięła dbając, żeby było równo. Lubiła materiały cienkie i jedwabie, po których nożyczki biegły prędko, tnąc tkaninę wzdłuż nitki z przyjemnym chrzęstem. Lubiła też takie - przeważnie towar biały - które nacięte z brzoza, dały się rozedrzeć łatwo jednym szarpnięciem rąk. I tylko gęściejszy kant na końcu trzeba było przeciąć.

Justyna od dawna chciała być w sklepie. Jeszcze w Chązebnej, jako mały Dzieciak, zawsze się z hrabianką Różą Tczewską bawiła w sklep. Ale tam to był sklep artykułów spożywczych - Piasek to była mąka, ciemniejsza ziemia - kasza. A to białe ze środka słoneczników, obsypane piaskiem, odrawało się po kawałku nożykiem i sprzedawało jako słoninę. I Justyna zawsze była sklepową, a Róża musiała kupować

W sklepie widziała Justyna osoby z miasta i przy sprzedaży rozmawiała z nimi jak ze znajomymi. Ale nie byli to nigdy jej prawdziwi znajomi

Jednego wieczoru, wychodząc ze sklepu, Justyna zobaczyła stojącego na brzegu chodnika Franka Borbockiego, który na nią czekał. Było

ciemno na ulicy. Ale go zaraz poznała, jak tylko do niej się przybliżył. Przełękła się. - Co ty chcesz? - spytała ze strachem. Zrobił się z niego duży koscisty mężczyzna. Twarz miał ciemną i chudą, oczu z dołu ponuro patrzące. Można się go było przełęknać, spotkanego tak nagle po ciemku.

- Coś tu przyszedł? - spytała podejrzliwie. - A może się co w domu stało? - dodała, bo nagle jej się przypomniała Jasia.

Odkąd jeszcze w jesieni umarła pani Borbocka, Justyna ani razu nie była u Jasi. Naprzód, że miała daleko po nocy wracać na przedmieście za rzekę, więc się zawsze ze sklepu prędko spieszyła. A przy tym iść do tamtego domu na ulicy Staszica było jej nieprzyjemnie.

Franek powiedział, że mała siostry dziś przed południem umarła, że siostra jest słaba i prosi, żeby do niej przyjść.

- Umarła! - krzyknęła Justyna i załamała ręce. - Taka była zawsze marna, biedactwo! I te oczki...

Wyjęła chusteczkę i idąc ocierała łzy. Łatwo jej teraz było o płacz. Często wieczorem, jak wróciła do domu ze sklepu, siadała na łóżku i płakała bez żadnej przyczyny.

Chusteczka prędko namokła i twarz zaczęła ją szczypać na mrozie. Franek szedł koło niej, garbiąc swoje wielkie plecy. Pytała go, czy Jadwisia długo chorowała, czy była przytomna i co na końcu mówiła. Franek odpowiadał niechętnie, jakby był obrażony, i wcale się na nią nie patrzył.

Dowiedziała się, że Jadwisi już od jesieni ciekło z ucha, a teraz niedawno ustało. Przez parę dni była rozpalona, pokazywała wciąż na główkę, że ją boli. Jak dziś wrócił do domu, już nie żyła.

- Widać na mózg jej padło - powiedziała Justyna. Myślała o tej małej, jak to sobie cichutko zawsze siedziała na stołeczku między kubłem z brudami i piecykiem. I że ją zawsze bolało, kiedy jej matka szmatką przemywała oczy. Przeszli już ulicę Emerytalną, skręcili na Staszica. Za latarnią na

rogu zrobiło się ciemno, bo sklepy, z których wieczorem szło światło na chodniki, były już wszędzie pozamykane. Uczuła idąc, że Franek

patrzy teraz na nią z boku.

- Ten twój szwagier, ten Gołąbski, co to za niedobry człowiek

- zaczęła mówić. - To tylko przez niego, przez to jego pijaństwo i złodziejstwo, że się tak pomarnowały dzieci i Jasia.

- Przez niego, nie przez niego - odparł niechętnie, patrząc znowu pod nogi.

- No to przez kogo, jak nie przez niego? Czy on dbał o te dzieci? Poszedł sobie w świat i już.

- Wróciłby on, żeby mógł - mruknął Franek. - Ale nie wróci. I lepiej na niego nic nie mówić.

- To ty wiesz, gdzie on jest? - zapytała przystając. Ale Borbocki szedł dalej i nie odpowiadał. Czowała, że ten człowiek obok idący jest nieprzychylny i temu, co ona mówi, i jej samej.

Spieszyli po brudnym zbitym śniegu koło siebie, jak obcy. A kiedyś przecież musiała się od niego oganiać, tak za nią przepadał. Przypomniała sobie o tym bez żadnego żalu, tylko tak.

Zaczął teraz mówić o tym szwagrze, że długo za robotą chodził, podawał się do różnych miejsc, a wszędzie go komisja lekarska odrzuciła, bo miał przestrelone płuco i był do roboty niezdatny.

- Różnych on rzeczy próbował, zanim mu na ten koniec przyszło, a i winny nie był, tylko tak się jakoś zaplątał.

Do mieszkania Jasi mieli niedaleko. Weszli przez bramę na podwórze, w sieni Franek zapalił zapalkę i Justyna zaczęła za nim schodzić po stopniach do piwnicy. Na dole w korytarzu musieli się oboje dobrze przygiąć. Przyszli z mrozu, więc się tu pod ziemią wydawało ciepło, ale powietrze było ciężkie i stęchłe. Kiedy zapalka zgasła, Franek szedł dalej naprzód po ciemku i nic się nie odzywał. Justyna powoli szła za nim przesuwając ręką po murze z cegły, po zbitych z desek drzwiach do piwnic, zamkniętych na duże kłódki.

W ciemności otworzył po omacku ostatnie drzwi. - Zróbże tu światło - powiedział. - Sama tak siedzisz?

Z głębi usłyszała zmieniony głos Jasi:

- Justyna jest?

- Przyszłam, przyszłam - odezwała się Justyna. Franek sam namacał lampkę na ścianie i zapalił. Dopiero przy świetle Jasia uderzyła w płacz.

- O ja nieszczęśliwa sierota, kiedy już moje ostatnie idzie do ziemi Po co ja, podła, żyję, po co...

Wszystko się tu tak powtarzało. Co i raz ktoś umarł i jedna z nich albo druga płakała. Teraz znowu Justyna pocieszała Jasię.

- Nie trzeba, nie trzeba, niech Jasia nie płacze. Dla niej już lepiej, że się tak nie męczy, biedactwo.

Mały trupek Jadwisi leżał w poprzek na samym środku łóżka. Dziecko ubrane było w pięknie wyprasowaną białą sukienkę, której Justyna nigdy na niej nie widziała. W końcu łóżka pościel była trochę odsunięta i wygnieciona w tym miejscu, gdzie siedziała Jasia, czuwając w ciemności nad małą umarłą. Nie przestając płakać, porządkowała teraz łóżko, żeby przed Justyną przyzwoicie wyglądało.

- Niech Jasia nie płacze, Jasiu - powtarzała Justyna trzymając w objęciach jej ciało chude jak wiór. - Zawsze przecież miała te swoje parę lat na świecie, zawsze i to sobie trochę pożyła...

- Dużo tam ona z tej ciemnicy świata widziała.

Kiedy Franek zabrał się i poszedł jeszcze na miasto, usiadły obie przy nieżywej i Jasia opowiedziała Justynie o jej chorobie i śmierci, i ciągle żałowała, że jej tak krótko było przeznaczone żyć. Justyna słuchała w milczeniu i nagle powiedziała do niej jakby z pretensją: - Co to żałować. Niektórym Bóg tak przeznaczy, że wcale ani na jeden jedniutki dzień świata nie oglądają.

Pogrzeb Jadwisi odbył się na trzeci dzień wczesnym ranem. Była odwilż, z dachów ciekło, po pochyłych ulicach szeroko płynęła woda. Drobnym zimowym deszcz zaczął padać, ledwie wyrzeli z bramy domu przy ulicy Staszica, i nie ustawał aż do samego cmentarza. Trumienkę z Jadwisią niósł pod pachą Franek Borbocki na rzemieniu przewieszonym przez ramię. Justyna z Jasią szły za nim, a dalej w tyle Chaśbina i Ignacowa, które zawróciły od ulicy Piaskowej, i Balinowska, która szła do końca.

Justyna pomodliła się przy grobie nieboszczki matki. Ale niedługo pobyła na cmentarzu, bo czas, na który się ze sklepu zwolniła, prędko zeszedł.

W niecałe cztery miesiące po śmierci dziecka umarła wreszcie Jasia na tę swoją gruźlicę, na którą od tak dawna chorowała odkąd została sama w swym ogromnym łóżku, dopiero rozchorowała się na dobre, jakby teraz już wszystko było jej wolno. Ale i teraz jeszcze wydawało jej się we śnie czasami, że obok niej leży jej matka umarła i stęka, jakby nawet śmierć nie mogła jej ulżyć w chorobie. Śniła jej się także Jadwisią, że żyje, i mąż, że wraca; że ją przeprosza i obiecuje nigdy już więcej nie pić. Śnił jej się dobry i kochający, że leży obok niej w łóżku - jak gdyby już poza tym łóżkiem nie było świata. Ale kiedy w tym śnie zaczął ją całować, to się przelekkła, że znowu może być dziecko. I obudziła się cała w potach, z ulgą, że to był sen.

Bolało ją w piersiach, w nerkach i najwięcej w gardle. Nie tak kaszłała, co dużo i gęsto pluła. Leżała całe noce zrana potem, zimna i znowu gorąca, wycierała się mokrą koszulą i wkładała drugą, która przez ten czas przeschła trochę na poręczu łóżka. Była nareszcie sama w tym łóżku. Było wygodne i stało jak za duża trumna w tym też na nią jedną za dużym grobie. Myślała, że dobrze by było świeżo napchać siennik, wynieść pierzynę na podwórze i wywietrzyć, że byłoby jej wtedy nie tak ciężko oddychać, jak w tym zaduchu.

Z początku jeszcze wstawiała, paliła pod blachą, grzała sobie wodę na herbatę, piła leżąc. Wynieść kubeł szła, kiedy całkiem z potu ostygła i czuła po sobie suche ciepło, bo się bała przeziębici. Franek przychodził rzadko, a potem całkiem przestał przychodzić, przepadł gdzieś tak samo jak jej mąż. Gdy już z nią było gorzej, tylko Chaśbina albo Ignacowa wpadła czasem coś posłużyć, przyniosła parę łyżek zupy, bo twardego połykać nie mogła, zostawiała jej na krzeselku przy łóżku garnuszek z wodą do picia na noc.

Justyna jakby ze wszystkim o niej zapomniwała. Jeżeli przyszła, to prawie w nocy. Mówiła, że ma teraz dłużej zajęcie, bo po zamknięciu oblicza kasę. Raz czy dwa razy w niedzielę posiedziała dłużej, ale mało co pomogła, zrobiła się jak obca.

Umarła Gołąbska w dzień, w samo południe, już na początku lata. I akurat w tę porę nikogo nie było. Dopiero na wieczór przyszła Justyna, zastała ją już zimną i powiedziała Edwardowi Chaśbie, co się stało. Justyna była w sklepie Torucińskiego jeszcze do jesieni. Odkąd pani 9 Torucińska wiosną wyjechała na wieś, Justyna zaczęła ją zastępować A w kasie, a potem sama została kasjerką. Nauczyła się obliczać pieniądze i wpisywać pozycje do książki. Zawsze teraz po zamknięciu sklepu zostawała jeszcze na godzinę albo dwie z panem Torucińskim, którego gniewu wcale się już nie bała.

Był z niej zadowolony i z czterdziestu złotych podniósł jej pensję do sześćdziesięciu. Od śmierci Jasi Gołąbskiej Justyna nie wychodziła nigdzie z domu, nawet na cmentarzu w niedzielę bywać przestała. Przez lato było jej gorzej niż zimą. Nie zadawała się z nikim, mieszkała wciąż u tych samych ludzi na Przedmieściu Chązobiańskim. Nazywali się państwo Nistrzép, byli oboje JUŻ starzy, spokojni i nietóótiwi. Dzieci nie mieli. On pracował na kolei, ona zajmowała się niedużym ogrodem i hodowała mnóstwo kur, z których jaja przynosiły jej niezły dochód. Dom kupili sobie nie tak dawno z oszczędności i jeszcze go po trochu spłacali. Nigdy u nich Justyna nikogo nie widziała prócz jednego człowieka, do którego mówili "ty", i oboje dość go, zdaje się, lubili. Wyglądało na to, że go dawno znają, ale nie powiedzieli nigdy wyraźnie, co ich łączy. Przychodził nie bardzo często, dostawał kolację albo obiad. Był jeszcze niestary, a już prawie siwy, tłusty, małowówny i powolny, śmiał się rzadko i nieprzyjemnie. Nazywał się Podębtrak Andrzej. Nad łózką starej Nistrzépowej wisiała powiększona fotografia jej siostrzenicy już nieżyjącej, która była jej wychowanką. Justynie spodobała się, bo miała twarz uśmiechniętą na tej fotografii. Druga fotografia, mniejsza, stała na komodzie w ramach. Tutaj już siostrzenica pani Nistrzép była mężatką. Trudno było poznać, że to ta sama, taka się wydawała zmieniona, jak po chorobie. Pani Nistrzépowa mówiła ze smutkiem, że siostrzenica umarła przedwczesną śmiercią, że w kwiecie wieku odeszła z tego świata. Raz nawet powiedziała: śmiercią tragiczną. Justyna myślała przez chwilę, że może jej opowie, jak to się stało. Ale tamta w tej chwili umilkła i Justyna nie śmiała zapytać. Za to oboje państwo Nistrzépowie opowiadali nieraz o tej siostrzenicy, jaka była w dzieciństwie. Jak się bawiła, jaka była mądra i jak się później dobrze uczyła w szkole. Pod koniec września Justyna jednego dnia nie poszła do zajęcia i nie dała znać, czemu nie przychodzi. Wieczorem przyleciała do Justyny panna Mańcia od włóczek zapytać, czy nie jest chora. Justyna leżała na zaścielonym łóżku nakryta chustką. Było jej zimno.

- Nie, nie jestem chora - powiedziała niechętnie.
- No, to dlaczego pani nie przyszła? Szef cały dzień musiał siedzieć przy kasie. Był zły.
- Bo ja jestem zmęczona - powiedziała Justyna. I rozplakała się bez przyczyny.

21

Późną jesienią tego roku przyjechał wreszcie z zagranicy Karol Wąbrowski. Paryskiego przyjaciela swego, Zenona Ziembiewicza, zobaczył zaraz na peronie. Stał niedaleko wejścia w świetnym palcie, miał odrzucony z czoła melonik i olśniewająco biały cache-nez na szyi. Wyglądał jak prawdziwy dygnitarz na zdjęciach tygodnika filmowego. Przystąpił do Karola uradowany, śmiejąc się wszystkimi zębami. "No jak się masz" - powtórzył parokrotnie. Wchodząc w dawną swą rolę w stosunku do słabszego fizycznie przyjaciela, zajął się od razu jego walizką i tragarzem, dbał, czy nie jest bardzo zmęczony drogą, czy jechał wygodnie. A Karol po dawnemu przyjmował to jak coś naturalnego. O zdrowiu pani Kolichowskiej powiedział Zenon pobieżnie i uspokajająco: "Dobrze, dobrze, to znaczy tak jak zawsze..." I dodał: "Ale chwala Bogu, że wreszcie przyjechałeś." O sobie i

Elżbiecie niewiele umiał powiedzieć: "No cóż, mamy syna." To zresztą Karolowi wiadome było już z listu.

- Wyglądasz jak człowiek szczęśliwy - poważnie powiedział Karol, prowadzony przez Zenona pod rękę wąskim przejściem koło biletera. - Albo jak człowiek czymś zmieszany...

- Po prostu jak człowiek, który ma niedużo czasu - śmiejąc się odparł Zenon.

Spieszył się rzeczywiście. Długim otwartym autem odwiózł Karola na ulicę Staszica, sam wydzwonił młodszego Chaśbę, żeby zabrał walizki, zczekał w bramie, póki Ewcia nie otworzyła drzwi, i wtedy dopiero odjechał, obiecawszy być na obiedzie z Elżbietą,

Pani Cecylia tego dnia wstała i ubrała się starannie na przyjęcie} syna. Łucja Posztraska z Ewcią od rana biegały koło niej nastroszone | i gorliwe. Dzień był pogodny, słońce wytoczyło się nisko na blade | niebo. Pierwszy cienki promień przekłuł siatkę firanki i sięgnął pozio- i mo aż na drugą stronę salonu, po drodze zawadzając o sprzęty. Pani' Cecylia siedziała w fotelu sztywna i surowa, gotowa na wszystko.

Gdy samochód stanął przed bramą, pani Łucja i Ewcia zacichły i znikły jak cienie. Ode drzwi szedł z wolna na sztywnych nogach nieduży, obcy człowiek, człowiek nieznamy. Gdy pocałował ją w rękę, pani Cecylia drugą ręką głowę jego przygarnęła do piersi. Głowa ta była łysa.

- Moje dziecko - powiedziała przy tym, jakby wbrew wszelkiej oczywistości. - Moje dziecko...

Karolowi było ciężko nachylać się w ortopedycznym gorsecie i obrzęd powitania przyszedł mu z trudnością. Pani Cecylia nie okazała swych uczuć, nie zdradziła się z niczym.

Powiedziała:

- Masz tam przygotowany dawny pokój Elżbiety, ciepła woda jest obok w łazience. Czy wolisz jeść śniadanie w pokoju, czy może przyjdiesz do jadalni, ja poczekam.

- Dziękuję mamie, dziękuję, z całą chęcią... Mówił cicho, ostrożnie i poprawnie, z lekkim wahaniem dobierając stów.

- Później będziesz mógł sobie poleżeć do samego obiadu. Przy obiedzie zobaczysz Elżbietę. Ciekawam, czy ją poznasz, bo ona ciebie wcale nie pamięta. Już więcej niż rok, jak tu nie mieszka. Jestem sama i jakoś daję sobie radę...

Wzięła kije i odprowadziła go do drzwi korytarza. On jeden nie próbował jej pomagać, zajęty sobą. Przystawał na wszystko - powolny, sztywny, uważny. Każdy jego ruch poprzedzała osobna decyzja i każdemu towarzyszył cichy szczełk aparatu.

- Zobacysz później, jak oni się tam urządzili - mieszkają w parku za miastem. Jego matka jest teraz u nich - dodała z przymusem - odkąd umarł stary Ziembiewicz.

Staroświecki pokój, zastawiony meblami "giętymi" z dawnej poczekalni reagenta

Kolichowskiego, z oknem wychodzącym na parkan i ciemne nad nim gałęzie sadu, wydał mu się przyjemny. To było prawie wszystko, co powiedział podczas śniadania. Zachowywał się tak powściągliwie czy obojętnie, jak gdyby nic się nie stało. Jak gdyby jego przyjazd nie poruszył mnóstwa spraw od dawna przyschniętych, nie zakołysał całą biografią tej starej kobiety.

- Nie jesteś podobny do ojca - powiedziała niespodziewanie i wyzywająco. Podniósł na nią oczy i zaraz je opuścił.

Rzecz była dziwna i trudna do zniesienia. Był nie tylko niepodobny do ojca, był od niego starszy. Gdy ostatni raz w życiu widziała Konstantego Wąbrowskiego, miał oczy błyszczące i gęste, ciemne, falujące włosy.



- Jesteś podobny do dziadka Bieckiego... - zaczęła mówić i sama sobie przerwała. - Mało go zresztą pamiętam...

Myślała jednocześnie o pierwszym swym mężu. Przestał pisać, miał tam kobietę. Później okazało się, że ta kobieta była stąd, że pojechała

tam za nim. Znali się więc już tutaj. A ona do ostatniej chwili myślała, że nie ma innej rywalki poza partią, że niejako ponosi tę ofiarę dla idei. Z męskiej towarzyszką życia, umiejącej wyrzec się szczęścia, przeobraziła się w oszukaną żonę. Wyjeżdżał nagle, wyjeżdżał nocą, uciekał przed zagrażającą mu karą śmierci - i ten wyjazd, pożegnanie, rozbicie domu - wszystko teraz wyglądało inaczej. I ona sama stała się kimś innym we własnych oczach - jakby ktoś wziął ją w dwa palce i przestawił na inne pole szachownicy.

- Twój ojciec umarł w Paryżu - powiedziała wyczekująco. Milczał. Powinien był coś wiedzieć o tym, chyba szukał tam jego śladów. Nie tylko umarł przecież. Nie tylko dowiedziała się, że żadne słowo, żadna cudowna odmiana zdarzeń nie przyniosą już nic. Bo ostatecznie, póki żył, mogła być zawsze jakoś przypadkowo go spotkać, mogła nawet po latach dostać niespodziany list... Widocznie w jakiś sposób liczyła na to, nawet nie wiedząc, nawet nie przysnając się przed sobą... Tak. Ale on nie tylko umarł. Jego śmierć była jeszcze ponadto samobójstwem.

- I z nią też nie wiesz, co się stało? - spytała. Chwilę czekała bez tchu. Wreszcie podniosła na niego oczy. Był spokojny. Namyslał się. Odpowiedział z wahaniem:

- Jest tam dotąd. Ma córkę... Pani Cecylia poruszyła się.

- Córkę? - powtórzyła, niedobrze rozumiejąc. Jej cierpienie było małe i dotkliwe jak od złego ukąszenia. Było pozbawione treści. Szło przecież o rzeczy, których od dawna nie ma.

- To jest moja siostra...

Nie chciała wiedzieć więcej i on nie mówił. Przesunęła coś na stole, próbowała wstać. Ewcia podała jej obie laski.

Po śniadaniu Karol spał. Przez nikogo nie obudzony, na obiad przyszedł punktualnie. W jadalni zastał już Elżbietę, czekano tylko na Zenona

Elżbieta przywitała chłodno nieznanego kuzyna. Od wielu lat przywykła myśleć, że jego obojętność spowodowała wszystkie strapienia pani Cecylii. Patrząc teraz na niego, zapomniała o tym zupełnie. Był taki dziwny.

- Mówcie sobie "ty" - powiedziała pani Cecylia. Dla obojga było to wysiłkiem. Głos pani Cecylii brzmiał jednak srogo, musieli więc uwzględnić jej żądanie.

- Jak ma na imię twój syn? - spytał Karol swym cichym sposobem. Czekał na odpowiedź, patrzył ku niej z dołu uważnie małymi, głęboko osadzonymi oczami.

- Na imię ma Walerian, jak jego dziadek - odpowiedziała skwapliwie. Jej szczupłe policzki zrobiły się różowe.

- W tym tygodniu zaczął czwarty miesiąc - mówiła dalej, już nie pytana. - Jak do nas przyjedziesz, musisz go zobaczyć. To jest coś bardzo dziwnego, takie dziecko. Mały kot albo szczenię też nie bawią się tak zaraz od początku. Ale w porównaniu ze zwierzętami mały człowiek wydaje się bardziej nieszczęśliwy. Walerian nie płacze więcej niż inne dzieci, a jednak płacze o byle co. Gdy chce spać, gdy chce jeść, gdy ma się kąpać... Jak gdyby go bolała rzeczywistość. Chociaż widziałam taką rybę - ona oddychała cierpiąc.

Gdy mówiła, przyjechał Zenon.

- Elżbieta naturalnie opowiada o dziecku - odezwał się z dobrotliwą wymówką. Pani Cecylia zaraz stanęła w jej obronie.

- Karol sam się zapytał - powiedziała.

Ale Zenon szukał tylko pretekstu, by sam od siebie coś dodać. Dziwił się mianowicie, że nigdy nie lubił dzieci, nie interesowały go wcale. A u tego bąka siedziałby godzinami, gdyby nie był taki zajęty. I Elżbieta znowu promieniała.

Po obiedzie znalazła się blisko Karola. Przyzwyczała się już do niego, więc mogła to powiedzieć:

- Długo czekałeś czekać na siebie matce, Karolu. Nie wiesz, jak za tobą tęskniła.

Był zdziwiony jej wyrzutem, jakby nigdy nic podobnego nie mogło mu przyjść do głowy.

- Chorowałem tyle lat - odrzekł po chwili. - I później, gdy już wreszcie zacząłem pracować, bałem się zmiany. Nie mogłem sobie wyobrazić nic innego niż ta uliczka i droga do biblioteki...

Niespodzianie się uśmiechnął.

- Popatrz na mnie, czy wyglądam na kogoś, komu łatwo wybrać się w podróż?

Uśmiech miał trudny, asymetryczny, nadspodziewanie słodki i bez-, bronny. Parę dolnych zębów z jednej strony nasuwało się na górne i to właśnie przeszkadzało mu się uśmiechać.

Pani Cecylia patrzyła na syna w tej chwili z daleka i doznawała dziwnego wrażenia. Jego twarz drobna, kanciasta, z głęboko wpadniętymi oczami, nagle się przed nią odemknęła. "On jest miły" - pomyślała i uczuła pociechę.

- A przecież wybrałeś się, widzisz...

Gdy odjechali Ziembiewiczowie, pani Cecylia, zmęczona nadmiarem wrażeń, kazała się rozebrać i poszła do łóżka. Musiała zebrać myśli, musiała odpocząć. Bo oto odjazd Elżbiety, która spieszyła do domu, by w porę nakarmić Waleriana, na nowo rozranił jej serce, jak zawsze dawniej. Biło słabo i nierówno, pani Łucja Posztraska liczyła nad szklanką kapiące krople.

- Poczekaj - mówiła. - Jak tu posiedzi, przyzwyczai się, zadamowi, to przestaniesz się tym przejmować. Widziałam, że przywiózł dużo książek. Będzie tu siedział i pisał.

Pani Cecylia uciszyła ją gestem ręki. Sama nie wiedziała, o co szło jej w tej chwili. O Karola czy Elżbietę. To dziecko nieszczęśliwe nie mogło jej już zastąpić Elżbiety, jak ona nigdy naprawdę nie zastąpiła jego.

Po paru dniach, w piękną jesienną pogodę, pani Cecylia wybrała się z synem do Ziembiewiczów. Pierwszą rzeczą po przyjeździe było, oczywiście, zobaczenie dziecka, które w głębokim wózku obwoziła po ogrodzie tłusta i wesoła Marynka, przez panią Żancię przywieziona z Boleborzy. Ale nie było jej blisko domu, więc pani Cecylia usiadła na pledzie w plecionym fotelu przed domem, a Zenon i jego matka dotrzymywali jej towarzystwa.

Pośród trawnika złociły się półokrągłym łanem późne chryzantemy, drobne i rozczochrane, jakby już przemarznięte. Łagodne słońce przesłaniało mgłą świetlistą dalsze plany perspektywy. Elżbieta szła rozwartym łukiem alei w stronę parku. Powstrzymywała niecierpliwie kroki, by nie wyprzedzać Karola, który szedł obok.

- On jest co dzień na powietrzu, nawet w niepogody, to go hartuje... - mówiła idąc. Na jej wołanie Marynka odezwała się wreszcie z samego końca ogrodu. Była tu zamknięta zwykle furtka w siatce żelaznej, prowadząca do parku. Wózek z dzieckiem stał tuż obok furtki, a

Marynka rozmawiała przez siatkę z jakąś młodą dziewczyną. Gdy się zbliżali, tamta odeszła prędko. Zatrzymała się jednak na zakręcie alei.

Elżbieta niespokojnie zajrzała pod budkę wózka. Dziecko spało.

- Z kim Marynka tu rozmawia? - spytała podejrzliwie.

- Nie wiem, kto ona taka. Chciała się przypatrzeć Walusiowi, tom go jej podwiozła. Ale cichutko, że się wcale nie obudził.

Była rażna, pewna siebie, nie traciła kontenansu. Mówiąc, wesoło przyglądała się Karolowi.

- Niech Marynka nigdy nie odjeżdża tak daleko. Miejsca koło domu jest przecież dosyć.

Elżbieta mówiła prędko i nieprzyjemnie. Za ogrodzeniem widziała kilkoro dziewcząt ze szkoły. Przechodząc zaglądały do ogrodu, jak ona sama kiedyś.

- Z obcymi nie trzeba rozmawiać - ciągnęła niecierpliwie. W głosie swoim rozeznawała ten sam ton, który przybierała ciotka Cecylia, gdy mówiła do służby. - Zawsze po obiedzie może sobie Marynka spacerować, z kim chce. Ale przy dziecku nie trzeba żadnych obcych, żeby go oglądali albo dotykali.

Marynka broniła się żywo.

- Niech już pani będzie spokojna. Gdzie ja bym komu dała go dotknąć? Postąła, postąła, zapytała się tylko, czy to jest dziecko państwa Ziembiewiczów, i poszła.

Wracając ku domowi Elżbieta sama popychała wózek przed sobą. W jakiejś chwili obejrzała się z niepokojem i zobaczyła tamtą. Stała jeszcze na zakręcie parkowej alei i patrzyła w tę stronę. Gdy Elżbieta obejrzała się drugi raz, już jej nie było.

Pomyślała sobie, że to złudzenie. Że nic w tym nie ma dziwnego, gdy ktoś pyta o dziecko, czyje jest. W mieście wiadomo przecież, kto tu mieszka.

- Czy Marynka na pewno jej nie zna?...

- Pierwsze ją widzę - odpowiedziała ze zgorzaniem. I Elżbieta miała pewność, że mówi nieprawdę.

- Nie dziw się, nie miej mi za złe - zwróciła się do Karola, nagle przypominając sobie jego obecność. Usiłowała się opanować, ale jej uśmiech był zły i sztuczny. Dopiero przy domu, na widok Zenona, uczuła się bezpieczna.

Pani Kolichowska nieczęsto mogła tu przyjeżdżać i małego Walusia widziała zaledwie trzeci raz. Przyglądała mu się w milczeniu, wzruszona i oporna zarazem, całkowicie zdezorientowana w swym zakłóconym macierzyństwie. Pani Żancia natomiast schylała się nad wózkiem z bliska i wymawiała przy tym różne kobiece słowa, pełne czułości i nonsensów. Gdy na skutek tego dziecko obudziło się i zaczęło płakać, Marynka zniknęła z nim w pokoju, który był na górze.

W domu Ziembiewiczów wiele rzeczy raziło panią Kolichowską. Było tu jasno, przeraźliwie obszernie i zbyt czysto. Jeszcze raz powiedziała sobie, że za nic nie chciałaby tu mieszkać, choćby ją nie wiem jak proszono. Aż się zmarszczyła na tę myśl.

- Nie lubię kaktusów - powiedziała do pani Żanci, gdy już zasiadły przy stole. Ale pani Żancia lubiła kaktusy. Nigdy nie wiadomo, gdzie im wyrosnie liść i jak będzie wyglądał, ani kiedy któremu przyjdzie do głowy zakwitnąć. Zawsze można po nich oczekiwać jakiejś niespodzianki.

- Ja je lubię. To są jakby urodzone kaleki między roślinami

- odezwał się Karol.

Pani Cecylia niespokojnie poprawiła się w fotelu. Karol podniósł na nią oczy i przestał mówić.

- Pani teraz szczęśliwa - powiedziała w tym miejscu pani Żancia

- ma pani wreszcie przy sobie swego jedynaka...

Poniesiona ciężka strata i zmiany zaszły w jej życiu nie wpłynęły na pogodne usposobienie pani Żanci. Prócz Marynki przywiozła ze sobą z Boleborzy kucharkę, energiczną, robotną babę Józiową. Dawny Piórek od nastawiania samowara był teraz służącym u Zenonów.

Otoczona swoimi ludźmi, pani Żancia czuła się w domu syna jak u siebie.

Przy stole mówiła o mężu. Z powodu Florka i Marynki. Właśnie służba go po prostu ubóstwiała. Miał gołębie serce, nikomu w życiu krzywdy ten człowiek nie zrobił.

- Co ludzi przeszło przez salon w Boleborzy, gdy stało tam ciało przed wyprowadzeniem, toby nikt nie uwierzył. A kwiaty jakie przysłali z Chązebnej, z pałacu! W kościele była hrabina Tczewska z córkami. Na pogrzeb zjechała nie tylko okolica, ale obywatelstwo z dalszych stron. Byli nawet Woleńscy z Kawna, bo nas jeszcze z tamtych czasów pamiętali, kiedyśmy mieli Witków.

Zenon denerwował się zawsze, gdy matka mówiła o ojcu. Jej wspomnienia robiły zeń innego człowieka. "Wystarczy umrzeć, aby stać się zupełnie bezbronnym" - myślał. Mimo to rozpytywał ją o ojca i na próżno szukał w jej słowach czegoś, co mógłby uważać za ostateczną odpowiedź.

Dziś, gdy już było za późno, nieraz żałował, że nie umiał mówić z nim szczerze, że nie wyznał mu swych dziecinnych pretensji. Osądził go wcześniej i tak już zostało. Niewątpliwie pierwszy chłopięcy wstręt do jego erotyzmu, do zuchwałych dziewczyn wałęsających się w późne wieczory pod oknami, był źródłem tych sądów. Ale gdyby go spytał... Wszystko, co mógł być odpowiedzieć, nie byłoby jego najlepszą prawdą ani najlepszą prawdą o nim. Ale tyloletnia miłość tych ludzi, cały ich wzajemny stosunek pozostawał wartością niewyjaśnioną - daleką od tego, co mówiła teraz o nim matka...

- A mowa księdza Czerlona na cmentarzu! - rozpamiętywała dalej pani Żancia. - Ten jeden człowiek go zrozumiał, że on przez całe życie cierpiał w cichości, myślał o ojczyźnie, kochał ludzi... - Ksiądz Czerlon? - niespodzianie powiedział Karol. - Więc on jednak został księdzem...

- A pan go zna? - zaciekała się pani Żancia. - Może pan spotkał się z nim za granicą?

- Nie wiem, czy to ten sam...

- Ten sam, ten sam! - zawołał Zenon z nagłym ożywieniem. - Adolf 1 Czerlon. O, to typ!

Dziwię się, że tu o nim jeszcze niewiele słyhać. Wydaje mi się bardzo obiecujący...

Opowiedział o jego wizycie w redakcji i o towarzyszącej mu wtedy j pani Tczewskiej.

| - Wygląda na przestępcę albo na męczennika. Miał tu jakieś prelekcje, ale oprócz dewotek nikt na to nie chodził. To on naprawdę był w Sorbonie?

- Widywałem go nieraz w bibliotece - odrzekł Karol niezbyt chętnie. - Przychodził na zebrania i zabierał głos w dyskusji.

Pani Ziembiewiczowa powiedziała, że to jest świątły człowiek, ten ksiądz Czerlon. Ona słyszała o nim wiele dobrego. Przyjeżdżał też parę razy do Boleborzy, do pana Waleriana. Tylko że w dni postne był z nim kłopot, bo ryby do ust nie wziął. Odwracał oczy, jak widział ryby na półmisku. Zawsze też jeździła na jego kazania do Chązebnej.

- Kazał prześlicznie! - mówiła zachwycona. - Nie było człowieka w kościele, którego by nie wzruszył. Mężczyźni płakali, nie tylko kobiety. - Pomyślała chwilę i głosem marzącym dodała: - A już najpiękniej mówił o cierpieniu. Że jedyną drogą do Boga jest cierpienie.

Cierpienie i pokora. Że cała wielkość człowieka jest w jego; pokorze przed Bogiem. I całe szczęście...

- A z tego nic nie mówili o nim w Chązebnej? - dopytywał się Zenon.

- Te sprawy to mnie wcale nie obchodzą - bez gniewu odparła pani Żancia. - Ksiądz nie jest świętym, tylko księdzem, człowiekiem jak inni. I jak każdy człowiek ma chwile słabości ludzkiej. O tej słabości miała jednak to i owo do powiedzenia. Dziewczyna, o której najwięcej mówiono, ta Weronka z Gwarec-kiego Folwarku, teraz jest zamężna i prowadzi się przyzwoicie. Toż samo wszystkie plotki o siostrzenicy organisty były mocno przesadzone. Jedno jest prawdą, to jego wielka przyjaźń z hrabiną. Ale tylko zły człowiek mógłby w tym widzieć coś niewłaściwego. Ona pomaga mu w pracy, sprowadza dla niego książki, razem piszą, razem urządzają czytanki i przedstawienia dla wiejskiej młodzieży. - Ja ją mam za kobietę bogobojną.

Zenon nachylił się do Karola i coś mu mówił do ucha, czego ten zresztą słuchał bez entuzjazmu. Wśród śmiechu Zenona dały się usłyszeć słowa: "...z samej dobroci serca, bo to nie leży w jej łagodnej naturze."

Pani Żancia nie zważała na to, przyzwyczajona do nieskromnych żartów męskich przez nieboszczyka. Po chwili zastanowienia dodała jeszcze:

- Prawda, że hrabia jest dużo starszy od niej, a i sam ma lekkomyślne usposobienie, jak każdy mężczyzna. Ale to jeszcze nie znaczy, żeby zaraz taką kobietę o coś niewłaściwego posądzać. Pani Kolichowska, która nie lubiła księży i uważała ich za darmozjadów, wyjawiała to bez ogródek. Ale i teraz pani Żancia nie obraziła się wcale.

- Każdy ma swoje zdanie o tych rzeczach - powiedziała łagodnie - I ja przy swoim pozostanę. Przez cały czas obiadu Elżbieta była niespokojna. Postanowiła jednak nic nie mówić Zenonowi o swoim podejrzeniu. Dziewczyna stojąca w alei parku i patrząca stamtąd na ich dziecko nie była na pewno Justyną. Wyglądała inaczej, ubrana była po miejsku w kusy kostium granatowy i modny kapelusik. Wydawała się też mniejsza i chudsza niż Justyna, którą zapamiętała z tamtej rozmowy. Ale niepokój trwał.

Nazajutrz po dłuższych indagacjach Marynka przyznała się, że zna tamtą dziewczynę, która oglądała dziecko.

- To córka tej starej Bogutowej z Boleborzy, co umarła. Ona tu czasem się kręci, ale prosiła, żeby nie mówić.

Elżbieta chciała natychmiast oddalić Marynkę. Jednak ustąpiła zaraz, gdy ujęła się za nią pani Żancia. Od tak dawna nie było między nią i Zenonem rozmowy o Justynie. I Elżbieta bała się zakłócić tę ciszę, która rozpostarła się nad tamtą sprawą.

Zenon był pierwszy, który zaczął o tym mówić. Było to w parę tygodni po spotkaniu przy furtce.

Zaczął niedbale, jak gdyby szło o rzecz mało ważną.

- Musisz mi znowu pomóc, Elżbieto.

Siedzieli oboje na górze w sypialni. Szerokie nie zasłonięte okno wychodziło na ciemną noc październikową. Wewnątrz było jasno, ciepło i bezpiecznie.

- Co się stało? - spytała powoli.

- Coś trzeba zrobić z tą Justyną. Ona jest znowu bez miejsca.

- Toruciński ją zwolnił? Dlaczego? Zenon lekko się niecierpliwił.

- Nie, sama odeszła. Nie wiem. Coś jej się nie podobało. To zresztą wszystko jedno. Ale już odebrałem od niej parę listów.

- Jeżeli chce pieniędzy... - zaczęła skwapliwie mówić Elżbieta.

- Nie, właśnie nie chce pieniędzy - przerwał dość szorstko. - Chce dostać miejsce w cukierni Chązowicza. Ty tam znasz tę kasjerkę Tawnicką.

- Ach tak, dobrze, dobrze.

Przesiadła się na niską kanapkę do telefonu i ze słuchawką w ręce spytała: - Ale ona nie opowiada tych rzeczy? Nie zwierza się?

- Nie - odpowiedział Zenon - na pewno nie. O tym rzeczywiście nikt nie wie. Jej samej najbardziej na tym zależy. Elżbieta nagle odłożyła słuchawkę i wstała.

- Nie, nie, to nie będzie dobrze. Trzeba dla niej znaleźć co innego. Może gdzie indziej. Tu znowu będzie na widoku. Zenon się dziwnie roześmiał. Machnął ręką.

- Nie myśl, że o tym nie wiem. Staralem się jej wytłumaczyć, ale to jest, to jest... Musisz mi wierzyć, że przecież gdyby tylko było możliwe...

Nie dopytywała się więcej. Chwilę siedzieli w milczeniu.

- Jest tak, że to właśnie trzeba zrobić koniecznie. Tu się nie da nic wyperswadować.

Widoczne było, że nie mówi jej wszystkiego. I ona zpytała półgłosem:

- To wiesz, że ona tu przychodziła, że rozmawiała z Marynką. Że chciała widzieć dziecko. Zenon w milczeniu niecierpliwie potakiwał głową.

- Jedno jest pewne, że ona nic nie powie. Rozumiesz? Więc już lepiej zrobić, jak ona chce. I nieoczekiwanie zakończył.

- Przecież nie chce nic więcej!

Elżbieta zatelefonowała do pani Tawnickiej i w tydzień później Justyna miała już nową pracę.

## 22

Na imieninach pani Cecylii było w tym roku parę zaledwie starych kobiet. Pani Gieracka dawno już nie żyła, a po niej umarły jeszcze dwie staruszki. Jedna znów była chora i przesłała list z życzeniami oraz wiązanek białych chryzantem, małych jak astry. Zamiast pani Gawrońskiej, lokatorki z drugiego piętra, od dawna nie opuszczającej mieszkania, przyszła niespodziewanie jej córka - też już zresztą niemłoda, siwa, a do tego prawie nieznajoma. Okazało się, że miała po prostu jakąś prośbę do prezydenta. Nie zastała go już jednak. Zenon wpadł wcześniej i na krótką chwilę. Był wesoły, popularny, na wszystkich robił najlepsze wrażenie. Miał mało czasu, chwilę na boku rozmawiał z Karolem, parę razy przeproszał panią Cecylię i odjechał, matkę i żonę zostawiając na dłużej.

Pani Ziembiewiczowa starsza brała w tej uroczystości udział po raz pierwszy. Mały krepowy kapeluszek ze spływającym na ramiona woalem żalobnym ujmował w sposób zakony jej gładkie, siwe skronie. Staroświecka, reprezentacyjna suknia wizytowa okazała się bardzo odpowiednia na tę okazję. Zniszczona etola, niedbale przytrzymywana na łokciach, była z soboli.

Ewcia roznosiła kawę ze śmietanką. Elżbieta jak dawniej podawała paniom na talerzykach kawałki tortu orzechowego. Patrzyły rozmarzonymi oczami na tę żonę dygnitarza, mówiły, że

ją pamiętają "tyła" dziewczynką, dziękowały, prosiły i przepraszały, wzruszone, że raczy sama się trudzić. I ona patrzyła na nie już inaczej. Teraz, po latach, nie przejmowały jej lękiem, przestały być wrogie. Porobiły się mniejsze, traciły wzrok albo słuch, albo pamięć, albo władzę w nogach. Ich palce gruzłowate, które ostrożnie i delikatnie przewlekały przez uszka filiżanek, były zakończone białymi paznokciami. Nie chciały tego i nie chcąc, odporne i lękliwe, mknęły jednak wciąż naprzód wleczone nieubłaganie wzdłuż czasu. Ustępowały z placu i ustępując oglądały się niepewnie, czy nie można by czegoś jeszcze się uchwycić. Ociągały się, wykrecały, jak mogły, od tego losu - a spieszyły mimo to równie szybko i gorliwie, jak ludzie młodzi, niecierpliwi, namiętni, pragnący za wszelką cenę nadażyć. Ruchliwa kiedyś pani Tawnicka, onieśmielona przez lata, nie wyciągała już po dawnemu szyi, by się odmłodzić. Obok niej siedząca pani Warkoniowa była teraz siwą i grubą staruszką. Elżbieta podeszła do tych pań, by kasjerce z cukierni Chązowicza jeszcze raz podziękować za umieszczenie tam Justyny.

- Jednego pani słowa wystarczyło - odpowiedziała pani Tawnicka zawstydzona.

- Bogutówna, Bogutówna? - powtórzyła pani Warkoniowa i ożywiła się nagle. Jej zęby były drobne, białe i równiutkie, nieprawdziwe jak u lalki. - Proszę pani, czy to nie będzie czasem córka takiej kucharki, co tu kiedyś była w mieście?... Czy nie Justyna jej na imię?...

Pani Żancia wychyliła się w tę stronę ze swego fotela i powiedziała, że to ta sama.

- Jej matka później służyła u mnie w Boleborzy. A ta mała śliczna wtedy była dziewczynka. Kręciła się tam przy matce po kuchni, po ogrodzie...

Opowiedziała miło, jak to stara Bogutowa ledwo stała na nogach, a do ostatniej chwili nie odeszła od kuchni.

- Przesłużyła tak u nas cztery lata. Trzymaliśmy ją, biedaczkę, póki się dało, taka już była niedołączna. Dopiero doktor kazał ją na olaboga wysłać tu do miasta na operację i pod nożem w szpitalu umarła! A gdyby nie doktorzy, byłaby sobie jeszcze nieboga z parę lat pokwękała przy kuchni...

Elżbieta wstała i odeszła z tego miejsca. Stała pod oknem i ze skronią przy szybie patrzyła wzdłuż pustej ulicy. Z głębi salonu dochodził wątyły, wesolutki głos pani Warkoniowej.

Elżbieta rozeznała jedną z wielu anegdot opowiadanych przez tę kobietę, która lubiła śmieszyć towarzystwo. Słuchała jej jednak jak gdyby po raz pierwszy.

- Mówię do niej: "Moja Bogutowa, mnie się zdaje, że Bogutowajest w ciąży." A ona powiada: "A i mnie się tak zdaje, proszę pani." "No to trudno, to musimy się rozstać, nie ma rady..."

- Czyja ona może być córka, taka Justyna - dociekała pani Żancia. - Bo na chłopkę mi nie wyglądała...

Elżbieta stała wciąż pod oknem. "Co się ze mną dzieje" - myślała. "Co mnie to obchodzi? Czyż nie zrobiłam wszystkiego, co mogłam. Czyż nie odjechałam wtedy od niego? Zostawiłam go jej, zerwałam..."

Mówiły dalej i śmiały się. Słysząc było cienki śmieszek pani Warkoniowej.

- Trudno o taką rzecz to nie jest.

- Och, pani mecnasowa jak już coś powie... To był zgorszony głos Łucji Posztraskiej.

- Ja też nie mówię, na pewno, bo nie widziałam - wesoło broniła się tamta.

- A czego oczy nie widzą, o to serce nie boli - dopowiedziała pani Żancia.

Elżbieta puściła portierę i odwróciła twarz w stronę pokoju. Zobaczyła, że tuż obok stoi Karol.

- Patrzą, że jeszcze nie ma samochodu - powiedziała zmieszana.

Uczuła nagle niezmiernie zmęczenie i usiadła na stojącej niedaleko okna kanapce. Była to ta sama kanapka, pod którą znajdowało się dawniej mieszkanie wymarłej już rodziny Gołąbskich. "Jednak przystałam od razu, gdy zobaczyłam go w to rano - myślała. - Uwierzyłam, że ta sprawa jest załatwiona. Mówił, że jest załatwiona. Ale jak? Tego jej dziecka przecież nie ma na świecie... Za to ona jest ciągle, jest wszędzie..."

Karol nie ruszał się z miejsca. Stał w pewnej odległości, patrzył ku niej, jakby zamierzał coś powiedzieć.

Chciała go poprosić, żeby usiadł, ale pohamowała się, sądząc, że on wie lepiej, jak mu jest dobrze. Przypomniała sobie, że Zenon wyraził się o nim kiedyś: "człowiek ześrubowany".

Wreszcie posłyszała jego cichy głos.

- Mówisz coś? - zapytała. Powtórzył prawie szeptem:

- Myślę, że starość jest gorsza od kalectwa.

Odgadła, że jest mu to potrzebne jako pociecha. Jej niepokój wzrastał. - Czemu nie siadasz? - powiedziała nagle z niecierpliwością. - Chodź tutaj. - I położyła rękę obok siebie na siedzeniu kanapki.

Zbliżył się i jednak usiadł. Usłyszała znany jej już towarzyszący jego ruchom cichy chrzęst.

Patrzył teraz ku niej z dołu, nieśmiało i łagodnie. Nie odwracał od niej oczu, zamyślony.

Nagle spostrzegł, że ją to krępuje, i ruchem całego korpusu rozejrzał się po salonie.

- Nigdy nie widziałem ich tyle naraz - powiedział - tylu starych kobiet jednocześnie... To wydaje mi się przeciwne naturze. - I po chwili dodał: - Matkę pamiętam jeszcze, jak była młoda...

Musiała ściągnąć brwi, by wreszcie to zrozumieć, by się wydzwignąć z tamtej sprawy.

Powiedziała prawie z gniewem:

- Więc myślisz, że jesteśmy bardziej normalni przez to, że jesteśmy młodzi? To po cóż się tak dręczymy?...

Myślała, że ta męka to właśnie jej męka młodości. Co za szaleństwo przystać na miłość?

Naprzód to była miłość cudza, której nie mogła znieść. Cały świat budził w niej odrazę tym, że jest przeniknięty, że jest zatruty tą sprawą... A później sama przystała na miłość w sobie, miłość, która ją przeraża i udręcza, i wzrasta w miarę, jak coraz bardziej napęlnia się cierpieniem.

Był zdziwiony widząc, że przeplata i zaciska palce. Nie miał pewności, czy może temu wierzyć.

- Ty i Zenon źle o mnie myślicie - powiedział z wahaniem.

- Jak to? - spytała. - Dlaczego to mówisz?

- Bo ja doprawdy mogę znieść to, że ktoś jest szczęśliwy. Ja jestem przyzwyczajony.

Nie rozumiała. Nie, nie myślała o tym wcale. Przeceniał ją i zapewne też Zenona. Może nawet nikt w ogóle nie zadawał sobie trudu, by go nie urazić.

Mówił tymczasem:

- Moja tuberkuloza i cała ortopedyczna strona tej sprawy... Rozumiesz? To się wydaje we mnie najważniejsze każdemu, kto jest ze mną. A tymczasem ważne są inne rzeczy. Cóż z tego, że jeden człowiek jest taki jak ja, gdy inni są zwyczajni. To jest nieznaczne zakłócenie zwykłego biegu rzeczy. I wcale nie staje się ważniejsze przez to, że chodzi o mnie.

Przypuśćmy, że chodzi o kogoś innego.

- Nie, kiedy ja byłem szczerą. Nie dał sobie przerwać.



- A jeżeli nawet chodzi o mnie - ciągnął dotykając dwoma palcami czegoś, co wystawało mu z kołnierzyka, sztywne i świecące, i z obu stron ujmowało brodę jak w obciążki. - Jeżeli nawet chodzi o mnie, to tylko z zewnątrz tak wygląda. Widzisz, teraz jeżeli chcę, mogę iść po książkę, która leży w drugim pokoju, mogę zejść po schodach, mogę położyć się i wstać... Tego wszystkiego nie mogłem przez długie lata. I jeżeli pomyśleć, że zawdzięczam to ludziom, których nic nie obchodziłem...

Gdy milczała, powiedział jeszcze: - Ty myślisz na pewno, że ja mówię to teraz niepotrzebnie i jestem niedelikatny. A przecież to staje między mną i drugim człowiekiem, jeżeli o tym nie mówię, jeżeli to przemilczam jako rzecz kłopotliwą i nieprzyzwoitą. I właśnie tutaj, właśnie z tobą...

Jego gesty były nieznaczne. Poruszył rękami, spuścił powieki.

- Chciałbym, wiesz, żebyś powiedziała to matce. Żebyś powiedziała, że to jest nic. Że to mi nie robi przykrości.

- Dobrze, powiem, bądź pewien...

Zadrzała usłyszawszy za szybami obecność samochodu. - O, teraz już czas na mnie. - Wstała i podeszła do pani Ziembiewiczowej:

- Jest już samochód, mamo. Jedziemy.

Pani Żancia podniosła się i pożegnała solenizantkę. Jej grzeczność, jej łagodna cierpliwość rozbrajały panią Cecylię, udaremniały jej niechęć. - Dziękuję wam - mówiła do niej i do Elżbiety. Ale jej zgorzkniała twarz nie mogła wyzwolić z siebie uśmiechu.

W drodze pani Żancia rozpytywała Elżbietę o poszczególne panie. Była podniecona zebraniem, wszystko ją interesowało, wszystko budziło w niej życzliwość. Okazało się, że najbardziej jej się podobała pani Łucja Posztraska. Było to dziwne, bo na nią nikt nigdy nie zwracał uwagi. Elżbieta odpowiadała z przymusem w ciągłej obawie, że zaczną się pytania o Justynę. Istnienie tamtej - mgliste, dalekie, nieznaczne - nie dało się przewyciężyć. Była w niej jakaś uporczywość, jakaś tajemnicza wytrwałość, obstawanie przy sprawie przecież od dawna przepadłej. Nie nasuwała się na oczy, tamto widzenie w parku nie powtórzyło się więcej. Nie tylko ta cukiernia Chązowicza, jak przedtem sklep Torucińskiego przy ulicy Świętojańskiej, którą właśnie mijaly, ale wszystkie miejsca naokoło, ulica Emerytalna, plac Narodowy, nasycone były tym niepokojem.

Jechały przez przycichłe miasto. Minęły otwartą przestrzeń ze starymi drzewami, tereny dawnych prywatnych ogrodów, obrócone ostatnio w miejskie plantacje, później kilka fabryk. Dalej parkany ogradzające place o niewiadomym przeznaczeniu, przeważnie składy drzewa, jakieś niskie, ciemne budynki zbliżające się tutaj do toru kolejowego. Pani Żancia nie pytała się o Justynę. Czy wiedziała, że nie trzeba o tym mówić? Skąd wiedziała, chyba nie od Zenona. Może zapomniała po prostu. Jak zawsze rozglądała się z żywością, ciekawa, co jest tutaj, a co jest tam. Chociaż niewiele mogła zobaczyć w dalekim świetle rozrzuconych latarni. - To tu jest ta huta Hettnera, co mają zamknąć? - spytała nagle. Ale wymięły ją już dawno. Samochód stanął i szofer uparcie dawał sygnały, by stróż otworzył bramę parku.

Zenona nie było jeszcze w domu. Elżbieta dowiedziała się natomiast, że czeka na nią Chąśha przyszedł jak zwykle wejściem od kuchni. W czasie gdy zajmował się dziennikarstwem, wyglądał na inteligenta. Zachowanie jego było wówczas odpowiednie do kołnierzyka i krawata, do miękkiego kapelusza i rękawiczek. Obecnie zamiast krawata miał na szyi szalik, w rękę trzymał wygniecioną czapkę.

Minęły czasy, gdy niewinnie przychodził porozmawiać o książkach, które od niej pożyczał i odnosił czyste i nie zniszczone. Nie była już ubogą siostrzenicą "gospodyni", skromną panią, która boleje nad nierównością sfer społecznych. Z poniżającym niepokojem słuchała, i co powie. Powiedział:

- Wchodzi się teraz do pani jak do księżniczki. Lokaj jeden, lokaj drugi... Bez biletu wizytowego ani rusz. Uśmiechnął się z ironią niezłośliwą, raczej z odrobiną politowania.

- O co chodzi, niech pan mówi. Co z panem słyhać? Odciągnęła go do małego pokoju za jadalnią.

- Co słyhać, o tym pani wie chyba nie gorzej niż ja. Czy może pani coś zrobić? Chodzi jeszcze o Borbockiego.

- Wiem, wiem - powiedziała spieszenie. Wyzyw tego świata spod podłogi w dniu dzisiejszym szedł za każdym jej krokiem. - Borbocki...

Ale widzi pan, on się bardzo źle zachowuje w więzieniu, wymyśla dozorcóm. A podczas śledztwa...

- Właśnie, podczas śledztwa - przerwał Chaśba i popatrzył jej w oczy. - Pani chyba rozumie. On jest dotąd chory.

- No tak, ale gdyby nawet dało się coś zrobić, on sam to psuje. Innych przecież już zwolnili. Wydawał jej się dziwny, nie rozumiała, na czym polega ta zmiana. Pomyślała, że to wina oświetlenia, i zapaliła mniejszą lampę na stoliku.

- Dlaczego pan nie siada?

Usiadł po drugiej stronie stołu. W spojrzeniu, które ciążyło na niej, było skupienie i namysł. Powoli zdawała sobie sprawę, że to tak powiększyły mu się oczy. Wchodziły głęboko pod brwi, u dołu sięgały do połowy policzków. Nie było policzków, tylko wypukłe kości podkreślone zupełnie czarnym cieniem. Skronie miał zapadnięte, wargi suche nie mogły się dociągnąć na zębach.

- Co panu jest? - spytała.

Nie mogła nie myśleć o tym, widząc go, nie mogła odegnać od siebie rzeczy pamiętnych z dzieciństwa. "Ni bój się" - mówiła Chaśbina już na podwórzu, - "ni bój się, popamiętasz ty, popamiętasz." Chaśbina była wówczas młodą, krzykliwą babą i sama karała swych synów, gdy coś zawinili. Była tęga i wesoła, ale zła. Mąż jej lubił wypić i po pijanemu wszczywał awantury. Jednak nie w domu. Bał się żony, nawet gdy był pijany. Mieli trzech synów, najmłodszy umarł później. Kiedy mówiła "ni bój się", wszystkim było wiadomo, że zaraz zacznie któregoś z nich bić. Było to zawsze wtedy, kiedy skradziono coś z ogrodu, ale także i przy innych okazjach.

W podwórzu wiedziano, co oznaczał idący tuż znad ziemi krzyk i płacz. Michalina mówiła: "O, Chaśbina znowuż bije swoich chłopaków. Już ta im nie popuści." Edward i ten, który później umarł, Józio, krzyczeli. Józio krzyczał nawet, zanim uczył ból, już od pierwszych słów matki. Mówiono, że jest strachliwy. Marian, najstarszy, me krzyczał wcale.

Latem z podwórza aż do ogrodu dochodził głos zły i raźny, głos ochoczy, macierzyński: "Rozepnij się, no daj dyscyplinę ze ściany. Daj sam. Sam się układź. A masz, a masz! A dobrze ci tak! Na drugi raz nie polecisz, na drugi raz popamiętasz. No, pocałuj w rękę, przeproś matkę. Nie chcesz? To jeszcze masz." Głos urywał się, zajadły i zdyszany, pełen udręki. W ciszy słyhać było już tylko uderzenia, dziwne, kłaskające, do żadnego innego dźwięku niepodobne. Ani głosu, ani prośby, ani jęku. Wtedy wiedziano już, że to Maniek.

Pośród ciszy odzywało się jeszcze niekiedy: "A masz, a masz." Ale w głosie czuć było teraz niemoc i strach, że on nie krzyczy.

Elżbieta przechodząc patrzyła czasem w piwniczne okienka suterenu. We dnie panował tam w dole taki mrok, że nic nie było widać. Za to wieczorami paliła się wewnątrz lampa i oświetlała całe małe mieszkanko, jak świeczka w latarni. To były najdawniejsze wspomnienia Elżbiety oj Marianie Chąsbie-Już znacznie później widywała go na podwórzu siedzącego z książką w miejscu, gdzie złożone jedne na drugich leżały pnie zmarzniętych drzew. -

Grzeczny chłopiec, łaknący oświaty, chłopiec wzorowy z powiastki moralnej dla dzieci.

Wracał z fabryki, dostawał coś zjeść od matki i sam przygotowywał się do matury. Zdał ją wreszcie po ukończeniu dwudziestu lat. Przychodził wtedy często do Elżbiety, brał książki z biblioteki wuja Wąbrowskiego i rozpytywał ją o rzeczy, na które nie umiała dać odpowiedzi.

Zamiast:

"i tak dalej", mówił wtedy: "i te de". Mówił także: "mówi się trudno". Było to na krótki czas przed usunięciem go z fabryki Hettnera, gdzie od lat pięciu pracował. Powtarzał: "Główna rzecz, że nie szanują człowieka, nie szanują człowieka." Miał na myśli rzeczy wiadome w mieście: sztrafy, rewizje osobiste codzienne, młode robotnice znikające po fajrancie w zakamarkach fabrycznych. Później w jego opowiadaniach zjawiał się ten Franek Borbocki. "To jest chłopak porządny" - mówił o nim. "To jest dobry gatunek człowieka."

Gdy go usunięto z fabryki, nie powiedział Elżbiecie, o co poszło. Domyślała się tego jednak z jego innych słów, z doboru lektury, z terminologii, jakiej zaczął używać. Książki z roku 1905 już go nie interesowały. O ówczesnych przywódcach, dzisiaj posłach, senatorach i dygnitarzach, mówił niechętnie: "To nie o sprawę robotniczą im szło." Mówiąc miał na myśli jej ojczyma, Niewieskiego. Znał już teraz motywy tamtych działań, z których wyrósł czas dzisiejszy. Nie miał złudzeń.

Później w "Niwie", u Czechlińskiego naprzód, a następnie u Zenona, robił rubrykę "zdarzeń" w sposób zgodny z życzeniami Czechlińskiego, przekraczający jednak znacznie wymagania Zenona. Gdy ten pod tytułem Karygodne niedbalstwo znalazł opowiadanie o pozostawionym bez dozoru dziecku robotniczym, które ściągnęło na siebie imbryk z gorącą wodą, a historię osiemnastoletniej dziewczyny, którą policja przyłapała, jak topiła dziecko - pod tytułem: Mile złego początku, i zakończoną dowcipnie lakoniczną informacją: "Siedzi" - postanowił natychmiast z nim się rozstać. "Co pan u diabła miał za pomysł! - krzyczał do niego - co to za ordynarne świństwo!" Nagłe irytacje już wtedy pojawiły się u Zenona. Wynikały z dziwnego niepokoju, że dzieje się coś złego, że cała jego robota obrasta w tę obrzydliwość. "Dlaczego pan mi nie dał tego przeczytać?" Czuł takie obrzydzenie do tego protegowanego Elżbiety, do jego nędzy fizycznej i skrytej, fałszywej, perfidnej przekory, że chciał go uderzyć. Za to milczenie, za ten leniwy opór. Opowiadał to później Elżbiecie. Tak, rzeczywiście chciał go uderzyć. I wtedy przemknęły mu w pamięci drwiące miny chłopaków bitych w Boleborzy przez pana Waleriana, miny, którymi nie przyznawali się ani do bólu, ani do upokorzenia. Elżbieta nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego Chąsba tak pisał. Odpowiadał wykrętnie, gdy go o to spytała. Twierdził, że tego właśnie od niego żądano, a czego innego nie. Albo nawet, że taka humanitarna delikatność uczuć jest mu obca. "Jest tak właśnie, jak musi być" - powiedział. "A zresztą o strajku w fabryce Hettnera nie dali mi przecież pisać."

Te rzeczy przebiegały jej teraz prędko przez pamięć, podczas gdy Chąsba dalej mówił. Wciąż o tym Borbockim. Streszczał niejako jego biografię:

roboty dawno nie miał, szwagier mu się zmarnował, potem śmierć matki, długie umieranie siostry, ta mała... A do tego jeszcze miał tę dziewczynę...

- Także umarła?

- Nie umarła. To ta, co tam u nich jakiś czas mieszkała. Pani chyba wie: Bogutówna.

- To jego narzeczona?

- Nie. Tylko że z tą dziewczyną oni się znali od małego, jeszcze jak byli na wsi. Przyjechał tutaj, starał się o robotę w fabryce i dostał. Ale z nią już skończone...

- Ona przecież pracuje - powiedziała z wysiłkiem.

- Słyszałem. Pani się nią także opiekuje, prawda? "Musi wiedzieć - myślała prędko Elżbieta. - Musi wiedzieć." Przypomniała sobie, jak wtedy na jej widok tamta odeszła od furki ogrodu. Stała w miejscu, gdzie aleja zakręcała w prawo i prowadziła do stawu. Stała tam jeszcze chwilę, patrzyła.

- Tego człowieka szkoda. On tam przepadnie. - W twarzy Chaśby było skupienie i namysł, nie gniew.

Pomyślała o naczelniku więzienia, jego piersi wypukłej, jego rażącym śmiechu, o prokuratorze, który był subtelny, należał do zwolenników Paneuropy i cierpiał nad waśniami dzielącymi narody Ziemi. I o naczelniku policji, który twierdził, że biją wszędzie - w Ameryce, Anglii, Francji, nawet w Grecji. Ten naczelnik był młodym jeszcze człowiekiem, miał małą, stożkową głowę na olbrzymim, tłuszczowym ciele. Miał żonę i dwoje dzieci. Znała teraz wszystkich tych panów. Niewiele jednak mogła mu przyrzec. Mniej teraz właśnie, gdy niejedna rzecz zależała od Zenona.

- Spróbuję - powiedziała - spróbuję. - Zobaczyła siebie jego oczami. Były wrogie i nieufne. Ich stosunek zmienił się teraz, gdy tam pod podłogą nie było już nikogo.

Chaśba odszedł, zanim wrócił Zenon. Elżbieta wybiegła do przedpokoju. Dotąd jeszcze po paru godzinach rozstania witali się jak kochankowie. Żyła w niepokoju, który z niego szedł i wokół niego się oplatał. A tylko przy nim mogła o niepokoju tym zapomnieć.

- Czekałaś, tęskniłaś? - upewniał się, żądając, by odpowiadała mu słowami. - Kochasz? Mówiła, czego chciał. Od tych słów, powiedzianych jeszcze raz, gorąco przenikało ich ciała. Chwytała oddech, wyłamując się z jego objęć.

- Mama już zeszła do jadalni. Przyjdiesz zaraz?

Wieczór, cisza, dom, lampa nisko płonąca nad stołem, rodzina. Bezpieczeństwo i szczęście. Inne wszystko wydawało się na chwilę mgliste i złudne, nierzeczywiste.

Przy kolacji Zenon prędko i żywo mówił. Przypomniał Elżbiecie, że w sobotę jadą do Chązebnej, pytał, czy już przyszło krótkie futro do polowania. Odpowiedziała, że tak, i pobiegła na górę, by się w nie ubrać i Zenonowi pokazać. Było brązowe i lśniące.

Oglądał je uważnie z bliska i z daleka. - Jesteś w nim śliczna - powiedział.

- I ty naprawdę będziesz polował? Zenon się śmiał.

- Co mam robić. Będę. A pani Żancia powiedziała:

- Każdy Ziembiewicz jest urodzonym myśliwym.

Pani Zancia choćby najpóźniej się położyła, wstawała zawsze już o piątej, gdy było jeszcze ciemno. Modliła się, szła do łazienki, ubierała się ciepło, na nogi wkładała grube wołkowe bambosze z Boleborzy i wychodziła do ogrodu. Ogród był o tej porze pusty, bezludny jak las, zaścieniony śniegiem, pełen milczenia. Na świerkach śnieg leżał ciężkimi białymi, nagie krzaki trzymały w gałązkach kulki i szmatki śniegowe, niebo wstępowało ku górze piętami białych i czarnych chmur. Tylko wrony krążyły nad koronami wyniosłych drzew parkowych, kracząc. A potem spadały na drzewa, czepiały się ich wiotkich gałęzi i obciągały je ciężarem swych czarnych ciał. Pyły nieuchwytnie, strząśnięte z drzew, zanim dosięgnęły ziemi, toczyły się długo i bezszelestnie nieruchomym powietrzem.

Pani Zancia lubiła poranną samotność, która dawała jej spokojnie o wszystkim pomyśleć. Rano piła ziółka i zawsze potem im dłużej spacerowała, tym lepiej skutkowały. Chodziła po krzyżujących się i powracających do siebie alejach i myślała o swym życiu rozległym, pełnym wspomnień, nie wolnym od trosk, a przecież w całości tak szczęśliwym. Strata jednego i drugiego majątku, trochę lekkomyślne usposobienie męża, trudny charakter Zenona, jego upór i brak szacunku dla rodziców - z tym wszystkim nie było łatwo sobie poradzić. A przecież nieboszczyk, który tak ją kochał, któremu dochowała wiary przez całe życie, był lepszy od innych, był rozumny i sprawiedliwy. Gdy źle postąpił, umiał uznać swój błąd, umiał żałować i w sposób serdeczny okazać swą skruchę, a krzywdę wyrządzoną nie tylko wobec niej naprawić. Byli ze sobą długie lata szczęśliwi. I doczekał tego przed śmiercią, że Zenon wziął sobie za żonę dobrą kobietę, zyskał ogólny szacunek między ludźmi, zdobył stanowisko i znaczenie.

W biegu życia domowego, pośród przyjazdów i wyjazdów dzieci, odwiedzin obcych ludzi, codziennych długich obrzędów koło małego Waleriana, nie mogła złapać tchu. Musiała przecież wiedzieć, dokąd jada, jakie było przyjęcie, jak się bawili, kto był zaproszony. Karmiła się do syta ich życiem i ich powodzeniem. Ale by się we wszystkich połapać, musiała być sama w te poranne godziny, musiała się skupić wszystko sobie przypomnieć, wszystko objąć dokładnie myślą. Dopiero wtedy czuwała to jako radość ogarniającą ciało i duszę, zbliżającą z Bogiem, jako niezmierną wdzięczność dla Stwórcy.

Rzecz szczególna, że rozmyślanie o mężu, zmarłym przed niedawnym czasem, nie przejmowało pani Zancii smutkiem, chociaż przeżyła tym wspomnieniem niejedną godzinę. Nie była skłonna do łez, chyba z radości. Myślała o czasie jego życia tak, jakby ze śmiercią się nie skończył, jakby trwał zawsze i zawsze jeszcze miał trwać przez to samo, że był kiedyś. Wierzyła, że spotka się jeszcze z mężem w przyszłym życiu, to prawda. Ale nie wyobrażała sobie tego jasno, nie czekała tego niecierpliwie. Znajdowała dość materiału do rozpamiętywania w tym, co minęło, i przeszłość była nigdy nie wyczerpanym dla niej źródłem wzruszenia, jego nigdy nie wypita pełnią. Przesuwała w pamięci dnie i epoki, chwile pojednań i przebaczeń, pełne słodyczy. I myślała, że tylko tak powinno być. Gdyby żyła po raz drugi, nie chciałaby nic naruszać w tym życiu, nic przeinaczyć. Wszystko bowiem uczyniła, wszystkiego dotrzymała i wszystko wypełniła do końca. Może dlatego w żałobie swej była taka pogodna. Kto wie

- myślała - czy rozpacz ludzi, którzy tracą ukochanych, nie płynie stąd, że czegoś zaniedbali, że czegoś ważnego nie zdążyli powiedzieć i nie mogą tego odżałować."

Możliwe, że grzeszyła tak mniemając, ale nie miała sobie nic do wyrzucenia. Pamiętała tyle wdzięczności ze strony Waleriana, jego ostatnie słowa w życiu były podzięką. I chociaż

podejrzewała się o pychę, ufała Bogu, że jej przebaczy, myślała, że ją lubi. I że to jego nakaz wypełnia, tak kochając życie, ludzi i świat.

Wracała ogrodem, okrążyła dom, wchodziła przez ganek i korytarz do kuchni. Józiowa wyruszała na targ i zabierała ze sobą Floriana.

- Rybkę dzisiaj zrobimy, proszę pani dziedziczki - mówiła Józiowa

- rybkę w sosie beszamelowym, zapiekaną z kartofelkami. Barszczyk postny, pierożki z grzybkami, krem czekoladowy na trzecie, a na jarzynkę może endywii dostanę u kupca. Pani Żancia prosiła tylko, żeby barszczyk nie był aby za słodki, żeby pierożki były kruche, tak jak już Józiowa potrafi. A Józiowa mówiła:

- Pan dziedzic nieboszczyk lubił, żeby dodać pieprzu do pierożków. Zawsze były smaczniejsze. Ale młodzi państwo nie lubią nic ostrego.

Śpiew pani Żanci rozlegał się w mieszkaniu od świtania. Salon z fortepianem leżał w innej stronie domu niż sypialnia. To było miejsce, gdzie nie przeszkadzała o tym czasie nikomu. Po pokojach działał już lokaj Eustachy. Pani Żancia chodziła za nim, śpiewając Kiedy ranne wstają zorze, i śledziła, czy nie zostawił gdzie kurzu. Czasami siadała przy fortepianie i przypominała sobie dawne walce.

Lorsque tout est fini, quand se meurt Vo-o-otre beau reve, Pourquoi pleurer les jours eniuis, Regretter les songes partis?...

Śniadania jadła sama, gdyż młodym państwu Eustachy zanosił je na górę. Przy stole usługiwał Florian, przystawała koło krzesła Józiowa albo Marynka. Cały boleborzański świat trwał nieumarły, pamięć pana Waleriana żyła w rozmowach, wspomnieniach i niegasnącej miłości.

Samochód czekał, Zenon zbiegał z góry. Odnajdywał matkę pośród mieszkania i całował jej rękę. Zawsze się dziwił, że już wstała, a ona odpowiadała niby kpiąc:

- Co to wstałam! Całe gospodarstwo już obeszałam! Zbudziłam wrony w parku, nakarmiłam wróble w ogrodzie, dowiedziałam się, co jest na obiad, dopilnowałam prasowania białizny dla infanty. A śpiewaniem was nie pobudziłam?

Zenon jeszcze raz uspokajał, że głos z salonu do sypialni nie dochodzi, i jechał do biura.

Z Elżbietą spotykały się przy dziecku na górze. Pani Żancia mówiła o synowej, że jest matką rozsądną, nie przesadną, że dziecko dobrze chowa. Obie z uwagą przyglądały się jego kąpieli, jego jedzeniu, jego złemu i dobremu humorowi. Często płakał, niekiedy także się śmiał. Gdy był nagi, zadzierał tłuste nóżki do góry z niedołęznym wdziękiem, a one całowały go w rączki i podeszwy.

Pani Żancia dawała naturalnie swej synowej rady i nauki, zawsze jednak w formie pochwały: "Dobrze robisz, że go tak od małego hartujesz. Dobrze robisz, że dłużej rano się wysypiasz. Dobrze robisz, że dbasz o siebie." Z pokoju dzieciennego szła za Elżbietą na chwilę do sypialni i chwaliła dalej: "Dobrze, że na noc kwiaty każesz wystawiać do korytarzyka, bo to w nocy niezdrowe." Oglądała negliże, koszule nocne, słoiki na toalecie. "Dobrze, że dbasz o siebie" - powtarzała. - "Kobieta nie powinna się zaniedbywać. Śliczną masz pidżamę, to pewno także z Warszawy."

Elżbieta przyzwyczajona do stałej dezaprobaty pani Cecylii, grzała się w tej atmosferze pochwał. Nie czuła w nich pochlebstwa. Pani Żancia naprawdę zachwycała się Elżbietą, nie była jak inne matki zazdrosna o syna. Chodziła po nie sprzątniętym jeszcze pokoju, spoglądała na nie zasłane łóżka. Węszyła ich miłość, chciałyby słuchać zwierzeń, próbowała

pytać. Mówiła, jaki był ojciec Zenona, jak długo zachował młodość. Gdy jednak zobaczyła, że Elżbieta chmurnieje i milczy, zrezygnowała od razu, poprzestała na tym, co było widoczne, czego w stosunku swoim nie starali się ukryć. Szanowała cudze szczęście, uznawała jego nadrzędność wobec własnego, które minęło, gdy ich teraz właśnie miało swój czas. Z radością widziała, że Zenon staje się wciąż bardziej podobny do ojca. Polował teraz często, nieraz dwa razy w tygodniu, nie bronił się także przed piciem. Jego życie obrosło w cały ceremoniał męskich obrzędów. Znajdował zadowolenie w nie rzucającym się w oczy, dyskretnym i zarazem kosztownym zbytku łowieckim, jego gabinet zawieszony był przyborami do polowania: dubeltówki takie i inne, torba myśliwska na naboje, pętelki z rzemienia do zawieszania na nich za szyjki ubitego ptactwa. Miał buty futrzane i filcowe, buty gumowe, sięgające do pachwin, kurtki ze skóry, z zamszu, futra, czapki odmienne na każdą okazję. Kamizelka skórzana miała jedwabne rękawy, żeby ręka przy strzale chodziła miękko w zwierchnym rękawie kurtki. Tak się organizował, sadowił i zagospodarowywał w tej rzeczywistości, w której przyszło mu żyć i w której nie zaznawał jednak spokoju. Po polowaniu w Chązebnej było polowanie u Olgierda Tczewskiego w Pieszni, później polowanie w Popłoszej i polowanie na terenach lasów Bramańskich, które urządził Czechliński. Zenon jechał, by oderwać się od troski, od nadmiernej i denerwującej pracy, by odwlec na dzień, na godziny odebranie wiadomości niedobrej albo powzięcie decyzji. Niekiedy decyzję sugerował nieznacznie innym, którzy mu ją później, już dojrzałą, od siebie podsuwali. Tak rozkładał się, rozprosz-kowywał głuchy niepokój odpowiedzialności.

Z Karolem widywał się teraz dość rzadko, jakby nie pamiętał już zażyłej przyjaźni paryskiej. W pierwszych rozmowach Karol opowiadał mu jeszcze to i owo o Adeli. Zenon słuchał bez ciekawości, chociaż sam zadawał pytania. Ze swej strony zwierzył mu swą kłopotliwą sprawę z Justyną. "Takie już mam szczęście - powiedział kwaśno - nie wiem, czy to ja przez sam swój udział tak rozpętuję te rzeczy, że przybierają obrót dramatyczny, robią się ważniejsze, niż powinny. Czy też może taka ich natura właśnie mię pociąga. Ale zawsze wygląda to ostatecznie tak, jakbym popełnił jakąś winę, jakbym wyrządził krzywdę."

Sensacją w domu przy ulicy Staszica były odwiedziny księdza Czerlona, który przyjeżdżał czasami do pani Żanci i od niej się dowiedział, że jest w mieście Karol Wąbrowski. Księża w domu pani Cecylii nie bywali. Karol, zmieszany, musiał poznać go z matką, gdy przechodzili przez jadalnię. Przywitała go oziębło, czego zupełnie zresztą nie zauważył.

- Więc jednak skończyłeś na tym - powiedział Karol, gdy znaleźli się w jego pokoju. - Usiądź - poprosił i podsunął ku niemu jedno z krzesel stojących przy stole.

Splótł ręce i stojąc patrzył przez chwilę na niego z radosnym onieśmieleniem. Niemęski strój, w którym zobaczył go dziś po raz pierwszy, nie umniejszał jego zachwyty. Fizyczna wspaniałość tego człowieka była dla Karola zawsze źródłem podziwu i lęku. Myślał, czym może być życie, gdy się ma takie szczęki i takie ramiona, i taką nieumyślną siłę w uchwycie dłoni.

- Tak - odpowiedział Czerlon. - Czy się dziwisz?

- To było może do przewidzenia, ale ja nie myślałem...

- Teraz jestem spokojny.

Nie był jednak spokojny. Jego wielka postać na próżno usiłowała pomieścić się w wyplatany giętym fotelu z dawnej poczekalni reagenta Kolichowskiego. Poprawiał się, garbił

i prostował, wreszcie jednym ruchem przerzucił na łóżko Karola i głęboko w nim usadowił, opierając szerokie plecy o ścianę.

- Nie masz papierosa? - zapytał.

- Nie mam, nie palę - odrzekł Karol i uczuł się winny. Wyciągnął rękę do dzwonka, rozmyślił się jednak i sam wyszedł do kuchni.

Ewcię spotkał w jadalni i poprosił, żeby przyniosła pudełko papierosów. "Jakichś najlepszych" - dodał nieścisłe. Pod okiem matki, mówiąc do służby, uczuwał zawsze skrępowanie, gdyż nie umiał, jak nakazywał zwyczaj tutejszy, zwracać się do niej po imieniu.

- Proszę poczekać - zatrzymał ją, gdy zabierała się już do odejścia. I na kartce zapisał nazwę wina francuskiego, które zapamiętał z tamtych czasów. - Czy jest w domu dobra kawa na czarną?

Wyczerpany tak znaczną inicjatywą, wrócił do pokoju cichy i nieśmiały. Usiadł sztywno na brzegu krzesła tuż przy łóżku, splótł ręce modlitewnie i wzrokiem rzewnym patrzył w Czerlona. Czekał jego słów, nie mając pojęcia, co o rzeczach tak dziwnych może mu powiedzieć.

- Więc co? Więc co? - zapytał. - Dlaczego?

- Wszystko ostatecznie wyszło mi na dobre - powiedział Czerlon. - Za to, coś mi dał, pamiętasz, w ostatni wieczór, wzięłem bilet, wysiadłem na dworcu w Grenobli bez grosza, poszedłem szukać kąta. Kobieta, u której nocowałem, pomogła mi dostać miejsce w tramwajach. Stara, stara - przerwał sam sobie uspokajająco, chociaż Karol nie wyrażał żadnych podejrzeń. - Ale miała córkę... Byłem tam konduktorem przez kilka miesięcy, a potem wyjechałem na północ. Tam było ciężko...

- Konduktorem? - powtórzył Karol nie bez zdziwienia.

- Cóż, to było dobre zajęcie. Gorzej było później, tam na północy.

- W Liege?

- Pieniądze, com miał, zostawiłem jej tam wszystkie, tej dziewczynie, znów przyjechałem na miejsce bez grosza. Chciałem znaleźć co bądź. Szedłem na przedmieście. Okropnie tam było - pustkowia, ugory, brudne piaski bez drzew, a nad drogą małe domki z czerwonej cegły. Ludzie mieli twarze czarne od pyłu i sadzy, powietrze było ciemne. Ogarniał mię taki smutek, jakby to miejsce było zapomniane przez Boga, potępione. Myślałem o tym nieraz, żeby uciec. Ale gdzie? Wiesz, jaka była moja sytuacja, odkąd urwało się z pieniędzmi. Długo nie dostawałem roboty. Miałem tam pokoik u jednej kobiety. Nie mogła nic dla mnie zrobić, miała tylko to mieszkanie i tym dzieliła się ze mną. Wracałem z niczym na tę wesołą ulicę, gdzie były kabarety, kawiarnie, ludzki tłum, światła kolorowe, i byłem zdumiony, że to jest możliwe: ta ulica przy elektrowni i tak blisko tutaj środek miasta. Nie mogłem zrozumieć, jak to może istnieć - jedno obok drugiego i jednocześnie, że z tego nie wynika jakiś kataklizm, że się to w jakiś sposób potworny ze sobą nie miesza i nie łączy. Dostałem coś nareszcie. Naprzód na podwórzu popychałem wózki w elektrowni, ładowałem węgiel. Ach, takiej roboty było mi trzeba! Miałem jeszcze tyle sił, chciałem się zmęczyć - ta ciężka praca wydawała mi się łatwa, było mi lekko, nie czułem zmęczenia. Byłem tak podniecony, że nocą nie mogłem zasnąć, tylko biło mi serce, czułem strach.

Czerlon zajęty był znowu szukaniem wygodniejszej pozycji na łóżku, którego całą szerokość zajmował swoją osobą. Wielką rękę zarzucił na poręcz z orzechowego drzewa, wczepił się



palcami w jej gzyms rzeźbiony. Pod plecy podłożył ściągniętą z wezłowia poduszkę. Na jej sterczącym rogu oparł zgiętą w łokciu drugą rękę. Tak rozpostarta jego postać, ogromna i czarna, w oczach Karola sama zdawała się budzić grozę.

Dlaczego myślał o nim zawsze w ten sposób - o nim jako wspinałym, imponującym i silnym. Dużym - to było ważne dla Karola. Tym, którego głos brzmiał nisko, pieszczące i donośnie, jak dzwon na przemian i wiolonczela, głos, który był muzyką.

O każdej kobiecie Karol wyobrażał sobie, że musi być jego kochanką. Nie wierzył, by mogły mu się opierać, by mogły o tym jednym przy nim nie marzyć. I myślał, że życie jego przez to właśnie jest tak trudne i tak niezwykle, tak szarpiące, tak naładowane odpowiedzialnością. W tamtych czasach, jeszcze w Paryżu, dawał się niekiedy skusić jego lekkomyślną namowię. Byli we dwóch parę razy na tym, co się tam nazywa bal negre. W wielkiej, ciemnowej, odrapanej sali Karol siedział pod ścianą przy stoliku, trzymał w ręku kieliszek i upijał po trochu niedobry, pałący płyn. Spod kieliszka patrzył na Czeriona, jak błądy i piękny tańczył mając w objęciach małą Murzynkę w sukni balowej i kapeluszu. Murzynka wyglądała jak nie odbita klisza fotograficzna, suknię miała białą, a ramiona i piersi czarne. I białe wydawały się jej oczy przymknięte, z których w półcieniu błyskały tylko białka. Ruchy ich obojga w tańcu były jak u wszystkich w tym zbiegowisku bezecne i trywialne. Obok nich wyginały się w objęciach Murzynów białe kobiety, stare i wstrętne, w brudnych jedwabiach i pokrzywionych trzewikach. Tak, nie było tam wesoło, było smutno i obrzydliwie. I wtedy już pomyślał to o Czerlonie, że nie zabawy tu szuka ani rozpusty, tylko poniżenia.

- Powiedz, więc tam to przyszło - tam, między tymi ludźmi, w tej pracy? Wtedy się zdecydowałeś?

Czerlon siedział patrząc przed siebie - tak jak ułożyła mu się najwygodniej oparta o ścianę głowa.

- Żyłem w brudzie i nędzy jak oni - ale na próżno usiłowałem być między nimi kimś swoim. Bo wszystko staje między człowiekiem i człowiekiem, nie tylko jego nędza i małość, nie tylko grzech i zło. Oni wiedzieli od razu, że jestem obcy, który ich potrzebuje, który czeka odpowiedzi czy rozgrzeszenia. Znienawidzili mnie, odgrażali się, że mnie zabiją... Bo widzisz, była tam taka dziewczyna...

Urwał, rozejrzał się i zapytał:

- Będą te papierosy?

Właśnie Ewcia wносиła dużą tacę z czarną kawą i winem. Karol skwapliwie podawał Czerlonowi ogień. Czerlon zaciągnął się głęboko. Wziął w rękę butelkę, popatrzył z uśmiechem na etykietę.

- Dawnom tego nie pił - powiedział z uznaniem. I Karol aż zajaśniał cały od tych słów.

- Słuchaj - mówił Czerlon i pijąc, raz po raz odsuwał od siebie kieliszek na długość ręki, by pod światło w ciemnej czerwieni wina odnajdywać rubinowe przeblyski. - Słuchaj, było w tym wiele mojej winy, to prawda. Miotalem się w sprzecznościach, brnąłem w odszczepieństwo i grzech. Ale w grzechu, w męce i niepokoju szukałem człowieka. I zrozumiałem, że człowieka nie może znaleźć człowiek, nie ma drogi do człowieka, tylko przez Boga. Tam, na tym dniu, zrozumiałem, że tylko w Bogu jest zespolenie.

Karol słuchał z uwagą, starając się zrozumieć, przetłumaczyć to na swój język.

- Powiedz, dlaczego właściwie chcieli cię zabić? Nie poruszając się Czerlon przetoczył ku niemu spojrzenie swych czarnych, niesamowicie świecących się oczów.

- Odgrzali się tylko - odrzekł powoli. - Zresztą nie o to chodzi. Widzisz, w tej samej sieni, gdzie ja, mieszkał palacz z elektrowni, stary, wysuszony chłop z żoną chorą i dziećmi. Mieli u siebie swoją niby siostrzenicę, taką dziewczynę, która zastępowała im służącą, spała w komórce za kuchnią, chodziła w szmatach, miała brudne nogi w drewnianych sabotach, nie wzdragała się przed żadną robotą. I wiesz, kiedy kochała, to jakby od tego stawała się wyniosła i niedo-sięgła, stawała się królewska i okrutna. W tej nędzarce było coś, co kazało ją uwielbiać. Od miłości robiła się piękna - tą pięknnością, która onieśmiela i zasmuca. Była po kolei kochanką ich wszystkich, począwszy od tego starego - zdaje się - ale nikt z nich nie widział jej taką jak ja. Rozumiesz? I tego naturalnie nie mogli znieść. Doszło do tego, że musiałem zabierać się stamtąd - od nich i od niej... Chodził tam za mną jeden taki...

To stawało się zrozumiałe nawet dla Karola, było ludzkie. Nieśmiało przerwał.

- Adolfie, tyś tam nie człowieka szukał... Ty tylko chciałeś siebie przemóc, zawsze to w tobie widziałem. Chciałeś złamać w sobie siłę swoją, której nie możesz sprostać, bo nie masz nad nią władzy.

Czerlon niedbałym poruszeniem ręki odsunął przed siebie w powietrzu jego słowa.

- Nie czyni nasze mówią, czym jesteśmy. Nie można człowieka sądzić z czynów. Ważnym jest niepokój towarzyszący uczynom naszym. I cierpienie. I strach...

W niedużym pokoju robiło się szaro od dymu. Czerlon pił wino, w każdym kieliszku badając uprzednio pod światło jakby najgłębszą naturę jego czerwieni.

- Cokolwiek myślałem i jakkolwiek żyłem, zawsze na dnie znajdowałem to jedno: strach... Strach przed ogromem świata. I strach przed karą... Aż póki nie zrozumiałem, że nie ma przed strachem ucieczki - tylko w poddaniu, tylko w najgłębszej pokorze.

Karol znowu odezwał się nieśmiało:

- Można by myśleć słuchając cię, że religia jest zorganizowanym przerażeniem.

Czerlon nie słyszał jego słów.

- Ty się nie boisz kary? - zapytał.

Karol powiedział, że nie. I zaraz uczuł się winny, że zrobił mu przykrość. Mimo to mówił dalej:

- Nie da się zaprzeczyć, że słabością człowieka są wymiary. Jest przywalony masą świata, "masa mu imponuje". Lubi wszystko, co jest ograniczone, zamknięte, jasne i ciepłe, zabezpieczone od niepokojącej melancholii odległości gwiazdnych i stosunków międzyplanetarnych. Chce zapomnieć o tej kolosalnej masie ciemności, mrozu i milczenia, w której miotają się nadaremnie niesłychanych rozmiarów bryły ognia, tracące na przesyłanie siebie swych promieni straszliwe ilości lat ziemskich - zwłaszcza że cel tych działań jest niejasny, a pożytek wątpliwy... Chce je przejednać i ugłaskać, korzy się przed ich przekraczającą jego pojęcie "harmonią". Ale przecież osaczony jest zewsząd, bo nad nim, pod nim, wewnątrz i naokoło szaleje ruchoma materia, otacza go i przenika na wyłot wicher chwiejby molekularnej, zaprzeczający wszelkiemu dotychczasowemu sensowi świata... Karol zauważył, że Czerlon nie spuszcza z niego oczów i urwał.

- Jesteś w tym samym miejscu, gdzie byłeś wtedy - powiedział Czerlon zimno. W jego głosie było zniechęcenie i zawód, chociaż uniesienie głowy i spojrzenie wyrażały raczej pogardę.

- Nie myśl, że nie cenię tego spokoju, którego, jak mówisz, doświadczasz. Ale jakże mam uwierzyć w spokój, jeżeli jego podstawą jest przerażenie... Przecież, przypomnij sobie, bałeś się zawsze siebie, tylko siebie. Dlatego trudno mi uwierzyć, żebyś był spokojny i dziś...

- Jesteś w tym samym miejscu, gdzie byłeś wtedy - powtórzył Czerlon. - To ci widocznie wystarcza. Nie jesteś zdolny nawet do tych najprostszycch wzruszeń, których doznaje zwykły chłop wobec tajemnicy śmierci, wobec niewiadomego.

- Gdzież jest to niewiadome, powiedz.

- Jeśli tego nie czujesz, nie ma o czym mówić. Zaczyna się blisko, wszędzie tam, gdzie nie ma odpowiedzi na pytanie.

- Nie ma niewiadomego poza zapytaniem człowieka. Nie ma go nigdzie, tylko w człowieku.

- To są puste słowa, sam wiesz o tym...

Karol nie odpowiedział, pogrążony w smutku. Był zupełnie bezradny wobec tego człowieka, którego urok trwał nad nim równie silnie jak kiedyś.

Dlaczego był mu taki miły mimo wszystko? Czy że górując nad nim, nie dawał mu uczuć tej przewagi? Natura jego siły kryła jakąś ułomność, zaprzeczała sama sobie, chciała się zniszczyć, chciała się "zetrzeć w proch". Czerlon, w oczach Karola mogący wszystko, nie chciał ani wielkości, ani władzy, wspaniała i jarzmiący marzył o umniejszeniu siebie jak o szczęściu. Wsłuchany w swoją bojaźń, służył jej całym sobą, zanurzał się w nią aż do tego dna, na którym rozpostarta jest nie znana innym słodycz.

Jakże miał mu to powiedzieć, jak go ubłagać, aby zechciał być silny, aby przystał na siebie i zachwyił się sobą tak, jak zachwycał się nim Karol. Słowa nie mogły tu nic pomóc, były na wierzchu, były puste, jak on mówił.

A przecież wydawały się ścisłym tekstem myśli. Szło o to, aby podzielić z tym właśnie człowiekiem, z tym Czerlonem, łagodne szczęście pewności, że tak a nie inaczej mają się rzeczy. A było to, że nie ma niewiadomego poza nami. Istotnie ubogie to są słowa, ale trzeba pod nie przeniknąć, ująć je gdzieś głęboko, w tym miejscu, gdzie myśl zawiera jeszcze treść rodzącego ją uczucia i cała tętni jego cielesną naturą.

A było to jeszcze, że człowiek podobny jest do świata, że jest zrobiony z tej samej materii istnienia. I nie ma konieczności, i nie ma wcale powodu, aby w sędzie o świecie na zawsze miał błędzić. W poczuciu niedoskonałości własnej myśl ludzka wykopała przepaść między podmiotem i przedmiotem, między poznającym i tajemnicą. Wyznaczyła granicę nieprzekraczalną poznaniu, nie pamiętając, że wszystkie jego władze wyrosły z tych samych jakości, które stanowią przedmiot poznania.

- Pamiętasz - mówił błagalnie - pamiętasz, czytaliśmy razem Lo-cke'a, tę jego książkę "przyjemną i pożyteczną" o rozumie człowieka. On mówi, że Bóg dał człowiekowi tyle zrozumienia, ile mu jest potrzeba. Pamiętasz... A przecież jest mu tego zrozumienia z każdym przemijającym stuleciem, z każdą przemijającą godziną potrzeba coraz więcej. Uwierz mi, że granice ludzkiego zrozumienia są ruchome, że świat w istocie swojej jest wiedzialny, że człowiek...

Chciał powiedzieć, że świadomość człowieka jest najwyższą instancją, że jest czymś więcej nierównie niż jakakolwiek możliwa odpowiedź na wyrastające z niej i przez nią zrodzone pytanie. Że rozpostarta nad światem, upojona sobą, usiłuje nadaremnie wbudować własny swój sens w to, co się tylko dzieje, co tylko jest. Ale ogromny Czerlon nie wydawał się wdzięcznym słuchaczem. Przewalony na bok, wsparty o poręcz łóżka, która kryła się pod

jego pachą, posepnie zamyślony, dopijał resztę wina, patrząc ponad głową Karola w obojętny punkt ściany. Był ciężki, było mu we własnym ciele nie dość wygodnie, własna siła zdawała mu się raczej zawadzać.

- Słuchaj - mruknął swym przepysznym basem kaznodziei, który w zadymionym powietrzu wzniecał wibrujący metaliczny rezonans. - Ja jestem blisko, ja wciąż to widzę. To przy mnie przecież ludzie konają. Ból jest gorliwy i jest wieloraki... Nieskończone są jego tą sprawiedliwością tego losu? Poddać się woli najwyższej, której nie zna nieprzeniknionych postanowień? Jak pierwsi chrześcijanie uśmiechać się z zachwytem sponad płomieni stosu, patrzeć w niebo z upojeniem i wdzięcznością, że Bóg uznał ich godnymi męczeństwa. W głosie jego nie było patosu, tylko jakby rozmarzenie. Obsunął się na siedzeniu, rozluźnił się sam w sobie, stał się bezwładny i miękki.

- Długo trwało, nim to pojąłem - mówił powoli. - Jeszcze w domu rodziców zdarzyła się taka rzecz. Byłem dzieckiem, głupim chłopcem, gdy zobaczyłem na desce w kuchni leżącą rybę. Miała pysk tępy, usta w podkówkę, oko złote i obojętne. Jej cała skóra z otworkami po zeszkrobanej łusce chodziła od srebrnych dreszczy. Wyobraź to sobie: kucharka przynosi ją w koszyku razem, powiedzmy, z kapustą, z kaszą w torebkach, z ziemniakami - prawie nieżywą, już nieruchomą. W jakim stopniu umarła - to nie jest ważne. Nie zdążyła jeszcze zrobić tego do końca, a już wybiła jej godzina, już trzeba ją wziąć na deskę, i jak się to mówi, "oprawić". To ją od razu ożywia. Zaczyna się rzucać, jakby dotąd nie umierała wcale, jakby tylko drzemała. Trzeba ją przytrzymać, trzeba ją oskrobać przemocą. Wreszcie przycichła, dała sobie bez drgnienia wyjąć resztę wnętrzości, jakoś to zniosła. Teraz trzeba ją już tylko na desce posolić, żeby tak przed smażeniem poleżała. I, proszę cię, to dopiero jest ponad jej wytrzymanie, zaczyna się przeciągać, drgać, migotać, żyje minuty i kwadransy, nie może przestać...

Karol patrzył w Czerlona zdumionymi oczami, był blady.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał.

- Och, nie dlatego, żeby się przekonać, że jesteś wrażliwy, mój drogi. To jest obojętne. Idzie o to, że to, co ona czuje, zapewne jest bólem i zgrozą - chociaż może to także być ekstaza. Ale przypuśćmy, że jest bólem. I ważne jest, że się to odbywa w obrębie świata i że na torturę nie ma właściwie miary. Otóż, jeżeli się tu nie poprzestanie na słowach, jeżeli to zatarga tym istotnym w nas, co jest pod świadomością, to bezsens świata odpada sam przez się, jest nie do przyjęcia. Do cierpienia potrzebny jest sens, jeżeli nie jest się obłąkanym...

- Ty nie jesz ryb... - niespodziewanie odezwał się Karol.

- Nie. Albo co?

- Nic, tak słyszałem...

- No tak, to dziecinne wspomnienie zapadło we mnie dość głęboko... Milczeli chwilę, jakby stopniowo coraz dalej odchodząc od siebie.

Nagle Czerlon zwrócił się cały w stronę Karola i lekko ku niemu pochylił.

- Słuchaj - powiedział głosem zniżonym, miękko i niejako poufnie. - A gdyby nawet, gdyby przypuścić, że jest coś z prawdy w tym, co ty myślisz - to czyż nie jest wielkością człowieka, że się ugina, że się korzy w prochu przed tym, co z niego samego wzięło początek?

Ewcia zastukała i weszła.

- Szofer pani hrabiny Tczewskiej przyszedł. Mówi, że czeka samochód.

Czerlon od razu wstał. Obciągnął zmięte ubranie, strzepnął popiół z piersi i kolan, otrząsnął się jak pies, gdy z wody wyjdzie na brzeg. Odprowadzając go do przedpokoju Karol przypomniał sobie, co mówiono o Czerlonie na obiedzie u Ziembiewiczów. I te słowa Zenona, które mu szeptał na ucho: "...ona to robi z samej dobroci serca, bo to nie leży w j e j łagodnej naturze..."

24

W niecały miesiąc po polowaniu w lasach Bramańskich odbył się u Ziembiewiczów wielki raut, który zgromadził najlepsze sfery towarzyskie miasta i okolicy i zbliżył społeczeństwo miejscowe z nowymi władzami miejskimi. Nie tylko w zaprzyjaźnionej "Niwie", ale i w obu pozostałych, mniej ostatnio przychylnych Ziembiewiczowi, gazetach znalazł się opis szczegółowy tego pamiętnego przyjęcia, przy czym zgodnie i w jednobrzmiących wyrazach podnoszono "czarującą gościnność" Elżbiety, jej urok oraz toaletę.

Stary lokaj w liberii otwierał drzwi do wielkiej sieni z długą ławą dębową i mnóstwem wieszadeł, obliczonych na wiele dziesiątków osób. Od sufitu i ze ścian płynęło światło. Przedstawiciele duchowieństwa, wojskowości, sądu, policji i administracji, w sutannach, frakach i mundurach, wchodzili w towarzystwie swych kobiet przez szeroko otwarte podwoje, po posadzce ciepłej i miękkiej od dywanów, do jednego salonu, drugiego salonu, biblioteki z płonącym kominkiem i wreszcie sali jadalnej, gdzie na wydłużonym stole znajdował się bufet. W całym wnętrzu rozstawione były kwiaty z miejskiej oranżerii. Na mahoniowych stołach, konsolach, na podłodze, wszędzie kwitły wielkich rozmiarów różowe azalie. Elżbietę widać było w perspektywie amfilady. Ciasno owinięta ciemną suknią stała za progiem drugiego salonu i każdemu na inny sposób mówiła, że się cieszy, iż przybył.

Gdy w trzy miesiące później zaszły wiadome tragiczne wypadki, całe miasto odtwarzało sobie w pamięci różne szczegóły tego wieczoru. Wspominano słowa mówione przez prezydenta i jego żonę, ich zachowanie się, ich wygląd.

Wspominano między innymi, że w tym dniu rozeszła się po mieście wiadomość o zamknięciu huty Hettnera i nowych aresztowaniach między robotnikami. Ci zwłaszcza, którzy późniejsze wypadki łączyli z zaburzeniami wśród zwolnionych pracowników huty, utrzymywali, że wszystko zaczęło się tego wieczoru. Mówiono, że niepokój prezydenta był widoczny, a we wzroku, jakim wodził za młodą, nic nie przeczuwającą żoną, tała się zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia.

Ziembiewicz istotnie był niespokojny. Mimo wzrastającej popularności praca jego nie była wolna od troski. Od początku Zenon wykazał na swym stanowisku dużą inicjatywę, miasto zmieniało swój wygląd z dnia na dzień. Jeszcze wczesną wiosną, uzyskawszy w stolicy obietnicę pożyczki, Ziembiewicz przystąpił do budowy domów robotniczych na Chąrzebiańskim Przedmieściu. W tym czasie też przeprowadził remont walącego się budynku dawnej cegielni, gdzie mieli swe brudne koszarowe legowiska bezdomni. Uporządkowanie wybrzeża nad rzeką, dzielącą miasto od tegoż Chąrzebiańskiego Przedmieścia, było od dawna zagadnieniem nie do rozwiązania. Radni miejscy mieli tam swe zastrzeżenia czy raczej interesy. W dużej szopie drewnianej osiadł od paru lat dansing o złej renomie, krzykliwy i

pijacki. Naciskiem na radę miejską uzyskał Ziembiewicz rozwiązanie kontraktu - miasto miało o to proces z dzierżawcą budynku - i na tym pięknym miejscu nadbrzeżnym, korzystając z zachowanych jeszcze gdzieś tam starych drzew, założono park, a w nim pijalnię mleka dla dzieci, korty tenisowe, place do gry w koszykówkę i siatkówkę. Dochód z tych terenów, wynajętych przez trzy miejscowe towarzystwa sportowe, zapowiadał się większy niż z dawnej dzierżawy. Śródmieście zyskało wyspę zieleni, a bezrobotni zajęcie przez ciąg letnich miesięcy.

Pisma pełne były o tym czasie szczegółów z podjętej przez Ziembiewicza działalności i pochwał dla nowego zarządu miasta. W ostatnich jednak miesiącach nastrój się zmienił. Przede wszystkim sprawa z byłym dzierżawcą w pierwszej instancji przybrała zły obrót i groziła miastu znacznym obciążeniem przez sumę przyznanego powodowi odszkodowania. A jeszcze przed nastaniem jesieni nagle przerwano roboty przy budowie domów robotniczych, gdyż fundusze, na które Ziembiewicz liczył na pewno, zostały cofnięte w związku z ogólną polityką oszczędnościową rządu. Mury wyprowadzone prawie pod dach stały jak ruina, nie zabezpieczone przed słońcem i mrozem, zawiedzeni robotnicy, utraciwszy niespodziewanie pracę, domagali się nie wypłaconych pieniędzy.

Dla Zenona przyszedł niedobry czas. Były chwile, że każda myśl miała swój rezonans w skurczu serca, w ostrym bólu głowy, w mdlącej trwodze. Te myśli fizycznie bolące nawiedzały go zwykle w poranki. Budził się teraz wcześniej niż Elżbieta i w mroku zimowego rana leżał bez ruchu, ociągając się z powrotem do jawy. Okrągłe światelko świadomości przesuwano się z miejsca na miejsce po ciemnościach, jak promień kieszonkowej latarki.

Myśli o Elżbiecie także nie były już wytchnieniem. Leżała na drugim łóżku - drobna, ledwie widoczna jako krótki, ciemny kosmyk włosów na poduszce. Śpiąc wydawała się cicha i ufna, zanurzona w bezpieczeństwo. Wiedział jednak, że i w niej istnieje już niepokój. Kiedyś, gdy wracali z wizyty u Czechlińskich, miała do niego pretensję, dosyć zresztą niejasną. "Ty jesteś inny ze mną i inny między ludźmi" - powiedziała. "O co ci chodzi?" - zapytał niechętnie. - Uśmiechnęła się mówiąc: "To nic ważnego, zdawało mi się, że jesteś zdenerwowany."

Elżbieta spostrzegła to po raz pierwszy na obiedzie u ciotki Kolichowskiej, w dniu przyjazdu Karola. Wówczas gdy Zenon nie wiadomo dlaczego powiedział: "Naturalnie, Elżbieta znów mówi o dziecku." - Później powtarzając to dodawał jeszcze: "Jak każda matka." - Podobnie tonem niby żartobliwym i zarazem protekcyjnym wymawiał jej, że za długo się ubiera, że robi to w ostatniej chwili, że zawsze się spieszy i zawsze jest spóźniona - jak wszystkie kobiety. - Te zarzuty często były niesłuszne, nie opierały się na żadnym fakcie rzeczywistym. Wynikały jakby z potrzeby mówienia czegośkolwiek, z chęci wypełnienia chwil niedogodnych, miejsc pustych i niepokojących. Nie zdarzało się to nigdy prawie, gdy byli sami, zawsze natomiast w obecności ludzi. Wystarczyło, gdy do pokoju weszła pani Żancia lub ktoś ze służby.

Małomówny, skupiony, gdy byli sami, między ludźmi Zenon zmieniał się po prostu w oczach. Stawał się zbyt wesoły, ekspansywny, przybierał różne miny, ani przez chwilę nie był spokojny. Raptownie, niby nagle sobie o tym przypominając, zapinał lub odpinał guzik marynarki, podnosił ramiona, przerzucał na głowie kapelusz w przód lub do tyłu. Było w tym coś więcej niż niepokój, była niepewność wobec świata, niezgoda na siebie, coś niedobrego, czemu w ten sposób nadaremnie usiłował zaprzeczyć.

Elżbieta przymykała powieki, by tego nie widzieć. Nie widząc jednak gestów, słyszała jego nieprzytomne słowa, wysilone żarty. I miała żal do siebie, że ją to niecierpliwi. Było bowiem widoczne, jak sam się męczy. Że niby nic sobie z nikogo nie robiący, w istocie chce sprawić, by ludzie myśleli o nim co innego, niż myślą, że chce na nich coś wymóc albo czymś ich przejednać.

Jednego Zenon zdawał się naprawdę w niej nie lubić. Gniewało go, gdy się przejmowała faktami zwykłych codziennych niesprawiedliwości, banalnych niedoli i krzywd, którym zaradzić nie można. Nieprzeliczeni żebracy, zachodzący od kuchni, opuszczone kobiety ze swymi beznadziejnymi sprawami, sprzedawcy rzeczy nikomu niepotrzebnych - to były zjawiska nieuniknione i wiadome. Jej naiwne reakcje uważał za typowo "burżuazyjne". Kiedy indziej, na odwrót, żartował z niej, że jest przyjaciółką rewolucjonistów, wymawiał jej Chąsbę i jego podejrzanych przyjaciół.

W dniu, gdy odbywał się raut w ich domu, Zenon po południu był u Justyny. Wybrał się do niej niespodzianie na skutek całego szeregu dziwnych, uporczywych jej listów.

Nie ruszyła się z miejsca, gdy wszedł. Siedziała na brzegu łóżka, ubrana czysto i uczesana gładko, jak gdyby właśnie w tej chwili na niego czekała. Na powitanie wyciągnęła rękę gestem damy siedzącej na szeszlunku w buduarze, obojętnie, bez zdziwienia i uśmiechu.

- Nie, nie potrzeba mi pieniędzy - powiedziała jak zwykle, gdy o to pytał. - To, coś przysłał, jeszcze mi wystarczy dłużej niż do pierwszego. Usiadł na krześle i łokieć oparł o brzeg stołu.

- Co się z tobą dzieje? - pytał. - Czego chciałaś ode mnie? Było ci źle w tej cukierni? Miałas za dużo pracy?

Jej oczy niebieskie, w które dawno nie patrzył, były przeźrocyste od zamyślenia.

- Czegoś chciała, powiedz. Piszesz tak, że nic nie mogę zrozumieć.

Przymknęła powieki z niechęcią.

- Nie było mi źle. Tylko mi się od początku tam nie podobało. Odłożył kapelusz, który dotąd trzymał w ręku. Zdjął palto i przewiesił je przez poręcz krzesła.

- Jak to, co ci się nie podobało?

Wzruszyła ramionami. Spojrzeniem uchyliła się od jego wzroku. Po chwili dopiero powiedziała:

- Ciągłe te ciastka zawijać... Każdy tam przychodzi, każdy się patrzy na ręce, to tego chce, to tamtego. Sama nie wiem. Wydawała się głęboko zasmucona.

- Może ci tu jest źle? - rozejrzył się po pokoju. - Zimno? Czy ci tu kto gotuje?

Powiedziała, że tu jest jej dobrze. Gdyby niejedna rzecz...

- Trochę daleko do miasta, to prawda.

- Daleko czy blisko, to nie stanowi. Mnie wszystko jedno. I tak do tego Chązowicza już nie pójde.

- Może cię tam kto wypytywał? Ta kasjerka, pani Tawnicka, nie?

- Co się miała wypytywać! Nikomu nic do mnie, nikt mnie nic nie obchodzi.

- A ci ludzie tutaj, ci Niestrzępowie? - zapytał ciszej. Zrobiła tylko powiewny gest ręką, że to nieważne. Ale jednocześnie prawie wstała, jakby jej się coś nagle przypomniało. Podeszła do niego, usiadła obok przy stole i prędko, tajemniczo zaczęła mówić:

- Tu byłoby mi dobrze, gdyby nie ten człowiek, co do nich przychodzi. - Zniżyła głos. - Zbrodniarz do nich przychodzi, do tych Niestrzepów, wiesz? co swoją żonę zabił. Oni mi nic a nic nie powiedzieli, wstyd im, że go do siebie puszczają...

Otrząsnęła się jak w dreszczach.

- Jest młody, ale całkiem siwy, twarz ma taką napuchniętą, pod oczami takie torby... Nic mi nie mówili, ażem dopiero sama usłyszała. Poszłam do nich, żeby wody zagotować, bo się tutaj dymiło. Stoję przy kuchni, a on powiada, że mu się jedna choroba przyplątała, jak był w więzieniu, że jest chory na nerki i byle co mu szkodzi. Co za ludzie ci Niestrzepowie, siostrzenicę im zabił, a oni go tu przyjmują, karmią, o tej siostrzenicy z nim rozmawiają... Załkała parę razy, raczej chlipnęła, otarła łzy czystą chusteczką. I już zapominając o tamtym, powróciła do poprzedniej sprawy.

- Nie pójdę więcej do tego Chązowicza, nawet mnie nie namawiaj. Nie wiem, czy trzy tygodnie u niego byłam, a dnia nie przeszło, żebym nie płakała. We dnie tam płaczę, a tu przychodzę i znowu płaczę w nocy w domu. A o nic mi nie chodzi, nic mi nie trzeba, tylko tak...

Zenon rozumiał, że coś z nią trzeba zrobić, gdzieś ją wywieźć, sprowadzić zaraz doktora. Znowu rozejrzał się po pokoju. Pomyślał, że dobrze byłoby porozumieć się z właścicielką mieszkania, ale szybko tej myśli zaniechał.

- Powiedz, kto tu do ciebie przychodzi?

- A kto ma przychodzić? Nikt.

- Ale ja myślę o jakiejś znajomej czy przyjaciółce, o tej twojej koleżance od Torucińskiego.

- Ona raz tylko była. Mnie nikt nie jest potrzebny. Nikogo nie mam. Mówiła cicho, powoli, z wyraźną zaciętością.

- Tak przecież nie można - perswadował. - Nie możesz żyć tak zupełnie sama. Czy ci się nie przykrzy?

- Wcale a wcale mi się nie przykrzy.

Musiał już odejść. Przyszedł tu z wszelkimi ostrożnościami, szoferowi kazał czekać na ulicy Mostowej za rzeką. Ciężko mu było zostawić ją samą w tym stanie. Nie miał do kogo się zwrócić. O Karolu Wąbrowskim, człowieku oschłym i sobą wyłącznie zajęтым, nie mogło być mowy. Jediną osobą, która uparcie przychodziła mu na myśl, znowu była Elżbieta. Nocą po raucie wreszcie zostali sami. Gdy pokrótce omówili ludzi, którzy przyszedli i poszli, Elżbieta powiedziała:

- Tobie coś jest, Zenonie.

Chodził po pokoju i był teraz właśnie zupełnie spokojny. Nie robił niepotrzebnych gestów, nic nie udawał. Jego stan naturalny był przygnębieniem.

- Mam chyba dosyć powodów do zdenerwowania - odparł niechętnie.

Mogła myśleć, że chodzi o znaną jej sprawę z dawnym dzierżawcą terenu nad rzeką albo o nie dokończone domy robotnicze, niszczone na śniegu i mrozie. Jednak nie o tym myślała. Gdy usiadł przy niej, położyła głowę na jego ramieniu.

- Czy nie chcesz mi nic powiedzieć? - spytała.

Wziął jej głowę w ręce i odchylił od siebie. Popatrzył uważnie w jej oczy. Ale milczał.

- Czy Justyna... - zaczęła Elżbieta. - Wiesz, że ona tam już nie jest w cukierni?

Potwierdził kiwnięciem głowy. A później powiedział nagle i po prostu, że po południu był u niej.



Odczekał chwilę, myśląc, że może ona chce coś powiedzieć. Nie chciała jednak nic powiedzieć.

- Coś takiego zauważyłem u niej już dawniej. Dziwne, że nie pomyślałem od razu... ^

- Co?

- Nie ma wątpliwości, że jest nienormalna. Mieszka tam u obcych ludzi, nikogo bliskiego nie ma. To jest sytuacja po prostu... Bo przecież nie mogę wdawać się z tymi jakimiś Nistrzypami w wyjaśnienia...

- Jest chora? Czy to jest w związku z tamtą sprawą? Był zaskoczony słysząc te słowa.

- Nie, nie - zaprzeczył żywo. - To jest taki stan nerwowy - płacz, apatia, depresja. No i to właśnie: dziwność, dziwność... W niej było już coś takiego, gdy ją widziałem w jesieni. Już jej odejście od Torucińs-kiego wydawało mi się niejasne. Była taka ściszona, taka dystygowana, jakby przerywała swoje zamyślenie tylko przez uprzejmość. Widziałem to, ale myślałem, że to jest jakieś zmanierowanie. - Zamyślił się. - Jej uśmiech jest ustępstwem - mówił rozważając, szukając słów. - Ona się uśmiecha, kiedy już nie może inaczej...

- Co ty mówisz? - przerwała mu nagle i odsunęła się w kąt kanapy. Nie czekała odpowiedzi, chciała tylko, by zamilkł. Dopiero teraz stało się jasne, że Justyna nie jest czymś, co zagraża z zewnątrz, co można by usunąć, od czego dałoby się jakoś odejść... Zrozumiała, że ona rozrasta się wewnątrz ich życia, że ta sprawa zaczęła się razem z ich miłością i tkwi w niej jak drzazga. I że to się już nie zmieni.

Zenon chodził po pokoju milcząc. Patrzyła za nim. Miał pochylone ramiona, opuszczoną głowę. Nie widziała jego twarzy. Pomyślała:

"człowiek przywalony troską".

- Co ty mówisz? - powtórzyła inaczej te same słowa. - Może się mylisz, może to jest chwilowe.

Tak, jej zdrowie, jej los, nawet jej usposobienie, jej humor - to była teraz ich rzecz, ich własna sprawa najbardziej osobista.

- W każdym razie trzeba do niej posłać doktora. Którego? Zenon zatrzymał się, myślał chwilę, wzruszył ramionami.

- No cóż, specjalista tu jest jeden - Lefeld. Tym razem nie decydowała się łatwo.

- Zatelefonować czy pójść - myślała głośno. - Ona nie może przecież się domyślać, że to ode mnie - nie chciałaby z nim mówić. Chyba pójść...

Patrzyła na niego pytająco w nadziei, że ją od tego uwolni.

- Chyba pójść... Pójdę do niego, zobowiązę go jakoś - czy ja wiem...

Zenon uniósł się nagle i złym głosem powiedział z głębi pokoju:

- Zrobisz, jak będziesz chciała.

I w gniewie po raz pierwszy powiedział to, co później nieraz wracało do ich rozmów: że inni mają więcej takich przygód niż on. Że innym dziesiątki takich spraw uchodzą na sucho, a za nim ta jedna wlecze się bez końca. Czemuż to on właśnie wplątał się w taką najgłupszą awanturę, czemu ma po prostu zatrute istnienie. Przez jakąś jedną dziewczynę, z którą zetknął się przypadkowo, której przecież od początku właściwie unikał. To jest słabość, że temu ulega, że nie umie z tego się otrząsnąć.

Powiedziała z wysiłkiem:

- To nie przez słabość, Zenonie. To może dlatego, że jesteś lepszy...

- Jak to lepszy? - nagle się oburzył. - Od kogo? Przecież ja jestem tutaj, jestem z tobą, jesteśmy razem, rozumiesz? A ona tam jest sama.

Doktor Lefeld, który zbadał Justynę, uspokoił Ziembiewiczów. Objawów, które by wykazywały zaburzenia psychiczne, nie znalazł.

Miało tak być, że Elżbieta rozmowę tę odbędzie z doktorem sama. Przyjęła go, jak Chaśbę, w małym pokoju za jadalnią. Wiedziała, że z daleka krąży po mieszkaniu Zenon. Zdziwiło ją, gdy nie czekając końca rozmowy zjawił się tam w gabinecie i spieszenie przywitał się z doktorem.

- A jakie objawy byłyby niebezpieczne? - spytał.

Doktor Lefeld, człowiek o twarzy zmęczonej, z niemodnymi, obwisłymi czarnymi wąsami, powtórnie i bardziej szczegółowo wyjaśnił te rzeczy. Każde słowo zdawało się go kosztować wiele wysiłku. Mówiąc, raz po raz wysuwał głowę ku przodowi, jak gdyby starał się uniknąć dotknięcia kołnierzyka do karku.

- Pojawiają się zaburzenia usposobienia i charakteru, zakłócenia poczucia moralnego, zmniejszona uczuciowość wobec bliskich - wyliczał. - Dementia praecox - teraz nazywana schizofrenią - zawsze prawie występuje we wczesnym wieku, często jest dziedziczna. Istnieją predyspozycje psychiczne u osobników małomównych i skrytych. Przyczyną może być zmęczenie, wycieńczenie fizyczne, przepracowanie, tak zwany surmenage emotionnel... Doktor Lefeid kończył medycynę w Paryżu i mimo wieloletniej pracy w kraju wciąż jeszcze chętnie wracał do terminów francuskich.

- Oczywiście te causes occasionnelles działają tylko jako zmniejszone odporności wobec causes determinantes, których natura, jak państwu zapewne wiadomo, dotąd jest nie znana. Mówiąc to wszystko, doktor Lefeid nie patrzył na słuchających, obojętny, czy słowa jego są dla nich dość jasne.

- Ale, powtarzam, nie widzę tych objawów. Niech bierze to, co zapisałem, niech się odżywia. Może trochę towarzystwa, ale bez nacisku. Jakież osoby bliskie, do których miałyby zaufanie. Żegnając się powiedział:

- W każdym razie zobaczę ją jeszcze. A gdyby coś się zmieniło, to proszę mnie zawiadomić. Rozumieli oboje, że tych warunków właśnie oni stworzyć dla niej nie mogą. Jedyni jej bliscy, rodzina Gołąbskich z ulicy Staszica wymarła. Kochający ją kiedyś Franciszek Borbocki był w więzieniu. A ten dom, gdzie pamiętały ją z Boleborzy Józiowa i Marynka, gdzie była teraz tak lubiąca ją kiedyś pani Żancia - ten dom właśnie był dla Justyny niedostępny.

25

Pod wiosnę pani Cecylia Kolichowska wróciła do łóżka już na dobre. Elżbieta przyjeżdżała do niej codziennie. W swoim czasie, spełniając prośbę Karola, usiłowała wytłumaczyć pani Cecylii, że ślady, które zostawiła w jego ciele choroba, nie przeszkadzają mu pracować ani żyć. Pani Cecylia wysłuchiwała wszystkiego z twarzą pochmurną i nie odpowiedziała nic. Sama przecież przyzwyczyła się już do tego, że Karol jest jej synem.

Karol przez długie godziny siedział w swoim pokoju. To, co robił, nie było jasne. Pisał jakieś francuskie książeczki, noszące pretensjonalne i niezrozumiałe dla niej tytuły. Parę takich prac pokazał jej, były cienkie, zielono oprawne, wydane przez instytut jakichś badań i czytane nie wiadomo przez kogo. Sam nie przychodził nigdy do jej pokoju. Gdy go jednak wzywała, zjawiał się natychmiast, wzruszony i wdzięczny. Siedział długo i rozmawiał bez przymusu. Wydawało jej się dziwne, że nie jest mu z nią nudno.

Dowiedziała się z tych rozmów różnych rzeczy o tej młodej kobiecie, która była córką jej męża z drugiego małżeństwa. Została tancerką, rozchorowała się i straciła pracę, miała ciężkie przejścia. Później wyszła za mąż za pewnego emigranta z Południa, który parę razy do roku przekradał się do swego kraju i znowu do niej powracał. Karol znał go i opowiadał ze zdziwieniem, jak we wszystkich krajach ci ludzie podobni są do siebie, ci, którzy wybierają sobie ten los, którzy na to idą. Z jednej takiej wycieczki do kraju już nie wrócił. Dowiedział się później, że jest w więzieniu, podejrzany o udział w nieudanym zamachu.

- I co ona robi teraz?

- Nie było jej w Paryżu, gdy wyjeżdżałem. Teraz z kolei matka oczekuje jej powrotu stamtąd. To piękny kraj, ale ludziom trudno tam żyć.

Innym razem pani Cecylia zapytała go, czy nie wie o tym, dlaczego jego ojciec odebrał sobie życie. Wyjaśnienie, jakie dał, nie było dla niej zrozumiałe.

- To nie może być prawdziwa przyczyna. To musiało być coś innego.

- To nie było nic innego. Rozłam, w którym nie mogłem iść tam, gdzie szli jego przyjaciele. To wystarczy. Widocznie także nie miał siły zostać sam.

- Przecież ona była z nim. Nie?

- No tak, ale w tym nie mogła mu pomóc. Ona także była między tamtymi.

- Ona ci to mówiła?

- Tak.

Pani Cecylia milczała przez chwilę, pełna niedowierzania. Potem spytała:

- Czy ty dobrze pamiętasz ojca?

- Pamiętam, ale to jest blade. Przychodził jakby zawsze z zewnątrz, z daleka, spoza domu, z ciemności. To jest dziwne, że nie przypominam sobie żadnych jego pieścizot. Za to ciebie pamiętam dobrze.

- Cóż to dziwnego! Po jego wyjeździe byliśmy przecież jeszcze przez pięć lat razem.

- Nie, nie, ja nie mówię o tych czasach, kiedy już był pan Kolicho-wski. Ja mówię o czasie, kiedy był ojciec.

Opowiedział jej, jak chodziła po małym mieszkaniu, którego wszystkie okna wychodziły na jedną stronę, a pokoje leżały jeden za drugim. Na początku był przedpokój, z przedpokoju szła w bok nieduża kuchnia bez okna.

- To było mieszkanie na Mostowej - powiedziała pani Cecylia i nieznacznie się uśmiechnęła. - Nie miałeś wtedy pięciu lat.

W tej kuchni była czasami służąca, ale częściej nie. Matka przepadała tam, zamykała za sobą drzwi, a potem wychodziła z talerzem albo szklanką w ręku. I wołała go, żeby siadał do jedzenia. Była to kaszka manna na mleku albo kakao. Jednego i drugiego nie lubił, ale lubił matkę i dlatego jadł. Chodziła ubrana w białe bluzki i różowe szlafroki. Miała duży warkocz z ciemnych włosów i rano ten warkocz wisiał jej na plecach, jak u dziewczynki. Później czesała włosy stojąc i miała do tego duży grzebień o długich, równych zębach, bez gęstej strony.

Czesła się zwykle w drugim pokoju zwanym salonem, do którego szło się przez jadalnię i w którym też spała na niewygodnej zaokrąglonej kanapie za stołem i fotelami. Jedyne łóżko stało w ostatnim pokoju, który był gabinetem ojca i gdzie nie było wolno wchodzić. Czesła się stojąc przed lustrem salonowym, oprawnym w złotą ramę, nad konsolą z wygiętymi złotymi nogami. Karol przyglądał się temu, jak czarne włosy odpływały od głowy wzdłuż ręki i zesypywały się zaraz potem na plecy. "Mama jest śliczna" - mówił. A ona śmiała się i, zaplatając włosy, odpowiadała: "Nikt mi tego nie mówi, tylko ty."

- Myślałem wtedy, że ojciec nie jest dobry dla ciebie. Pani Cecylia pomyślała przez chwilę nad tą sprawą.

- On musiał tak żyć, miał prawo, to nie było przeciwko mnie, to była jego natura. Ale można kogoś męczyć tym tylko, że się jest takim, a nie innym.

Jeszcze chwilę pomyślała i dodała sprawiedliwie:

- Nigdy się nie gniewał, nigdy nie miał do mnie żadnych pretensji, Ale ja nie mogłam tego znieść, że on tak żyje.

Karol słuchał tego, jakby mowa była o obcym człowieku.

Przy łóżku pani Kolichowskiej stały obie jej laski, oparte o szafkę nocną. Stały tam oznaczając niejako, że w każdej chwili może powrócić do zdrowia, może wstać i chodzić z nimi po mieszkaniu. Jednak mijały tygodnie, a stan jej się nie poprawiał. Elżbieta przywiozła raz poleconą przez doktora Lefeldta pielęgniarkę, która spędzała u pani Kolichowskiej godziny ranne, a często przychodziła jeszcze i na noc, gdyż pani Posztras-ka nie mogła sobie poradzić przy chorej mimo pomocy Ewci i Michaliny.

Kiedys, siedząc przy matce, Karol wziął jedną z tych lasek i uważnie oglądał, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Nie masz pojęcia, jak nienawidziłem tej srebrnej baletnicy. Śniło mi się kiedyś, że ożyła, że chodziła po naszym mieszkaniu i krzyczała, i chciała tobie zrobić coś złego.

- To on już wtedy miał tę laskę? Nic teraz nie pamiętam.

- Miał ją zawsze, kiedy przychodził do nas do tego drugiego mieszkania na Emerytalnej. Zostawiał ją w przedpokoju za prętem wieszadła i szedł do ciebie. A ja się jej przyglądałem i chciałem jej dotknąć, i brzydziłem się. Ale raz jej dotknąłem.

- Bardzo go nie lubiłeś - powiedziała pani Cecylia wyczekująco. Gdy nie odpowiadał, ciągnęła: - Byłeś dzieckiem, naturalnie nie mogłeś wszystkiego rozumieć. Ale teraz chyba wiesz, że miałam prawo. Nawet wtedy, kiedy twój ojciec jeszcze żył.

- Mnie przecież nie szło o ojca.

- Więc po co mnie tak dręczyłeś? I siebie.

Karol chwilę nie odpowiadał. Pamiętał, jak była wtedy zaślepiona w tym człowieku. W jego monoklu, getrach, kremowych, nienawistnych rękawiczkach. Wstyd mu było przed chłopcami w gimnazjum. Wiedzieli, że bywa u jego matki. Pytali go co rano, czy znowu był. Mówili o nim źle, był tam nienawidzony. Dom na ulicy Staszica kupił podobno za pół darmo z licytacji przez pośrednika.

- Słyszałem, że bywał u gubernatora. Pani Kolichowska była podniecona.

- Mój drogi, to był wyjątkowy człowiek, ten gubernator. Przecież nawet Tczewscy go przyjmowali. Odpowiedział łagodnie:

- Dlaczego mówisz: nawet? Czyż to nie było naturalne? Pani Kolichowska broniła drugiego swego męża z nagłą solidarnością, jak gdyby sama nie miała mu tak wiele do zarzucenia.

Utrzymywała, że Karol nie może znać ówczesnych stosunków i sądzić o tym, jeżeli opuścił kraj jako niedorośli chłopiec. Karol nie upierał się zresztą przy swych sądach i słuchał gniewnych słów matki z cierpliwością, która w jej oczach wyglądała na lekceważenie.

- Twój ojciec był innym człowiekiem - mówiła gorączkowo i oczy jej błyszczały. - Wiem przecież, nie potrzebujesz mi mówić, kim był. Żyłam przy nim, jak trzeba, nie krępowałam go w niczym, nie mogę sobie robić wyrzutów. Gdy odjechał od nas, szłam bieliznę do sklepów, gotowałam, szorowałam i prałam.

Uniosła się na łóżku. Karol wstał ostrożnie i ustawił poduszki za jej plecami.

- Żyje się krótko i źle. A przy tym tylko ten jeden raz. Czy można żądać od człowieka, by dał to jedno życie zniszczyć? Karol mówił z cichą perswazją:

- Jest jedno, ale się przecież tego nie czuje. Zapomina się o tym.

- Byłeś po stronie ojca. No cóż, to jest zrozumiałe.

- Nie, mam, nie to - przerwał i uśmiechnął się prosząco. - Ty tak sobie to dziecinnie tłumaczysz. To chyba własna moja sprawa. Nie o ojca mi szło, tylko o ciebie.

- Doprawdy, nie miałaś go za co nienawidzić.

I jej dużo czasu było potrzeba, aby zrozumieć, że jego wady były wadami żywego człowieka. Kochał ją i męczył, a to oznaczało jedno i to samo. Kwity pocztowe zamknięte w kasie żelaznej, kwity z nazwiskiem tamtej - to odkrycie wystarczyło na długo. Kwity i wszystko inne. Ale ostrze urazy stępiło się przez lata, została samotność. Nikomu nic nie zależało na tym, co z nią jest, czy robi to, czy co innego, czy jest w ogóle. Jego śmierć zerwała jej łączność z życiem.

Podnieciła ją rozmowa. Jej sucha twarz zaczerwieniła się, zrobiła się pełniejsza od nadbiegającej krwi, jakby zapłonęła od wewnątrz.

Patrzył na jej profil twardy i ciemny na białym tle poduszki. Cienie oczów zachodziły aż na skronie. Przypominał sobie, jak była piękna. Czy można powiedzieć, że nic nie zostało z tamtego czasu? Może najgorsze było, że właśnie coś zostało.

- Przecież kochałem ciebie - wyznał.

Zwróciła ku niemu oczy i uśmiechnęła się. Nie wiedział, czy to nie było złudzenie.

Rozchylenie się jej warg, które były wyschłe, na białych zębach, które były sztuczne - mogło być tylko widmem uśmiechu. Ale sens jej spojrzenia był taki sam jak wtedy. Wydało mu się porywające i młode.

- Kochałem ciebie, byłem o ciebie zazdrosny. Zrozumiała to tak, jak mogła.

- Byłeś dobrym dzieckiem - powiedziała. - Ja wiem. Może gdyby nie stało się to wszystko, może naprawdę...

Nie znajdowała słów na powiedzenie swego wzruszenia. Odchyliła głowę na poduszkę, przymknęła powieki i twarz zasunęła się w cień. Wtedy nie widząc jej powiedział jeszcze:

- To był triumf, żeś była moją matką. Uwielbiałem cię. Być przy tobie, patrzeć na ciebie - cóż to było za szczęście. Byłaś taka piękna.

Kiedyś wieczorem Karol zatelefonował do Elżbiety, że matka czuje się gorzej i chce ją widzieć.

- Zaraz jadę - powiedziała.

Przyjeżdżając zwykle na krótko, Elżbieta nie zdawała sobie sprawy z rozwoju choroby. Stary domowy doktor zawsze tymi samymi słowami mówił o stanie pani Cecylii. Powtarzał, że potrzebny jest spokój, dieta, że tak, jak jest, może być jeszcze długo.

(Była już tego rana u ciotki i nie zauważyła nic. Po jej odejście pani Cecylia czuła niepokój, brała krople. Po południu zasnęła, a Karol siedział tuż przy jej łóżku. Spała długo. Obudziła się nagle z twarzą zmienioną przez przerażenie, pełną rozpacz. Zadzwoił na pielęgniarkę, trzymał ją za rękę.

Uspokaja się widząc niepokój innych. Po lekarstwie zrobiło jej się lepiej. Leżała cicho.

- Pamiętasz wuja Romana, ojca Elżbiety? - spytała nagle. - On umarł, kiedy miał o dziesięć lat mniej niż ja teraz. Ciocia Winia umarła, zanim się urodziłeś, żyła tylko dwadzieścia dwa lata. Czego można właściwie chcieć? Do niczego nie ma się prawa. Jestem o dziewiętnaście lat starsza niż moja matka, gdy umierała.

Robiła sobie te obrachunki. Pamiętała wszystkie daty. To było jedyne, co mogła w swoim życiu jakoś uporządkować.

- Elżbiety nie ma? - spytała.

Zamiast Elżbiety przyjechał doktor. Zrobił zastrzyk, powiedział, że w ciągu nocy nie może się nic zdarzyć.

Leżała z zamkniętymi oczami. Gdy podniosła powieki, zatrzymała oczy na Karolu.

- Jesteś - powiedziała. Przymknęła znowu oczy, nie patrząc mówiła powoli, jakby z głębokim zniechęceniem.

- Mam teraz trudne rzeczy do przeżycia ze sobą samą. Tu mi nikt nie pomoże, nikt tu za mną nie pójdzie. Lepiej mnie tak zostawić, moje dziecko.

Gdy przyjechała Elżbieta, pani Cecylia była już nieprzytomna.

Oboje z Karolem nie odchodzili od jej łóżka, nie odrywali oczu od jej twarzy. Późnym wieczorem przyjechał Zenon i przywiózł ze sobą drugiego doktora. Ten doktor nie odjeżdżał już, póki nie umarła.

Rano przyjechała pani Żancia, znająca się na śmierci i jej obrzędach. Przez czas, gdy otwarta trumna stała w salonie, była tą, która z przybywającymi ludźmi wymieniała zwykle komentujące całą rzecz słowa. - "Tak nagle się to stało, nikt nie oczekiwał, chociaż chorowała już przecież dawno. Byliśmy wszyscy spokojni, doktor nie przewidywał nic złego. Czuła się jak najlepiej i nagle straciła przytomność." - Słowa te miały wyjaśnić, czemu na klepsydrze nie wymieniono świętych sakramentów. Pani Żancia robiła sobie wyrzuty, że będąc tak blisko nie dopilnowała tej sprawy. Wezwany przez nią za późno ksiądz Czerlon przebywał tu teraz jak ktoś domowy i prawdę słów jej zaświadczał swą obecnością. Wśród dekoracyjnej zieleni stał katafalk podobny do sarkofagu, przechodził obcy tłum. Śmierć rozrastała się, socjalizowała, stawała się obca i cudza.

Karol siedział w swoim pokoju, bojąc się widoku ludzi.

Wieczorem zastukała do jego drzwi Elżbieta.

- Leż, leż. Nie wstawaj - powiedziała widząc, że chce się dźwignąć z płaskiego szezlongu, na którym odbywał zwykle swe godziny nieruchomego leżenia. Od paru dni czuł nieznaczny ból w karku i prawej ręce. Ale myślał, że to jest nerwowe.

- Nie przeszkadzaj sobie. Czy mogę tu posiedzieć?

- Chodź - powiedział.

Usiadła na giętym krześle przy biurku, przy którym dawniej odrabiała lekcje. Za oknem zasłoniętym roletą leżało pośród ciemności znane jej podwórze. Cały świat dzieciństwa, z którego nic nie stało się jasne i zrozumiałe. Tym oknem patrzyła na przechodzących przez podwórze ludzi. W drugim rogu na gałęziach czereśniowych siedział kiedyś nieduży Marian

Chąsba. Wołany przez matkę, składał książeczkę i biegł przynieść jej wody do sutereny. Umarła Gołąbska siedziała tam z nieżyjącą ślepą Jadwisią i dawała jej kota do zabawy. Przez to okno widać też było Pitka, którego granicę życia wyznaczał łańcuch, suwając się na drucie. - To było najgorsze - mówiła Elżbieta - że od samego dzieciństwa, że od samego początku ja w sobie zwalczałam uczucie dla niej. Wstydziłam się mego przywiązania, chociaż ona jedna była dla mnie dobra. Czasami w nocy wyobrażałam sobie, jak by to było, gdybym nagle zaczęła być inna. Gdybym powiedziała jej, że ją kocham, gdybym choć raz w życiu przyznała jej rację. Ale na to trzeba było ustąpić, trzeba było stanąć po jej stronie, kiedy była niesprawiedliwa. Teraz wiem, że nie mogła być inna, że to było zbyt trudno.

Rozejrzała się po pokoju.

- Tu, na tym łóżku, płakałam z czułości, marząc o tym, jakie by to było szczęście dla niej. I nigdy tego nie zrobiłam. Ale Karol, który to zrobił, był spokojny.

26

Ta noc była niedobra dla Justyny, pełna snów i przebudzeń, wilgotna i lepka od potu. "Co to jest ze mną?" - myślała i znowu zapadała w sen. Trzeba było gdzieś wejść, dostać się do jakichś ludzi, na jakieś mieszkanie. Nieprzyjemna droga czarnym korytarzem ze schyloną głową, z czymś duszącym na szyi. Była to droga do Jasi, taka sama, a przecież gorsza i straszniejsza niż naprawdę. Szła przez ten korytarz, szła i szła, natrafiła na drzwi drewniane, z gołych desek, namacała zamek na wierzchu z żelazną klamką, klucz sterczący w zamku. Przekręciła klucz, bo to było z tej strony zamknięte, otworzyła drzwi. Nikogo tam w środku nie było, nikt się nie odezwał. Weszła w ciemność, namacała łóżko. Nie było na nim pościeli, tylko deski. Na deskach, na samym drewnie leżała Karolina Bogutowa - taka jak była po śmierci, już ubrana, gruba, w czarnej sukni, z krzyżykiem w rękach. Było tak, że leży tu już dawno, że zapomnieli ją pochować. I to też było gorsze niż sama prawda, że matka umarła. Obudziła się i znów pomyślała, że coś z nią jest. Następny sen był piękny. Płynęła morzem. Ale co za dziwny był okręt bez ludzi, bez podkładu i komina. Nie było nad nim nieba. Tylko przez wielkie jakby wrota było widać morze i czuło się huk i prędkość. A wrota były całe ze skały i cały okręt był z kamienia. I tak hucząc szedł morzem bez jednego człowieka, tylko z nią.

Dopiero nad ranem przyśniło jej się to dziecko. Małe, całe gołe, zdrowe i twarde. Było żywe, ale jakby nie z ciała, jakby wyrobione w białym kamieniu. Ładne i wesołe. Potem zmiękło, przelewało jej się na rękach. Główka mu wisiała na szyi i turlała się po ramieniu. Zesmutniało jak mała Jadwisia. I potem to już była Jadwisia, kiedy umarło.

Zbudziła się ze snu, płacząc. W pokoju było jeszcze ciemno i zimno. Została w łóżku i leżąc, cicho, długo płakała. Niby to śniła jej się Jadwisia, ale płakała nie za nią. Jadwisia żyła na świecie i póki nie oślepla, widziała to niebo i tę ziemię, bawiła się kotem, pieściła się z matką. A tamto jej dziecko, co miało być i co go nie było, gorzej było biedne. Sama poszła do akuszerki, dała sobie coś takiego zrobić, co kobiety robią, i tak je zmarnowała. Pamiętała najwięcej i ciągle jej się to przypominało, że jak tam w łóżku leżała w nocy po tych bólach, cicho, żeby ludzi nie pobudzić, to się poruszyła. I ono się tak z niej wymkło jak myszka. Cały

świat go nie chciał, rodzony ojciec go nie chciał i tylko w niej jednej miało schowek. Tylko ona jedna na całym świecie mogła mu poradzić, żeby się na życie wydostało. U niej jednej miało swój ratunek i schronienie. I ona jedna, ta jego matka, też przeciwko niemu się podniosła. To gdzie się miało to dzieciątko obrócić za swoim ratunkiem, kiedy ona sama i ona tak mu zrobiła?

Leżała do południa i w kółko o tym jednym myślała. Na drugą stronę podwórza, na sztachety, świeciło słońce. Za oknem jedno nieduże drzewo kręciło się od wiatru i szorowało gałęziami o sztachety. Śnieg topniał, marcowe niebo było od wiatru niebieskie i miało po sobie ciemnoniebieskie chmurki. A Justynie się nie chciało ani wstać, ani jeść, ani wyjść, tylko dobrze jej tak było leżeć i płakać, i o jednym myśleć. Nie wiedziała, co to miało być, czy chłopiec, czy dziewczynka, nie wyobrażała sobie, jakie by wyrosło. Myślała o tym prawie żadnym, małym i ślepym, jeszcze o bożym świecie nie wiedzącym, które się w nią schowało i w niej miało swoją opiekę.

Po południu zastukał ktoś do drzwi. Wstała z łóżka, owinęła się w chustkę i przekręciła klucz w żelaznym wystającym zamku, takim samym, jaki jej się śnił.

- Znów pani tak leży przez cały dzień - powiedziała Niestrzępowa wchodząc. - Jak pani nie wstyd? Kto ma pani w piecu napalić, na kogo pani czeka? Ugotować coś trzeba, posprzątać. Justyna milcząc wstała. Umyła się w wodzie na misce, grzebała kawałkiem drewna w popiele na ruszcie. Póki Niestrzępowa stała przy niej, rozpałała w piecu, brała w rękę to jedną, to drugą rzecz, do rondelka naląła z dzbanka wody, obejrzała w szufladzie, w torebkach, gdzie jeszcze jest jaka kasza.

- Tak przecie nie można. Tak się pani zamorzy! Niestrzępowa wychodziła, przyniosła trochę własnej zupy, zmuszała Justynę, żeby wzięła palto i poszła kupić sobie chociaż kawałek kiełbasy u rzeźnika.

Justyna słała łóżko, zamiatała podłogę, siadała i patrzyła na ogień, jak się palił i migotał, chodził po każdym drewnie tam i z powrotem, nim się całe nie zajęło. Wstawiała, dokładała, zamykała piecyk i siadała na brzegu łóżka.

Znów jej się to przypomniało, jak poszła do tej akuszerki na ulicę Mostową, zaraz parę domów od końca Świętojańskiej blisko dworca. Mieszkała w czerwonym ceglany domu. Była tam kuchenka i pokój. Kuchnia była pierwsza i tam spała ona z mężem i trzema chłopcami, a w pokoju miała chore. Ale jak Justyna tam leżała, to żadnej drugiej chorej nie było. Matka tej kobiety gotowała im jeść i zamiatała pokój. Opowiadała Justynie, że przed nią ostatnia chora była to bogata panna, co nawet nie miała szesnastu lat. W wielkim ukryciu ją tam przywiózł ze wsi jej rodzony wuj, co miał żonę i dzieci, a ona u nich mieszkała.

Zaraz jak tam przyszła, akuszerka kazała wejść Justynie na duży stół i na samym brzegu się położyć, i przyniosła z kuchni na półmisku jakieś druty i szczypce, i czekała przez chwilę, aż wystygną. Bieda tam była, ale bardzo dbali, żeby wszystko było czyste. Wieczorem przychodził mąż tej kobiety, kolejarz, który często pił, i wtedy były w tej kuchni hałasy. W ciemności otwierały się drzwi od kuchni i na palcach cicho wchodziła stara kobieta.

Widocznie się tu chowała przed zięciem, może mu zawadzała i o nią żonie tak dokuczał. To były najgorsze dni w życiu Justyny od śmierci matki.

Po tym, co tamta jej na stole zrobiła, Justyna leżała w nocy, nie wiedząc, co się w niej odbywa, aż ją chwyciły bóle. Krzyczała, ale tamta zaraz przyszła, żeby przestała, że zgubi ją i siebie. Przestała krzyczeć, przeleżała cicho parę godzin, aż wszystko ustało. I wtedy nad



ranem, jak się poruszyła, bez żadnego bólu, bez niczego takiego poczuła, że to malutkie z niej wyszło. Leżała tam jeszcze przez dwa tygodnie, ale co z nią było, mało pamiętała.

Przychodził doktor, miała gorączkę, różne rzeczy z nią robili. Kiedy wyszła stamtąd, nie była jeszcze całkiem zdrowa, jednak powoli się poprawiała i w jesieni mogła już pracować u Torucińskiego. Ale myśl o tym dziecku została już w niej na zawsze.

Gdy tak siedziała na łóżku i wspominała swoje sprawy, zastukał Zenon. Przychodził teraz co parę dni, zrobił się dobry i pamiętał o niej. Ale jego odwiedziny nie pocieszały jej wcale. Mało ją obchodziło, czy przyszedł, czy nie. Był to jakby ktoś inny, wcale do niego niepodobny, obcy. Przychodził zawsze, kiedy było już ciemno na ulicy, uważał, żeby się z kim na podwórzu ani w sieni nie spotkać. Stukanie Zenona zaraz poznawała. Zawołała, żeby wszedł.

Nie wstając podała mu rękę.

- No jak się masz, dziecko? Dawno był doktor? Odpowiedziała:

- Nie pamiętam, ale on niepotrzebnie przychodzi. On mi nic nie pomoże. Dlaczego tak mnie o wszystko rozpytuje?

- Czy bierzesz te lekarstwa, co ci zostawił?

- Biorę. Ale niech on nie myśli, że ja z nim gdzie pojedę. Nigdzie się stąd nie ruszę. Siedzę tu spokojnie, nikomu nie przeszkadzam, nikomu nic nie robię, to co mu do mnie.

- Zrobisz, jak będziesz chciała. Nikt cię nie przymusza. Ta Nie-strzępowa do ciebie przychodzi?

- Przychodzi, przychodzi. I to także niepotrzebnie. Jak mam chęć, to jem, jak nie, to nie lubię, żeby mnie przymuszali.

- Co jadłaś dzisiaj? Milczali chwilę i roześmiała się.

- Co ci to, Zenon. Co cię to może obchodzić, co ja jem?

- Pisziesz mi takie dziwne rzeczy. Nie powinnaś pisać. Jak tu przychodzę, możesz mi zawsze wszystko powiedzieć. To pisanie jest niepotrzebne.

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, nie będę pisała. Ale jak przychodzisz, to nigdy nie pamiętam, co ci miałam powiedzieć. Obmyślałam sobie, co ci powiem, a potem zawsze zapomnę.

- Pisałaś, że znów ci się śniło.

- I dziś mi się śniło, i wczoraj. Zawsze mi się śni.

- Słuchaj, jesteś taka dobra, powinnaś być rozsądna, powinnaś słuchać, co on ci mówi, ten doktor. Pojedziesz, odpoczniesz, dadzą ci jeść, o niczym nie będziesz musiała myśleć. A potem wrócisz zdrowa.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie jestem dobra, gdzież tam. Co ty mówisz... Żebyś ty wiedział, co ja czasami myślę - tobyś się zląkł, jaka ja jestem... Gorsza jestem, niż nie wiem co, niż pies wściekły. Takie to we mnie siedzi złe i tak mnie dusi.

Kiedy odszedł, leżała znowu sama. Koło ósmej przyszła Nie-strzępowa.

- No, panno Justynko, jak to będzie z kolacją?

- Nie chce mi się jeść.

- Pani przyjdzie do nas.

- Przyjdę, przyjdę.

- Tak pani mówi, a później pani nie przyjdzie. Zaraz niech pani idzie i już. Zbliżyła się, żeby ją wziąć za rękę. Justyna odsunęła się od jej dotknięcia.

- Nie trzeba. Sama pójdę.

Poszła za Nistrzепową do ich pokoju. Obok Nistrzepa siedział przy stole człowiek, którego nie lubiła. Grali w karty na rogu stołu. Karty były zniszczone i brudne.

Nistrzepową odgarnęła serwetę i nakryła na wolnej części stołu. Podała jajecznicę, chleb i masło.

- Panno Justynko, niech pani siada do jedzenia.

Po kolacji została z nimi chwilę. Podebrak opowiadał, że jest w krytycznym położeniu. Inni się martwią, jak im fabrykę zamkną, albo się spodziewają, że na wiosnę fabryka znowu pójdzie. A jemu, czy fabryka idzie, czy stoi, zawsze jednakowo źle. Wyjmował z portfelu różne papierki i druczki. Trzymał z Nistrzepem do spółki ćwiartkę na loterii. Mówił, kto wygrał w ostatnim ciągnięciu największą wygraną. Rozłożyli na stole plan ciągnięcia i Nistrzep czytając suwał palcem po literach.

- Co sobie głowę zawracacie - powiedziała Nistrzepową. - Zawsze tak jest, że ktoś wygra, ale żebyście wy wygrali, to tak nie będzie.

Przysiadła się do nich i oglądała rzeczy, które Podebrak znów wyjmował z portfelu.

- Oddali ci tę fotografię, coś mówił?

- Oddali.

- Pokaż.

Wyjął paczkę listów. Między listami była i fotografia jego żony. Nistrzepowa podsunęła ją Justynie.

- Tej pani jeszcze nie widziała.

Justyna przyjrzała się obojętnie znanej sobie już z innych zdjęć twarzy. Wszystko w niej drżało, ale nic po sobie nie pokazywała.

- Słuchaj, zostaw nam tę fotografię.

- Wszystkie oddałem, a tej nie oddam - upierał się Podebrak. Nistrzepowa wytłumaczyła już Justynie, że ten Podebrak wrócił do domu i zastał żonę razem z drugim w pokoju. A to była nieprawda, co pomyślał, bo ten drugi przyszedł do niego i na niego czekał. Dopiero później wszystko się wydało. Ale jemu uderzyło do głowy i w ten sam moment, co ich zastał, strzelił do niego i potem do niej, a do siebie już nie trafił.

Na drugi dzień był znów doktor u Justyny i wypytywał ją o to samo po kilka razy. Powiedział, że jej przyśle kobietę, co będzie z nią mieszkała. Justyna powiedziała, że nie chce.

Następnego dnia wcale już jej się wstać nie chciało. Przed samym wieczorem przyszedł Zenon. Zobaczył, że leży. Zdjął palto, od razu usiadł przy niej na łóżku. Był bardzo serdeczny.

- Wiesz, przez cały ten czas myślałem o tobie - powiedział. - Ja tak ci już nie dam zostać.

Doktor mówi, że na pewno będziesz zdrowa, tylko musisz wyjechać. Siedzisz tu i męczysz się...

Odwróciła ku ścianie oczy. Głos jej był cichy i miękki.

- Nie namawiaj mnie, nie namawiaj, Zenon. Nic ty nie wiesz, co jest ze mną. Lepiej byś mnie zostawił. Ani chwili byś tu nie był, żebyś wiedział, co ja mam na myśli.

- No to mi powiedz, niech wiem.

- Co ci mam mówić, kiedy i tak tego nie zrobię. Mogą mi tu przychodzić do głowy takie głupstwa.

- Powiedz, co za głupstwa?

- No to każdemu może przyjść do głowy. Często myślę, żeby tobie albo jej zrobić coś złego. Uśmiechnęła się niejasno, zrobiła swój powiewny, lekceważący ruch ręką.

- Ale po co mnie pytasz. To wszystko nieprawda.

Patrzył na nią i zobaczył ten jej uśmiech. Wiedział, że żyje jak we śnie.

Wracał ciemnym przedmieściem. Zawsze wracając od niej musiał przechodzić koło widocznych nawet w najciemniejszą noc murów opuszczonej budowli. Stało to na pustym, rozległym placu w bok od ulicy, było jakby skondensowaną ciemnością. Przerwy o mniejszym skupieniu były oknami i niebem. I nie mógł nie pomyśleć o tej dawnej podróży z Elżbietą, gdy w przejeździe zwiedzali radosne, oprawione w zieleni dzielnice świeżo budowanych domów miejskich Wiednia. Wyspy przyszłości, pełne radości i uroku, objęte niebezpieczną terażniejszością. Czy to nie było prawdziwsze, że tutaj nie dało się to osiągnąć. Były widoki sprzedania placu i murów zwykłemu przedsiębiorcy na domy czynszowe. Ziembiewicz jeszcze się przed tym bronił.

Myślał o Justynie, że po raz pierwszy mu czymś groziła, i to w sposób najbardziej delikatny. Czy nie było to ostrzeżenie?

Ostatnio dowiedział się od Nistrzypowej, że Justyna jest podniecona. Jej usposobienie uległo zmianie. Wychodziła teraz sama na miasto, nie wracała po dwie, trzy godziny. Przynosiła ze sobą sprawunki, pantofle, pończochy, kapelusz. Nistrzypowa podejrzewała, że ma jakieś znajomości, że się z tym ukrywa. Jednak przychodząc Zenon zastawał ją zawsze. Zdawała się dobrze pamiętać porę, w której mógł przyjść.

Kiedyś zapytał, ryzykując wszystko:

- Może ty mnie kochasz, Justyno? "Niech ona powie - myślał - niech to się stanie."

Zaprzeczyła głową powoli, patrząc na niego uważnie, z zamkniętymi ustami, jak na scenie. I dopiero po chwili odpowiedziała z namysłem:

- Nie. Już cię dawno nie kocham, a i to, co było, to mi się wydaje jakby nieprawda.

"Ona się bardzo męczy - myślał - ale to jest cierpienie animalne. Ona nie ma świadomości, ona czuje różne rzeczy po kolei, to się z sobą nie łączy, jak jej zachcianki, zmartwienia, dąsy. A ja jestem ugodzony w rzeczy najważniejszej, w centralnej sprawie życia."

Myślał o Elżbiecie. Nie mówiła mu o tym, ale wiedziała wszystko. Wiedziała, że tam wciąż wraca, coraz częściej, że jest w to na nowo wciągnięty.

Gdy go spytała, czy musi tak być, odpowiedział:

- Przecież to jest nierównie gorsze, niż gdyby się zabiła... Tego wieczoru z dołu od zamarzniętej rzeki szedł wiatr. Wiał uporczywie i na skrzyżowaniach ulic zwielokrotniał się nagle, uderzał z paru stron, sam siebie przepierając i szarpiąc ku górze. Stopniały w dzień śnieg ścinał się teraz, powlekając kamienie śliskim szklivem. Ziembiewicz stapał ostrożnie, zagiętą rączką laski przytrzymując kapelusz. Poły futra rozwiewały mu się na kolanach. Z pochyloną głową szedł uparcie. Tym razem wyszedł stamtąd wcześniej, miał jeszcze wstąpić do biura, gdzie czekali na niego.

Samochód ciemny, zwalony na bok, stał nad rynsztokiem niedaleko za rzeką. Ruszyli prędko ulicą Mostową w stronę miasta. Dojechali do rogu Świętojańskiej; gdy mieli skręcić w Emerytalną, policjant dał znak szoferowi. Ziembiewicz otworzył drzwiczki, policjant

salutując objaśnił, że plac Narodowy i dojazd do magistratu zajęty jest przez tłum, że przejechać nie można.

- A przez Krótką przejedzie?

Okazało się, że tak. Szofer zgasił latarnie. Na rogu Sądowej powtórzyło się to samo i samochód zrobił jeszcze jeden zakręt. Zenon kazał stanąć za murem kościoła i stąd małą uliczką przedostał się na boczny plac przed wejście narożne. Oszklone drzwi prowadzące do wnętrza gmachu były zamknięte, wewnątrz panowała ciemność. W chwili gdy zbliżał się do nich, od ulicy Emerytalnej ukazała się grupa ludzi idących szybko w stronę magistratu. Latarnia na przeciwnym rogu, przybita niewysoko do muru kamienicy, rzucała pełne światło na ten zastęp, idący w milczeniu. Poza tą jedną latarnią wszędzie naokoło było ciemno. Zenon spiesznie wszedł na stopnie. Drzwi były zamknięte. Zadzwoił i stał chwilę, patrząc w ciemną szybę. Zadzwoił jeszcze raz, było mu spieszno, tłum się zbliżał. I zobaczył w tej ciemnej szybie dziwny obraz, odbity w niej z dokładnością wizji. Widział tam kołnierza swego futra, melonik, cały kontur siebie o twarzy zatartej w ciemności. Tuż za jego ramieniem wynurzyły się w kilku szeregach twarze tamtych idących ludzi, twarze nieznane, prawie jednakowe, w świetle wyraźne i jasne. Myślało się o tym "ława" albo "morze głów", chociaż było ich niewielu. Właściwy bowiem tłum znajdował się z drugiej strony na placu Narodowym, tu była ich tylko mała grupa. Ten jasny obraz idących ludzi pośrodku przecięty był czarną sylwetką pana w futrze i w kapeluszu. W odbiciu wydawało się, że stoi na ich czele. W istocie przed nimi uciekał.

Nagle ten sztuczny obraz zmaćił się i zatarł. Za szybą ukazała się rzeczywista twarz policjanta. Stojący obok policjanta woźny spiesznie otwierał drzwi. Zenon szedł po schodach, prowadzony przez woźnego. "Pan starosta Czechliński już jest w górze" - mówił woźny, któremu trzęsły się ręce. Patrzył strwożonymi oczami w twarz Ziembiewicza.

27

Po owym wieczorze i strzałach na placu przed ratuszem nastaly dni niedobrej ciszy. Na krańcach miasta odbywały się jeszcze masówki robotnicze, dały się przecież rozpędzać łatwo i po cichu. Nie było dnia, żeby kogoś nie aresztowano. Wśród aresztowanych na ostatniej masowce był Marian Chąsba.

W pismach miejscowych echa zająć pod magistratem odzywały się jeszcze niekiedy. Nazwiska zabitych robotników ustalono ostatecznie. Pogrzeby odbyły się jednego z tych dni o świcie i przemieły w zupełnej ciszy. Według "Niwy" pierwszy strzał padł z tłumy. Nazajutrz sprostowano, że strzelał nie zwolniony robotnik od Hettnera, Wajs, jak podano pierwotnie, tylko Podebrak.

W tydzień po wypadkach zmarł w szpitalu jeden z ciężiej rannych uczestników manifestacji, Borbocki Franciszek, przed niedawnym czasem zwolniony z więzienia. Ranne dwie osoby spośród przechodniów powoli wracały do zdrowia.

Ziembiewicz całymi dniami przebywał teraz w biurze albo wyjeżdżał z domu, gnany swym niepokojem. W mieście zaczęto mówić, że rozkaz użycia broni wydany został za sprawą

Ziembiewicza. Istotnie pierwsze strzały padły owego wieczoru w chwilę po jego przyjeździe. Naprawdę jednak sprawa zdecydowała się już przedtem, była gotowa, zanim przyjechał. Jednego z tych dni Ziembiewicz miał z Czechlińskim gwałtowną scenę. Gdy wychodził z jego gabinetu, woźny słyszał te słowa: "Z jakiej racji? Jak to? Teraz chcecie zwalić to na mnie!"

Ostatniego dnia, gdy siedział w biurze, przełączono do niego telefon doktora Lefeld. Doktor donosił, że tej nocy Niestrzępowa wzywała go telefonicznie z podmiejskiej apteki do Justyny. Alarm okazał się przesadny. Płukanie żołądka wystarczyło.

- Więc nie ma niebezpieczeństwa? - zapytał Zenon ochryłym głosem. Było tak, jakby przez cały czas to tylko przewidywał, tego jedynie się bał.

- Nie, nie - uspokajał Lefeld. - Jest zdrowa. Już dziś zresztą posyłam tam pielęgniarkę.

- Co to było? - dopytywał się Zenon.

- Jodyna. Niewielka ilość.

Pojechał wprost do Justyny. Leżała znowu w łóżku. Powiedziała, że nic ją nie boli, że nienawidzi tego doktora, że przyjechał z drugim, przemocą zakładali jej rurę do gardła, wyrabiali z nią okropne rzeczy. - Dlaczego oni mnie nie zostawią w spokoju? Co im do mnie? Deski podłogi były wilgotne jak po niedawnym myciu. Czuć było lekarstwami. Zenon rozglądał się po pokoju.

- Ta kobieta nie przyszła? - spytał.

- Była. Ale jej nie chcę, żeby tu mnie pilnowała.

Zenon robił jej wyrzuty, był szorstki. Odpowiadała pochmurnie i gniewnie. Rzecz szczególna, że wydawała mu się normalniejsza niż tamtych dni. Miała niedużą żółtawą plamę w prawym kąciku ust.

- Słuchaj, widzisz przecież, że robię wszystko, żebyś była zdrowa. Powiedz wreszcie, czego chcesz. Twoje postępowanie jest niemożliwe, nie mam ani chwili spokoju.

- To się mną nie zajmuj, zostaw mnie. Dlaczego to ja nie mogę robić, co mi się podoba?

- Ale dlaczego mnie męczysz, za co się mścisz? Powiedz, o co ci chodzi. Patrzyła w sufit, nakrywała sobie rękami oczy, przesuwiała palcami po czole. Nie odpowiadała. Z rozmów z Lefeldem, przed którym nie ukrywał już nic, Zenon wiedział, jaki jest podkład jej choroby.

- Zrobiłaś wtedy, co sama chciałaś. Samaś tak zdecydowała, nie namawiał cię nikt. Przecież mogłaś mieć dziecko i wiedziałaś, że też byłbym cię bez pomocy nie zostawił.

- Jak to: wiedziałam? Tego już nie mów. A tę pieniądze, coś mi dał wtedy?

Twarz jego pociemniała. Wstał powoli i podszedł do niej ze spuszczoną głową.

- Dlaczego tak mówisz? Przecież liczyłem się z tym, że chcesz dziecka. Ciągle ci powtarzałem...

Usiadła na łóżku. Była w białej, grubej koszuli perkalowej bez rękawów, ręce miała cienkie, jak w letnich sukienkach w Boleborzy.

- No, właśnie wiedziałeś, że go chciałam, żeby żyło, żeby aby żyło. Rozplakała się i łyżycierała nie dłońmi, tylko całymi zgiętymi w łokciach rękami.

- Aleś mi dał pieniądze na to, żeby się popsuć.

- A co miałem robić, Justyno? Miałem ci nie dać. Co byś wtedy powiedziała, jakbym ci nie dał?

Łzy jej oschły, oczy zrobiły się ciemne i błyszczące. Siedząc założyła ręce na ramiona, łokcie oparła na podniesionych pod kołdrą kolanach i tak skulona kiwała się w takt mówionych słów:

- Naturalnie, żeś mógł nie dać. Toby ono teraz żyło. Sameś wiedział przecie, że już był nie czas. I ta akuszerka dlatego tyle policzyła, że było późno, tylko się za takie pieniądze podjęła. Gdybyś ty chciał, tobyś był nie dał tych pieniędzy. Od tych jednych pieniędzy wszystko poszło. Moja choroba i ten mój bzik. Miałaś się ożenić, to dałaś, com chciała, żeby się mnie tylko aby z drogi pozbyć.

Zapłakała znowu i płacząc uderzała się niecierpliwie po twarzy małymi, zaciśniętymi pięściami.

- I po co mnie ona wtedy wołała, po co mnie to wszystko mówiła? Czy to jej była rzecz między mnie i ciebie stanąć, mnie o tobie wszystko mówić? Czy to ty sam nie mogłeś mi powiedzieć, że się masz żenić? Miała kamienicę, była bogata. Dopiero wtedy zrozumiała, jakieś mnie zwiódł. Taki się zrobiłeś wcale nie ten człowiek, całkiem obcy.

Patrzyła na niego długo. Oczy jej się zamglily. Złagodniała. Spytała cicho:

- Czy ty się mnie nie boisz, Zenon? Czy ty się mnie nie boisz, mój drogi? Ja się dziwię i dziwię...

- Dlaczego się dziwisz?

- Że ty tu jeszcze przychodzisz! Że masz tę śmiałość...

Zamyśliła się i mówiła śpiewnie, przerywając sobie westchnieniami:

- Przecież nie ma tej nocy, żeby mi się nie śniło. Budzę się co i raz. A jak znowu zasypiam, to mi się zaraz te różne twarze pokazują, miny robią, wykrzywają się, straszą mnie i straszą... Głosy słyszę, do tego stopnia już przyszło, że głosy ludzi słyszę, a ludzi tu nie ma. To są głosy umarłych. Ale ja ich nie poznaję, czyje -są. Jeszcze wczoraj wieczór słyszałam, jak tu mówiło: "Weź go i zabij, weź go i zabij."

Stał naprzeciwko niej przy łóżku, obiema rękami trzymał zimną sztabę poręczy. Patrzył i słuchał. Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Nie wierz ty temu, Zenon, że ja jestem dobra. Żebym nie pamiętała, jakiś był, żebym sobie ciągle a ciągle nie mówiła, że szkoda twojego życia... Ale odkąd mnie to już po głowie chodzi! Odkąd ja myślę, że już na moją mękę nie ma innego sposobu, tylko żeby ciebie nie było...

Tak ją zostawił, rozmarzoną i wzdychającą. Z Chązobiańskiego Przedmieścia pojechał na drugi koniec miasta po doktora Lefeldta. Domagał się natychmiast tej pielęgniarki, wreszcie odnalazł ją sam, wysłuchał wyjaśnień, że wróciła do domu tylko po rzeczy, zobowiązał do łagodnego traktowania chorej i z pakunkami odesłał na miejsce.

Kiedy wrócił do domu, był już zmierzch. Tego dnia Elżbieta znowu znalazła w swej poczcie kopertę adresowaną pismem maszynowym, a w niej cieniutkie, przezroczyście płatki bibuły, szczipione drucianą sprzączką. Linotypowa odbitka była zamazana i w wielu miejscach nieczytelna.

Była sama w domu. Zatrzymała się w miejscu, gdzie rozdarła kopertę, w jadalni pod oknem, i czytała stojąc. To, co czytała, wydawało jej się jakby wymyślone, zbyt dziwne. Odbywało się w ukryciu i w ciemnościach, szło o to, aby nikt nie mógł przyjść na ratunek. Było umotywowane potrzebą doraźną, wbudowane w całość życia, uporządkowane. Bez tego nie można było odkryć winnych. Bez tego nikt by się do niczego nie przyznał.

Przeczytała i wróciła do miejsca, gdzie było napisane, że buty wkłada się zaraz po tym, bo inaczej nogi tak puchną, że nie można butów włożyć wcale. Potem czytała słowa: "Nie obchodzi mnie moja przyszłość." Ten miał dwadzieścia jeden lat i jego przyszłość obliczona była na dni. On pierwszy został stracony. Przeprowadzili go z więzienia na salę sądową, powiedział, że nie obchodzi go jego przyszłość, i odprowadzili go znowu do więzienia. A potem wyprowadzili go na stracenie. Wciąż koło niego byli ludzie. To się działo w otoczeniu ludzi. Nie był sam.

Ta ciemność, w której odbywa się tamto, jest zresztą niematerialna.

Może się tam świecić żarówka, uczepiona zakopconego muru z cegieł, może też lampka oświetlać z góry izbę, której ściany do pewnej właściwej wysokości powleczone są ciemnobrązową farbą olejną, żeby nie było widać plam. Ciemność polega na tym, że nikt nie może tam przyjść z pomocą. I że są tam ludzie, którzy mogą to robić.

I ten mrok jest czymś spod podłogi - jak sutereny, baraki, szpitale, domy noclegowe, przytułki, zakłady poprawcze, w których zamyka się ludzi za karę, że się włóczą, że żebrzą. Za karę, że są bezrobotni, że są głodni. Bo ich życie jest winą.

Gdy jeszcze stała na tym miejscu, przyszedł Zenon. Był blady, przez ostatnie dni zaostrzył mu się nos i koło ust zrobiły dwie fałdy.

- Co robisz? - spytał.

- Znów są te kartki - powiedziała nie pokazując mu ich zresztą. Ale wziął je ze stołu sam.

Przeglądając niewyraźny druk, krzywił się, wzruszał ramionami, wreszcie cienkie papierki odrzucił na bok. Gniewało go, że ona bierze to na serio.

- Ty się tym przejmujesz, naturalnie...

Chodził po pokoju i mówił rzeczy odpowiadające tej sytuacji. Jego świadomość organizowała się błyskawicznie do obrony. Rzecz była w tym, że to nie mogło być prawdą. Rzecz była w tym, że by w to nie wierzyć, żeby na to nie przystać. Byle jakie słowa wystarczyły. Nie przerywała, pozwoliła mu mówić, do końca to ze sobą załatwić. Widziała, jak przekonywał sam siebie, widziała, że szło mu to jak z płatka. Nie czytał zresztą tego, z góry wiedział, co tam może być. Niechętnie patrzył, jak pomięte kartki wygładziła i ułożyła znów na stole. Twarz miała poważną i upartą. Myślała zapewne, że ktoś to pisał w ukryciu, odbijał w pośpiechu, że się ktoś, robiąc to, narażał.

- Jesteś jeszcze wciąż tą samą sentymentalną panienką z ulicy Staszica - mówił. - Cóż ty sobie wyobrazasz, w czym ty żyjesz? Posłuchaj, co ci powiem. Właśnie teraz wyszło na jaw. Wiesz, co się stało z tym Gołabskim, który w swoim czasie dość tajemniczo zniknął z waszej sutereny? Przypominasz sobie może, było takie zabójstwo na Chązebiańskim Przedmieściu, na tym pustym placu za hutą, jeszcze przed moim przyjazdem. Trupa nie rozpoznali wtedy, był zupełnie zmasakrowany. Dopiero ostatnio wynikło z zeznań, że to oni tam się z nim załatwili po cichu. To był jakiś łajdaczyzna zresztą. Ale może i on też miał idee, zwłaszcza z początku...

- To już ostatni - powiedziała.

- Jaki ostatni? - spytał.

- Ostatni z tych ludzi spod podłogi. Bo pewno wiesz, że ten nieprzytomny, co wczoraj umarł w szpitalu, to Borbocki. Uniósł się, mówił gwałtownie, zmienionym głosem:

- Czytam, naturalnie, że czytam wszystko! Inni też czytają. A teraz każdy zrzuca z siebie odpowiedzialność. Albo ja wiem, kto pierwszy strzelał? Tego się nigdy nie wie. Rzecz

zawsze tak samo wygląda: tłum jest niewinny, bo chce pracy, my jesteśmy niewinni, bo nie mamy dla nich tej pracy. A kto jest winny, nie wiem i nie czuję się w tej chwili dość dobrze usposobiony, by to z tobą rozważać.

- Zenonie - powiedziała - ja wiem, że się męczysz. Ale tak nie powinieneś mówić...

- Więc co? - przerwał. - Więc miałem się tu dać zatłuc, dlatego że oni mają idee? Państwo jest także ideą. Jest to ostatecznie sposób, w jaki chcą być ze sobą ludzie. To jest zrobione przez ludzi dla ludzi. Krzyczą tu o przemocy, o dyktaturze i więzieniach. Czy nie jest śmieszne, że mówią to właśnie oni? A co czynią sami z chwilą, gdy dorwą się do władzy? Robią sobie i wojsko, i policję, i więzienie, robią te same rzeczy z innymi nazwami. I przede wszystkim robią państwo.

- Zenonie, Zenonie - przerwała z lękiem. - Ty nie widzisz tego, ty zapomniałeś. Ale wszystko, czego nie chciałeś, jest teraz po tej samej stronie co ty.

Zupełnie już spokojnie wyjaśnił: - Jeżeli chcesz, świat jest rzeczą okropną. Dobrze. Świat jest miejscem zbrodni. Tak. To masz wszędzie, i tu, i tam, wszędzie na ziemi. Cóż z tego? Po obu stronach, po tej i po tamtej, są znowu ludzie, zwyczajni ludzie, chcący tego samego, władzy i krwi.

- Ach, nie o to chodzi.

- Może mi chcesz znowu coś powiedzieć o miłości, którą należy się rządzić, o "drugim człowieku" - tak?

Był teraz znudzony i wyniosły, był sztuczny. Stojąc przerzucał numery gazety, zaglądał tu i owdzie z ironicznym skrzywieniem.

- Nie, chodzi o to, że musi coś przecież istnieć. Jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą.

- Granica - mruknął i wzruszył ramionami. - Granica. - Roześmiał się. - Tobie też nieświeżnie się udało, gdy raz próbowałaś kierować się względami na dobro "drugiego człowieka".

- O czym chcesz mi powiedzieć? - spytała.

Popatrzył na zegarek, spieszył się. - Można być tylko tym, czym się jest, moja droga - nic więcej nie można.

Przed odejściem powiedział: - Spal to przecież, niech się to nie płacze po mieszkaniu. - I ruchem palców popchnął po stole pomięte kartki maszynopisu.

Wziął palto i czapkę i wyszedł z domu. Nie pojechał jednak do miasta. Odprawił szofera, chodził po pustym parku. W ciemnościach mიაոաł się wiatr, było ciepło, nagie i wilgotne gałęzie chrobotwały nisko nad głową. Zenon usiadł na ławce i, niewiele wiedząc o tym, przesiedział tam parę godzin, patrząc z daleka w okna swego domu. Świeciło się na górze w pokoju dziecka i na dole w pokoju matki. Okna sypialni były ciemne. Przeczekał jeszcze godziny, gdy świeciło się w jadalni. Uczuł dreszcze i dźwignął się z ławki. Obszedł znowu cały park. Gdy wrócił do domu, było już późno. Na dole znalazł panią Żancię. Siedziała w tak zwanej bibliotece, na fotelu przy kominie. Ogień się już nie palił, zaszuwa była zamknięta. Z czeluści zadymionych cegieł szło ciemne, suche ciepło.

Często wieczorami można ją tu było znaleźć. To miejsce przypominało jej salon w Boleborzy.

- Jeszcze mama się nie położyła? Rano mama wstaje Bóg wie kiedy, wieczorem nie idzie spać. Kiedy mama właściwie śpi? Odpowiedziała z uśmiechem:

- Dosyć się w życiu naspalam. Starzy ludzie potrzebują mało snu.



Zatrzymał się na chwilę przy jej fotelu, później usiadł na małej ławeczce blisko niej, z łokciami opartymi o kolana. Przyjrzała mu się.

- Źle wyglądasz. Jesteś zmęczony?

- Tak. Gdybyś wiedziała, ile mam kłopotów.

- Wiem, dziecko, wiem. Nie jesteś człowiek zwykły, to trudno. Jesteś na świeczniku. Cóż to dziwnego, że masz nieprzyjaciół.

Siedział milcząc zgarbiony. Przypomnił sobie, jak mu kiedyś mówiła w Boleborzy:

"Przekonasz się, że nikt na świecie nie może ci być bliższy, niż rodzice." I to, co wtedy pomyślał: że chwila, gdy się o tym przekona, będzie jakąś najgorszą chwilą jego życia.

- Wiem, że masz nieprzyjaciół, ale poczekaj, przyjdą oni jeszcze do ciebie, przyjdą. A pomyśl tylko, coś już na swoim stanowisku zrobił. Naprzód te domy... Czy to twoja wina, że ci cofnęli pieniądze? A pomoc dla bezrobotnych! Sam ją przy magistracie stworzyłeś. Nie starcza dla wszystkich! Pewnie! Ale skąd masz wziąć? Kto może od ciebie wymagać?

Wyciągnęła rękę, pogłaskała go po włosach i chciała głowę jego przyciągnąć do siebie. Ale uchylił się i pocałował tylko jej rękę.

- Tego nawet nie wiesz, że od twoich drzwi nikt z "niech-pan-bóg-opatrzy" nie odejdzie. Jak ciebie nie ma albo Elżbiety, to ja zawsze jestem. I co tu różnych resztek z obiadu, co tu kawałków chleba co dzień się wydaje - tobyś nawet nie uwierzył! Sama Józiowa jest dobra kobieta. Bez szklanki herbaty gorącej w to zimno żadnego biednego nie wypuści.

- Gdybym na przykład umarł - powiedział - toby mama o mnie tak później mówiła. Prawda? Powiedziała jak dawniej:

- Nie pleć, nie pleć, Zeniu. Co ci do głowy przychodzi?

- No widzi mama. A to wszystko byłaby nieprawda.

Wstał, powiedział jej dobranoc i dodał: - Widzisz, to właśnie wszystko jest nieprawda. Jest się takim, jak myślą ludzie, nie jak myślimy o sobie my, jest się takim, jak miejsce, w którym się jest.

Poszedł na górę. Elżbieta także nie spała. Gdy usłyszała, że przyszedł, wróciła z pokoju dziecka. Nie była rozebrana, miała tę samą co w dzień spódnicę i bluzkę niebieską, pogniecioną teraz i pomiętą. Ręką odgarnęła włosy, które spadały jej z oczu. Widoczne było, że musiała zasnąć w ubraniu.

Zrobiło mu się jej żal, jak przed chwilą było mu żal matki. Nade wszystko przecież targała nim myśl o obłąkanej dziewczynie na przedmieściu. Gotów był płakać myśląc o tym, jak się tam tak broni przed swą ideą natrętną, jak szukała przed nią ratunku w tej "małej ilości" jodiny. Pomyślał, że śpi tam teraz z tą obcą kobietą, która jej "pilnuje", i wzruszył się znowu.

- Nerwy, nerwy - mruknął.

Patrzyła na niego wyczekująco, niepewna i smutna.

- Może się położysz? - zapytała. - Czy co jadłeś? Był bardzo podniecony i nie mógł tego opanować. Powiedział Elżbiecie, że Justyna próbowała odebrać sobie życie.

- Ale żyje - dodał zaraz.

Chwilę milczeli. Elżbieta czekała, czego jeszcze będzie od niej żądał. Ale on nic nie żądał tym razem.

- Gdybyś nie była jej wtedy wezwwała, to wszystko to nie byłoby się z nią stało, co jest dziś. Elżbieta zakłopotana się, coś nawet jakby zaczęła na sobie przyglądać i porządkować.

- No, skądże mogłam wiedzieć, jak mogłam przewidzieć... I nagle powiedziała z wyrzutem:

- Przecież ona nie miała nawet pojęcia o moim istnieniu!

- Właśnie tego nie pomyślałaś...

Chodził po pokoju, zatrzymywał się na chwilę przy oknie, by spojrzeć w ciemny park, jakby tam kogoś upatrywał i, nic nie zobaczywszy w ciemnościach, chodził znowu.

- To było szaleństwo wtedy ją wzywać - powiedział nieoczekiwanie podniesionym głosem, prawie krzyknął. - Nigdy właściwie nie rozumiałem, dlaczego to zrobiłaś. Co miałaś na celu, co chciałaś przez to osiągnąć?

- Jak to, Zenonie, ty się pytasz, ty...

- Przecież nie mówiłaś mi wcale, że chcesz to zrobić. Powiedziała ciszej, jakby przywołując go do porządku:

- Wyrzekałam się ciebie dla niej. Powiedziałam jej, że jesteś wolny.

- Widzisz, widzisz!

- Nie rozumiem. Musiałam chyba wiedzieć, przed czym mam ustąpić. I ciszej dodała:

- Nie mogłam inaczej... Zatrzymał się przed nią.

- Robiłaś wszystko, żeby być ze sobą w porządku. A widzisz, to nie o to chodzi. Cierpienie wcale nie jest usprawiedliwieniem.

- Zenonie, robiłam, co myślałam, że trzeba, co było najtrudniejsze.

- Tak się zawsze wydaje, że to, co trudne, jest właśnie dobre. A tymczasem dotąd przecież dla niej samej nie zrobiliśmy nic. Dotąd właściwie w tym wszystkim wciąż siebie tylko mieliśmy na uwadze.

- Nie ja. Nie ja - broniła się, po raz pierwszy zrywając z nim solidarność.

- Ty także. Poczekaj, przecież myśmy niczego się nie wyrzekli, myśmy zachowali wszystko. Ale to na jej zniszczeniu wyrosło to, co jest między nami. Tak to było i tak to jest do dziś.

Zdawało się, że zrozumiała wreszcie. Wstała, jak gdyby miała odejść, popatrzyła na niego i zawahała się. Nie szukała już odpowiedzi ani nawet ratunku. Nie było o co się spierać, nie było ważne, z czyjej winy wynikało to, co jest.

## Zakończenie

Na razie nikt nie rozumiał, jak w tym czasie wzmożonej czujności mogła do gabinetu Ziembiewicza wdrzeć się wprost z ulicy nieznajoma dziewczyna i w miejscu, gdzie przebywali woźni, urzędnicy i maszynistki, bez przeszkody wykonać swój czyn. Niedawno przyjęta sekretarka Ziembiewicza we łzach opowiadała, że dziewczyna przystąpiła do niej na korytarzu i urywanym głosem prosiła o osobiste widzenie z prezydentem. Była cicha i nieśmiała, drżała z zimna czy ze strachu, miała na sobie cienką chustkę. Urzędnicze wydała się proszącą o coś biedną. Ziembiewicz powiadomiony o tym, zapytał tylko, jak petentka wygląda, nie okazał zdziwienia, jakby się tego spodziewał, i kazał ją wprowadzić do gabinetu przez małe drzwi wprost z korytarza. Po krótkiej chwili w gabinecie rozległ się krzyk. Gdy otwarto drzwi, Ziembiewicz leżał za biurkiem na ziemi, twarzą do dywanu, nieprzytomny. W zamęcie pośpiesznego ratunku nie zwracano uwagi na przestępczynię. Woźny pochwycił ją w

chwili, gdy wdierała się na okno, widocznie chcąc nim wyskoczyć. Urzędnicy wypełnili pokój, telefonowano po doktorów i żonę. Gdy przyjechała, wejście obstawione już było przez policję. Ziembiewicz leżał na kanapie, lekarz kończył opatrunek. Bogutówna zamknięta w bocznym pokoju pod strażą czekała spokojnie na swój los.

Wieziony do szpitala pod opieką chirurga i żony, Ziembiewicz był nieprzytomny, jęczał oddychając chrapliwie. Miał twarz zabandażowaną wraz z oczami. W chwili napaści musiał otworzyć usta, gdyż duża ilość żrącego płynu dostała się do jamy ustnej i uszkodziła gardło. Jego oddech był jakby chleptaniem powietrza. Elżbieta dowiedziała się dopiero później, że nie tylko powieki, ale gałki oczne były uszkodzone.

Wypadek wywarł w mieście wielkie wrażenie. O istnieniu Justyny Bogutówny wiedziało w mieście zaledwie parę osób. O roli jej w życiu Ziembiewiczów prawie nikt. Śledztwo poszło w kierunku szukania współników, których Bogutówna wskazać nie umiała. Kobieta, u której mieszkała Bogutówna, Niestrzépowa, uporczywie tłumaczyła, wszystko tym, że dziewczyna jest wariatką. Zeznania Niestrzépowej wydawały się tak wykrętne i mętne, że zatrzymano ją w policji, szukając dalszych nici. Na męża jej zwrócono uwagę dopiero później, ale jego zeznania przyniosły więcej szczegółów, chociaż i on nie wspominał nic o odwiedzinach Ziembiewicza u Bogutówny. Ujawniło się mianowicie nie tylko, że przebywający w więzieniu aresztowany w czasie zajść pod magistratem Andrzej Podebrak był częstym gościem Niestrzépów, ale że zmarły w tych dniach w szpitalu Franciszek Borbocki zaraz po uwolnieniu z więzienia dowiadywał się u Niestrzépów o Bogutównę. Ta jednak, zapytana, przeczyła, jakoby go widziała w tym czasie. Zofia Rumińska, pielęgniarka, którą na śledztwo wezwano później, tłumaczyła się, że w dniu krytycznym, korzystając ze spokojnego snu chorej, wyszła na chwilę kupić coś do jedzenia i po powrocie już Bogutówny w domu nie zastała. Jej zeznania, z których wynikało, że do chorej zaangażowana była przez samego Ziembiewicza, rzucały nowe światło na sprawę. Żona Ziembiewicza na razie nie składała żadnych zeznań. Po wyjaśnieniach, które złożył doktor Lefeid, pisma umilkły.

Cała sprawa była kłopotliwa, dla przyjaciół i bliskich Ziembiewicza po prostu żenująca, budziła na przemian niesmak i współczucie. W pewnej chwili stało się wiadome, że Ziembiewicz wzroku nie odzyska. Na jego żądanie przeniesiono go ze szpitala do prywatnego mieszkania, gdzie pozostawał pod opieką najbliższej rodziny. W niecały tydzień po tym powrocie do domu rozeszła się wiadomość o jego samobójstwie. Popelnił je, strzelając sobie z rewolweru w usta.

Po śmierci Ziembiewicza wdowa wyjechała do rodziny za granicę, pozostawiając syna pod opieką babki. Pani Ziembiewiczowa z wnukiem zamieszkała w dawnym mieszkaniu pani Kolichowskiej przy ulicy Staszica, korzystając z gościny Karola Wąbrowskiego, i oddała się wychowaniu małego Waleriana.